Agnieszka Holland
Mam żal do premiera Tuska ▸14



Mazzini
Straszcie wojną, ale nie za bardzo
▸18



WYSOKIE OBCASY
Narges Mohammadi, pokojowa noblistka
154 baty i nadal się stawia



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL, ESTONIAN NAVY

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

100 lat, szefie.
Na dobry początek

Adam Michnik denerwuje i prawicę, i lewicę

▸2-11

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

ISSN 0860-908X
9 770860 908167 42>
Gazeta Wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198

Nastolatki kochają samochody, najlepiej stare ▸22



FOT. GETTY IMAGES

Widmo biegunki krąży po Ameryce ▸26

Dlaczego wynalazcy z Europy są w tyle ▸32

Żydzi czy Piastowie kto według Brauna sprzedawał Polaków ▸46

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

Sobota – czwartek, 17-22 października 2026 | Redaktor prowadzący **Marek Markowski** | Cena gazety **14,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 243.11342, 1 | Nakład 72 tys. + **298,5 tys. prenumerat cyfrowych**

eprasa.pl a960e54702

TEMAT WAŻNY

Lepiej być adwokatem niż prokuratorem

Już raz złamaliśmy zakaz obchodzenia jego urodzin, upiekło się. Łamiemy więc i teraz. Jak moglibyśmy nie obchodzić takiej rocznicy.

Bartosz T. Wieliński

Dziś dla Redakcji „Gazety Wyborczej" szczególny dzień. Nasz naczelny Adam Michnik obchodzi 80. urodziny.

Pewnie chciałby obchodzić je w ciszy i spokoju, już dawno zabraniał jakichkolwiek urodzinowych publikacji na łamach jego gazety. Złamaliśmy zakaz rok temu, upiekło się. Łamiemy więc i teraz. Jak moglibyśmy nie obchodzić takiej rocznicy...

Adam Michnik to legenda wolnej i demokratycznej Polski. Udowodnił, że ludzie dobrej woli mogą pokonać reżim. Ale udowodnił też, że pokonanego w demokratycznych wyborach przeciwnika nie trzeba upadlać i poniżać. Że dla dobra kraju można budować narodową zgodę i budować lepszą Polskę.

W czasach, które wydawały się spokojne i stabilne, słusznie rozpoznawał zagrożenia dla demokracji – w kręgach, które hołdowały nacjonalizmowi i ksenofobii. Gdy te siły przejęły w Polsce władzę, ruszył stawiać im czoła. I znowu wygrał.

Wielu z nas ma jakąś osobistą opowieść o Adamie, często wesołą, często rubaszną. Szeroki wybór tych wspomnień publikujemy na Wyborczej.pl. Pozwolę podzielić się własną.

Otóż znalazłem kiedyś w prasowych archiwach tekst pewnego znanego publicysty, który w latach 90. ukazał się w pewnym bardzo konserwatywnym periodyku. Nazwiska i tytułu nie wymieniam, bo są dla tej historii nieistotne. Ważne jest to, że tekst w zasadzie był antymichnikowym paszkwilem.

Autor zarzucał naczelnemu „Wyborczej" intelektualną tyranię, gnębienie ludzi o innych poglądach, pogardę dla demokracji. Przypomniały mi się lektury z tamtych czasów, czytane w rozpolitykowanym liceum. Albo było się za Michnikiem, albo go się zwalczało, tak jak autor owego paszkwilu. Archiwalne odkrycie nie stanowiło więc żadnego przełomu, jeśli chodzi o historię polskiej publicystyki politycznej. Szokujące było jednak to, że autor tekstu dziś jest w szerokim kręgu przyjaciół „Wyborczej" i Adama Michnika. Byłem tym szczerze zdziwiony.

Przyszedłem więc do naczelnego i mówię mu, że losy ludzkie w rzeczywistości są pokrętne. Pokazałem tekst, pytając: Adam, jak możesz trzymać po takim numerze z tym kimś sztamę.

Adam pokręcił głową... „Bartek, Bartek... On pisał jeszcze gorsze rzeczy". A potem dodał słowa, które zostaną ze mną na zawsze: – W życiu zawsze starałem się być adwokatem, obrońcą, a nie prokuratorem. I tobie też to radzę.

Nieco wcześniej poradził mi, by zawsze płynąć pod prąd. Po z prądem płyną tylko śnięte ryby i spływa gówno.

Lepiej tego ująć się nie da.

Gościom przybywającym do naszej redakcji Adam mówił, że jest w niej „jak brytyjski król", panuje, ale nie rządzi. Ale przecież od tego, kto w redakcji panuje – choć nie dogląda codziennej pracy – zależy bardzo wiele. Tym bardziej że Adam ma – kluczową w dzisiejszych czasach – zdolność do odganiania ciemnych chmur. Z naszych myśli i z nieba nad nami.

Dlatego życzymy Ci Adamie przede wszystkim zdrowia. I wielu, wielu lat panowania.

Wiadomości z kraju i ze świata czytaj teraz na
wyborcza.pl
UŻYJ BEZPŁATNEGO KODU
4DP25BL
i bądź na bieżąco przez cały weekend*
• Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
• Wpisz kod w polu „Kod promocyjny"
• Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
• Aktywuj dostęp w ten weekend
• Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 17-18.10.2026 r.



Michnik WCIĄŻ NIEW

Co chciało od niego tylu różnych ludzi, z kilku pokoleń, z różnych narodów, a nawet kontynentów, Wschodu i Zachodu?

Sławomir Sierakowski
Zdjęcie: **Sławomir Kamiński / Agencja Wyborcza.pl**

Adam Michnik będzie miał zaraz więcej biografii od Jana Pawła II. Niebezpiecznie zbliża się do półki, na której są już tylko Hitler i Stalin. Może to pogodzi wreszcie jego zwolenników i przeciwników. Tylu wywiadów-rzek, książek-dialogów, książek-listów-do-Michnika nie ma żaden żyjący ani nieżyjący już Polak. Nawet Miłosz. Nawet Wałęsa. Nawet Lewandowski. Może miałby Piłsudski, ale nie bardzo z kimkolwiek chciał gadać. Adam jest, na szczęście dla nas, bardziej rozmowny.

Podobnie jest z nagrodami. Od kilku dekad prawie co tydzień pojawia się w mediach informacja: Michnik dostał najważniejsze francuskie odznaczenie, Michnik dostał hiszpańskiego Nobla, Michnik odebrał... Naliczyłem dwadzieścia kilka państw. W takich jak USA, Niemcy, Czechy, Litwa czy Ukraina dostaje je hurtowo. Pierwsze doktoraty honoris causa zaczął otrzymywać w wieku 40 lat.

Krótko mówiąc: nic dziwnego, że nienawidzi go pół Polski.

To samo pół, które nienawidzi też Olgi Tokarczuk, Lecha Wałęsy (ten przynajmniej czasem pomoże sprawie), Agnieszki Holland i nienawidzić będzie każdego wybitnego Polaka. Zapytałem kiedyś Olgę, czy w Polsce obowiązuje prawo, że im ktoś wybitniejszy, tym bardziej musi być znienawidzony. Potwierdziła, a to odważne, bo częściej w tej sprawie praktykuje się u nas kontrolowaną hipokryzję.

eprasa.pl a960e54702



WYJAŚNIONY

Co ci wszyscy ludzie, w tych wszystkich krajach, w tak różnych dziedzinach, zauważyli właśnie w Michniku? Przecież nie brakuje u nas osób publicznych, też wybitnych, z osiągnięciami, świetnym poczuciem humoru, unikatową wiedzą. Nie brakuje błyskotliwych intelektualistów, autorów przełomowych książek. Są nobliści, światowej sławy artyści. To dlaczego najszerszą półkę i najbardziej błyszczącą się ścianę ma właśnie Michnik?

Przejdźmy się tam więc. Tylko przez ostatni rok wyszła jedna biografia i dwie książki wywiady-rzeki.

•

Wywiady-rzeki powstają zazwyczaj jako podsumowania życia, ale nie tylko. Na przykładDominique de Roux „Rozmowy z Gombrowiczem" - polonistyczna, uzupełniająca dorobek. Wymiana listów Czesława Miłosza z Jerzym Andrzejewskim – pokoleniowa, chaotyczna, zamknięta w epoce. Dialog Miłosza z Watem – nieplanowana, ale absolutnie najlepsza w tym nierównym, niejasnym, pauperyzującym się dziś – jak felieton - gatunku.

A Michnika spotkało to wszystko na raz. „Między Panem a Plebanem" przeszła do historii jak „Mój Wiek" Aleksandra Wata, w czym też zasługa księdza Józefa Tischnera i Jacka Żakowskiego. Nie ma lepszej biografii polskiej drogi do wolności. Zabawnej i jednocześnie bardzo poważnej.

Zauważmy przy okazji, że apogeum wpływu Michnika przypadło właśnie na lata 90. Dlaczego to ważne? Bo to najlepszy okres w powojennej historii Zachodu i zarazem najbardziej ambitny w najnowszej historii Polski. Zamiast Trumpa był Clinton, zamiast Nawrockiego Kwaśniewski... Michnik miał w życiu – jakbyśmy dziś powiedzieli – dobry timing. Jeśli iść do więzienia, to jednak po stalinizmie. Jeśli rozkręcać opozycję to po Helsinkach. Jeśli iść do polityki, to w 1989 roku, gdy szli najciekawsi, najszlachetniejsi... Nawet z tamtej strony.

Po drodze było nie mniej ciekawie. Widać to w „Rozmowach w Awinionie" z Bernardem Kouchnerem, symbolem francuskiego Maja '68 i twórcą organizacji „Lekarze bez Granic" oraz z Dannym Cohn-Benditem, przywódcą Maja '68 we Francji i w Niemczech, potem liderem Zielonych w Parlamencie Europejskim.

Choć to Maj '68 roku jest bardziej znany na świecie niż nasz Marzec, to gdy jego liderzy przeglądają się w doświadczeniu Michnika i komandosów, to jemu przyznają rację. Maj '68 był dla ich ostatnią okazją, żeby się sprawdzić, buntowali się bardziej dla siebie niż z powodu Wietnamu, a gdy zdławiono Pragę, paryscy rewolucjoniści pojechali na wakacje. Nasi „komandosi" po protestach szli do więzienia. I nie popierali Związku Radzieckiego.

Cohn-Bendit wspominał, że gdy poznał Michnika, ten zapytał go, dlaczego Zieloni nie protestują przeciw dyktaturze w Niemieckiej Republice Demokratycznej. Czerwony Danny odpowiedział: „Adamie, są dwa stałe i niepodważalne rezultaty drugiej wojny światowej – istnienie państwa Izrael i podział Niemiec". Niemcy się zjednoczyły, a Cohn-Bendit musiał przyznać rację Polakowi.

Gdy pierwszy raz przyjechał do Pragi w 1989 roku, powiedział Havlowi, że to miasto nie pasuje do komunizmu ani do komunistycznej architektury. „Michnik mówi tak tylko dlatego, że widział na moście Karola młodych ludzi śpiewających przy gitarze. Czesi to nie Polacy, a ich stan ducha opisał tak: »gdzieś pomiędzy dzielnym wojakiem Szwejkiem i Kafką«".

Na to Michnik przepowiedział mu, że do końca 1989 roku zostanie prezydentem. A jak było, wiemy.

Za dziecko '68 roku, tylko że w Stanach Zjednoczonych, uważał się również Ire Katznelson, wykładowca najpierw Uniwersytetu Columbia, a potem New School for Social Research, którą założyli na początku XX wieku progresywni intelektualiści (skłóceni z Uniwersytetem Columbia). To on był jednym z inicjatorów nadania Michnikowi doktoratu honoris causa w 1984 roku. W latach 90. tłumaczył w wydanej w Princeton książce „Krzywe Koło Liberalizmu. Listy do Adama Michnika" tytułowemu bohaterowi, że „liberalizm potrzebuje socjalizmu". Michnik do socjalizmu nie wrócił, za to Katznelson wrócił na Columbię, gdzie zmuszony był reprezentować władze w sporze ze związkiem zawodowym doktorantów.

Wspomnijmy jeszcze o „Dialogach" z Aleksandrem Nawalnym z 2015 roku, zainicjowanych przez rosyjskiego dysydenta, zamęczonego dziewięć lat później przez zbrodniczy reżim.

W rozmowie z Polakami Michnik najczęściej szuka nadziei dla Rosji, ale Nawalnemu mówi, że w obawie przed „rosyjskim buntem" jest ziarno prawdy. Nawalny odpowiada: „Mitologia ta celowo jest narzucana opinii społecznej i nawet pan mówi, że coś w tym micie jest. Ale ja jestem przekonany, że »rosyjski bunt« wywoła raczej obłudna stabilność, stymulowany przez władze fanatyzm społeczeństwa oraz systematyczne tłumienie wszelkiej realnej opozycji".

No i parę lat później doszło do buntu w Rosji. Tyle że był to bunt Prigożina, a nie społeczeństwa obywatelskiego. Prigożin to nie Pugaczow ani nie Lenin, ale bardzo rosyjski Rosjanin. Michnik znowu miał rację.

•

Z biografiami jest tak samo. Michnik dostał wszystko, co zna ten gatunek. Cyril Buyer, były ambasador Francji w Polsce, napisał biografię międzynarodową, ogólnie słuszną, ale na kolanach. Rafał Ziemkiewicz „Michnikowszczyznę. Zapis choroby". Nie chodzi nawet o to, że swojej, ale w gruncie rzeczy z podobnym przekazem: Michnik i „Gazeta Wyborcza" rządzą Polską. Jak w jednym z ulubionych żartów Adama. Powtarzam z pamięci, bo w żadnej z biografii nie znalazłem:

Lata 30. Siedzą dwaj Żydzi w kawiarni w Warszawie. Nagle pierwszy wyciąga „Der Sturmer" i drugi aż podskakuje:

– Mosze, co ty czytasz? To przecież najgorsza antysemicka szmata!

– A co mam czytać? Wezmę „Hajnt" i co tam jest? Pogrom w Kiszyniowie. Pogrom w Odessie. Synagoga spalona w Białymstoku. Człowiek się tylko denerwuje.

– A tu?– A tu piszą, że Żydzi rządzą bankami. Że Rotszyld trzyma w kieszeni króla Anglii. Że Hollywood jest nasze. Że trzęsiemy całym światem! Wreszcie jakieś dobre wiadomości.

Nie będzie więc dużym zaskoczeniem, że kolejna krytyczna biografia nosi tytuł „Demiurg", a autorem był skłócony z „Wyborczą" dziennikarz Roman Graczyk. Tym razem jednak wpływ Adama okazał się tak duży, że biografia miała być chyba krytyczna, a wyszła całkiem bezstronna, rzetelna oraz ciekawa.

Sławomir Sierakowski

• urodzony w 1979 roku, socjolog i publicysta, założyciel Krytyki Politycznej, Szef Rady Programowej Impact CEE, felietonista „Newsweeka" i Project Syndicate, pracownik naukowy Niemieckiej Rady Polityki Zagranicznej.

eprasa.pl a960e54702

Inny, ale znowu, zajmujący się wpływem Michnika na Polskę przypadek to „O Michniku" Roberta Krasowskiego. Napisana „na rozróbę, ale ze swadą, po »krasowsku«". Dla nieobeznanych, „po krasowsku" to jest tak: „Michnik sprawiał to, czego nie chciał, a nie osiągał tego, czego chciał".

Książki tego autora są najczęściej bardzo ciekawe, jeśli odwrócić tezy (nie kpię wcale). Młodość Adama okazuje się nieistotna, rolę odgrywać Michnik zaczyna dopiero w 1980 roku, celem jest zostać narodowym moralistą, a wpływ polega na manipulacji ludźmi. Przemiany w Polsce zainicjowała Moskwa, a nie Okrągły Stół. Wojnę na górze zainicjował Mazowiecki, a nie Kaczyński.

Autor na wstępie zastrzegł, że książkę piszę oczami nie swoimi, tylko Michnika przyjaciół. Wynika z tego w takim razie, że wszystkie te książki o Michniku, rozmowy i listy do niego, łącznie z książką Krasowskiego zostały napisane w wyniku manipulacji Michnika, a nie wpływu.

Dopiero od postaci dla większości czytelników anonimowej Anny Nasalskiej Michnik dostał biografię spokojną, kompletną, właściwie naukową. Autorka zrobiła to, co Andrzej Franaszek z Miłoszem i Herbertem albo Andrzej Friszke z Kuroniem z Modzelewskim. A jednak na tym się raczej nie skończy.

W pewnym sensie uzupełnieniem są dwie również niedawno wydane książki. Za pierwszą wzięło się młode pokolenie. W tej roli badacz radykalnej prawicy Przemysław Witkowski i filozof, badacz najnowszej historii politycznej Marcin Siermiński. Wykonali przy tym świetną robotę heurystyczną. To wywiad-rzeka i szeroki wybór tekstów, ale mniej znanych.

Natomiast Jarosław Kurski, wieloletni wicenaczelny „Wyborczej", odsłonił Michnika osobistego. „Adama, syna Ozjasza" nie tyle zdjął z pomnika, co uzupełnił o kontekst rodzinny. Książka ze wszystkich najmniej spodziewana.

Hasłowo omawiam je wszystkie, bo interesują mnie jako całość. Wszystkie są tak różne, ale żadna nie kończy sprawy. Najbardziej kompletna Nasalska zastrzega we wstępie: „Wykluczyłam pokusy odkrywania tajemnic", choć przypomniała wiele historii prawie nieznanych, chyba nawet przez głównego bohatera zapomnianych.

Pod tym względem porównać ten zestaw można jedynie z biografiami młodego polihistora, „polskiego Dreyfusa" Stanisława Brzozowskiego, który miał zdecydowanie więcej szczęścia do biografii niż w samym życiu. Zgodnie z polskim prawem moralnym: równie wybitny, co znienawidzony. Biografie mu poświęcili Andrzej Stawar, Marta Wyka, Czesław Miłosz, Andrzej Walicki, Mieczysław Sroka, Andrzej Mencwel, Maciej Urbanowski – prawie same asy. Chyba wszystkie pośmiertne. Wszystkie dotychczasowe Adama – za życia.

●

W tej matematyce, geografii i historii uznania dla Adama nie może więc być pomyłki, ale jest luka. W środku tej galaktyki jest czarna dziura. Zmieniają się autorzy, jedni go nienawidzą, drudzy kochają, żaden nie jest obojętny, nawet gdy próbuje tak się pokazać. Krążą wokół oczywistej wyjątkowości bohatera, ale przez to jej nie odsłaniają.

Co tylu różnych ludzi, z kilku pokoleń, z różnych narodów, a nawet kontynentów, Wschodu i Zachodu, chciało od Michnika? Nie musieli ratować go przed zapomnieniem, jak Miłosz Wata. Nie musieli grzać się w jego wielkości.

Kto pojawił się w budynku Agory w latach 90. wie, o co chodzi: przychodziło się tam w jednym celu. Wcale nie oklaskiwać „Człowieka Roku", albo „Zwycięzcę Nike". To też, ale nie przede wszystkim. Wchodził Michnik i z miejsca wszystko zaczynało się kręcić wokół niego.

Ale nie tak, jak na prestiżowej kolacji, gdy wchodzi przywódca ważnego kraju albo ma wystąpić ulubiony pisarz. Gdy pojawiał się na sali, działo się coś innego. Ktokolwiek miał trochę opanowania i szacunku do rozmówcy, z którym akurat stał, nie gnał tam jeszcze, ale w duszy przebierał nogami, słysząc pomruk sali.

A Adam wchodził i przynosił jakąś wieść. Coś typu: Zagajewski dostał Neustadt! Wajda ma Oskara! Kołakowski przysłał świetny esej do gazety!

Ci kompletnie niezainteresowani poezją na chwile zostawali jej znawcami i podawali dalej. Sami nie wiedzieli po co, nawet się trochę przed sobą wstydzili, ale podawali i postanawiali wtedy przeczytać w końcu coś tego Zagajewskiego. Miłość do Michnika rosła, ale i nienawiść. Gdzieś po kątach albo po drugiej stronie ekranu.

Do Michnika zawsze się lgnęło w sposób niemal zawstydzający dla lgnącego. Michnikologia obejmuje bowiem także chemię i fizykę. W specyficzny sposób lgnęli też ci, którzy go atakowali, czekając na zauważenie. Nawet ci, którzy mieli wszystko i też byli idolami.

Jacek Kuroń przyznaje w „Wierze i winie", że zazdrościł mu „komandosów" i przeżywał to jako utratę „rządu dusz". Student pierwszego roku, a już umiał zdobywać przyjaźń „uznanych wielkości".

Albo Adam Zagajewski. Na początku lat 70. w kawiarni, gdy wszyscy przy trefnych tematach odruchowo ściszali głos, Michnik nie ściszał — i Zagajewski od razu postanowił, że zrobi, o co go Michnik poprosi.

To samo powtarzają głosy w zamiarze złośliwe: Krasowski nazywa Michnika „lizusem" totalnym i metodycznym, Zofia Romaszewska — urodzonym uwodzicielem tych, którzy byli mu potrzebni. Antoni Libera opisuje pochlebstwo jako metodę zjednywania ludzi.

To „skrzywdzeni i poniżeni", albo co gorsza - niezauważeni. Wystarczyło, że kiedyś nie starczyło dla nich czasu ani miejsca. Mniej zorientowany czytelnik niech szuka na samych szczytach polityki. Przedwczorajszej, wczorajszej, a nawet dzisiejszej.

Sporo spraw w Polsce poszłoby inaczej, gdyby tych odrzuconych miłości było mniej. Takiego biografa, który by i tę warstwę – jedną z najciekawszych i najbardziej znaczących – potrafił wziąć na warsztat, jeszcze brakuje. Tym bardziej że obok Michnika zaczęli pojawiać się ci, których przecież należało nienawidzić, którym nie należało ufać, a jednak zostali docenieni, uznani. Wbrew wszystkiemu i wszystkim. I wcale nie z przekory. Urban, Jaruzelski, Kiszczak, Miller, Kwaśniewski...

Wtedy znowu zrealizowała się kolejna przepowiednia. Tym razem z 1983 roku, z listu więziennego do Kiszczaka, szefa komunistycznej bezpieki, który Michnik zakończył: „Niech Pan się zastanowi nad sobą. Niech Pan przy wigilijnym stole pomyśli przez chwilę o tym, że będzie Pan rozliczony ze swych uczynków. Będzie Pan musiał odpowiedzieć za łamanie prawa. Skrzywdzeni i poniżeni wystawią Panu rachunek. To będzie groźna chwila. Sobie zaś życzę, abym - tak jak zdołałem w Otwocku dopomóc w uratowaniu życia kilku Pańskim podwładnym - umiał być na miejscu w samą porę, gdy Pan będzie zagrożony i zdołał także Panu dopomóc". I tak się stało.

Oni bardziej interesowali Michnika niż większość towarzyszy lat walki. Mało tego, on im był naprawdę wdzięczny za 1989 rok. Człowiek symbolizujący wartości potrafił być boleśnie pragmatyczny wobec symbolu komunistycznej przemocy – szefa bezpieki, jeśli ten przydał się w popchnięciu kraju naprzód. Niezależnie od intencji, niezależnie od estetyki, niezależnie od rachunku krzywd.

A opinia środowiska nie mogła, choć chciała, mieć tu znaczenia, bo gdyby miała, to przecież nigdy nie powstałyby „Kościół, lewica, dialog" albo „Wasz prezydent, nasz premier". Środowisko wtedy rwało włosy z głowy. Ale tak naprawdę, regularnie to robiło. Pierwszą polemikę z tekstem „Wasz prezydent, nasz premier" napisał Tadeusz Mazowiecki, który tym premierem chwilę potem został.

●

Wciąż nieopisany pozostaje ten szósty zmysł Michnika. Co trzeba mieć, żeby w najważniejszych momentach znajdować się we właściwym miejscu we właściwym czasie, nawet wtedy, gdy było to najbardziej niewłaściwe miejsce i niewłaściwy czas? Jak to jest, że szesnastolatek potrafił sprowokować pierwszego sekretarza PZPR, zanim powstała jakakolwiek opozycja w Polsce? Przecież podmiot, orzeczenie i dopełnienie w tym zdaniu jest niemożliwe, a wszystkie naraz zaistniały.

Zapytałem kiedyś Olgę Tokarczuk, czy w Polsce obowiązuje prawo, że im ktoś wybitniejszy, tym bardziej musi być znienawidzony. Potwierdziła

Jak wpadł na pomysł, żeby założyć najpierw Klub Poszukiwaczy Sprzeczności a potem „komandosów"? Jak jako siedemnastolatek trafił do samego Giedroycia? Kto wtedy jeździł do Biblioteki Narodowej czytać „Kulturę" paryską?

I ten esej „Cienie zapomnianych przodków", o Piłsudskim, który powstał pod pseudonimem, musiał dostać pierwszą nagrodę w emigracyjnym konkursie i zostać wydrukowany w „Kulturze Paryskiej". Nie mógł dostać drugiej?!

Przy lekturze maszynopisu „Głównych nurtów marksizmu" Leszka Kołakowskiego, słynnych do dziś na cały świat, wytknął mistrzowi, że rewizjoniści w 1956 roku nie bronili Kościoła. I usłyszał: „Wiesz, rzeczywiście przeredaguję". I tak się stało.

To student Michnik zaprosił Kołakowskiego w 1966 roku na debatę o Październiku, kończącą epokę rewizjonistów w PZPR, po czym Kołakowskiego wyrzucono z partii. Nie mogli Kołakowskiego wtedy zawiesić, a wyrzucić rok później?

I Marzec '68 roku. Cały uniwersytet, a potem wszystkie szkoły wyższe upomniały się o niego. Znowu Michnik, znowu go niszczą, znowu budują mu pomnik. A gdy wyszedł z więzienia, dlaczego to właśnie on postanowił nie wyjeżdżać, choć tylu wybitnych jego kolegów wyjechało? A skoro już został, to akurat sam Słonimski musiał go zrobić sekretarzem. Nie mógł innego znaleźć, albo już kogoś mieć?! A prośbę o zaproszenie w latach 70., gdy postanowił pojechać za granicę musiał mu Sartre napisać, nie mógł ktoś mniej znany?!

I czemu do głowy mu przyszło, żeby napisać o Kościele, gdy nikogo innego to nie obchodziło, tyle ciekawych rzeczy było. O Sartrze mógł napisać. Albo o Słonimskim. A na sekretarza mógł iść do jakiegoś sensownego biskupa. Też by było dobrze. Też byłby najlepszy. A jeśli już musiał, to dlaczego na autora wstępu do „Kościoła, Lewicy, dialogu" nie poprosił Kołakowskiego, tylko konserwatystę Stanisława Kisielewskiego.

I jeszcze potem w więzieniu nie dał się nigdy złamać. W porządku, nie on jeden, ale tamci nie napisali w więzieniu czterech książek i żadna nie wpadła! Tego żadna z tych wszystkich biografii nie powie.

Jak Michnik wpadł na to, żeby w podziemnym wydawnictwie Nowa uprzeć się, by wydać „całego Miłosza", choć szef Mirosław Chojecki był przeciw: „Przecież nie będziemy wydawać jakichś wierszyków, kiedy mamy tyle ważnych rzeczy do zrobienia"? Miłosz wtedy znany był przede wszystkim jako tłumacz Herberta i wykładowca literatury rosyjskiej. Do Nobla wydali niemal wszystko. Chojecki powie później: „Oczywiście Adam miał rację".

A gdy książki Michnika przekładano (na 25 języków), wstęp pisał kto? Tenże Czesław Miłosz. Gdy Michnik pisał tekst, to gdzie to publikowano? W głównym miejscu „Spiegla" albo „New York Timesa". I dlaczego to znowu Michnik musiał bronić milicjantów przed linczem, nie mógł jakiś inny opozycjonista?

Ale nawet gdyby coś podobnego się wydarzyło innym, to na pewno nie mieliby rozbrajającego poczucia humoru, perfekcyjnej pamięci i nie jąkaliby się ani nie mieli powodzenia niczym Marek Hłasko.

●

W 1977 roku wywiad PRL wysłał za nim do Hamburga braci Janoszów. I stało się co? „W Hamburgu był największy dom publiczny w Europie. I jak tam przyjechali, to zamiast zabić Michnika poszli do tego domu. A ja w międzyczasie wyjechałem do Monachium".

Jak powstają takie historie, jak ta? Albo ta, gdy nie chciał wyjść z celi wbrew namowom najbliższych towarzyszy i Kościoła? Kogo jeszcze w PRL trzeba było wyrzucać z więzienia?! Kto po stanie wojennym zajmowałby się czytaniem od deski radzieckiej prasy, żeby pierwszy zauważyć ducha zmian w Związku Radzieckim? Kto napisałby na kilka lat przed Okrągłym Stołem książkę „Rzecz o kompromisie"?

Owszem, Havel napisał może i bardziej znany manifest „Siła bezsilnych", ale dlaczego? Bo go zamówił Michnik.

A potem, gdy znalazł się na szczycie i miał tylu wrogów, każdy z nich, co do jednego, musiał żyć z tym, że mniej siedział, gorzej pisał, nie opowiadał tak żartów...

Dalej uważacie, że to wydarzyło się naprawdę? Że to było możliwe?

Wszystkiego najlepszego, Adam.

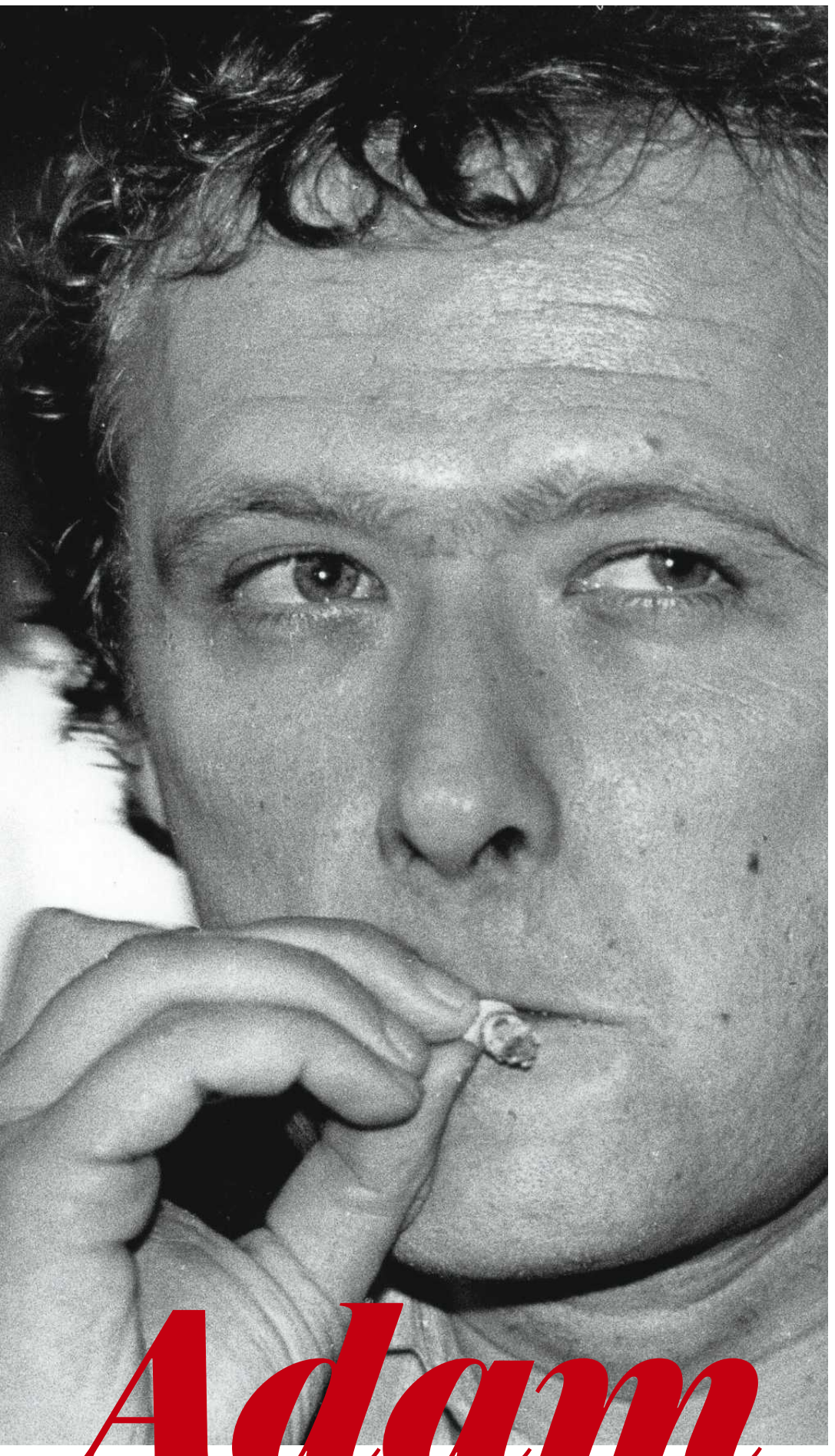
OGŁOSZENIE Kraj/34457226



1 RP

eprasa.pl a960e54702

FOT. ANNA B. BOHDZIEWICZ/REPORTER, WOJTEK LASKI/EAST NEWS, SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, WOJCIECH DRUSZCZ/REPORTER



Adam

80 lat w pierwszym szeregu



▲ 13.07. 1984. Warszawa. Proces działaczy KSS KOR oskarżonych o przygotowania do obalenia ustroju PRL. Na ławie oskarżonych Adam Michnik i Jacek Kuroń. Proces został odroczony a następnie przerwany na mocy amnestii z 21 lipca 1984 r.



▼ 29.04.1989. Brama Stoczni Gdańskiej. Michnik był jednym z kandydatów „Drużyny Wałęsy" (Komitetu Obywatelskiego „Solidarność"), którzy stanęli do czerwcowych wyborów. Zdobył mandat posła na Sejm z okręgu bytomskiego



▼ Warszawa, rok 1989, czas obrad Okrągłego Stołu. Adam Michnik i generał Czesław Kiszczak, ówczesny minister spraw wewnętrznych PRL i główny negocjator strony rządowej

▲ I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność" (wrzesień-październik 1981 roku). Michnik uczestniczył w nim jako gość i doradca. Na zjeździe burzliwie dyskutowana była uchwała wyrażająca podziękowania dla działaczy KOR, za wkład w budowę demokracji.

eprasa.pl a960e54702

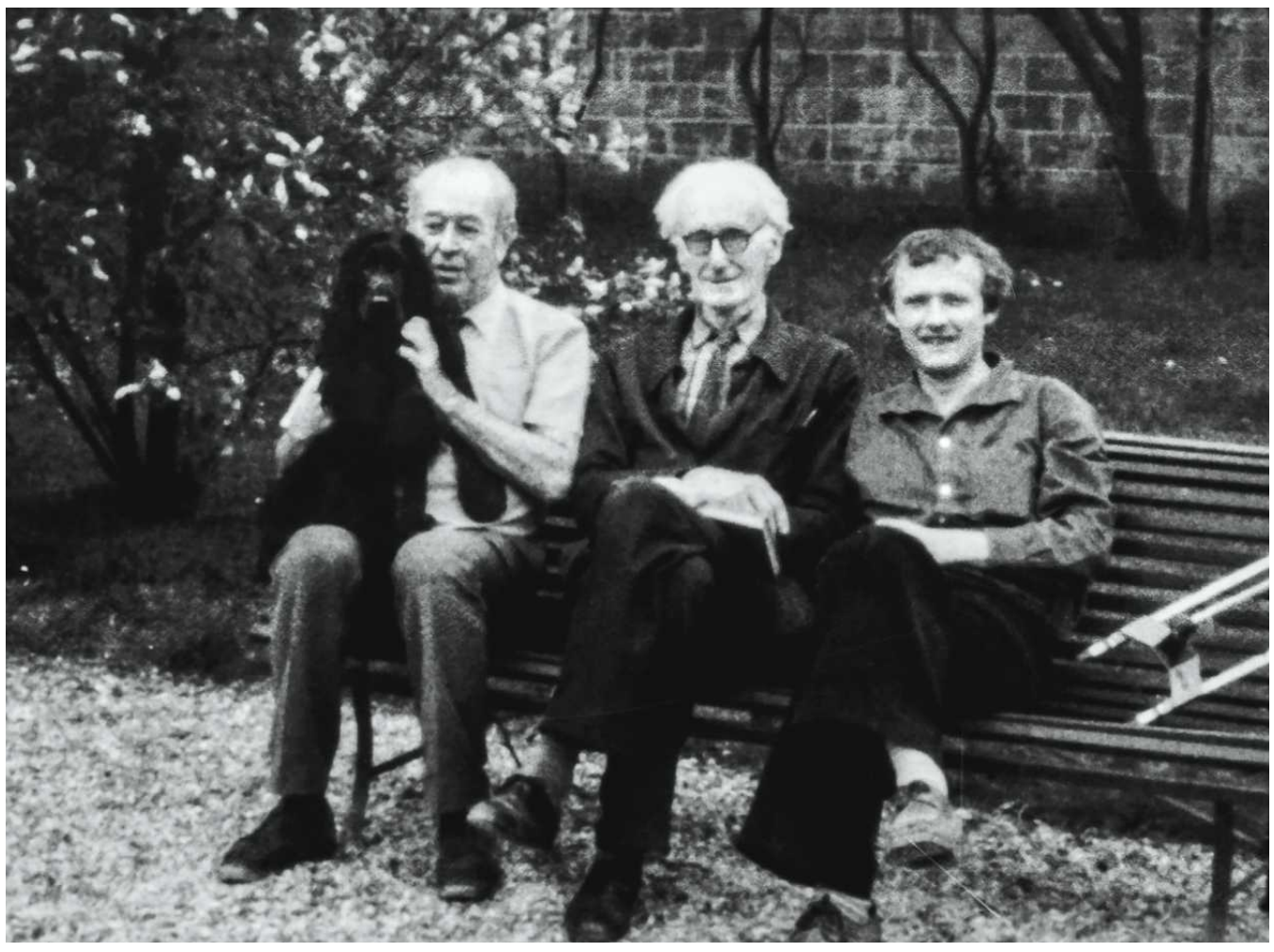


▲ **Adam z rodzicami: Heleną Michnik (1903-1969) – historyczką, nauczycielką, działaczką komunistyczną i Ozjaszem Szechterem (1901-1982) – dziennikarzem i działaczem komunistycznym**

▼ **Marzec 1993. Moskwa. Michaił Gorbaczow, jedyny prezydent ZSRR, zrezygnował z urzędu 25.12.1991 r., Związek Radziecki się rozpadł. Półtora roku później Michnik przeprowadził z nim wywiad**



• **09.03.2004. Sąd Okręgowy w Warszawie. Michnik idzie na przesłuchanie w procesie Lwa Rywina. Potwierdził, że producent filmowy złożył mu propozycję korupcyjną**



◄ **Redakcja „Kultury" paryskiej, Maisons-Laffitte, 1977 r. Od lewej: Zygmunt Hertz ze spanielem Blackiem, Józef Czapski i Adam Michnik**



► **17.03. 1990, Karkonosze. Polsko-czeskie spotkanie na szczycie: Lech Wałęsa, Adam Michnik, Zbigniew Bujak I Václav Havel. W kraciastym swetrze tłumacz Jan Stachowski**

eprasa.pl a960e54702

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE (2), SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, DARIUSZ BLOCH/POLSKA PRESS/EAST NEWS, WOJCIECH OLKUŚNIK/AGENCJA WYBORCZA.PL (2), KRZYSZTOF MILLER/AGENCJA WYBORCZA.PL, PIOTR WÓJCIK/AGENCJA WYBORCZA.PL (2), KRZYSZTOF WOJCIEWSKI/FORUM





• **16.05.1993. Spotkanie z XIV Dalajlamą w mieszkaniu Jacka Kuronia. W maju 1993 r. Dalajlama odwiedził Polskę na zaproszenie Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. (z tyłu były premier Tadeusz Mazowiecki i ksiądz Józef Tischner)**



• **25.03.2003. Angela Merkel, przyszła Kanclerz Niemiec, a wtedy przewodnicząca frakcji CDU/CSU w Bundestagu, w redakcji „Gazety Wyborczej”. Wita ją Adam Michnik**



• **Sejm, czerwiec 1989 r. Aleksander Kwaśniewski, minister, niedoszły senator i przyszły prezydent RP oraz Adam Michnik, od maja naczelny „Wyborczej”, świeżo wybrany na posła**



• **Michnik z Agnieszką Osiecką w latach 90. Kiedy Michnika skazano w 1985 r. na trzy lata więzienia, Osiecka chciała osobiście interweniować u Kiszczaka w sprawie jego uwolnienia, ponoć zaproponowała nawet, że odsiedzi za niego wyrok**





• **Rok 1989, Kraków. Michnik przez lata był komentatorem i popularyzatorem twórczości Czesława Miłosza. Wspólne zdjęcia z 1989 r. są symbolicznym obrazem powrotu wielkiej emigracyjnej kultury do wolnej Polski.**

eprasa.pl a960e54702



• **Adam Michnik w swoim mieszkaniu, Warszawa sierpień 1991**

FOT. TOMASZ WIERZEJSKI/FOTONOVA

Ty się nie sprzedasz

Adamowi Michnikowi na 80. urodziny.

ULOTKI Z HOTELU FORUM

JACEK BOCHEŃSKI
Pisarz

W drugiej połowie lat 70., już po powstaniu KOR-u, na prośbę Adama spotkaliśmy się w hotelu Forum (teraz Novotel), w modnej wtedy kawiarni na parterze. Poszliśmy na kawę.

W którymś momencie Adam wstał, przeprosił i powiedział, że zaraz wróci. W pierwszej chwili pomyślałem, że idzie po prostu do toalety. Potem zorientowałem się, że on poszedł z torbą wyżej i rozrzucił ulotki nawołujące do zwolnienia z aresztu Mirka Chojeckiego [i jego kolegi drukarza Bogdana Grzesiaka]. Sam podpisywałem listy w jego obronie, ale ulotek nie rozrzucałem. Adam wtedy mnie zaskoczył, bo wcześniej nic o tych ulotkach nie mówił.

Adamie, życzę ci na stare lata, bo już przecież nie jesteś taki młody, choć w porównaniu ze mną 100-latkiem jesteś, byś wciąż był człowiekiem tak sprawnym i pracującym jak teraz.

MŁODY CZŁOWIEKU

BOGDAN BORUSEWICZ
Członek KOR-u, parlamentarzysta

Adamie, zaskoczyło mnie to, że masz 80 lat. Byłeś zawsze dobrze zapowiadającym się młodym człowiekiem. I niech tak pozostanie.

DAJESZ POCZUCIE PEWNOŚCI

MARCI SHORE
Historyczka

W ostatnich czasach twoje słowa z [pisanego w więzieniu] listu do Kiszczaka ciągle do mnie wracają: „Są dwie rzeczy na tym świecie – niechaj usłyszy Pan tę nowinę – z których jedna nazywa się Zło, druga Dobro”.

Te słowa mnie uspokajają. Już przeżyłeś wszystko i w takich czasach, kiedy wszystko może się zdarzyć, jedna rzecz nie może się zdarzyć: Ty się nie sprzedasz. Będziesz walczył do samego końca. I na naszym strasznie okaleczonym świecie to daje mi coś więcej niż pociechę: poczucie pewności moralnej. I za ten dar pozostaję Ci zawsze niesłychanie wdzięczna.

KOCHAM CIĘ PRZYJAŹNIĄ OGROMNĄ

KRYSTYNA ZACHWATOWICZ-WAJDA
Scenografka, aktorka

Adasiu Drogi, Kochany, mam wielki kłopot gramatyczno-pojęciowy, jak wyrazić, co czuję do Ciebie. Podziw to za mało. A słowo miłość jest zużyte i dla mnie zbyt jednoznaczne. Kocham Cię bardzo, ale przecież inaczej niż Andrzeja czy moich Rodziców. Trzeba by może zaangażować wybitnych filologów, a może lepiej poetów, żeby wynaleźli albo stworzyli odpowiednie słowo.

Pamiętam dobrze chwilę naszego poznania. I rozmowę, która zdecydowała o naszej przyjaźni. Podziwiałam Cię od zawsze. Bezgranicznie. A to, że mnie akceptujesz, jest dla mnie jak najważniejsze odznaczenie. Nie umiem na to znaleźć słów – ale chcę, żebyś wiedział: kocham Cię przyjaźnią ogromną. Twoja oddana wielbicielka

POTRZEBNY MI JEST MICHNIK

JURIJ ANDRUCHOWYCZ
Pisarz ukraiński

Jesień 1980 r., mam 20 lat, jestem na czwartym roku studiów we Lwowie. Zaczyna się dziwny kurs: komunizmu naukowego. Jego wykładowca, stary profesor Silberman, jeszcze w latach 30. był obywatelem II RP, młodym komunistą. A więc nic, co polskie, nie jest mu obce. Codziennie przegląda kupioną w kiosku „Trybunę Ludu”. Wykłady prowadzi po rosyjsku, z wyraźnym polskim akcentem. Jest zaniepokojony faktem, że w sierpniu w Polsce pojawiła się „Solidarność”.

Od czasu do czasu rzuca dygresję na tematy polskie: „Samo w sobie pragnienie klasy robotniczej, by tworzyć związki zawodowe, można byłoby tylko powitać z zadowoleniem. Problem w tym, że polskim robotnikom zawrócili w głowach Kościół katolicki i kawiarniana inteligencja”.

Kawiarniana! Inteligencja! Kim są te potwory? Pewnego razu prof. Silberman zaczyna konkretyzować: „Michnik!”. Aż się dławi ze złości, wystrzeliwując to nazwisko. Jak go po tym wszystkim nie zapamiętać? Michnik!

Jakoś wtedy nieświadomie i po raz pierwszy pokochałem Polskę. Mam nadzieję, że zrozumiecie, dlaczego tak potrzebny mi jest Adam.

CZYTAJCIE GO

DOMINIKA KOZŁOWSKA
Prezeska Znaku, była naczelna miesięcznika „Znak”

Czytajcie Michnika: rewolucjonistę, który stał się państwowcem, buntownika, który potrafił zawierać kompromisy, człowieka zdolnego zmieniać zdanie, ale nie stronę.

eprasa.pl a960e54702

FILOZOF TRANSFORMACJI

ZBIGNIEW BUJAK
W PRL-u czołowy działacz „S” i opozycji

Adam Michnik i zaledwie kilku innych zrozumiało przed laty zmiany w Rosji. Dobrze pokazuje to ankieta paryskiej „Kultury”. Spośród dziesięciu wybitnych publicystów i ekspertów tylko Jan Nowak-Jeziorański jednoznacznie uznał, że mają one przełomowe znaczenie. Dlatego w 1989 r. w Magdalence, kiedy przyszło do toastów, Adam, ten filozof transformacji, wzniósł toast za zdrowie... Gorbaczowa? Nie, Andrieja Sacharowa.

PRZEKRACZANIE GRANIC

IRENA GRUDZIŃSKA-GROSS
Historyczka literatury, eseistka

O Adamie (wtedy Adasiu) słyszałam po raz pierwszy, gdy miałam (mieliśmy) ok. 13 lat. Jakiś koleżka opowiedział mi, że na ich obozie letnim był chłopak, który czytał „Trybunę Ludu”! „Trybuna” należała do z definicji nudnego świata dorosłych. Jak później zobaczyłam, Adam nie respektował granic tego świata, ciągnęło go do wszystkiego, co było na granicy zasięgu. I świat dorosłych go nie nudził.

Tam, gdzie był on, była akcja. Zawsze coś się działo, często z przekroczeniem jakiejś linii, zakazu. Nastolatkowe snobizmy i głupoty (kto więcej przeczytał, dostał się na film od lat 16) wkrótce przetworzyły się w kółka samokształceniowe, klub, seminaria.

Adam zmieniał szkołę za szkołą, ciągle coś organizował, wymyślał. Lubił mieć towarzystwo do realizacji swych pomysłów, świadków rozmów, często znajdowałam się w tej roli. Ciągle się coś rodziło i kotłowało. A potem, na uniwersytecie, było jeszcze ciekawiej.

MASZ ROZUM I JAJA

PIOTR ŁUKASIEWICZ
Współpracownik KOR-u, członek redakcji „Krytyki”

Wyborcza” obchodziła z hukiem pięciolecie swojego istnienia. Na plenerowej imprezie wystąpił Perfect. Po odegraniu jednego z utworów Grzegorz Markowski zwrócił się ze sceny z pytaniem: „Czy jest tu Adam Michnik?”. Tłum zafalował, gdzieś tam Adam został zlokalizowany. Markowski odnalazł go wzrokiem i swoim autobiografijnym głosem ryknął do niego: „Adasiu, masz rozum i jaja! A to rzadka kombinacja!”. Po czym zaczęli grać następny utwór.

NIECH OPISUJE SENSOWNE DROGI

ANDRZEJ CELIŃSKI
Członek KOR-u, polityk

Zostałem poproszony o opowiastki, historyjki o Jubilacie. Nie potrafię. To za poważna figura. Jeden z największych Polaków XX/XXI wieku. Życzę Adamowi, a właściwie nam, żeby spokojnie opisywał nam możliwe, dostępne, sensowne drogi jak najdłużej. Jego spojrzenie jest mega dla nas istotne.

FANTASTYCZNIE Z NIM SIĘ GADA

ANDRZEJ FRISZKE
Historyk

Adam poznany osobiście okazał się fantastycznym rozmówcą. Miał ogromną wiedzę, pokazywał uporządkowany obraz minionych dziesięcioleci, łączył optymizm w szkicowaniu tego, co być może, z respektowaniem twardych realiów pojałtańskiego podziału świata. A swoje opowieści o przeszłości umiał ozdobić smaczną anegdotą.

NIC Z CIERPIĘTNIKA

SEWERYN BLUMSZTAJN
Członek KOR-u

Nigdy nie był ascetą. No może nie był zbyt starannie ubrany – co mu zresztą zostało do dzisiaj – ale korzystał jak mógł z uroków życia. Nie było w nim nic z cierpiętnika, więc musiały mu więzienne dechy doskwierać. Nie potrafił chyba spokojnie czekać na proces – robił co mógł. Podtrzymywał przyjaciół na duchu przez okno.

A SZYBOWNICTWO?

ANDRZEJ OLEJNICZAK
Szef działu sportowego „Wyborczej” w latach 1993-2011

Początek lat 2000. Adam prosi mnie do gabinetu, gdzie siedzi z jakimś panem w chmurze papierosowego dymu. – Przedstawiam ci kapitana... (nazwiska nie pamiętam), który uratował mi życie, gdy leciałem do Ameryki. Pan kapitan zaprosił mnie do kabiny pilotów, gdzie mogliśmy sobie popalać – opowiada Michnik i przechodzi do rzeczy: – Andrzej, a dlaczego nasz dział sportowy w ogóle nie pisze o szybownictwie?

ZAMSZOWY DOTYK (fragment wiersza)

MAŁGORZATA SZEJNERT
Reporterka

Nigdy żadnej kobiecie nie byłem
tak wierny,
Moja miłość do Ciebie jest
jak wóz pancerny.
Ukochałem zamszowy dotyk
twego ciała.
W swej elegancji jesteś doskonała

KURTKA OD BIANKI JAGGER

WALDEMAR KUMÓR
Wieloletni redaktor „Wyborczej”

Śmiechom nie było końca – Adam Michnik miał wątpliwości, czy dawać na pierwszą stronę choćby zdjęcie z koncertu Rolling Stonesów w Warszawie. Podejrzewaliśmy, że o Heideggerze wie wszystko, ale o Jaggerze i spółce...

– A wiecie, skąd mam tę kurtkę? – zapytał po kolegium planującym numer. – Kupiła mi Bianca Jagger.

Zatkało nas. To o tej słynnej zamszowej kurtce wiersz napisała Małgosia Szejnert (nie wiedziała, że on ma ją od Bianki).



• **Warszawa 08.05.1989. Właśnie wydrukowano pierwszy numer Gazety Wyborczej. Na pierwszym planie stoją: redaktor naczelny Adam Michnik i jego zastępcy – Helena Łuczywo i Ernest Skalski**
FOT. LESZEK WDOWIŃSKI /PAP

wyborcza.pl

• **Dłuższe wersje życzeń i wspomnień o Adamie Michniku oraz jeszcze więcej życzących i wspominających: Wyborcza.pl**

ADAM SKACZE W DAL

RAFAŁ ZAKRZEWSKI
Współpracownik KOR-u, członek „Krytyki”

Rok 1976, sierpień. Jesteśmy w kilkanaście osób na dzikiej polanie w Beskidzie Niskim. To czas po czerwcowych protestach w Radomiu i Ursusie. KOR powstanie we wrześniu. Nocami rozmawiamy. W dzień zajęcia obozowe.

Na kilka dni przyjeżdża Adam, tuż przed wyjazdem do Francji. Choć warunki są turystyczne, Adam jest – delikatnie mówiąc – słabo do nich przygotowany. Ma półbuty. Między rozmowami: „Co z tą Polską” robimy konkurs rozpalania ogniska czy też zawody sportowe. Został mi z tych zmagań obraz Adama, jak bierze rozbieg w tych półbutach i skacze w dal. Tym razem nie wygrał.

ADAM CZYTA WSZYSTKO

EWA MILEWICZ
Publicystka „Wyborczej”

Od Hegla po polskie powieści z kluczem. Adam cytuje z głowy poetów rosyjskich, polskich, palestyńskich, później często ukraińskich. Dawniej w książkach pisanych z więzienia, dziś także w „Wyborczej”.

DLA ADAMA

JOANNA SZCZEPKOWSKA
Aktorka

Nie zmarnowałeś 80 lat życia. Teraz nie zmarnuj kolejnych 80.

DZIĘKUJĘ ZA TWÓJ OPTYMIZM

BASIL KERSKI
Były dyrektor Europejskiego Centrum Solidarności

Pielęgnowałeś optymizm w czasach dyktatury i kłamstw. On dawał walce o prawa człowieka i niepodległość Polski siłę, dał zwycięstwo w wielkim powstaniu „Solidarności”. A w ostatnich latach Twoja optymistyczna postawa pomaga nam bronić demokracji.

POLSKI PATRIOTA

MARTIN M. ŠIMEČKA
Słowacki pisarz i publicysta

Adam jest tak gorącym patriotą polskim, że traktuje osobiście każdą krzywdę, jaką Polacy w imieniu narodu komuś wyrządzili. Potrafi być dumny z Polski równie gorąco, jak bardzo potrafi się za nią wstydzić. *przeł. ASJ*

KUMPEL I BOHATER

DANIEL OLBRYCHSKI
Aktor

Grałem w filmach i spektaklach teatralnych, a Adam bardzo wcześnie stał się najważniejszą postacią opozycji. Potem pamiętam nasze spotkanie na Festiwalu Piosenki Zakazanej w Gdańsku w 1981 r. Prowadziłem finał tego festiwalu, a Adam był gościem honorowym. Nasze spotkania były rzadkie, bo jak wiadomo władze PRL-u sadzały go regularnie do więzienia.

Zapłacił za swoją działalność latami więzienia. Kościół takich ludzi błogosławi i nazywa męczennikami, a Adam jest poza tym czarującym, dowcipnym i piekielnie inteligentnym kumplem.

PAMIĘĆ ADAMA

PIOTR STASIŃSKI
„Wyborcza”

Kto Go nie zna osobiście, często widzi Go na cokole. Wielu jednak posyła Go do piekła. Adam się z tego otrząsa, na cokole Mu niewygodnie, choć hołdy lubi – i dostaje. A do piekła Mu niespiesznо, woli z nienawistników szydzić, acz bywa wspaniałomyślny, wybacza – i ponuro się dziwi, kiedy obiekt Jego pobłażliwości okazuje się, niestety, fałszywy i wredny.

Bywa choleryczny, objedzie cię jak burą sukę... ale szybko mu przechodzi i potem się trochę wstydzi. Choć bywa pamiętliwy. Właśnie – pamięć. Adam z głowy setkami recytuje wiersze, powtarza anegdoty, dowcipy. Nie znam nikogo bardziej zasługującego na miano „duszy towarzystwa”.

Czci ludzi wielkich, lubi ważnych i znanych. Bywa w stosunku do nich bezkrytyczny. Niektórzy, jak pamiętam, to wykorzystują, obłudnie wkupując się w Jego łaski.

Pewnie Mu się nie spodoba, co tu napisałem, ale niech tam... Niech będzie powiedziane: Adamie, nikogo bardziej nie szanuję (nie licząc rodziny i wielkich zmarłych). Jestem wdzięczny Tobie i losowi, że jesteś i że Cię znam.

ADAM WALECZNY

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
Były prezydent

Połowa życia Adama (liczę od przedszkola, bo zapewne wtedy zaczął polityczną aktywność) to była walka, żeby demokracja była. Druga połowa to walka, żeby ta zdobyta demokracja ukorzeniała się. W głowach ludzi, instytucjach i procedurach. Dziś trzeba walczyć, żeby demokracja nie poddała się agresji populizmu i nacjonalizmu, żeby nie opatrzyła się, nie znudziła. I znowu waleczny Adam Michnik jest nam tak bardzo potrzebny.

eprasa.pl a960e54702

ODWAŻNY, GDY ROZUM ZAWODZI

TIMOTHY GARTON ASH
Historyk, publicysta

Adama wyróżniają trzy cechy: elektryzująca energia, błyskotliwość słowa i odwaga. Najważniejsza jest odwaga. XVIII-wieczny angielski intelektualista Samuel Johnson – znakomity mówca, tak jak Adam – powiedział: „Odwagę uważa się za największą ze wszystkich cnót, bo jeśli człowiek nie ma tej cnoty, nie ma żadnej gwarancji, że zachowa pozostałe". A Zbigniew Herbert napisał: „bądź odważny gdy rozum zawodzi".

REKIN ŻARŁOCZNY NA TEKSTY

KRZYSZTOF VARGA
Pisarz

W heroicznych czasach „Wyborczej", gdy nieznana była nazwa „praca zdalna", budynek przy Czerskiej tętnił życiem aż do przesady. Siedziało się tam całymi dniami. Po korytarzu galopowały kawalkady dziennikarzy i redaktorów: do łamaczy, korektorek, działu foto, skanerzystów, nie zapominając oczywiście o stołówce: jądrze życia duchowego redakcji.

I wówczas znienacka pojawiał się Adam... Adam oczywiście był nieustająco, nawet jeśli akurat nie było go w redakcji. Ciałem jeśli był nieobecny, to jasne było, że jest wśród nas duchem. Ale kiedy z podejrzanym uśmiechem na ustach pojawiał się na korytarzu, ludzie wpadali w popłoch. Można powiedzieć, że Adam swoim pojawieniem się siał panikę wśród wszystkich zajmujących się pisaniem, a nawet tych, którzy pisaniem się nie zajmowali, a wyłącznie edycją tekstów.

Adam posiadał bowiem instynkt redaktora w wersji „żarłacz ludojad". Był w stanie u każdego zamówić tekst, jeśli tylko ten nieostrożnie wysypał się z ciekawym poglądem, zdemaskował się, że jest posiadaczem specjalistycznej wiedzy w dziwnej dziedzinie, ma wyrobione zdanie na dowolny temat – polityczny, literacki, historyczny. Gdy tylko ktoś nieopatrznie się ujawnił, Adam natychmiast zamawiał tekst. I swoje zamówienie egzekwował.

Wydawało się tym mniej otrzaskanym w ogniu pracy redakcyjnej, że skoro Adam zamawia setki tekstów, to znaczy że musi o połowie zamówień zapomnieć. Daremne żale, bezsilne złorzeczenia – jego mordercza pamięć wyświetlała mu przed oczami, kto zadeklarował się, pokonany jego przebiegłą strategią mieszanki komplementów i stanowczości, że napisze tekst na temat, który Adama zafascynował. Nawet jeśli to był materiał o kibolach piłkarskich czy kulturze hip-hopu, tematach zdawałoby się najodleglejszych od zainteresowań polskiego inteligenta.

I na tym właśnie polega geniusz Adama – na nieznającej granic ciekawości, co kto ma do powiedzenia i napisania. Na tym właśnie zbudował wielkość „Wyborczej".

MICHNIK 15-LATEK?

JANUSZ RUDNICKI
Pisarz

W zmianka o Nim gdzieś tam: ma lat 15 i pałęta się wśród uczestników pogrzebu ojca Agnieszki Holland, na Powązkach. Następna: stoi przed oknem kawiarni PIW-u na Foksal, ma lat chyba z 18, jeszcze trochę nieśmiały, w środku literacka elita opozycji, Słonimski, wiadomo, Dygat, Konwicki, Lipski. Dalej, wiadomo, zostanie „Pierwszym Sekretarzem" tego pierwszego.

Dalej też wiadomo, ale mi w głowie tkwi, zaparł się ten 15-latek. On mający lat 15? Nie wyobrażam go sobie jako chłopca. On urodził się dla mnie, dla nas w celi, na pryczy. Jego akuszerką była opozycja. Klawisze kumplami z ławki szkolnej, spacernik miejscem kolonii letnich. Lizakami papierosy, oranżadą szklaneczka whisky. Pomnik ze słów odsłonięty.

PLANETA MICHNIK

AGNIESZKA HOLLAND
Reżyserka

W trakcie jego (i mojego), jak się nagle okazuje, długiego życia znałam wielu Adamów Michników.

Znałam bezczelnego, odważnego, wybitnie inteligentnego prowokatora, charyzmatycznego nastolatka, który budził podziw u ludzi o wiele starszych. Znałam jednego z przywódców studenckich protestów, relegowanego z uczelni, później robotnika. I niestrudzonego łamacza serc kobiet w każdym wieku. Wszystkim dawał (wielkodusznie?) swój podziw i uwagę.

Znałam uczestnika całonocnych zabaw i pijaństw, i niekończących się dyskusji. Znałam autora nowatorskiej publicystyki historycznej i politycznej. I obrońcę zabarykadowanych w komisariacie w Otwocku peerelowskich milicjantów, na których napierał rozgniewany tłum. Znałam więźnia politycznego, który nigdy się nie ugiął.

Znałam Adama, który widzi, jak jego najgorsze obawy o sukces skrajnej prawicy spełniają się, ale który – również dziś, właśnie dziś! – jest w stanie obudzić w tłumie, do którego mówi, energię nadziei i wiarę w możliwość obrony najważniejszych wartości.

Wiernego przyjaciela ludzi z różnych bajek: Jacka Kuronia, bp. Pieronka, Kazimierza Kutza, Andrzeja Wajdy... Kogoś o niezwykłej pamięci – do tekstów, zdarzeń i ludzi. I najwrażliwszego odbiorcę sztuki, wielu, wielu książek, poezji Miłosza, Herberta, ale i różnych, w tym i niektórych moich filmów. Za to ostatnie kocham go, rzecz jasna, jeszcze bardziej.

Znam tylu, bo Adam Michnik to planeta. Ta planeta wciąż bardzo jasno świeci. I nie jest to światło odbite.

NAUCZYCIEL DZIAŁANIA

KONSTANTY GEBERT
Publicysta

Pierwsza połowa życia zeszła mu na wtrącaniu się, spowodowanym tym, że PZPR dość radykalnie i katastrofalnie wtrącało się w życie każdego Polaka. Adam, jak ja, wychował się w żydowskiej rodzinie komunistycznej, i od rodziców, jak ja, przejął wartości, które kazały mu się buntować przeciwko ustrojowi, który rodzice pomogli zbudować. Ta zdrada budziła furię władzy: niewielu było takich licealistów, jak Adam, których krytykowałby I sekretarz na posiedzeniu Biura.

Spierałem się z Adamem wielokrotnie: o to, jak to jest, że – jak to ujął – to ja chodzę w jarmułce, a to on dostaje antysemickie listy. Albo o to, czy może suwerennie dysponować swoją legendą, mianując np. Kiszczaka „człowiekiem honoru", skoro na tę legendę złożyła się też działalność tysięcy innych ludzi, niekoniecznie podzielających tę opinię.

Zostawaliśmy każdy przy swoim, ale samą możliwość toczenia takich sporów, jak i wartości, którymi się kierowałem, w znacznym stopniu zawdzięczam jemu właśnie.

Jest taki francuski zwrot: maître à penser. Adam jest dla naszego pokolenia jednym z takich właśnie nauczycieli myślenia, ale jest też kimś więcej: nauczycielem działania. Nauczyciel nie odpowiada za uczniów, a uczniom nauczyciel też czasem nie odpowiada. Ale można go nam jedynie pozazdrościć. ●

Zebrał i opracował Waldemar Kumór

Typowy problem osoby z pogranicza

Wszystko jedno, czy mówi o Balcerowiczu, o Janie Pawle II czy o podatkach – **Adam Michnik zawsze kogoś rozdrażni.**

Z **PRZEMYSŁAWEM WITKOWSKIM** ROZMAWIA **SEBASTIAN SŁOWIŃSKI**

Niedawno przeprowadziłeś – wspólnie z filozofem i badaczem najnowszej historii politycznej Michałem Siermińskim – wywiad-rzekę z Adamem Michnikiem. Który nabrał charakteru konfrontacji pokoleniowej. Siermiński ma 36 lat, ty 44, Adam – o ile mogę tak poufale mówić o moim szefie i idolu – właśnie kończy 80.

– Na pewno nie zamierzam mówić za żadne pokolenie. Mogę za siebie. A pomysł, aby z Adamem Michnikiem porozmawiać, wydawał mi się interesujący z kilku powodów.

Przede wszystkim to postać niezwykle znacząca dla polskiej polityki. Ogniskująca w sobie różne chęci, niechęci, fantazje, lęki różnych osób. Dla jednych absolutny wzór i bohater, dla drugich potwór, który swoją wizją niszczy jedyną słuszną Polskę. Możliwość spotkania z człowiekiem, który jest tak polaryzujący, jest interesująca, bo można wyrobić sobie własne zdanie.

Przy czym dla mnie Michnik nie był wzorem, ale też nie, broń Boże, wrogiem. Postrzegam go natomiast – i to była druga motywacja – jako osobę niezwykle niezależną w swoich sądach. W Polsce – nie wiem, czy to kwestia peryferyjności – lubi się sądy sprawdzone i bezpieczne. Nie przepada się za odwagą myśli. A Adam to człowiek, który całe życie bardzo dużo ryzykował w imię tego, co uważał za intelektualnie prawdziwe, niezależnie od tego, co uważali inni. Aby dojść do celu, potrafił wystąpić z własnym zdaniem, często wykraczającym poza proste, schematyczne myślenie.

To pierwsza i najważniejsza nauka, jaką każdy może wyciągnąć z kontaktu z Michnikiem. Istnieją sytuacje historyczne i polityczne, które wymagają niekonwencjonalnego myślenia, a my boimy się oryginalności, żeby nikt ze znajomych nas nie odrzucił. Wolimy być bardziej sformatowani, niż samodzielni i rezygnujemy ze wolności sądu. Michnik zaś w swoim myśleniu był zawsze niezależny.

Jakiś przykład?

– Weźmy Kościół katolicki. Wywodząc się z lewicowej inteligencji, Michnik mógłby uważać Kościół za coś obcego, okropnego, endeckiego. A on uznał, że Kościół to realna struktura, która ma duże poparcie społeczne i jest zakorzeniona kulturowo. W związku z tym, że Kościół też żywił niechęć do systemu PRL-u, który i on uznawał za skorumpowany i szkodliwy dla Polski, wyciągnął rękę do kleru, mówiąc, że są sobie nawzajem potrzebni.

Zadziałał na przekór temu, co uważali intelektualnie bliscy mu ludzie, co przyniosło pozytywny, antyreżimowy efekt.

Na przekór wygodzie intelektualnej dokonał też kilka razy w życiu wolty, na przykład od lewicowości w stronę liberalizmu. Więc ta podstawowa nauka z działalności politycznej i dziennikarskiej Michnika, to nie bać się myśleć na przekór. On jest trochę jak skoczek na szachownicy – porusza się w nieoczywisty sposób, który jednak może okazać się gamechangerem.

W swojej nowej książce „Adam. Syn Ozjasza" Jarosław Kurski „stwierdza, że „nie można zrozumieć Adama Michnika bez jego stosunku do Kościoła katolickiego". Dziś możemy patrzeć na jego postawę, wyrażoną w książce „Kościół, lewica, dialog", jako na rodzaj „gamechangera" i dowód odwagi myślenia. Ale czy to nie Michnik zakorzenił pokutujące w Polsce do dziś myślenie o Kościele jako koniecznym sojuszniku i fundamentalnym elemencie polskiej demokracji?

– Adam jest wielkim romantykiem i człowiekiem oddanym idei miłości. Na pewno nie jest – jak niektórzy uważają – oportunistą. Ja nie widzę w nim odrobiny cynizmu. Intelektualna odwaga, o której mówiłem przed chwilą, w połączeniu z tym romantyzmem, nie pozwoliła mu po prostu cynicznie wykorzystać Kościoła do promocji idei antyreżimowych. Jak już Adam w to wszedł, to wszedł naprawdę, uznając, że istnieje w tym pewne piękno i wartość. Adam, w przeciwieństwie do tego, co może zrobiliby inni, nie stwierdził: najpierw was wykorzystam, a potem zostawię. Pozostał wobec Kościoła lojalny. Na pewno trochę go uwiódł też Karol Wojtyła, lubili się i szanowali.

To może utrudniać porozumienie z osobami urodzonymi po 1989 roku, dla których papież to w dużej mierze postać z memów, podczas gdy Michnik mówi o Janie Pawle II z uznaniem i pewną miłością.

– Nie chcę przedstawiać Michnika w jego relacjach z Kościołem jako po prostu uwiedzionego przez Wojtyłę. Każdy zakochany lubi mieć dla swej miłości uzasadnienie. Naj-

eprasa.pl a960e54702



• **Wspólne malowanie ukraińskiej flagi przed ambasadą Rosji w Warszawie w Dniu Flagi Ukrainy, 23 sierpnia 2026 r. (Adam Michnik w środku)** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

pierw się wchodzi w jakiś sojusz z powodów intelektualnych, a potem się trwa w tym, tłumacząc sobie to na różne sposoby.

W kwestii Kościoła Adam zdaje się mieć też pewien rodzaj lęku, który zresztą częściowo podzielam. Wydaje mi się, że chodzi o to, że przy braku instytucji Kościoła wystąpi wielonurtowa sektoizacja religijności. Nie będzie to wolność racjonalnych humanistycznych wolnomyślicieli, ale mistyczne mambo jambo w duchu okultyzmu, new age'u, ewangelikalnego protestantyzmu czy innych tego typu prądów duchowości, które w konsekwencji bywają bardzo groźne. Kościół instytucjonalny, który jest kostyczny, konserwatywny i przewidywalny, daje jednak pewne poczucie trwałości i bezpieczeństwa.

Michnik – poza tym, że, moim zdaniem, w Kościele zakochał się jako romantyk – uznaje Kościół za potrzebną społecznie strukturę, która broni przed groźbą eksterminacyjnego nacjonalizmu. Paradoksalnie, Kościół może być uznawany za tamę dla tego typu postaw. Zwróć uwagę na wyniki NSDAP w Niemczech w różnych regionach: w regionach katolickich poparcie dla nazistów było najniższe.

Wiem, wiem, Kościół był przez wieki antyjudaistyczny, różni kościelni oficjele i niektórzy księża popełniali mało szlachetne czyny. Ale inni – dużo bardziej szlachetne.

Dla Adama, moim zdaniem, Kościół instytucjonalny pełni funkcję pewnej osłony przed ekstremizmem i plemiennością.

Dla Adama kluczowy był kompromis, z którego uczynił swój znak rozpoznawczy.
– Przy czym ten kompromis nigdy nie miał dla niego takiego cynicznego i pragmatycznego wymiaru, jak dzisiaj się myśli o tym pojęciu. Michnik nie pójdzie i nie poszedł też na kompromis z każdym. On raczej mówi, że jeśli jesteśmy w stanie porozumieć się w zakresie pewnego minimum aksjologicznego, to możemy rozmawiać. Ale to nie znaczy, że będzie chciał każdą napotkaną tezę włączyć w swój świat.

Kompromis Michnika ma granice i z całkiem oczywistych poglądów duża część polskiej prawicy w tych granicach się nie mieściła, bo nie chciała przyjąć pewnego systemu wartości, łączącego idee liberalne i lewicowe w duchu oświeceniowym z elementami chrześcijańskiej demokracji. To dość szerokie spektrum, ale ograniczone.

Wraz z wypalaniem się mocy sprawczej ideologii liberalnej i jednoczesnym kryzysem ideologii lewicowej wypłynęły prądy alt-rightowe, które ani nie chcą wejść w dialog z Adamem, ani, jak sądzę, Michnika nie interesuje dialog z nimi. Także ten kompromis ma pewne granice, ale warto zauważyć, jak zmieniła się sytuacja polityczna: teraz główne role na politycznej scenie odgrywają nurty, które brutalnie i agresywnie odrzuciły zarówno Adama Michnika, jak i politykę kompromisu.

Adam i środowisko polityczno-ideowe, któremu patronuje, jest krytykowane przez lewicę. A to właśnie on rozpowszechnił pojęcie „lewicy laickiej", odnosząc je do środowiska, z którego wyrastał.
– Problem z lewicowością Adama jest taki, że wielu dawnych lewicowych liderów ruchów kontestacyjnych, w tym Michnik, ale też na przykład Daniel Cohn-Bendit czy Joschka Fischer**, przeszło z wiekiem na pozycje liberalne, czy liberalno-lewicowe. Ale czy to zostało jakoś społecznie szerzej zauważone? Nie sądzę.

Dla prawicy Michnik ciągle jest przedstawicielem bolszewizmu, marksizmu czy komunizmu, co rzecz jasna, nie ma nic wspólnego z jego poglądami. Dla lewicy natomiast jest zdrajcą, który porzucił ideały na rzecz kapitalizmu i promocji takich osób, jak choćby Leszek Balcerowicz.

To typowy problem osoby z pogranicza, która nie pasuje do żadnej prostej opowieści. Dla jednych skrajna lewica, dla drugich członek oportunistycznego mainstreamu. Myślę, że to chodzenie na przekór i niestandardowe myślenie prowadzi do tego, że nikt cię nie uważa za „swojego".

Katolicy nie uważają go za takiego, chociaż okazał wiele sympatii i szacunku temu wyznaniu. Lewica odrzuca go jako promotora liberalizmu. Prawica z kolei ogłasza, że to żydowski komunista, który należy do ultralewicowej jaczejki, która chce zniszczyć Polskę i polskość.

Samodzielność myślowa to zawsze samotność. A mimo tego całego odrzucenia, Adam nigdy nie miał ideologicznie sekciarskich tendencji.

Wygląda na to, że nie ma już miejsca na jakiekolwiek dogadanie się w związku ze „wspólną sprawą". Każdy atakuje każdego i szlus.
– To nieprawda. Istnieje taka sprawa, której nikt nie chce – to wojna.

Polacy są świetni w jednoczeniu się wobec zagrożenia. Politycznie, mimo wzajemnych pokładów niechęci pomiędzy KO i PiS, wydaje mi się, że obie partie podzielają obawy w związku z rosyjską wojną hybrydową i możliwym atakiem ze Wschodu. Są rzecz jasna grupy Polaków, którzy tak nie myślą, ale zawsze był odsetek naszych dzielnych krajanów, którzy przy wejściu nazistów kolaborowali czy wobec dominacji ZSRR chętnie wstępowali w struktury reżimu. Wierzę jednak, że większość, wobec zagrożenia wojną, zawiesiłaby konflikty wewnętrzne na rzecz budowania wspólnego, kompromisowego frontu.

Rzecz jasna ani sobie, ani Polsce takiego scenariusza nie życzę.

Jest to jakoś dziewiętnastowieczne – powrót do tożsamości opartej na zagrożeniu z zewnątrz. Uważasz, że to jedyna możliwa płaszczyzna kompromisu politycznego?
– Patrząc na to, jak ludzie w Polsce do siebie podchodzą i jak się traktują, to niestety: tak. Może to nie musi być prawdziwa wojna z czołgami przekraczającymi granicę, może wystarczyłby fakt wysokiego prawdopodobieństwa takiej ingerencji.

Obecna polaryzacja społeczna nie sprzyja szukaniu porozumienia poza taką możliwością. Ludzie nie czytają mediów drugiej strony, nie wierzą nikomu z przeciwnego obozu, uważają, że rywal i jego zwolennicy tylko kłamią i nienawidzą Polski i Polaków. Nie dotyczy to tylko zagorzałych „pisowców". To samo można powiedzieć o ludziach z lewicowo-liberalnej bańki. Ile znasz osób, które regularnie czytają prawicową prasę?

To samo dzieje się po drugiej stronie. Prawicowcy nie czytają „Wyborczej", „Polityki" czy OKO.press, uważając, że piszą tam zdrajcy, niezasługujący na miano Polaków.

A może to normalne, że ludzie w czasie pokoju się nie lubią i kłócą? Przecież jakoś Polska istnieje i funkcjonuje...

Rozmowa Kurskiego z Michnikiem kończy się wezwaniem Adama, że musimy bronić republiki.
– W pełni się zgadzam. Kilka lat temu miałem przekonanie, że możemy budować tutaj lepszy świat. Potem zrozumiałem, jak brutalne i bezlitosne są siły, które republikę chcą zniszczyć. Mam wrażenie – może to starość, wraz z którą człowiek staję się bardziej konserwatywny – że aktualnie bronimy resztek demokracji liberalnej, która nie jest idealnie sprawiedliwa i dobra i która ma wiele problemów, ale możemy rozwiązać je wewnątrz niej.

W latach 20. zeszłego stulecia panowało przekonanie, że istnieje droga postępu. Że być może – myśleli tak na przykład komuniści – podejmujemy radykalne i okropne kroki, ale po to, aby stworzyć lepszy świat. Dla wielu to mogło być pociągające. Ta opcja jednak zawaliła się wraz z upadkiem radzieckiego systemu, który okazał się brutalnym, biurokratycznym i w wielu przypadkach po prostu zbrodniczym systemem.

I jak dziś patrzę na „lepszą przyszłość", którą proponuje skrajna prawica, to nie widzę w tym nic optymistycznego. Zupełnie nie odnajduję się w ich wizji społeczeństwa hierarchicznego, ultrakonserwatywnego, ultrapatriarchalnego i przesyconego duchowością w sensie nie uniwersalnym, ale etno-nacjonalistycznym.

Pozostaje mi zatem stanąć z Adamem Michnikiem w jednym szeregu. Bo być może indywidualnie różnimy się w zdaniach na temat Karola Wojtyły, wysokości podatków, pożądanej skali ingerencji państwa, różnych faktów historycznych – ale mimo wszystko podzielamy wizję, w której możemy się o to spierać, nie narzucając sobie niczego, szukać kompromisu.

Niezależnie zatem od różnicy naszych poglądów, musimy bronić republiki, bo inaczej czeka nas system rosyjski. Putinowski. ●



Dr Przemysław Witkowski

• urodzony w 1982 roku, adiunkt w Collegium Civitas, publicysta, badacz środowisk radykalnej prawicy, Współpracuje z think-tankami Counter Extremism Project i International Centre for Counter-Terrorism. Jest ekspertem sieci Radicalisation Awareness Network działającej przy Komisji Europejskiej. Ostatnio oprócz wywiadu-rzeki z naczelnym „Wyborczej" wydał „Faszyzm, który nadchodzi" i analizę rosyjskiej obecności na – już nie tylko – obrzeżach polskiej polityki „Partia rosyjska".

eprasa.pl a960e54702

KRAJ



W obozie rządzącym podchody liderów trwają na całego, ale prezydent i prezes przyczynią się do ponownego zwycięstwa Koalicji 15 Października

TUSKU, znowu musisz

Dominika Wielowieyska

Trzy lata temu Koalicja 15 Października odsunęła od władzy coraz bardziej nieporadną i destrukcyjną Zjednoczoną Prawicę, gdyż dostała potężny kredyt zaufania od wyborców. Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Nowa Lewica deklarowały współpracę już w czasie kampanii wyborczej, więc wynik ówczesnej opozycji demokratycznej jest wspólnym sukcesem.

Podobnie jak na wspólne konto idą i sukcesy, i porażki rządu Donalda Tuska. W 2025 roku w wyborach prezydenckich część z tych 11,5 miliona wyborców nie chciało wskazać Rafała Trzaskowskiego, dlatego przegrał niewielką liczbą głosów. Co wielu komentatorów uznało za zły prognostyk przed bitwą o parlament w 2027 roku. A prawica, od bogoojczyźniano-socjalnej, czyli PiS, przez narodowo-reakcyjno-wolnościową Konfederację i flirtujący z antysemityzmem, polexitem oraz Rosją start-up Grzegorza Brauna, poczuła wiatr w żaglach.

Ale paradoksalnie prezydent Karol Nawrocki, który prowadzi nieustającą batalię z rządem, wetując wiele istotnych ustaw, i ma ambicje objąć przywództwo po prawej stronie, może być współautorem kolejnego sukcesu K15P.

Bo obóz Donalda Tuska, Władysława Kosiniaka-Kamysza i Włodzimierza Czarzastego ma szansę utrzymać władzę po wyborach w 2027 roku dzięki temu, że Nawrocki swoim wizerunkiem i decyzjami, które drażnią lub uderzają w najróżniejsze grupy społeczne, mocno mobilizuje elektorat z 2023 roku.

Prezydent nie kryje się z tym, że chce pozbawić Tuska władzy i robi wszystko, aby zwiększyć zamieszanie, które wywoła rozgoryczenie wyborców. Jednak swoimi wetami daje rządowi usprawiedliwienie w wielu sprawach choćby w kwestii obietnic wyborczych. A otoczenie Nawrockiego bardziej jest nastawione na budowanie swoich karier – patrz kwieciste przemówienia szefa prezydenckiej kancelarii Zbigniewa Boguckiego – niż prowadzenie sprytnej polityki, która nie dawałaby alibi dla bezczynności rządu w niektórych dziedzinach. Zwłaszcza tych drażliwych, jak sprawa aborcji, uszczelnienie systemu podatkowego, związki partnerskie, ograniczenie przywilejów Kościoła.

Bliskie relacje Karola Nawrockiego z postaciami ze świata przestępczego, obrona branży kryptowalut przed kontrolą państwa, zakończona upadkiem Zondacrypto, do tego cwaniactwo w postaci próby zarobienia na wizerunku głowy państwa – to daje oręż rządowi w tym starciu. I budzi niesmak dużej części wyborców, więc nawet jeśli mają masę pretensji do Donalda Tuska i jego ekipy, to wiedzą, jaka jest alternatywa. I niezależnie od tego, co na temat Tuska sądzą, to są przekonani, że tylko ten polityk ma na tyle silną pozycję i doświadczenie, by stawić czoła Nawrockiemu.

•

Atutem prezydenta jest to, że ma wielkie powodzenie w elektoracie skrajnej prawicy, ale jego autorytet nie jest na tyle duży, by mógł zbudować koalicję wszystkich partii prawicowych w wyborach do Sejmu. Może uda mu się skonstruować prawicowy pakt senacki, ale i to stoi pod znakiem zapytania, bo dogadanie się z Konfederacją Korony Polskiej będzie trudne.

PiS się rozpadł, stowarzyszenie Rozwój Plus Mateusza Morawieckiego walczy z Jarosławem Kaczyńskim, Kaczyński chce udawać Konfederację – i wyznaczył Przemysława Czarnka do przeprowadzenia tej operacji. „Duża" Konfederacja jest zaś wewnętrznie podzielona, bo lider Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak uważa, że szef Nowej Nadziei Sławomir Mentzen często szkodzi partii swoimi wypowiedziami, na przykład o kobietach czy na temat generała Wiesława Kukuły. Wedle Mentzena szef sztabu generalnego jest „nienormalnym człowiekiem" i „nie ma kompetencji, żeby być kapralem".

Konfederacja i bez niesnasek między liderami staje się coraz bardziej rozczłonkowaną formacją. Bo Ewa Zajączkowska-Hernik, której ambicji, energii i umiejętności docierania i do bardzo różnorodnego prawicowego wyborcy „mentosy" – jak mówi się o ludziach Mentzena – bały się i kopały pod nią dołki, założyła swoje stowarzyszenie Biało-Czerwoni.

Co prawda wszystkie te formacje skrajnej prawicy mają wspólnie w sondażach większość, ale sklecenie przez nie rządu wydaje się poważnym wyzwaniem. Skrajna prawica walczy sama ze sobą, panuje chaos, nie ma jednego dominującego gracza i brakuje silnego przywództwa – bo Karol Nawrocki nie jest w stanie tej roli odegrać.

•

Na tym tle zupełnie inaczej – po trzech latach od wyborów parlamentarnych – wygląda układ po stronie rządzących.

Owszem, partnerzy Tuska z Trzeciej Drogi są słabi. Polska 2050 się rozpadła, PSL w żadnym badaniu nie przekracza 5-procentowego progu mimo osobistej dużej popularności lidera, Władysława Kosiniaka-Kamysza. Nowa Lewica w większości jest nad progiem, ale nie jest to wynik dający pełną gwarancję wejścia do Sejmu.

Do gry próbował wrócić Szymon Hołownia, który wcześniej oddał władzę w PL2050 ministrze fundu-

eprasa.pl a960e54702

szy Katarzynie Pełczyńskiej-Nałęcz. Holuje go w tej akcji powrotowej Kosiniak-Kamysz, bo ludowcy za ministrą nie przepadają.

Hołownia zaczął marginalizowanie nowej liderki od przejęcia stanowiska szefa klubu parlamentarnego. Ale następnym krokiem miało być ponowne zjednoczenie Polski 2050, a więc powrót Unii Centrum Pauliny Henning-Kloski pod skrzydła wicemarszałka Sejmu. A nic nie wskazuje, by ten plan się powiódł. Premier nie chce tego scenariusza, Unia Centrum, z której część jest dogadana z KO – też nie. Odpowiada mu układ, w którym Hołownia i Pełczyńska-Nałęcz są osłabieni i skłóceni, więc na pewno nie zamierza namawiać Centrum do zmiany kursu i wzmocnienia PL2050.

Za to notowania Koalicji Obywatelskiej w okolicy 33 procent są stabilne. Nie dają pewnej większości, ale wskazują na mocne przywództwo Tuska i dobrze wróżą.

Koalicja nie stawia też wszystkiego na jeden plan w przyszłorocznej kampanii. Zapewne będzie wybierać między dwoma wariantami.

• Pierwszy to start PSL i resztek po Polsce 2050 na listach KO, a Nowa Lewica idzie do wyborów osobno.

• Drugi: wszystkie partie K15P startują na jednej liście.

Tej ostatniej wersji nie chce ani Lewica, ani PSL. Lewica wskazuje, że w przypadku wspólnej listy Razem potężnie podskoczy w sondażach i wejdzie do Sejmu, wzmacniając opozycję wobec Tuska. A porozumienie ludzi Zandberga i Nowej Lewicy wydaje się mało prawdopodobne. Politycy tych partii ostro atakują się wzajemnie w Sejmie.

Lider Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty jest bardzo aktywny i ustawił się w roli głównego – i pomysłowego – oponenta wobec prezydenta Nawrockiego, co budzi entuzjazm wśród twardego elektoratu anty-PiS i szacunek internetowej publiki, ale na razie nie przyniosło spodziewanych efektów sondażowych. Teraz marszałek Sejmu liczy na to, że konfrontacja z Razem poprawi wyniki jego partii i samodzielny start nie będzie obarczony żadnym ryzykiem.

A dlaczego PSL nie chce Lewicy na pokładzie, choć wyborcy niezdecydowani premiują jedność, nie lubią swarów polityków postrzeganych jako będący z jednego obozu? Ponieważ chce utrzymać status partii centroprawicowej i boi się sklejenia z lewicowym środowiskiem, na które konserwatywny czy tradycjonalistyczny wyborca zerka podejrzliwie. Kosiniakowi marzy się Trzecia Droga 2.0 z Hołownią i popularnymi samorządowcami, którzy wskutek wprowadzonej przez rząd PiS dwukadencyjności nie będą mogli po raz trzeci walczyć o władzę w swoich miastach i zasilą listy kandydatów do Sejmu. Ale wspólnego startu z KO ludowcy też nie wykluczają, choć sporo zażądają od Tuska za zgodę na taki układ.

Po okresie, w którym ministra funduszy Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz często atakowała i recenzowała własny rząd, nastąpiło pewne uspokojenie. Przejęcie klubu przez Hołownię jest dowodem na jej słabą pozycję. Mówiono w kuluarach, że może ambitna polityczka liczy na wspólny start z Razem, ale politycy tej partii do tego pomysłu odnosili się z dystansem. „Albo się jest w rządzie, albo w opozycji, Pełczyńska jest nadal ministrą, sojusz z nią nie jest dla nas wartością dodaną, nawet jeśli ona czasami ten rząd krytykuje” – można usłyszeć.

•

Co może działać na korzyść K15P? To, że wyborcy chwiejni kierują się różnymi motywacjami.

Czasami są bierni i rezygnują z głosowania. Dlatego bardzo ważna jest emocja związana z poczuciem chaosu czy brakiem wyrazistego lidera. A po stronie K15P lider jest oczywisty – to Donald Tusk. Natomiast próba budowania koalicji rządzącej przez aż cztery skłócone ze sobą formacje prawicowe grozi destabilizacją i chaosem. Tym bardziej że jeden z potencjalnych partnerów jest ekspozycją lobby kremlowskiego i jego udział w rządzie spotkałby się z silnym protestem USA, co dla PiS i prezydenta Nawrockiego jest potężnym problemem.

Jeżeli więc rządzący poukładają się sami ze sobą i żadne ugrupowanie z tej grupy nie zostanie pod progiem, szanse na utrzymanie władzy są wysokie.

Pytanie, jak wyborcy mogą oceniać rząd Tuska po trzech latach od wyborów parlamentarnych.

Ekipa rządząca ma na koncie potężny grzech, który bardzo psuje jej wizerunek w porównaniu z utrwaloną opinią o PiS i będzie jej wciąż wypominany. Sztandarową obietnicą KO było zwiększenie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł. Obiecywał to sam minister finansów Andrzej Domański. Nie została spełniona, a to zaniechanie wielu Polaków odczuwa coraz dotkliwiej, bo przez lata wzrosły płace i „w drugi próg” wpadają już nawet ci, którzy ewidentnie zaliczają się do krezusów, jak nauczyciele – ale wcale nie odczuwają poprawy materialnej, gdyż podwyżki zjadła inflacja, czynsze, ceny energii i paliwa. Co prawda rząd szykuje zmiany podatkowe, które nieco urealnią progi, ale połączone ze wzrostem niektórych obciążeń, więc zapewne prezydent podniesienia pierwszego progu ze 120 do 130 tys. zł. nie podpisze.

Ostateczne decyzje obywateli przy urnach wyborczych będą miały związek ze stanem portfeli. Może się zdarzyć, że progi podatkowe zostaną po staremu, ceny paliwa i tak będą rosnąć mimo interwencji rządu. A nie od niego zależą pokój w Ukrainie ani wojna z Iranem. Na krajowym podwórku lepiej lub gorzej, ale liderzy demokratycznej koalicji sobie radzą. Największy problem tej ekipy to kryzysy światowe

A zwolennicy PiS zestawiają to wszystko ze sztandarową obietnicą Jarosława Kaczyńskiego, który zapowiedział 500+ i ten projekt wprowadził w życie. Była to rewolucja w wydatkach socjalnych, która pozostaje głównym znakiem rozpoznawczym PiS: oni obietnice dowożą. Kaczyński obiecywał o wiele więcej i innych socjalnych zapowiedzi nie zrealizował, ale w świadomości społecznej dzisiejsze 800+ odgrywa najważniejszą rolę.

Faktem jest, że okoliczności przejmowania władzy przez PiS były kompletnie inne, a stan gospodarki o wiele korzystniejszy niż przy zmianie władzy w grudniu 2023 roku.

W 2015 roku ekipa Kaczyńskiego dostała finanse publiczne w dobrym stanie, wzrost gospodarczy bliski 4 proc. PKB, w szufladzie czekały projekty uszczelnienia VAT przygotowane przez ministra finansów Mateusza Szczurka, które jego następca bez bólu wprowadził w życie, bo firmy w czasie świetnej koniunktury gospodarczej łatwiej się przystosowały do surowszych reguł. Co więcej, Andrzej Halicki, minister cyfryzacji w rządzie Ewy Kopacz, z wyniku aukcji częstotliwości LTE zostawił na 2016 rok ponad 7 mld przychodu, co stanowiło połowę finansowania 500+ w pierwszym roku tego programu.

Tymczasem w 2023 roku K15P dostała gospodarkę ze wzrostem na poziomie 0,2 proc. PKB i deficytem budżetowym przekraczającym dopuszczalne normy. Z analizy strategii zarządzania długiem publicznym, która powstała w 2023 r. w rządzie Mateusza Morawieckiego, wynikało, że dług będzie gwałtownie narastał, jeśli wydatki nie zostaną ścięte, a podatki podniesione.

◀ Grudzień 2023, Sejm, debata nad kandydaturą Donalda Tuska na premiera
FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Trudna sytuacja gospodarcza była oczywiście efektem pandemii i wojny w Ukrainie, ale też efektem szkodliwej polityki PiS, który zablokował pieniądze z postpandemicznego unijnego Krajowego Planu Odbudowy, bo dla Jarosława Kaczyńskiego ważniejsze było obsadzanie sądów swoimi aktywistami.

Jeżeli więc PiS wmawia opinii publicznej, że Tusk zadłuża Polskę, to trzeba powiedzieć, że potężnie zadłużać kraj zaczął właśnie PiS. Rząd Tuska, owszem, to kontynuuje, ale w dużej mierze ze względu na gwałtowny wzrost wydatków na obronność. A tego, że obecna ekipa nie chce likwidować wydatków socjalnych uchwalanych za czasów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego, partii firmującej tamte rządy głupio dziś używać jako zarzutu.

Trudny punkt startu K15P może być wytłumaczeniem dla obecnej ekipy, ale też jest oskarżeniem: w 2023 roku było jasne, że stan finansów publicznych jest fatalny, a takie obietnice, jak kwota wolna od podatku rzędu 60 tysięcy złotych, nie mają szans na realizację.

•

Jednocześnie rząd Donalda Tuska rozlicza poprzednią ekipę za wyprowadzanie publicznych pieniędzy – i to olbrzymich – na partyjne zaplecze i do prywatnych kieszeni polityków PiS. Twardy elektorat KO narzeka, że rozliczenia idą za wolno – ale jednak posuwają się do przodu i dotykają ważnych, wręcz emblematycznych ludzi Zjednoczonej Prawicy, więc to nie ich brak zdecyduje o losach rządu.

Rzeczywiście, trzech prominentnych uciekinierów umyka polskiej prokuraturze, ale czy ich los jest godny pozazdroszczenia?

• Były wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski siedzi gdzieś w mysiej dziurze, być może w Naddniestrzu, parapaństewku egzystującym dzięki Rosji i kontrolowanym przez służby Putina, co skutkuje tym, że nawet PiS nie chce z nim mieć do czynienia.

• Byłemu ministrowi sprawiedliwości Zbigniewowi Ziobrze brakuje pieniędzy na działalność, więc bierze środki od szemranych postaci.

• Były szef Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych Michał Kuczmierowski czeka na rozprawę ekstradycyjną w Londynie.

• Bohaterowie afery Funduszu Sprawiedliwości, w tym Dariusz Matecki, już stanęli przed sądem, sprawa się toczy.

• Postawione zarzuty mają między innymi Mateusz Morawiecki oraz Daniel Obajtek i jego ludzie z Orlenu, a także długa lista PiS-owskich aktywistów, takich jak Maciej Ś., były szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji.

• Akty oskarżenia są w sądzie w sprawie byłych ministrów obrony: Mariusza Błaszczaka i Antoniego Macierewicza; Macieja Wąsika, czyli zastępcy i zaufanego ministra Ziobry; eks-szefa MSW i koordynatora służb Mariusza Kamińskiego; posła i chwilowego wiceministra kultury oraz sportu Łukasza Mejzy; ważnego ziobrysty Michała Wosia; wieloletniego europosła Ryszarda Czarneckiego.

To jednak pokaźne grono jak na niecałe trzy lata działania prokuratorów. PiS masowo oskarżał polityków z konkurencji, ale prace prokuratury mogły czasami trwać nawet i osiem lat. Porównanie dynamiki spraw pokazuje, że obóz demokratyczny nie odpuszcza tym, którzy szkodzili interesom państwa i dobru obywateli.

•

Ale obóz Tuska też musi mierzyć się z kryzysami wizerunkowymi. Najbardziej obciążające są przypadki, w których politycy tej partii korzystają z przywilejów w służbie zdrowia.

• Lekarz i były radny Koalicji Obywatelskiej Dawid K. na boku przyjmował w Szpitalu Południowym co najmniej dwójkę prominentnych polityków KO. Te osoby nie poniosły żadnych konsekwencji.

• Szybko i surowiej KO zareagowała w sprawie partyjnego barona, senatora Tomasza Lenza, który też na boku załatwił dla syna procedurę medyczną i w związku z tym został wyrzucony z partii.

Co prawda konsekwencje ponosi Dawid K., bo ma już postawione zarzuty, jednak historia Szpitala Południowego jest potężną przestrogą dla największej partii rządzącej, ponieważ odczucia społeczne – również ludzi, którym daleko do prawicy – są mniej więcej takie: „państwo z KO są przekonani, iż w Warszawie mogą wszystko, tak wielkie mają poparcie”. Fakt: akcja zbierania podpisów pod wnioskiem w sprawie re-

Andrzej rysuje



eprasa.pl a960e54702

ferendum odwołującego Rafała Trzaskowskiego zakończyła się klęską. Ale zawsze aktualne jest powiedzenie, że pycha kroczy przed upadkiem. A teraz doszła sprawa radnych KO spod Warszawy, którzy korzystali z publicznej przychodni poza kolejką.

• Kolejny kryzys wizerunkowy to zarzuty prokuratury europejskiej dla posła Wojciecha Króla o „powoływanie się na wpływy" „w zamian za korzyści majątkowe". I tu koalicja rządząca początkowo kluczyła, aż ostatecznie immunitet polityka KO został uchylony.

• KO musi się mierzyć z też nieprawomocnym wyrokiem Stanisława Gawłowskiego, oskarżonego w tak zwanej przetargowej aferze melioracyjnej, który mimo decyzji sądu nadal jest szefem senackiej komisji środowiska.

• Sąd zajmuje się też sprawą Włodzimierza Karpińskiego i Rafała Baniaka, urzędników z czasów rządu PO-PSL, którym zarzucono łapówkarstwo związane z gospodarowaniem stołecznymi odpadami.

• A także Sławomira Nowaka, za którym ciągną się zarzuty o korupcję w czasach, gdy zarządzał ukraińskim drogownictwem, a którego proces toczy się przed sądem okręgowym w Warszawie.

Do tego dochodzą równie ciążące wizerunkowo sprawy obyczajowe.

• Kanał Zero właśnie opublikował wstrząsający reportaż o liderze Agrounii i byłym wiceministrze rolnictwa Michale Kołodziejczaku, którego współpracowniczki oskarżają o przemoc, poniżanie i namawianie do zażywania narkotyków.

Prokuratura już sprawdza te doniesienia, Kołodziejczak został zawieszony w klubie parlamentarnym KO (nie jest członkiem tej partii). Ale żeby jeszcze bardziej ucieszyć opozycję, postanowił w roli swojego obrońcy obsadzić postać co najmniej kontrowersyjną, czyli barwnego detektywa celebrytę Krzysztofa Rutkowskiego. Wspaniały prezentem dla wrogów rządu i wdzięczny temat memów.

Z jednej strony więc liderzy KO przekonują się, że znaczenie ma nie tylko liczba szabli, również jakość dobieranych ludzi. Z drugiej – trudno jednak formułować zarzut, że politycy KO są specjalnie traktowani.

No i skali nadużyć nie da się tego porównać z ostatnią kadencją PiS, w której mieliśmy do czynienia nie z indywidualnymi przypadkami – jakie zdarzają się, choć rzecz jasna nie powinny, w każdym kraju, nawet u najbardziej surowych i pryncypialnych Skandynawów – lecz z systemowym wyprowadzaniem publicznych miliardów za zgodą Jarosława Kaczyńskiego. A prokuratura nadzorowana przez „szeryfa" Ziobrę przymykała na to oczy. Poszczególne frakcje w PiS stworzyły własne układy przestępcze: afera RARS, afera Funduszu Sprawiedliwości, Willa Plus, czyli dotacje dla organizacji bliskich PiS i Kościołowi na zakup siedzib, fikcyjne zatrudnienia w spółkach skarbu państwa, patologie w Orlenie.

Lecz niezależnie od różnic między KI5P a PiS faktem jest, że dobór ludzi zawsze obciąża lidera – czyli w tym przypadku Donalda Tuska.

•

Problemem ekipy Tuska jest też jej brak reformatorskiej sprawczości z powodu wet Nawrockiego. Co prawda rządowi udało się ominąć sporo przeszkód,

• na przykład w sprawie podatku od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych pozwalającego obniżyć ceny na stacjach,

• w sprawie unijnego programu SAFE, czyli tanich pożyczek na inwestycje zbrojeniowe,

• czy w sprawie podatku bankowego.

Ale największą zadrą w sercu wyborów KO jest paraliż Trybunału Konstytucyjnego. Czwórka legalnie wybranych sędziów TK siedzi w przedpokoju i nie dostaje pensji z powodu obstrukcji prezydenta i Bogdana Święczkowskiego, wieloletniego zaufanego Ziobry, który zarządza Trybunałem. A teraz dołączył do tej grupy sędziów Maciej Berek, doświadczony urzędnik, do niedawna „superminister", który w imieniu premiera przyglądał się jakości pracy ministrów.

Jest to objaw wielkiej słabości państwa, bo bezprawie trwa od kilku miesięcy. Lecz alternatywa – awantura w sądzie konstytucyjnym i wyprowadzenie Święczkowskiego przez policję – wcale nie jest lepsza, bo odbiłaby się fatalnie na wizerunku Polski. To potężne wyzwanie, które stoi przed koalicją, bo każde rozwiązanie niesie jakieś negatywne skutki.

•

A czym rząd może się pochwalić? Wbrew odczuciom wielu obywateli i publicystów, trochę tego jest.

• Finansowaniem in vitro, co zaowocowało wzrostem liczby ciąż;

• wytycznymi dla prokuratury, która przestała ścigać kobiety za aborcję na podstawie opresyjnej decyzji Trybunał Julii Przyłębskiej z 2020 r.;

• rozporządzeniem, które pozwala na transkrypcję małżeństw jednopłciowych zawartych poza Polską i przyznanie tym parom takich przywilejów podatkowych, jakie mają małżeństwa.

• Do tego renta wdowia i „babciowe"

• oraz reforma Państwowej Inspekcji Pracy.

• Według ministerstwa funduszy do Polski wpłynęło już 150 mld zł z KPO, następna transza dotrze do końca roku.

• Ruszył też program SAFE.

To są na pewno dobre wiadomości dla wyborców.

Lecz ich ostateczne decyzje będą miały związek ze stanem portfeli. A może się zdarzyć, że progi podatkowe zostaną po staremu, ceny paliwa i tak będą rosnąć mimo interwencji rządu, rachunki za prąd będą zmorą dla gospodarstw domowych. A w tych sprawach rząd ma bardzo ograniczone pole manewru: nie od niego zależą pokój w Ukrainie, wojna z Iranem czy konflikt Huti z Saudami, a łagodzenie konsekwencji tych kryzysów jest coraz trudniejsze ze względu na gwałtownie rosnący dług publiczny.

Na krajowym podwórku lepiej lub gorzej, ale liderzy demokratycznej koalicji sobie radzą. Największy problem tej ekipy to kryzysy światowe. A tych raczej nie ubędzie. ●

POLSKA WPISAŁA SIĘ W FILOZOFIĘ ANTYCHRYSTA



Mam do premiera sporo żalu. Rządzący myślą, że muszą podążać za trendami i prowadzić faszyzującą politykę. A naszą debatą publiczną kieruje Putin. Urządza nam na nowo system wartości, umysły i serca.

Z **AGNIESZKĄ HOLLAND**
ROZMAWIA ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

Co się stało z energią sprzed trzech lat, kiedy demokraci odsunęli niebezpieczną prawicę od władzy?
– Energia, o którą pan pyta, bazowała na nadziei. Nadziei, że możliwy jest lepszy świat i lepsza polityka, że możliwa jest elementarna uczciwość polityków, którzy posklejają podzielone społeczeństwo. Niosła nas wiara, że możliwe jest dotrzymywanie obietnic i praworządne państwo prawa, które było symbolem oporu społecznego w ciągu ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy. Wychodziliśmy na ulice, ponieważ walczyliśmy o praworządność.

I co zostało z tego oporu?
– Poczucie, że mieliśmy rację. To, co się dzieje teraz w Polsce, jest konsekwencją polityki i decyzji Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Andrzeja Dudy czy Zbigniewa Ziobry.

PiS rozwaliło instytucje demokratyczne, zniszczyło państwo prawa i podeptało konstytucję. Okazało się, że Polska znowu była w awangardzie: Donald Trump od początku swych kadencji podobnie demontuje amerykańską demokrację, a Benjamin Netanjahu wzorował się na Kaczyńskim, kiedy chciał osłabić izraelski Sąd Najwyższy. Inni populiści nauczyli się od prezesa, że można rozwalać instytucje państwa demokratycznego, prowadzić politykę na silnej polaryzacji i dzięki podziałom oraz zręcznie adresowanym programom socjalnym wygrywać wybory.

Zostawmy PiS. Od trzech lat rządzi Koalicja 15 Października. To dobry czas dla Polski?
– To zły czas dla świata i liberalnej demokracji. Zastanawiam się, czy aby nie musimy powoli myśleć o nowej umowie społecznej, która na nowo ułoży relacje między władzą a wyborcami. Kryzys jest głęboki, czego skutkiem jest sposób uprawiania polityki: jedne partie są bardziej uczciwe, drugie nie zważają na dobro wspólne, znamy nieco bardziej odpowiedzialnych liderów oraz cynicznych, bezwzględnych demagogów.

Ale to nie oni są problemem, tylko niedziałający system, który przez dziesięciolecia opierał się na zaufaniu do demokratycznego państwa prawa. Dziś to zaufanie wyparowało, a politycy nie mają przestrzeni do przeprowadzenia podstawowych działań politycznych, które miałyby służyć naprawie instytucji i prowadzeniu racjonalnej polityki. Działają czysto reaktywnie, w populistycznym, doraźnym paradygmacie.

Weźmy katastrofę klimatyczną, która obecnie jest jednym z najważniejszych wyzwań stojących przed światem. Zamiast budować międzynarodowe sojusze, ograniczać znacząco emisję dwutlenku węgla, zamykać elektrownie węglowe, finansować produkcję aut elektrycznych, rozwijać ekologiczny transport publiczny, nakładać globalne podatki na rafinerie czy sektor lotniczy, inwestować w ekologiczne budynki – no więc zamiast podejmować konieczne decyzje – politycy mylą przyczynę ze skutkiem, konstruując kozła ofiarnego w postaci migracji.

A przecież to nie ma sensu. Nie jesteśmy świadkami masowych wędrówek ludów, Europa nie doświadcza kryzysu uchodźczego, nadal brakuje nam rąk do pracy. Jednak Donald Tusk, Viktor Orban, premierzy krajów bałtyckich zawieszają prawo do azylu, zmieniając powojenny paradygmat dotyczący praw człowieka.

Pokazując swym społeczeństwom migranta jako egzystencjalne zagrożenie, czarnego luda, sądzą, że kopią polityczne złoto dla swych formacji. Społeczeństwa łatwo ulegają tej propagandzie strachu, a różne reżimy dostrzegają nasze miękkie podbrzusze i manipulują kanałami migracyjnymi, by zdestabilizować politykę europejską i unieważnić jej największe wartości – cywilizacyjne, moralne, ustrojowe. By uderzając w solidarność europejską unieważnić solidarność międzyludzką.

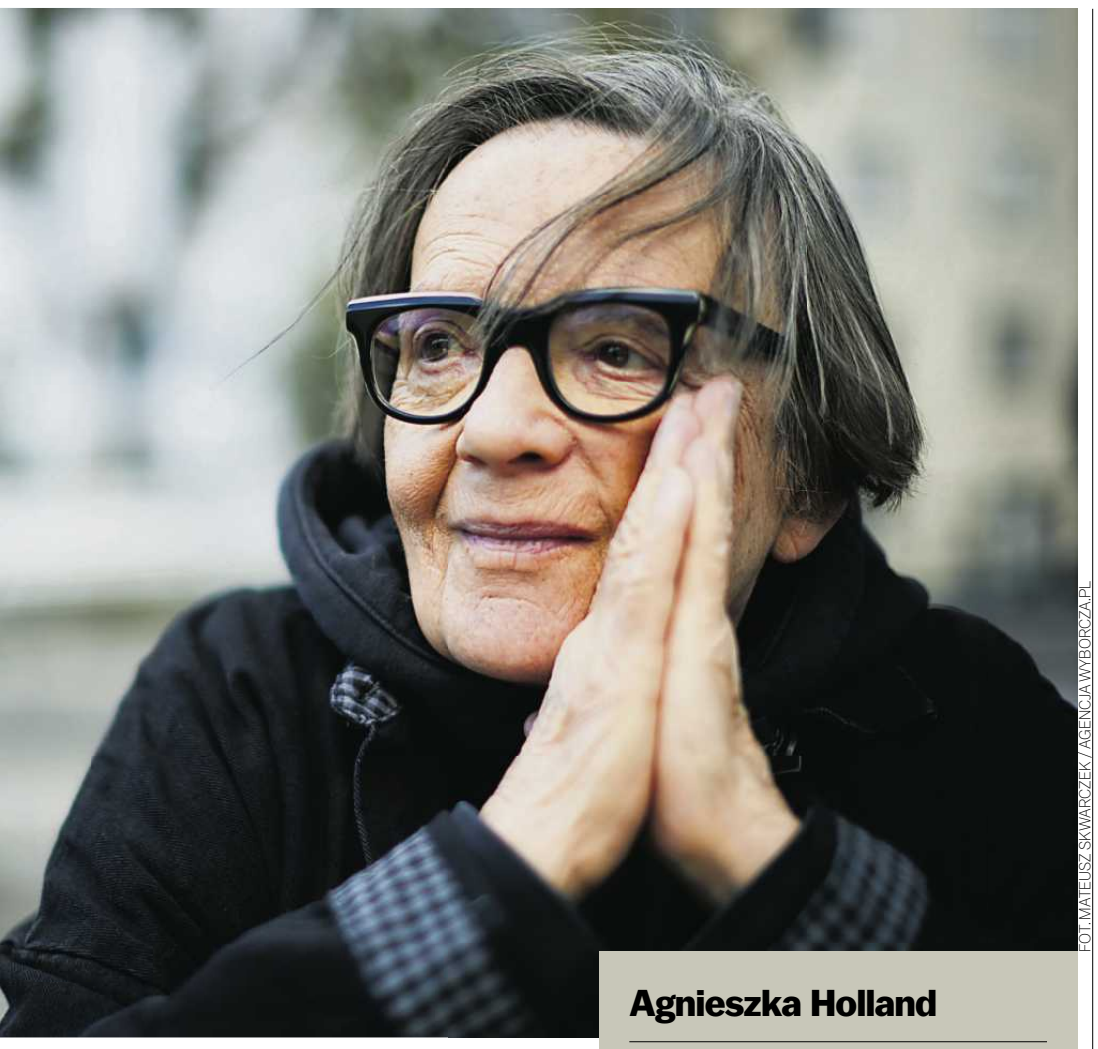
Wygodniej uczepić się migracji, stworzyć figurę wroga, manipulować strachem niż stworzyć skuteczny, globalny system, który zajmie się przyczynami, a nie skutkami katastrofy klimatycznej. A uchodźcy – niezależnie od naszych coraz bardziej restrykcyjnych praw – będą się pojawiać, ich liczba będzie narastać w obliczu dramatycznych zmian klimatycznych, ponieważ w ich ojczyznach życie stanie się nieznośne przez wysokie temperatury i brak wody.

Dlaczego demokraci to robią?
– Kiedyś mówiło się o słabości demokracji, która co cztery lata musi odnawiać mandat. Jedna kadencja była zbyt krótkim czasem na realizację agendy politycznej lub udowodnienie, że określone trudne działania przynoszą perspek-

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZEJ: Michał Olszewski (szef), Marek Markowski (zastępca), Mirosław Maciorowski, Jan Cywiński, Ewa Wieczorek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; tel.: 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.
IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY

eprasa.pl a960e54702



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

tywicznie wymierne korzyści dla ogółu. W tej chwili politycy mają na działanie tak naprawdę kilka tygodni pomiędzy jednym a drugim sondażem opinii publicznej. Nie żyjemy w demokracji liberalnej, tylko w demokracji sondażowej.

Politycy – nawet ci rozumiejący, że należy zreformować instytucje publiczne, nawet ci zdeterminowani, obdarzeni silną wolą i słuchem społecznym – i tak przegrają z trendami. Prezydent Francji Emmanuel Macron miał w miarę spójną wizję reformowania pogrążającego się w kryzysie państwa, ale nie był w stanie jej przeprowadzić; przy każdej próbie zmian natrafiał na masowy sprzeciw.

I znowu mówimy o pozornej słabości systemu: w tej chwili Chiny czy Rosja jako kraje autorytarne mają więcej czasu na reformy państwa, zaangażowanie instytucji do celów wojennych czy wykazanie sprawczości niż kraje demokratyczne, targane sondażowymi emocjami.

Ale chyba francuski przykład nie jest najlepszy, ponieważ czas dla neoliberalnych reform się skończył. Na szczęście, bo prywatyzacji zadań państwa, zaciskania pasa czy cięć usług publicznych próbowano nie raz, w wielu krajach, i zawsze kończyło się biedą, a w konsekwencji większym kryzysem, również politycznym.

-To jest bardzo uproszczona wizja problemów Francji i pomysłów Macrona. Nie chodzi o neoliberalizm czy zaciskanie pasa, przeprowadzenie reform kosztem najsłabszych warstw społecznych musi się źle skończyć. Ale realizowanie priorytetów, które w efekcie powinny przynieść poprawę całemu społeczeństwu i pomóc odzyskać zaufanie do sprawczości instytucji państwa wydaje się być konieczne, jeśli nie mamy być miotani populistycznymi obietnicami bez pokrycia i manipulowani przez imperialistycznych dyktatorów i algorytmy Big Techów.

Coraz mniej rządzących, zajętych doraźnymi wojenkami zdaje sobie sprawę ze skali tych zagrożeń.

– Cały czas mówimy o „złym czasie dla świata". Dzisiaj, w Europie żyjemy w strefie komfortu, której nie chcemy stracić, to oczywiste. Chcemy ją poszerzać, nawet za cenę godnego i znośnego życia naszych dzieci i wnuków. Z horyzontu społecznego, ale też politycznego, zniknęło poczucie odpowiedzialności za ludzkość, kraj czy za potomność. Świat stał się narcystyczny, skupiony na teraźniejszości.

Dodajmy do tego obrazu niewątpliwy upadek autorytetów politycznych, religijnych, naukowych, moralnych, który obserwujemy od czasu, kiedy upowszechniły się platformy społecznościowe.

Zgoda, że liberalni politycy są zakładnikami sondaży, skupiają się na inżynierii społecznych emocji, nie mogą reformować państwa, bo to oznacza długą pracę wykraczającą poza jedną kadencję. Ale może jednak spróbowaliby? Niewiele ryzykują, bo, tak czy siak, alternatywą jest wspólny rząd Jarosława Kaczyńskiego, Sławomira Mentzena, Krzysztofa Bosaka i Grzegorza Brauna, czyli faszyzującej prawicy.

– Powiem to brutalnie: gdyby koalicja rządząca nie spieprzyła wyborów prezydenckich, to można by przeprowadzić cały szereg reform wymiaru sprawiedliwości, sprawiedliwszych podatków, mediów publicznych. Rząd miałby dwa lata na przedstawienie konkretnego kierunku zmian – innych niż czysto doraźne – również w dziedzinach opieki zdrowotnej, szkolnictwa, nauki, kultury, odbudowy instytucji publicznych i zdobycia realnego zaufania społecznego dla reformy państwa.

Zwłaszcza że nie chodzi o trudną zmianę całego paradygmatu, jak w 1989 roku, tylko o cierpliwą, wytrwałą pracę tu i teraz. Być może te wysiłki nie dałyby drugiej kadencji Tuskowi, ale wyborcy mieliby szansę sprawdzić, czy instytucje na nowo wpisują się w ramy prawa i stają się nowocześniejsze. Rząd stracił szansę na wypracowanie nowej umowy społecznej, która zakładałby szacunek dla konstytucji, Trybunału Konstytucyjnego, Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, legislacji, mediów publicznych, trójpodziału władzy.

Zamiast tego znów widzimy przeciąganie liny – jedni chcą wysyłać do TK byłych polityków, drudzy wybierać sędziów bezwzględną większością głosów w Sejmie. Jedni uznają neosędziów, drudzy powołują się na wyroki międzynarodowych trybunałów, które podważają ich status.

Klincz, który jest objawem kryzysu demokracji liberalnej, trwa i zdaje się służyć obustronnym celom wyborczym.

Powtórzę pytanie: co wyłania się za rogiem? Jaka jest alternatywa?

– Tylko chaos.

I rządy Brauna?

– Nie chciałabym tego antycypować, ale ewidentnie zmierzamy w brunatną stronę.

Naszym największym niebezpieczeństwem jest przekonanie o bezalternatywności, któremu ulega zresztą większość komentatorów czy polityków. Mówi się, że okno Overtona przesunęło się na prawo, więc rządzący muszą podążać za trendami i prowadzić faszyzującą politykę. Nikt nie ma odwagi czy wyobraźni, by budować inną opowieść.

Ulega też temu Donald Tusk, ścigając się z prawicą na antyukraińskie nastroje?

– Owszem, ulega. Mam o to do premiera sporo żalu. Abstrahując od aspektów moralnych czy wartości, które są dla mnie i wielu bliskich mi ludzi istotne, to antyukraińska czy skrajnie antymigrancka polityka jest zwyczajnie nieskuteczna. Przejmując agendę skrajnej prawicy, nie osłabia się skrajnej prawicy, ale się ją wzmacnia.

To są fakty doskonale znane z XX wieku, kiedy partie liberalne przyłączały się do antysemickich nagonek prowadzonych przez faszystów. A mimo tej wiedzy 80 lat po II wojnie światowej liberalne i socjaldemokratyczne centrum przesuwa się coraz bardziej na prawo, dzięki czemu wzmacnia i uwiarygadnia skrajne, już otwarcie faszyzujące, grupy.

Sztabowcy koalicji rządzącej mówią, że ich elektorat jest antyukraiński, muszą więc odbierać pomoc socjalną ukraińskim rodzinom mieszkającym w Polsce, ograniczać wypłacanie 800+ dzieciom uciekającym przed rosyjskimi rakietami czy deportować nastolatki za wybryk na koncercie. A do nagonki na Ukraińców przyłączył się w kampanii wyborczej Rafał Trzaskowski, który do tamtej pory kojarzył się z liberalnymi wartościami.

– Sztabowcy zapomnieli o wiarygodności, autentyczności i przyzwoitości. Pan prezydent Trzaskowski pokazał w ubiegłym roku, że jest chorągiewką na wietrze, która wieje w zależności od tego, co pokazują sondażowe trendy interpretowane niezbyt mądrze przez niezbyt mądrych polityków swego sztabu czy spin doktorów KO.

W dniu głosowania okazało się, że kandydat demokratów stracił milion głosów. Właśnie tyle osób zaufało Koalicji 15 Października trzy lata temu, umożliwiając wygraną, a rok temu – w trakcie wyborów prezydenckich – zostało w domach na znak protestu lub zniechęcenia. Nie chcieli głosować na prawicę i skrajną prawicę, a innego wyboru w drugiej turze nie mieli. Stracili zaufanie do koalicji rządzącej, a ja z zaskoczeniem odkryłam, że liberalni politycy zapomnieli o najaktywniejszej i najbardziej ideowej części swego elektoratu.

Donald Tusk twierdzi, że dzięki tej imitującej prawicę polityce wygasł kryzys migracyjny na granicy polsko-białoruskiej. I przypomina, że to w istocie była wojna hybrydowa wypowiedziana nam przez Rosję i Białoruś. Do kogo adresowany jest ten przekaz?

– Nie wiem. Widzę w tym próbę ścigania się z PiS oraz polityczną grę na eskalacji antyimigranckich nastrojów.

Premier zdaje się mówić, że jest większym przeciwnikiem migracji niż Jarosław Kaczyński. Rząd próbuje udowodnić, że sprawniej broni granicy niż Mariusz Błaszczak z Mariuszem Kamińskim, czyli siłowymi ministrami z rządu Zjednoczonej Prawicy.

W mediach nie widzimy obecnie gorszących scen z Puszczy Białowieskiej, rząd twierdzi, że uchodźcy zniknęli, ale to nieprawda: Mińsk wysyła teraz ludzi do Polski przez Litwę i Łotwę. Jak będzie trzeba, udrożni inne korytarze.

A w tym samym czasie były minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz wydaje książkę, w której z wielką pogardą mówi o prawach człowieka. W jego opinii Powszechna Deklaracja Praw Człowieka jest przestarzała, a migrantów nie należy postrzegać jako jednostki, zasługujące na życie, godność, podmiotowość, szacunek, tylko jako masę. Prawa człowieka to przestrzały koncept według tego polityka, w czym jest zresztą zgodny z Trumpem czy Elonem Muskiem.

Konsekwencją takiego myślenia musi być strzelanie do uchodźców, którzy w rozumieniu polityka liberalnej partii nie są ludźmi i nie przysługują im żadne prawa. Bo co innego można z nimi zrobić? Nie uda się opłocić całego bogatego świata.

Cały czas mówimy o tym samym problemie, o kryzysie demokracji liberalnej, która posługuje się demagogią, przekracza kolejne granice w negowaniu wartości, które zbudowała po II wojnie światowej, manipuluje opinią publiczną, zamiast dotykać jądra współczesnych wyzwań i szukać sposobów rozwiązywania istotnych problemów.

Tak naprawdę idziemy drogą, którą pokazałam w „Zielonej granicy", czyli moim filmie o traktowaniu uchodźców na polsko-białoruskiej granicy. Od 2015 roku migracja jest politycznym złotem dla Kaczyńskiego, Morawieckiego, Tuska czy Sienkiewicza oraz Trumpa i polityków Zachodu wszystkich już opcji. A skoro nie ma już innej narracji, to muszą eskalować, prześcigać się w generowaniu strachu i pogardy.

Agnieszka Holland

• Rocznik 1948. Jest światowej sławy reżyserką filmową.

• Córka Henryka Hollanda, przedwojennego ideowego komunisty, który rozczarowany realnym socjalizmem i sowiecką dominacją zaczął kontestować rządzącą Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą, został aresztowany i zginął w niejasnych okolicznościach. W latach 60. studiowała w Pradze, była świadkiem Praskiej Wiosny i stłumienia demokratycznej rewolty przez wojska Układu Warszawskiego. W latach 80. zamieszkała w Paryżu.

• Kilkukrotnie nominowana do Oscara, między innymi za „Plac Waszyngtona" i obracające się wokół tematyki Zagłady i II wojny światowej „Gorzkie żniwa", „Europa, Europa" i „W ciemności". Laureatka wielu nagród filmowych w Polsce i na świecie. Ostatnio nakręciła „Franza Kafkę" i nagrodzoną w Wenecji „Zieloną granicę".

• Angażuje się również w komercyjne, lecz ambitne projekty serialowe – dla Polsatu zrealizowała polityczną „Ekipę", dla Netflixa nakręciła rozgrywający się w alternatywnej rzeczywistości geopolitycznej „1983" i wyreżyserowała kilka odcinków kultowego thrillera o waszyngtońskich rozgrywkach „House of Cards".

Pan prezydent Trzaskowski pokazał w ubiegłym roku, że jest chorągiewką na wietrze, która wieje w zależności od tego, co pokazują sondażowe trendy interpretowane niezbyt mądrze przez niezbyt mądrych polityków z Koalicji Obywatelskiej

eprasa.pl a960e54702

Dziś w naszym kraju nawet najbardziej wrażliwe grupy migrantów nie mają prawa do azylu. Według naszego prawa można do nich w pasie przygranicznym bezkarnie strzelać, nawet jeśli nie stosują żadnej przemocy, zbrodnią ma być już to, że się tam znaleźli.

A dziś przeczytałam nową propozycję zaostrzenia ustawy migracyjnej: penalizowane ma być nie tylko płatna pomoc uchodźcom – czyli przemyt czy handel ludźmi – ale również pomoc humanitarna dla „nielegalnych" uchodźców. Za bezinteresowną pomoc zmarzniętemu, głodnemu, choremu migrantowi będzie można dostać 3 lata więzienia.

Zachowując wszystkie proporcje, nie tylko mnie w swej logice przypomina to ustawy nazistów w Generalnym Gubernatorstwie, penalizujące śmiercią pomoc dla ukrywających się Żydów.

Przed 2023 rokiem organizacje pozarządowe opracowały plan, w jaki sposób instytucje i samorządy mogłyby systemowo zająć się migrantami. Miała powstać sieć ośrodków, uchodźcy trafialiby do poszczególnych gmin, dzieci chodziłyby do szkół i na kursy języka polskiego. Aktywiści przekonywali, że nasza administracja jest na to gotowa, a kraj stać na to wyzwanie. Dzisiaj w rządzie nie ma śladu po tej polityce, choć lewica ma na sztandarach pomoc uchodźcom, a Szymon Hołownia zbudował część pozycji politycznej na działalności humanitarnej.

– Rząd nie zajął się uchodźcami, bo pomysł był inny. Premier zorientował się przed wyborami europejskimi w 2024 roku, że politycznie może więcej zyskać na rozpoczęciu dyskusji o zawieszeniu prawa do azylu.

Taka polityka antyimigrancka może być skuteczna, tylko jeśli obcych uda się zdehumanizować. Putin, wykorzystując migrantów w wojnie hybrydowej, traktuje ich czysto instrumentalnie, tak naprawdę chodzi mu o to, żeby zniszczyć europejskie wartości, żeby pokazać, że nasza wyższość, nasze wartości, nasze prawa człowieka, to czysta hipokryzja. Liczy się tylko siła i skuteczność.

I my zaczęliśmy w to wierzyć! Uwierzyliśmy, że nie ma innej alternatywy! Takie wyrzeczenie się uniwersalnego człowieczeństwa czyni dopuszczalnym stosunek Hamasu do Żydów, izraelskiego rządu do Palestyńczyków, amerykańskiej administracji do migrantów z Meksyku czy Rosjan do Ukraińców. Ten trend jest dokładnym zaprzeczeniem postawy chrześcijańskiej. Bogaty świat, w tym Polska, doskonale wpisują się w plan Antychrysta.

Po tym, jak odczłowieczono migrantów o innym kolorze skóry, łatwiej już było zmanipulować opinią publiczną w kwestii Ukraińców. Po eksplozji dobra w lutym 2022 roku nie wiedzieć kiedy zamieniliśmy się w nienawistnych ludzi, którzy w skrzywdzonym bliźnim widzą wroga. Dziś naszą debatą publiczną kieruje Putin, który urządza nam na nowo system wartości, umysły i serca. To jest jego prawdziwe zwycięstwo.

Ale dlaczego w Polsce nie ma polityka po stronie demokratycznej, który powie, że należy zatrzymać to szaleństwo wobec Ukraińców i migrantów?

– Nie wiem. Są aktywiści, którzy z wytrwałością i samozaparciem, za cenę zdrowia i własnego poziomu życia opiekują się migrantami.

Podziwiam grupę Asymetrystów, która od marca 2022 roku pomaga ludziom uciekającym przed wojną w Ukrainie. Zdają sobie sprawę, że dziś w Polsce ich podopieczni nie znajdą odpowiedniej ochrony, więc pomagają w ich relokacji do Niemiec, krajów skandynawskich i innych państw, które nadal oferują humanitarne warunki dla grup wrażliwych obywateli Ukrainy. Chorych, niepełnosprawnych, starych, matek wielodzietnych czy dzieci. Bo trzeba wiedzieć, że owszem, do niedawna Polska pomagała jakoś osobom z niepełnosprawnościami, weteranom czy samotnym matkom, lecz dzisiaj zostawiamy ich samych sobie.

Zaczęliśmy wierzyć, że liczy się tylko siła i skuteczność. Uwierzyliśmy, że nie ma innej alternatywy! Takie wyrzeczenie się uniwersalnego człowieczeństwa czyni dopuszczalnym stosunek Hamasu do Żydów, izraelskiego rządu do Palestyńczyków, amerykańskiej administracji do migrantów z Meksyku czy Rosjan do Ukraińców

Asymetryści przy wsparciu niedużych organizacji międzynarodowych znajdują domy i pracę w krajach Zachodu. Robią to już od niemal pięciu lat, a od czterech nie dostali ani złotówki od państwa polskiego. Więcej! Rafał Trzaskowski zlikwidował wszystkie bezpłatne miejsca hostelowe dla uchodźców, więc rodziny uciekające przed wojną z terenów przyfrontowych nie mogą się w Warszawie przespać i odpocząć przed dalszą podróżą. Udostępniamy im własne mieszkanie. W stolicy nie ma ani jednego lokalu, w którym ci ludzie mogliby się zatrzymać, czy pan w to uwierzy? A mówimy o kilkudziesięciu dziś osobach tygodniowo i o 40-milionowym, zamożnym kraju.

Przy tej skali nieszczęścia ludzie dobrej woli jeszcze sobie poradzą, choć z dużym wysiłkiem. Ale co, jeśli Rosjanie znacząco nasilą ataki na ukraińskich cywilów, co przecież się dzieje? I idzie przecież okrutna zima i wzmożone bombardowania infrastruktury cieplnej i cywilów na całym praktycznie terytorium. Co wtedy?

Od czterech lata wolontariusze wykonują strasznie ciężką pracę, mając skromne środki ze zbiórek, ale na nie coraz mniej można liczyć, bo przecież „Ukraińcy są banderowcami". Państwo polskie wypięło się na aktywistów, łącznie z Agnieszką Dziemanowicz-Bąk, lewicową ministrą pracy, która na pytanie, czy rząd pomaga ukraińskim samotnym matkom mieszkającym w tak zwanych OZZ-tach, ośrodkach zbiorowego zakwaterowania, na przykład domach samotnej matki, de facto okłamała opinię publiczną.

Nie, państwo nie pomaga ani matkom, ani Ukraińcom z niepełnosprawnościami, ani dzieciom. Kraj tak położony i z takimi doświadczeniami dziejowymi, jak Polska, powinien czynić solidarność społeczną osią swojej polityki.

I umówmy się, nie chodzi o pieniądze. Ukraińscy uchodźcy są naszą wielką ekonomiczną szansą i wnoszą do budżetu wielokrotność tego, co wydaje się na pomoc socjalna dla nich. Chodzi o ściganie się z Konfederacją o iluzoryczne, obawiam się, słupki poparcia.

Innym wielkim, niezałatwionym tematem są prawa kobiet. Włodzimierz Czarzasty z Nowej Lewicy zapowiedział w ubiegłym tygodniu, że Sejm zajmie się jeszcze w tym roku projektem dekryminalizującym dostęp do zabiegów przerywania ciąży oraz prawem do aborcji na życzenie do 12. tygodnia. Zmobilizowane kobiety dały trzy lata temu zwycięstwo Koalicji 15 Października. A jak będzie za rok?

– Wie pan, nie chcę się bawić w jakieś wróżby. Jeśli chodzi o mnie, to mimo pretensji, jakie mam wobec obecnej władzy, pójdę do wyborów i najpewniej zagłosuję na partie lewicowe. Rozumiem jednak ludzi, którzy nie widzą tak wyraźnie, jak ja, nadciągającej fali faszyzmu a są głęboko rozczarowani obecną polityką.

Joanna Szczepkowska, zasłużona aktorka i znana aktywistka, powiedziała mi, że dzisiaj nie wolno krytykować rządu, ponieważ stawką jest wygrana w 2027 roku. Dodała, że po zwycięstwie będziemy rozliczać premiera z każdej obietnicy złożonej przed wyborami. Dobra strategia?

– Podziwiam wytrwałość Joanny, która codziennie na Facebooku komentuje wydarzenia polityczne i opowiada o sukcesach obecnego rządu lepiej od rzecznika prasowego. Ale umówmy się, nie wszystkich wyborców z 2023 roku uda się zmobilizować Donaldowi Tuskowi, jeśli nie zmieni przynajmniej sposobu komunikacji.

No ale w jaki sposób koalicja rządząca może wytłumaczyć, że po Czarnych Protestach i zaostrzeniu prawa aborcyjnego przez PiS opuściła kobiety?

– Trzeba było głosować na lewicę. Liderzy Trzeciej Drogi od samego początku mówili, że są przeciwko liberalizacji prawa aborcyjnego.

Nie zgodzę się. Ostatnio jeden z liderów koalicyjnych opowiadał mi, że z dzisiejszej perspektywy mogli wpisać wszystko do umowy i załatwić sprawę aborcji w pierwszym miesiącu po objęciu władzy. Ludzie PSL i Polski 2050 zgodziliby się na to, ponieważ chcieli rządzić.

– Czyli popełniono kardynalny taktyczny błąd, ale umówmy się: prezydent Duda i tak nie podpisałby tej ustawy.

Ale chodzi o symbol.

– Chodzi o zmianę prawa, a nie o puste gesty.

Słyszę w rządzie uspokajającą opowieść, że nastroje społeczne za chwilę się zmienią, ludzie zobaczą niebezpieczeństwo skrajnej prawicy i liberalizm wróci do łask. Pani wierzy w tę zmianę?

– Nie. W tej chwili spadamy w głęboką przepaść prawicowego szaleństwa, a na zły czas dla świata składa się też nieposkromiony rozwój sztucznej inteligencji generujący jeszcze większy populizm, polaryzacje, pogardę i strach. Bez jakieś katastrofy nie nastąpi zmiana.

Wojna musi wybuchnąć?

– Myślę, że tak, ponieważ nagromadzenie bezradności, frustracji i agresji jest zbyt wielkie. I nie wiem, kto mógłby je rozładować.

Dzieci biegają z nożami po szkołach, czego nie można łatwo zwalić na działalność rosyjskiej agentury. Owszem, ona jest skuteczna w puszczaniu dreszczy, jak to opisał Dostojewski w „Biesach", ale i bez jej wkładu dzieciaki są zagubione, samotne, odklejone od rzeczywistości. Więc zakładają kamery na kask i biegną do szkoły zabić nieznajomą kobietę. A wokół tych dzieci mamy klasę średnią, której chodzi głównie o zachowanie statusu i komfortowego stylu życia, wsobną, egoistyczną jak w ostatnich filmach Zwiagincewa.

Wie pan, jakie jest najważniejsze hasło w wyborach francuskich? *Pouvoir d'achat*, czyli siła nabywcza, pod którą kryje się namiętność konsumencka. Ludzie mogą kupić mniej rzeczy, więc głosują na populistów, którzy obiecują im lepsze życie. Ale którzy nie uchronią ich przed nadciągającymi kryzysami, bo w ogóle się nimi nie zajmują.

Mają też mniej pieniędzy na czynsz, na prąd, na wypoczynek. Ale akurat Polska nie biednieje, tylko się bogaci. Owszem, wciąż są grupy wykluczone, niemniej dołączyliśmy do grupy G20. Zapracowaliśmy – jak przekonują zgodnie premier i prezydent – własnymi rękami na sukces gospodarczy. Ale zamiast spokojnie cieszyć się bogactwem i dzielić się nim z innymi, urządzamy internetowe łapanki na Ukraińców. O co tu chodzi?

– Prawdopodobnie czujemy, że to wszystko – nasz sukces, majętność, wakacje za granicą – opiera się na glinianych nogach. Jesteśmy niepewni, boimy się, że to stracimy. Uważamy, że nasze pieniądze się rozpłyną, nie chcemy ich dzielić z migrantami.

Mam wrażenie, że w tym chaotycznym świecie coraz częściej nie jesteśmy w stanie oddzielić realnych zagrożeń – jak katastrofa klimatyczna, rozwój sztucznej inteligencji czy imperialne plany Putina – od tych wymyślonych czy nakręconych przez algorytmy. W konsekwencji nie potrafimy – jako społeczeństwo i klasa polityczna – przedstawić racjonalnej odpowiedzi na prawdziwe problemy. Zajmujemy się fantasmagoriami, wierzymy, że uratuje nas wielki mur na granicy albo powszechny dostęp do broni.

Mówi pani, że Trzaskowski jako prezydent mógł wspólnie z rządem zreformować kraj. A jak pani ocenia Karola Nawrockiego?

– Jego cel jest jasny: chce obalić rząd Tuska. Ale jaki ma plan na „dzień po"? Co oni nam właściwie obiecują? Powiem to bardzo wyraźnie: będzie jeszcze gorzej niż przed 2023 rokiem. Tak jak Donald Trump 2.0 jest radykalniejszy od Trumpa z pierwszej kadencji i znacznie niebezpieczniejszy dla świata od G.W. Busha, który 25 lat temu wydawał się groźnym antydemokratycznym politykiem, rozpętującym niepotrzebne wojny, tak i Kaczyński w nowej wersji nie będzie miał już żadnego oporu przed zrealizowaniem swojej wizji państwa. Z użyciem wszelkich środków.

Czyli trafimy wszyscy do więzienia?

– Istnieje takie prawdopodobieństwo. Nie chcę fantazjować na ten temat.

Czy partia Grzegorza Brauna powinna zostać zdelegalizowana?

– Absolutnie tak. Brak powagi w egzekwowaniu prawa konstytucyjnego jest czymś, co osłabia zaufanie do państwa.

A pani też miała przekonanie, że po 15 października 2023 politycy PiS, którzy okradali państwo, zostaną rozliczeni?

– Przypuszczałam, że to będzie trudne. Choć zaskoczyło mnie, że partie demokratyczne nie były przygotowane do rządzenia w trudnych warunkach zabetonowanej prokuratury, z podzielonym środowiskiem sędziowskim, przejętymi instytucjami, z niesprzyjającym prezydentem. Nie mieli pomysłów ani strategii, co wyraźnie widać po trzech latach rządów, rozgrzebanych śledztwach i rozliczeniach ekipy Kaczyńskiego. Koalicja naprawdę wierzyła, że wystarczy wygrać wybory prezydenckie i wszystko się samo naprawi.

Powiedziała mi pani na początku o nadziei. Co się z nią stało?

– Przeżyliśmy wiele rozczarowań, zawiedliśmy się na politykach, zmarnowano sporo czasu, ale jednocześnie nie możemy zapominać, że nikt nas przez te trzy lata nie trzymał za gardło, atmosfera w kraju się poprawiła, mamy dobre relacje z Europą, z mediów publicznych nie sączy się nienawistna propaganda.

Jakie stawia pani zadania politykom na rok przed wyborami?

– Na pewno dałabym wielu środowiskom – ludziom kultury, naukowcom, działaczom społecznym, samorządowcom, mediom – więcej podmiotowości, pieniędzy, sprawczości. Czekam też na polityków, którzy będą odważni i zdeterminowani, którzy będą poważnie mówić o świecie wartości.

Wiem też, że strona demokratyczna nie może opierać się wyłącznie na Donaldzie Tusku, który od pięciu lat jest w wieku emerytalnym.

Ale Karol Nawrocki jest młody!

– Ale został wymyślony przez emeryta, prawda?

Życzę sobie, byśmy mierzyli się z prawdziwymi kryzysami, życzę sobie odnowienia, demokracji, szerokiego dialogu społecznego, uczciwości, empatii, odwagi i więcej młodości i wyobraźni w sztuce i w polityce.

Bo tylko twórcza wyobraźnia i wiara, że zło i nienawiść nie są bezalternatywne, może nas uratować. ●

eprasa.pl a960e54702

Niewypał

Czy Polska potrzebuje więcej broni palnej? A może jednak więcej rozumu?



Marcin Matczak

Karol Nawrocki ma ewidentnego pecha. 25 września, w czasie otwarcia strzelnicy w Bogutach-Piankach, zaproponował, aby Polacy rozpoczęli ogólnonarodową dyskusję o dostępie do broni, ponieważ Polska ma zbyt mało uzbrojonych obywateli. A na początku października rozpoczęła się seria ataków w szkołach, przeprowadzonych przez młodych, uzbrojonych obywateli. Tyle że oni byli uzbrojeni w noże, a prezydent chce, żebyśmy rozmawiali o dostępie do broni palnej.

To, co zdarzyło się w szkołach, nie ma żadnego związku z tym, co powiedział prezydent. Jest zwykłym zbiegiem okoliczności. Stanowi jednak poważny argument, żeby dostępu do broni nie rozszerzać. Gdyby atakujący zamiast noży mieli do dyspozycji zabraną z domu broń palną, ta tragedia byłaby nieporównywalnie większa.

Nie bez przyczyny Stany Zjednoczone, które dzięki zapisanemu w konstytucji prawu do noszenia broni mają jedne z najbardziej liberalnych na świecie regulacji w tej kwestii, mają jednocześnie największą liczbę masakr szkolnych. Badania nad szkolnymi strzelaninami dokonywanymi przez nieletnich wykazały, że wśród tych przypadków, w których udało się ustalić źródło broni, w 60 proc. pochodziła ona z domu sprawcy. Najczęściej należała do rodzica lub opiekuna.

●

Ktoś powie, że Karol Nawrocki mówił o naśladowaniu w dostępie do broni nie USA, ale Europy: Finlandii, Czech czy Szwajcarii. Ale i tam strzelaniny w szkołach się zdarzały – w Finlandii w 2007 r. (ośmioro zabitych), w 2008 r. (dziesięcioro) i w 2024 r., kiedy 12-latek zastrzelił szkolnego kolegę z rewolweru, który zabrał swojemu dziadkowi. W 2023 r. na Uniwersytecie Karola w Pradze w strzelaninie zginęło 14 osób.

Skąd prezydent wie, że Polacy w tej kwestii zachowają się jak Szwajcarzy, gdzie dostęp do broni jest szeroki, a szkolnych strzelanin nie ma, a nie Brazylijczycy? Za prezydentury Jaira Bolsonaro znacznie ułatwiono dostęp do broni palnej.

Z 36 ataków w szkołach w latach 2001-23 ponad połowa zdarzyła się w latach 2022-23.

Myślę, że Karol Nawrocki się nad tym nie zastanawia. Jest po prostu zajęty naśladowaniem Donalda Trumpa i innych pozornych strongmanów, takich jak Bolsonaro, w narzucaniu obywatelom wizji świata, która jest wojną wszystkich ze wszystkimi. To wizja Hobbesa, przedstawiająca świat, gdzie człowiek człowiekowi jest wilkiem. Podoba się ona w szczególności ludziom, którzy stracili poczucie sprawczości, ponieważ siła i przemoc są dla nich kuszącą obietnicą przywrócenia tej sprawczości.

W tej politycznej estetyce zadziwiająco często pojawia się narzędzie, które pozwala ominąć perswazję i natychmiast zmienić świat: zgasić, wyciąć, uderzyć. Gaśnica Brauna, piła mechaniczna prezydenta Argentyny Javiera Milei czy też rękawice bokserskie, które kogoś uderzą i ten ktoś, kto stał, będzie leżał (to też nagła zmiana w świecie). Ci sami ludzie nie chcą już rozmawiać, ale raczej masakrować przeciwnika słowem albo zaorać go językowym pługiem.

Dlatego Karol Nawrocki z wszystkich rzeczy, które polityk może swojemu krajowi zaproponować, proponuje militaryzację życia publicznego. Militaryzację, która prowadzi do brutalizacji tego życia.

Co będzie następne? Czy jeśli w Polsce, nie daj Boże, zwiększyłaby się liczba śmiertelnych ataków w szkołach, kolejną propozycją (która już się pojawiała) będzie znaczne obniżenie wieku karalności? A potem co? Zaproszenie do ogólnonarodowej dyskusji o rozszerzonym dostępie do kary śmierci, w której zatroskany prezydent stwierdzi, że Polska odstaje pod względem liczby wykonywanych egzekucji w porównaniu z innymi państwami? Propozycja, żeby wykonywać tę karę śmierci spektakularnie, przez rozstrzelanie? Pete Hegseth, sekretarz obrony w rządzie Trumpa, zaproponował ostatnio taką formę, dodając, że egzekucja będzie publicznie transmitowana.

Brutalizacja życia publicznego zmienia ludzkie rozumienie sprawiedliwości. Kiedy państwo mówi o broni, rekomenduje broń i przyzwala na nią, a w szczególności, gdy pokazuje, że można zabić w celu przywrócenia sprawiedliwości, ludzie myślą, że także w ich codziennych porachunkach przemoc jest normalną odpowiedzią na rzeczywistą albo tylko postrzeganą krzywdę.

Masakr w szkołach dokonują osoby, które są głęboko przekonane, że ktoś na przemoc zasługuje i że ona jest naturalnym sposobem przywracania równowagi w świecie. Także z tego powodu promocji takiej wizji świata trzeba jak ognia unikać.

●

Niestety, prezydent Nawrocki militaryzacji życia publicznego nie unika. Ze wszystkich wskaźników, w których Polska odstaje od innych państw europejskich, chce zmniejszyć różnicę właśnie w kwestii posiadania broni. Nie na przykład w zakresie liczby Polaków, którzy kształcą się przez całe życie. Robi to 10 proc. dorosłych Polaków, w porównaniu z prawie 30 proc. Finów. Dlaczego mielibyśmy naśladować ich w dostępie do broni, a nie ich kulturze edukacyjnej?

W czasie inauguracji roku akademickiego w Akademii Ryszarda Łazarskiego wspominaliśmy ostatnio jej założyciela w 100. rocznicę jego urodzin. „Uczelnia marzeniem powstańca" to hasło, które można odczytać przed budynkiem Akademii. Dlaczego Ryszard Łazarski, który walczył i został ranny w Powstaniu Warszawskim, a więc był prawdziwym, nie udawanym, wojownikiem, marzył o zbudowaniu szkoły wyższej, a nie, przykładowo, fabryki granatów?

Gdyby atakujący zamiast noży mieli zabraną z domu broń palną, ta tragedia byłaby nieporównywalnie większa

Politycy, zwłaszcza prezydenci, nadają ton życiu społecznemu. Nasz prezydent w tym zakresie zbyt poddańczo naśladuje Donalda Trumpa i jego wizję świata, w której rozwiązaniem każdego problemu jest siła.

Warto, jak sądzę, spojrzeć jednak na życie publiczne w Polsce inaczej. Polska rosła i rośnie dlatego, że w ostatnich 40 latach potrafiliśmy współpracować ze sobą i z innymi, a nie grozić sobie wzajemnie bronią.

A o naszym bezpieczeństwie nie decyduje liczba sztuk broni palnej, przy użyciu której zdarza się ludziom pomylić człowieka z dzikiem, ale nasze członkostwo w NATO. Ono nie zostało wywalczone na placu boju, ale wynegocjowane przez dobrze wykształconych ludzi w gabinetach dyplomatycznych. I ci ludzie, tacy jak Krzysztof Skubiszewski czy Bronisław Geremek, nie używali do tego ani broni, ani piły mechanicznej, ani nawet rękawic bokserskich, tylko swojej głowy. ●

„Przegięcie"

Od dawna Sławomir Mentzen stosuje strategię rodem z przedszkola, kiedy dziecko mówi: „Tak, Konradek przyłożył Justynce, ale to ona zaczęła! Wiadomo, jaka ona jest".



Michał Rusinek

Po haniebnej odzywce w Sejmie posła Nowej Nadziei Konrada Berkowicza do Justyny Dobrosz-Oracz [7 października br. zapytany przez dziennikarkę TVP Info, czy był w wojsku, odpowiedział m.in.: „Poza tym rozmawiam z dziennikarzami, a nie z kurtyzanami"] pojawiła się w mediach informacja, że przewodniczący partii Sławomir Mentzen skrytykował zachowanie kolegi. Napawa to, nomen omen, nadzieją, że są jeszcze jakieś standardy zachowań i nieprzekraczalne granice.

Wnikliwa lektura słów Mentzena dowodzi jednak, że jest to nadzieja płonna, a dziennikarze nie doczytali tego, co i jak naprawdę napisał on w serwisie X.

Przytoczmy całą jego wypowiedź: „Dobrosz-Oracz jest oczywiście obrzydliwą propagandystką, myślę o niej jak najgorzej, uważam, że szkodzi debacie publicznej i w żadnym wypadku nie powinna być brana poważnie. Ale Konrad Berkowicz oczywiście przegiął, te słowa nigdy nie powinny paść. Jutro mamy debatę budżetową, będziemy mówić o zbliżającej się katastrofie. To jest znacznie ważniejsze od tego, jak kto kogo obraził".

Owszem, pada tu sformułowanie – dość zresztą potoczne – „przegiąć", podszyte metaforyką materiałoznawczą, które można przetłumaczyć za pomocą innych metaforycznych określeń jako przeciągnięcie struny, pójście o krok za daleko, przebranie miarki lub przesadzenie, czyli metafora przypominająca, że jesteśmy narodem, któremu bliska jest ziemia uprawna.

„Przegiął" to rzeczywiście wyraz krytyki, ale jakby osłabionej, bo to nie tylko określenie potoczne, ale i dzisiaj już słabe. Nawet „przegięcie pały", choć brzmi wulgarnie, określa dość łagodnie wyjście poza oczekiwane konwenanse, zwykle dla zgrywy.

●

Ale po kolei. Mentzen rozpoczyna od charakterystyki osoby, wobec której padły obraźliwe słowa: że jest obrzydliwą propagandystką i że szkodzi debacie publicznej. Daje więc do zrozumienia, że taką osobę można, a nawet należy traktować źle.

Owszem, może to i Berkowicz się źle zachował, ale Dobrosz-Oracz zachowuje się o wiele gorzej, więc zasłużyła na atak. Ba, może i go nawet sprowokowała, bo ileż złośliwych pytań można wytrzymać? Przegiął, zgoda, ale przypomnijcie sobie, co ona wyprawia, i to od dawna. Mentzen stosuje strategię rodem z przedszkola, kiedy dziecko mówi: „Tak, Konradek przyłożył Justynce, ale to ona zaczęła! Wiadomo, jaka ona jest".

●

„A zresztą, proszę pani, w naszym przedszkolu dzieją się rzeczy jeszcze gorsze" – mówi dalej Sławek, stosując strategię: zaatakować ofiarę, zbagatelizować czyn agresora i przenieść dyskusję na inny temat, marginalizując samo zdarzenie.

Otóż toczy się przecież debata nad budżetem, w czasie której mówić się będzie o sprawach dla ojczyzny fundamentalnych, a on, Mentzen, będzie mógł się posłużyć w tej debacie swoją ulubioną metaforą zbliżającej się katastrofy „Titanica" nawiązującą do słynnej alegorii ks. Skargi.

W metaforę tę nawet coś niecoś zainwestował, bo wyprodukował za pomocą sztucznej inteligencji stosowny filmik, na którym kapitan Tusk i pierwszy oficer Domański piją szampana, potem dochodzi do – przewidzianego przez zagłuszanego przez nich Mentzena – zderzenia z górą lodową. Statek idzie na dno, a kapitan z pierwszym oficerem dalej piją szampana, tym razem w szalupie ratunkowej, w której znajduje się także tajemnicza beczka z flagą Unii Europejskiej. No więc my się tu zajmujemy jakimiś bzdurnymi aferami, a są rzeczy większej wagi.

●

W wypowiedzi Sławomira Mentzena kluczowe jest jednak inne stwierdzenie: że Justyna Dobrosz-Oracz „w żadnym wypadku nie powinna być brana poważnie". Winą Berkowicza nie było to, że zachował się skandalicznie wobec dziennikarki wykonującej swoją pracę, ale to, że potraktował ją poważnie.

Słowa, których użył Berkowicz, „nie powinny były paść" nie dlatego, że nie wolno nikomu, zwłaszcza politykowi, zwracać się w ten sposób do dziennikarki, kobiety, drugiej osoby. Berkowicz „przegiął", bo potraktował tę osobę poważnie, a ona – zdaniem Mentzena – nawet na to nie zasługuje. Niewykluczone, że kobiety, zdaniem Mentzena, w ogóle nie zasługują na to, by je traktować poważnie: nie tylko w policji, ale też w polityce czy mediach. Tę kwestię jednak zostawmy jego terapeucie (bo raczej nie terapeutce).

Owszem, Mentzen dołącza się do dość powszechnej fali oburzenia na Berkowicza, ale oburza się z innego powodu niż większość zabierających głos w tej sprawie. Jest to więc – wbrew interpretacjom wielu mediów – tylko pozorne przyznanie im racji i zaledwie groteskowa krytyka zachowania innego posła.

No dobrze, zdaje się mówić Mentzen, potępiam słowa partyjnego kolegi, ale z innego powodu niż wy. I to czyni jego wypowiedź jeszcze bardziej skandaliczną niż słowa Berkowicza. ●

eprasa.pl a960e54702

ŚWIAT

PO PROSTU *ich zastrzelimy*



Nie będzie powtórki z Ukrainy. Nie straszmy inwazją, tylko tłumaczmy ludziom, jak ta wojna wygląda i jak będzie wyglądała – proszą sojusznicy z krajów frontowych NATO

Mateusz Mazzini

Błagam, przestańmy wreszcie używać sformułowania „zielone ludziki". Wszyscy doskonale wiemy, że na Krymie w 2014 roku pojawili się rosyjscy komandosi. Nie ma znaczenia, w co byli ubrani – mówi mi Marko Mihkelson, członek Estońskiej Partii Reform i przewodniczący komisji spraw zagranicznych tamtejszego parlamentu.

Kiedy piszę do niego z prośbą o rozmowę na temat oceny zagrożenia ze strony Rosji w jego kraju, zgadza się bez wahania. Ale kiedy usiłuję go wypytać o operację pod fałszywą flagą czy stworzenie przez Rosjan marionetkowej republiki w krajach bałtyckich – na przykład w estońskiej Narwie – w jego głosie natychmiast pojawia się irytacja.

– My ten scenariusz doskonale znamy – tłumaczy Mihkelson. – Badamy go od dwunastu lat. Porównywanie tego, co stało się w Doniecku, Ługańsku czy na Krymie, z dzisiejszą sytuacją w krajach bałtyckich nie ma sensu. Po pierwsze, Rosjanie nie będą drugi raz próbować tego samego ruchu, wymyślą coś nowego. Po drugie, wystarczy spojrzeć na mapę. Wschód Ukrainy jest płaskim stepem, nie ma specjalnej różnicy w ukształtowaniu terenu pomiędzy stroną rosyjską a ukraińską. Nas w Narwie dzieli rzeka, kraje bałtyckie są gęsto zalesione, to nie jest autostrada dla rosyjskich czołgów.

Mihkelson kilkukrotnie apeluje, byśmy przestali nabierać się na scenariusz z Republiką Narwy. Daje mi też do zrozumienia, że estońskie służby wywiadowcze mają sytuację pod kontrolą i wiedzą, czego się spodziewać. A gdyby ktoś rzeczywiście przekroczył granicę na wysokości Narwy – w oficjalnych mundurach lub bez – Estończycy wiedzą, co zrobią. Po prostu otworzą ogień.

Szef komisji spraw zagranicznych Riigikogu – jak nazywa się parlament Estonii – nie jest jedynym, który w ten sposób rozwiewa wątpliwości na temat jednego z najczęściej powielanych w europejskich mediach scenariuszy rosyjskiej eskalacji przeciwko NATO.

Również Łotysze komunikują sojusznikom z NATO, że granicę monitorują na bieżąco – i od wielu tygodni ich ocena konwencjonalnego zagrożenia nie uległa żadnej zmianie.

Łotewski dyplomata wysokiego szczebla, zajmujący się między innymi kontaktami z innymi członkami Sojuszu, potwierdza mi, że poza presją migracyjną z kierunku białoruskiego Łotysze nie obawiają się w tej chwili niczego, co związane z naruszeniem ich suwerenności terytorialnej.

W nieoficjalnych rozmowach dyplomaci z krajów bałtyckich proszą też partnerów – w tym polski rząd – o wstrzymanie się z komentarzami dotyczącymi „rychłej inwazji" na ten obszar Europy. Już teraz szkodzi to bowiem ich gospodarkom – nie tylko zagraniczni inwestorzy zaczynają się wycofywać z planowanych działań, nawet krajowi biznesmeni zaczynają mieć wątpliwości, co robić. Mój łotewski rozmówca mówi wręcz, że na wschodzie jego kraju „aktywność gospodarcza zaczyna zamierać".

●

Od kilkunastu tygodni Kreml rzeczywiście eskaluje działania ofensywne, kalibrując je przy tym tak, by pod żadnym pozorem nie zostały uznane za wypowiedzenie otwartej wojny. O ile w poprzednich latach dające się przypisać Rosji akty sabotażu, podpalenia, wymuszone awarie w obiektach infrastruktury krytycznej były sporadyczne i skoncentrowane na krajach przyfrontowych, w ostatnich miesiącach stały się prawie codzienną rzeczywistością większości europejskich krajów NATO.

Agencja Associated Press, która monitoruje wszystkie podprogowe działania Rosji w Europie od początku pełnoskalowej inwazji na Ukrainę w lutym 2022 roku, twierdzi, że tylko pomiędzy grudniem 2025 a wrześniem 2026 doszło do 55 aktów sabotażu, za którymi stał Kreml. Łącznie to już przeszło 200 przypadków w ostatnich czterech latach. A mowa tylko o tych, które bezsprzecznie da się powiązać z Moskwą. I przede wszystkim – o których w ogóle wiadomo.

W rezultacie do debaty publicznej w Europie wrócił na poważnie temat wojny. Samym tym słowem – „wojna" – politycy i publicyści zaczęli szafować na lewo i prawo, często powodując efekt odwrotny do zamierzonego. Zamiast zmobilizować czytelników i obywateli, zachęcić do wzmożonej czujności lub po prostu do zwykłych przygotowań na wypadek kryzysu, liderzy opinii wywoływali albo panikę, albo zwykły chaos informacyjny. Nie trzeba przypominać, że takie działanie jest całkowicie spójne z podstawowymi założeniami rosyjskiej doktryny wojny kognitywnej.

Tymczasem rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana, tak samo, jak skomplikowane stało się znaczenie słowa „wojna". Dlatego przez ostatnie tygodnie rozmawiałem z kilkunastoma politykami, ekspertami, byłymi i obecnymi oficerami służb oraz tak zwanymi *Russia Watchers* – ludźmi, którzy uprawiają współczesną wersję kremlinologii stosowanej.

Moi rozmówcy pochodzili z różnych krajów i zwracali uwagę na inne aspekty działań Rosji. Część z nich zgo-

eprasa.pl a960e54702

działa się na udział w tym tekście pod warunkiem zachowania anonimowości, ponieważ są czynnymi funkcjonariuszami służb lub urzędnikami. Swoje wypowiedzi potwierdzali, udostępniając dokumenty i zrzuty ekranów z konwersacji pomiędzy europejskimi sojusznikami.

Wszyscy byli zgodni co do jednego: Kreml stanowi egzystencjalne zagrożenie dla powojennego porządku politycznego w Europie. Co więcej, to zagrożenie nie zniknie przez najbliższe kilka, może nawet kilkanaście lat, bo Putin nie kalkuluje zgodnie z zachodnią logiką, nie jest poddany żadnej presji wyborczej, a jego apatyczne, bierne społeczeństwo jest przygotowane na wojnę trwającą w nieskończoność.

Problem w tym, że zdecydowana większość elit politycznych najwyższego szczebla w NATO i Unii Europejskiej – zwłaszcza tych z zachodu Europy i drugiej strony Atlantyku – kompletnie nie rozumie, co kryje się za tą konstatacją.

Największym zagrożeniem dla Sojuszu nie jest kolumna rosyjskich czołgów wdzierająca się na terytorium Polski, Litwy czy Finlandii. Jest nim niezgoda co do oceny sytuacji i tego, do czego zdolny jest Putin.

●

– Gdyby Rosja naprawdę chciała uderzyć na kraje NATO w obszarze Morza Bałtyckiego, siły sojusznicze natychmiast zostałyby przerzucone na wschodnią flankę – w zależności od rozwoju sytuacji, żeby Rosjan odstraszyć albo żeby bronić terytorium Sojuszu. W takim scenariuszu Czechy odgrywają rolę kluczowego państwa tranzytowego oraz miejsca na zgrupowanie sił z innych krajów – twierdzi Jakub Janda.

– Dlatego największym ryzykiem dla nas jest możliwość sabotażu cybernetycznego ze strony Rosji i Chin, co mogłoby doprowadzić na przykład do zakłócania sygnałów GPS. To ograniczyłoby rolę Czech w całym procesie planowania obrony – ocenia dyrektor wykonawczy European Values Center for Security Policy (EVC), praskiego think-tanku zajmującego się obronnością.

Prosi o przesłanie pytań na temat czeskiej oceny ryzyka drogą mailową, bo aktualnie jest w trakcie cyklicznego dwutygodniowego treningu wojskowego. Jest też oficerem rezerwy, służy w Czeskim Dowództwie Cyberprzestrzeni i Walki Informacyjnej.

Janda nie ma wątpliwości, że obecny klimat polityczny i układ sił w jego państwie nie sprzyja zwiększeniu odporności Czech na ewentualny konflikt. Pisze wręcz, że „premier Andrej Babiš wypiera konieczność natychmiastowego zajęcia się rosyjskim zagrożeniem". Problemem jest też fakt, że Kierowcy dla Siebie, skrajnie prawicowe ugrupowanie wchodzące w skład koalicji rządzącej, kieruje Ministerstwem Obrony. Janda nazywa ich otwarcie formacją prorosyjską. Przez to „z szeregów koalicji nie wychodzi żaden impuls polityczny do przygotowania społeczeństwa do konfliktu".

Po drugiej stronie barykady stoi prezydent kraju, Petr Pavel. Były wojskowy, generał, wysokiej rangi urzędnik struktur NATO, trzeźwy realista, stoi na stanowisku, że Ukrainę trzeba wspierać, jak tylko się da, bo Rosja się tam nie zatrzyma. Wspiera go kontrolowany przez prozachodnią opozycję Senat i sporo organizacji społeczeństwa obywatelskiego oraz podmiotów z sektora pozarządowego – jak EVC.

Ich energia często jednak przepala się w wewnętrznych sporach politycznych – co jest o tyle martwiące, że według Jandy Czesi mogą spojrzeć w lustro i powiedzieć: Rosja już tu jest. – Rosyjski wywiad, szpiedzy, agenci wpływu, ludzie przygotowujący akty sabotażu – oni wszyscy są w Czechach i zachowują wysoki poziom aktywności – mówi. – Póki co udaje się ich zneutralizować, bo nasz kontrwywiad stawia naprawdę silny opór.

●

– Bardzo dobrze, że robicie taki materiał. Musimy polepszyć komunikację, a z poziomu rządowego to bardzo trudne. Zwłaszcza kiedy musimy przekazać nasz punkt widzenia innym krajom. Potrzebujemy was, sami tego nie zrobimy – mówi mi Alexander, wysoki rangą doradca do spraw bezpieczeństwa szwedzkiego rządu. Na samym początku rozmowy prosi o zmianę imienia, po czym podkreśla dwie rzeczy.

Po pierwsze – jak ważna w neutralizowaniu rosyjskiego zagrożenia jest rola mediów. Opowiada, jak często rozmawia z dziennikarzami z Danii i Finlandii, bo współpraca informacyjna rządów i instytucji obronnych krajów nordyckich z tamtejszymi redakcjami jest częścią skandynawskiej strategii bezpieczeństwa.

Po drugie – przypomina mi, że choć w jego kraju niedawno były wybory parlamentarne i prawicowy rząd Ulfa Kristerssona niedługo zastąpią Socjaldemokraci pod przywództwem Magdaleny Andersson, w kwestiach obronności wszystko zostanie po staremu. – I tak możemy rozmawiać, nawet jeśli w tej chwili reprezentuję rząd przejściowy. Bezpieczeństwo narodowe nie podlega u nas debatom politycznym, mamy co do tego ponadpartyjny konsensus. Nawet jak wejdzie nowa ekipa, nic z tego, co ci teraz powiem, nie ulegnie zmianie.

Następnie Alexander tłumaczy, dlaczego stanowisko jego kraju różni się i od tego, co komunikują Estończycy oraz Łotysze, i od tego, co mówi premier Donald Tusk.

– Cały problem wewnątrz NATO polega na tym, że rzeczywiście różnimy się co do oceny ryzyka. Ale to naturalne, bo naprawdę w każdym kraju dzieje się co innego i co innego nam grozi. My nie jesteśmy Finlandią, nie mamy tysiąca kilometrów granicy z Rosją, więc ryzyko inwazji lądowej nie jest pierwszym scenariuszem, który analizujemy – zauważa. – Spośród wszystkich krajów w basenie Morza Bałtyckiego jesteśmy gdzieś na środku spektrum. Najostrzejsi jesteście wy i Bałtowie, może też Niemcy. Ale na drugim krańcu jest Alexander Stubb, czyli prezydent właśnie Finlandii, który mówi wręcz, żeby się wyluzować i pójść na saunę. Sam widzisz, jak ciężko o wspólny, spójny przekaz.

Priorytetem dla Szwedów jest teraz zabezpieczenie własnego podwórka. Nie są krajem przyfrontowym, nie notują też – przynajmniej w tej chwili – ataków i aktów sabotażu na miarę tego, co dzieje się w Polsce czy w Niemczech. Alexander wręcz stwierdza, że „u nas drugiego Lipska nie było i pewnie nie będzie", nawiązując do znalezionych na lotnisku w tym niemieckim mieście dronów uzbrojonych w materiały wybuchowe. Niewiele brakowały, by udało im się uszkodzić samoloty przewożące pomoc dla Ukrainy.

Szwedzki słaby punkt i powód do niepokoju znajduje się nie na lądzie, ale na morzu. A dokładniej – na jego dnie. Tu Alexander nagle zmienia ton na znacznie poważniejszy. – W tej chwili jest spokój, ale rok temu przeżywaliśmy szczyt mniej lub bardziej udanych prób sabotowania naszej infrastruktury internetowej i telekomunikacyjnej na Bałtyku. Morze Bałtyckie jest zachodnim oknem na świat dla Putina, więc wojna przeniosła się tutaj już dawno temu, od całych flot cieni poczynając. Nie przypadkiem kilkukrotnie zdecydowaliśmy się na abordaż. Niech Rosjanie widzą.

◀ Poligon w Sirgali w Estonii. Żołnierka z kompanii przeciwpancernej 1. Brygady Piechoty na ćwiczeniach z użyciem ostrej amunicji, luty 2026 r.
FOT. OTT ARO/ESTONIAN DEFENCE FORCES

Od wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie regularnie słychać o sporej aktywności przyfrontowej MI6. Efektywną działalność wywiadowczą potwierdzają informatorzy w sojuszniczych służbach

Szwedzi doskonale znają Bałtyk, patrolują go na powierzchni i z powietrza, sami i w ramach misji sojuszniczych. Więc nie przesadzają, kiedy mówią, że Rosjan na Bałtyku jest pełno. Co rząd w Sztokholmie martwi nie tylko dlatego, że to ich podwórko. Jak mówi Alexander, bezpieczeństwo na naszym morzu ma wpływ na całą środkową i wschodnią Europę. – To, co oni robią na Bałtyku, dotyczy wszystkich. Nas, was, Estończyków, nawet Rumunów i Mołdawię. Nie możemy Rosjanom pozwolić na eskalację, bo uruchomi się domino. Widzimy, co się dzieje z dala od naszych granic. Rosjanie naciskają na obszary przygraniczne, atakują przejścia, rozpychają się na zachód. Musimy pilnować swojego kawałka, żeby nie dać się zaskoczyć i w razie czego wesprzeć innych.

Co ważne, w przypadku Szwecji „pilnowanie własnego kawałka" oznacza czujność i gotowość nie tylko stricte militarną. Również refleks w rozpoznawaniu hybrydowych metod Rosjan i ich neutralizowaniu.

Na początku września portal POLITICO poinformował, że rząd Kristerssona szykuje się do zmian prawnych pozwalających wywłaszczać nieruchomości należące do obywateli Federacji Rosyjskiej. Rosjanie mogą sobie mieć mieszkanie czy daczę nad szwedzkim jeziorem – ale taka dacza nie ma prawa znajdować się w bezpośrednim sąsiedztwie instalacji i obiektów wojskowych. A według szwedzkiej Narodowej Agencji Badań nad Bezpieczeństwem (FOI) takich nieruchomości w całym kraju może być aż 247.

– Zidentyfikowaliśmy na przykład dwójkę Rosjan, którzy mieli domek letniskowy dosłownie obok bazy lotnictwa pod Sztokholmem. Nikt nie powinien tam mieszkać – a już na pewno nie Rosjanie – mówi Alexander.

Opowiada też o historii sprzed kilku tygodni, kiedy na parkingu nieopodal letniej nieruchomości prezesa koncernu SAAB, Micaela Johanssona, w tej chwili najważniejszej osoby w nie tylko szwedzkim sektorze zbrojeniowym, znaleziono kampera rosyjskich „turystów". Służby natychmiast ich wylegitymowały – okazało się, że nie potrafili podać żadnego powodu, dla którego spędzali wakacje akurat w tym miejscu.

Rosja wysłała jasny przekaz: jesteśmy tu, wiemy, kto u was jest strategicznie ważny, śledzimy was 24/7. Czy z tym coś zrobimy? Może tak, może nie. Ale wy żyjcie w strachu, bo nigdy nie będziecie wiedzieć, do czego naprawdę się posuniemy.

Historia z „turystami" pod domem szefa globalnego koncernu zbrojeniowego doskonale wpisuje się w metodologię działania Kremla na terenie państw NATO. Nie chodzi o jakość, ale o ilość, bezczelność, bezpośredniość. Nie ma żadnego znaczenia, że szwedzkie służby znalazły dwójkę Rosjan w kamperze – w ten sposób nic nie udaremniono, zamach najpewniej nie był planowany. „Turyści" mieli zostać spaleni, dokładając cegiełkę do strategii zastraszania Zachodu. Koszt takich operacji jest właściwie zerowy, zwłaszcza z punktu widzenia olbrzymiego państwa, które na prowadzenie wojny i utrzymywanie gospodarki w trybie militarnym wydaje 40 proc. budżetu.

●

Kilka cywilnych tanich dronów i paczek w Lipsku. Kamper turystów w Szwecji. Kotwica zdezelowanego tankowca pływającego pod karaibską, anonimową banderą przypadkowo spuszczona w miejscu, gdzie po dnie przebiegają kable internetowe. Nastolatek zwerbowany na Telegramie, który dostaje tysiąc dolarów za rzucenie butelką z koktajlem Mołotowa przez płot fabryki dronów. Farma botów i fala treści wygenerowanych przez sztuczną inteligencję, która przepycha przez próg partię radykałów i destabilizuje rząd od środka. Fanatycy i cyniczni przedsiębiorcy polityczni nie muszą wygrywać wyborów, wystarczy, że dostaną kilka procent, a bez nich nie da się stworzyć koalicji. Protesty społeczne wybuchające z poważnych, realnych powodów, które nagle eskalują do poziomu walki z policją, bo w tłumie pojawia się kilku prowokatorów kilofami rozpruwających bankomaty i podpalających kosze na śmieci. Zamieszanie ze spisem wyborców w dwóch, maksymalnie trzech okręgach – ale wywołane w taki sposób, że podważa zaufanie do instytucji wyborczych i legalności wyborów w całym kraju. Cyberatak na szpital powiatowy. Amplifikowanie roszczeń sfrustrowanych mniejszości.

A nawet – wywoływanie i potęgowanie lęku poprzez zwyczajne nieustanne strasznie wojną, inwazją, zagładą nuklearną. Niech ludzie się niepokoją, niech z tyłu głowy czują niepokój, nawet jeśli pozornie przyzwyczaili się i żyją codziennymi sprawami. Może uda się wywołać większą panikę. A jeśli nie, to ciągłe napięcie, które obniża punkt zapłonu społecznych emocji, da się wykorzystać przy innej okazji.

To szczególnie niebezpieczna metoda dla krajów takich jak Polska – bo w naszym przypadku ryzyko bezpośredniej konfrontacji z Rosją naprawdę istnieje. Jeśli Ukraina padnie i dostanie się do rosyjskiej strefy wpływów, wzrośnie wykładniczo.

Tyle tylko, że w tej chwili nie ma żadnych dowodów świadczących o możliwości rychłego starcia konwencjonalnego. Problem – i nadzieje Rosjan – w tym, że jednocześnie większość Polaków tak właśnie rozumie wojnę: jako walki w okopach, czołgi na ulicach i tysiące zmobilizowanych żołnierzy. Mówiąc więc o „wojnie", trzeba każdorazowo tłumaczyć, jak ona dziś wygląda i co kto ma na myśli. Jako że skojarzenia są w Polsce jednoznaczne, nieprecyzyjna i zbyt pompatyczna komunikacja, także ze strony liberalnych publicystów i progresywnych mediów, zwiększa ryzyko paniki społecznej – i choć wypływa z dobrych chęci oraz autentycznego przejęcia, w praktyce ułatwia realizację strategii Kremla.

Dlatego estońskie służby starają się, by społeczeństwo miało aktualną wiedzę o zagrożeniu ze strony Rosji. A ponieważ największe zaufanie ma się do informacji, które usłyszy się osobiście i na żywo, liderzy społeczności wywiadowczej wychodzą do ludzi. Jak Kaupo Rosin, szef kontrwywiadu, który 1 października wystąpił na scenie popularnego centrum kultury w Tallinie. Rozmawiał na żywo ze znanym dziennikarzem śledczym Holgerem Roonemaą i odpowiadał na pytania publiczności.

Niemniej Putin doskonale wie, co robi. Arsenał instrumentów możliwych do wykorzystania w starciach z Zachodem, jednocześnie pozostając poniżej progu tradycyjnej wojny, jest właściwie nieskończony. I szalenie tani. Spalenie dwójki agentów w Szwecji, parę tysięcy na

eprasa.pl a960e54702

sfrustrowanego nastolatka – to nic. A Zachód za każdym razem wpada w panikę, bo nie tylko nie wie, jak odpowiedzieć, ale nawet, jak ma nazywać to, co się dzieje.

Chociaż niektórzy wiedzą. – Żadna wojna hybrydowa. Już mamy dość tego sformułowania. Dla nas to wszystko po prostu „wrogie działania Rosji" – wzrusza ramionami Alexander. – U nas jest jasność i chcielibyśmy, żeby wszyscy w Sojuszu to zrozumieli, ale do tego daleka droga. Myślę, że Bałtowie, Niemcy, Holendrzy, Wielka Brytania też wiedzą, co się dzieje. Ale już Francja dużo gada, a mało robi. Rozumiem, że Macron jest pod ogromną presją z powodu własnych ograniczeń budżetowych, ale oni muszą robić więcej. Szwecja jest proporcjonalnie jednym z największych źródeł wsparcia dla Ukrainy. To się musi zmienić, sami tego nie pociągniemy.

•

Problem ze zdefiniowaniem wojny jest realny w całej Europie – i trzeba szybko go rozwiązać, bo bez konsensusu definicyjnego NATO jest wystawione na ryzyka trudne do przewidzenia. Nawet jeśli jakaś część europejskich elit, eksperci od bezpieczeństwa czy dziennikarze doskonale wiedzą, że Rosja od lat prowadzi z Zachodem wojnę, to nie wiadomo, jak się zachować, bo to wojna niewypowiedziana.

„Undeclared War" to zresztą tytuł brytyjskiego miniserialu wyprodukowanego w 2022 roku przez stację Channel 4. Oglądając go, trudno się zdecydować, czy to materiał sensacyjny, popkulturowy czy edukacyjny – bo Brytyjczycy z niesłychaną precyzją i szokującą wręcz znajomością tematu pokazali scenariusz konfliktu, który Putin wypowiada Wielkiej Brytanii, nie odpalając ani jednego pocisku i nie ruszając z miejsca ani jednego żołnierza.

Jest rok 2024, końcówka kampanii przed wyborami do parlamentu (tu scenarzyści okazali się profetami, przewidując realną chronologię), młoda studentka, Brytyjka pochodzenia pakistańskiego, dostaje się na staż w GCHQ, instytucjonalnym sercu tamtejszych operacji cyberbezpieczeństwa. Jest wybitnie utalentowaną programistką, ale ma pecha – zaczyna praktyki w dniu gigantycznego ataku na infrastrukturę internetową i telefoniczną. Padają łącza internetowe w instytucjach, dostęp do bankowości online, nie działają bankomaty. Ale bez przeszkód hulają platformy społecznościowe, a w nich – ruskie boty siejące propagandę.

W zaledwie sześciu odcinkach pokazane zostało wszystko, co Rosjanie mogą zrobić, bo robią to od lat. Wykształceni na Zachodzie rosyjscy programiści, których siłą ściąga się do kraju i wciela do FSB. Fabryki trolli w kraju i propagandowe redakcje za granicą w stylu Russia Today, udające obiektywizm i utrzymane w estetyce poważnych telewizji czy portali, lecz całkowicie fałszujące rzeczywistość, reżyserujące zamieszki i grające na różnych frustracjach zachodnich społeczeństw. Cyberatak na spis wyborców – mały, nieznaczący, ale wywołujący milionowe protesty. Konflikty w rządzie pomiędzy domagającymi się eskalacji politykami a ostrożnymi ekspertami. Kompromaty na skrzynkach mailowych polityków ostrzegających przed Rosją. Ataki na mniejszości religijne i etniczne. Zerwanie komunikacji pomiędzy cywilną władzą a wojskiem. Wbicie klina między sojuszników – bo w serialu atak na brytyjską bazę danych powoduje wyciek tajemnic amerykańskiego wywiadu.

A w konsekwencji – bezradni Brytyjczycy, od polityków po obywateli, którym wydaje się, że reagują zgodnie z własną wolą, choć tak naprawdę poruszają się po ścieżce precyzyjnie wytyczonej przez Rosjan.

Ta metoda prowadzenia działań ofensywnych, nazywana kontrolą refleksywną, też jest w serialu wytłumaczona. Chodzi o to, by najpierw uśpić czujność wroga, przekonać go, że konflikt jest nierealny, więc nie opłaca się inwestować w obronność. Społeczeństwo stanie się pasywne, a politycy skoncentrują się na mało istotnych krajowych sporach. W rezultacie, jeśli rzeczywiście pojawi się jakieś zagrożenie, decydentom pozostanie bardzo ograniczone pole manewru. Będą mogli przyjmować kolejne ciosy, niepewni, czy wszystko, co się dzieje, jest atakiem i czy nie ulegają paranoi – albo eskalować. Niekoniecznie robiąc to, co Putina mogłoby naprawdę zaboleć czy ostudzić, za to zwiększając ryzyko konfliktu konwencjonalnego.

Jeśli wybiorą ten drugi scenariusz, będą przekonani, że manifestują swoją sprawczość – choć w praktyce zrobią to, czego Rosjanie od początku od nich oczekiwali. – Jeśli nie masz opcji wyboru, idziesz coraz dalej w spirali eskalacyjnej. Robisz to, bo nie masz innego wyjścia – tymi słowami na moje pytanie o gotowość brytyjskiego państwa do stawienia czoła rosyjskiemu zagrożeniu odpowiada Keir Giles.

Związany z Chatham House – najważniejszym brytyjskim think-tankiem od spraw międzynarodowych – ekspert zajmuje się od wielu lat Rosją, regularnie publikuje i wypowiada się dla głównych mediów, zawsze w tonie poważnym i ostrzegawczym. Próbuje przekazać Brytyjczykom, że wcale nie są poza zasięgiem Rosji, bo ta „wcale nie uderza tylko tam, dokąd jest w stanie wjechać na kołach".

Gilesa warto słuchać, bo jest dalekowzrocznym realistą. Krytykował europejską pasywności wobec Kremla już lata temu, kiedy wszyscy starali się żyć złudzeniami, był w awangardzie analityków, którzy zachęcali, by Donalda Trumpa traktować jako reprezentanta rosyjskich interesów bez względu na to, czy amerykański przywódca robi to świadomie – z powodów ideologicznych lub dla pieniędzy – czy mimowolnie, z powodu ignorancji i kapryśnego usposobienia.

Kamper rosyjskich turystów parkował nieopodal letniej nieruchomości prezesa koncernu SAAB, w tej chwili najważniejszej osoby w nie tylko szwedzkim sektorze zbrojeniowym. Nie potrafili wyjaśnić, dlaczego spędzają wakacje akurat w tym miejscu

Pytam go, co w tej chwili jest największym zagrożeniem dla Wielkiej Brytanii. Bez wahania odpowiada, że nie cyberatak, sabotaż czy statek floty cieni płynący po kanale La Manche, tylko pocisk z ładunkiem nuklearnym. Nie twierdzi przez to, że taki scenariusz jest realny – ale że Rosja ma takie możliwości, o czym wielu na Wyspach zdaje się zapominać. – Nikt u nas nie patrzy na globus. A tymczasem ta historia, którą niedawno opisał »El Mundo«, pokazuje, że nikt nie jest poza zasięgiem Rosjan.

Giles odnosi się do artykułu szacownego hiszpańskiego dziennika, który ujawnił, że CIA miało ostrzec rządy Hiszpanii, Francji i Włoch o możliwym ataku za pomocą dronów odpalonych z pokładu kontenerowców pływających po akwenach południa Europy. Bezzałogowce miały w zasięgu Madryt, Tuluzę, Lyon czy Rzym. Część krajów zaprzeczyło, jakoby Amerykanie przekazali im takie informacje, ale sam scenariusz wywołał popłoch na platformach internetowych i pobudził wyobraźnię publicystów. A może o to chodziło, podobnie jak w przypadku „turystów" ze Szwecji? Sam gąszcz takich wątpliwości i spekulacji sprzyja Rosjanom.

Zdaniem Gilesa brytyjski aparat państwowy jest kompletnie nieprzygotowany do poradzenia sobie z jakąkolwiek rosyjską kampanią podprogową – głównie dlatego, że bezpieczeństwo narodowe, odporność społeczna, przeciwdziałanie dezinformacji zostało oddelegowane do społeczeństwa obywatelskiego i mediów.

•

A nie dość, że państwo od wielu lat nie inwestuje w te „miękkie" obszary obronności, to przemysł zbrojeniowy okazuje się niewydolny, a armia w rozsypce. Co zresztą nieoficjalnie podkreślają zagraniczni partnerzy Wielkiej Brytanii, w tym Polacy. Kiedy w maju Warszawa podpisywała z Londynem nowe strategiczne porozumienie w zakresie bezpieczeństwa, wielu po naszej stronie stołu negocjacyjnego wątpiło, czy wyspiarze będą w stanie wywiązać się z zobowiązań. Nie z braku chęci, ale zdolności produkcyjnych i gospodarczych.

Już w 2023 roku pojawiły się dokumenty strategiczne wskazujące, że zapasy amunicji wystarczą na tydzień w konflikcie o wysokiej intensywności. Londyn kupił od USA 48 myśliwców F-35, ale nie ma dość pilotów, żeby korzystać z nich wszystkich. Braki kadrowe zostaną wyeliminowane najwcześniej w 2028 roku. Spośród 49 projektów modernizacji armii aż 47 ma opóźnienia wskutek pustek w budżecie. Nie mówiąc o tym, że Wielka Brytania właściwie całkowicie pozbyła się jakichkolwiek zdolności w niektórych sektorach przemysłu ciężkiego, jak obróbka stali czy stocznie – więc prawie nic nie jest w stanie zbudować sama.

– Nasze władze konsekwentnie odmawiają zajęcia się tym problemem na poważnie. Tymczasem znaleźliśmy się w nieprzyjemnej rzeczywistości, w której jesteśmy w ogonie Europy pod względem wydatków na obronność i inwestycji w tym obszarze.

Być może przynajmniej w najbliższym czasie klasyczny atak zbrojny nie grozi samym Wyspom. Ale co, jeśli zajdzie potrzeba wsparcia sojuszników z północnego wschodu NATO?

– Nie przekazujemy też właściwych informacji naszym obywatelom. Nadal nikt nie rozumie, że Rosja będzie chciała uniemożliwić aktywność gospodarczą, jednocześnie próbując nas pozabijać – mówi Giles.

Opowiadając mi o bierności brytyjskiego państwa w obszarze bezpieczeństwa publicznego i przygotowania społecznego, przywołuje ulotkę kryzysową, którą 21 września rząd rozesłał do Brytyjczyków. Można w niej przeczytać o konieczności zabezpieczenia odpowiedniej ilości wody pitnej, żywności i gotówki na mniej więcej trzy dni. Na pierwszy rzut oka to nic nietypowego, podobne poradniki przygotowała już większość rządów w Europie. Ale ekspert Chatham House zwraca uwagę na ton takich publikacji. – Czytasz to i masz wrażenie, że przygotowanie na kryzys to twój obowiązek. Jeśli się coś stanie, jesteś sam. Rząd ci nie pomoże. Nie ma nic o obronie cywilnej, o strukturach pomocy. Radź sobie na własną rękę.

•

Cień optymizmu pojawia się, dopiero kiedy pytam o brytyjski wywiad.

Od wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie regularnie słychać o sporej aktywności przyfrontowej MI6. Czasami to zmitologizowane narracje ludzi budujących własne legendy, ale często efektywną działalność wywiadowczą potwierdzają to informatorzy w sojuszniczych służbach. Giles odpowiada w brytyjskim enigmatycznym stylu: „można mieć nadzieję, iż służby wykonują swoją pracę".

Dowodów, że wykonują, nie trzeba szukać w Kijowie, są w Warszawie. Z niewiadomych przyczyn nie mówi się o tym w polskich mediach w ogóle, ale od kiedy Rosjanie prowadzą wojnę na pełną skalę, nasza stolica stała się bardzo ważnym punktem na wywiadowczej mapie Europy.

Co ma swoje dobre i złe strony – bo liczni działający u nas szpiedzy z państw sojuszniczych często realizują, co oczywiste, interesy swoich państw, niekoniecznie całego NATO czy Unii Europejskiej. Niemniej państwa Zachodu wzmocniły obstawę wywiadowczą swoich ambasad, część „zasobów ludzkich" podróżuje regularnie pomiędzy Warszawą a Kijowem. A od późnej zimy ubiegłego roku, czyli od powrotu Trumpa do władzy w USA, ci ludzie stali się bardziej dostępni dla dziennikarzy. Im dłużej trwa przytulanie się Białego Domu do Kremla, tym bardziej europejskie służby wychodzą z cienia.

To oczywiście ryzyko, bo w każdej chwili można nadziać się na wrzutkę, wchodząc tym samym w rolę pożytecznego idioty. W Warszawie jest bowiem, jak w każdym mieście szpiegów, sporo mitomanów, freelancerów szukających sławy i pieniędzy, weteranów z frontu, których historie są nieweryfikowalne.
A przede wszystkim – Rosjan. Oni też szukają kontaktu, próbując siać zamęt i zwiększać polaryzację.

– Nie ma nas na froncie. W Ukrainie jesteśmy ślepi i głusi. A oni o nas wiedzą wszystko – mówi mi były oficer wywiadu najwyższego szczebla z olbrzymim doświadczeniem międzynarodowym. Dziś jest poza służbami, ale utrzymuje regularnie kontakty z aktywnymi funkcjonariuszami. Nad stanem naszej współpracy sojuszniczej załamuje ręce. – Polscy politycy uwielbiają się grzać w blasku udanych akcji ABW i innych służb, ale prawda jest taka, że w ogóle nie umieją korzystać z dorobku wywiadowczego. W Sojuszu już dawno przestaliśmy uchodzić za ekspertów od Rosji. Nie jesteśmy elitą, prędzej enfant terrible. Poza tym to wcale nie jest tak, że jak już jesteś w NATO, to każdy się z tobą wszystkim dzieli – mówi. I zaczyna wyliczankę.

Od razu podkreśla, że największą wiedzę operacyjną na temat sytuacji na froncie, działań rosyjskiego wywiadu, metod i celów Kremla mają Brytyjczycy. To ocena spójna z tym, co mówią inni obserwatorzy działań wywiadowczych w naszej części Europy, w tym na terenie Polski. Mój rozmówca twierdzi wręcz, że brytyjskie służby prężnie działają w Ukrainie jeszcze od czasów poprzedzających inwazję na Krym w 2014 roku. Niektórych agentów trzymają tam od dekad, zakorzenionych w lokalnych i międzynarodowych instytucjach.

Problem w tym, że nawet jeśli mają ogromną wiedzę, niekoniecznie chcą się nią dzielić.

Amerykanie? Owszem, są, widzą, zbierają, ale to samo: mówią nam tyle, ile chcą powiedzieć. A polski wywiad w kwestii sytuacji na wschodzie niemal w całości polega na informacjach od partnerów w USA. Do tego stopnia, że, jak twierdzi mój rozmówca, powołując się na aktywne źródła w służbach, niektóre notatki trafiające na biurko prezydenta Nawrockiego to depesze żywcem przepisane z kwitów przysłanych z CIA i podpisane jako własne. Jak twierdzą moi rozmówcy, prezydent i jego przyboczni przechodzą fazę zakochania się we władzy i dostępie do informacji niejawnych, więc ekscytuje ich wszystko, co do nich trafia od trzyliterowych służb.

Z kolei premier Tusk niespecjalnie się interesie tym światem. Dla niego najważniejsze jest, by służby nie przeszkadzały w rządzeniu. W rezultacie wiele z nich działa jak państwo w państwie, skoncentrowane na przetrwaniu, awansach generalskich i sporadycznym zadowalaniu politycznych mocodawców – jacy akurat by nie byli.

W dodatku, nawet jeśli mamy własnych agentów, którzy służą w strukturach międzynarodowych, nie korzystamy z nich, bo nie wiemy jak. Kiedy wracają z zagranicznych placówek, nikt nie pyta ich o doświadczenia. Nie zeznają przed sejmowymi komisjami, nie dzielą się doświadczeniami przydatnymi na przykład przy ewentualnej reformie służb.

Tak więc gdy estoński wywiad spotyka się z obywatelami, transparentnością rozbrajając rosyjskie bomby narracyjne, Szwedzi wywłaszczają nieruchomości Rosjan, a Brytyjczycy kręcą przerażająco realistyczne seriale o rosyjskim ataku na ich kraj, Polska, podobnie jak Czechy i Słowacja, traci energię na wewnętrzne spory polityczne. Putin to widzi – i wyciąga wnioski. ●

eprasa.pl a960e54702

Gdyby prezydent mówił tak, jak jego najważniejszy generał

Stara miłość nie rdzewieje

Apple debaum



Donaldowi Trumpowi wystarczyły 72 godziny, by porzucić pozory, przekreślić kilkadziesiąt lat amerykańskiej polityki i podważyć 18 miesięcy własnych działań.

Prezydent zniósł sankcje na import rosyjskiego oleju napędowego, naruszając literę i ducha ustaw, które sam podpisał.

Zagroził wstrzymaniem wymiany informacji wywiadowczych z Ukraińcami, jeśli nie zaprzestaną ataków na rosyjskie rafinerie, domagając się, by Kijów zrezygnował z najskuteczniejszej broni.

Nie skrytykował rosyjskich ataków na ukraińskie elektrownie ani fabryki, nawet te należące do amerykańskich firm.

Nawet nie złożył kondolencji po niedawnej śmierci ukraińskich dzieci w wyniku rosyjskich nalotów bombowych.

Przy tym mijał się z prawdą. Oskarżył Ukrainę o blokowanie negocjacji, gdy w rzeczywistości Ukraińcy wielokrotnie proponowali zawieszenie broni, a Rosja nigdy nie zgodziła się ani na wstrzymanie ognia, ani nawet na jakiekolwiek poważne negocjacje. Przedstawił demokratycznie wybranego prezydenta Ukrainy jako przeszkodę w negocjacjach i wezwał go do ustąpienia z urzędu.

Za to przed podjęciem tych nowych decyzji odbył długą i serdeczną rozmowę telefoniczną z rosyjskim dyktatorem.

Prezydent sugerował, że jego celem jest obniżenie cen paliw dla Amerykanów. Być może przed wyborami połówkowymi chce przekonać rodaków, że przyczyną drożyzny jest Ukraina, a nie jego własna wojna z Iranem.

Ale to nie jest wystarczające wyjaśnienie dla tak radykalnych gestów. Ilość paliwa, którą Rosja mogłaby eksportować, jest zbyt mała, by znacząco wpłynąć na ceny, a prezydencka narracja pojawiła się zbyt późno, by wpłynąć na wyniki wyborów do Kongresu.

Więc wygląda to na coś zupełnie innego: n rozpaczliwą próbę zmuszenia Ukrainy do kapitulacji i uratowania rosyjskiej gospodarki. Być może po to, by ostatecznie sfinalizować liczne umowy biznesowe, o których Rosjanie mieli rozmawiać z amerykańskimi negocjatorami i innymi osobami z otoczenia Trumpa. Chodzi między innymi o projekty związane z gazociągami Nord Stream, wydobyciem minerałów w Arktyce, rosyjskimi aktywami zamrożonymi w europejskich bankach.

Od początku drugiej kadencji Trumpa sojusznicy w Europie i innych częściach świata próbowali wyjaśnić prezydentowi znaczenie tej wojny oraz zagrożenie, jakie Rosja stanowi dla pokoju i dobrobytu w Europie, na Bliskim Wschodzie i w Afryce. Wygląda na to, że ponieśli porażkę. Jakie wnioski wyciągną z tego inni?

Pierwszy i najbardziej oczywisty brzmi: nie polegajcie na USA.

Ameryka jest dziś kapryśnym i nieprzewidywalnym mocarstwem, którego wieloletnia polityka zagraniczna może zostać impulsywnie odwrócona z dnia na dzień: USA nakładały sankcje na Rosję przez wiele lat, a teraz nagle przestały. Bo prezydent tak zechciał.

Kolejny wniosek: dyktatorzy są lepiej traktowani w Waszyngtonie Trumpa niż demokratycznie wybrani przywódcy.

Kanada jest znacznie bardziej wiarygodnym i stokroć istotniejszym partnerem energetycznym dla USA niż Rosja, a mimo to Biały Dom nie próbował poprawić relacji z Ottawą. Bezpieczeństwo Europy byłoby bezpośrednio zagrożone w przypadku załamania lub kapitulacji Ukrainy, a jednak Trump słucha Moskwy, a nie Berlina czy Londynu.

I jeszcze jedna lekcja: ta administracja jest na sprzedaż.

Kilka dni temu „The New York Times" poinformował, że w ramach amerykańsko-rosyjskich negocjacji pokojowych majątek Łukoilu, rosyjskiego giganta paliwowego, może wkrótce przejąć konsorcjum biznesowe obejmujące bliskowschodnich partnerów Jareda Kushnera i Steve'a Witkoffa, dwóch głównych negocjatorów Trumpa do spraw Ukrainy – przy okazji zaś zięcia prezydenta oraz jego przyjaciela i wspólnika – a także przez syna Wiktoffa i Ivankę, córkę Trumpa. Przedstawiciel administracji potwierdził „NYT", że Kushner i Witkoff uczestniczyli w rozmowach dotyczących Łukoilu, choć rzecz jasna nie ma dowodów na to, że odniosą osobiste korzyści.

Plany umów dotyczące rurociągów, minerałów i zamrożonych aktywów również pozostają aktualne. Nawet jeśli żadna nie zostanie zrealizowana, sam fakt, że negocjatorzy Trumpa je omawiają, daje rosyjskiemu reżimowi poczucie, że może bezkarnie kontynuować wojnę.

Demokracje mogą jednak współpracować bez udziału amerykańskiego prezydenta. Ukraina będzie nadal i nadal atakować rosyjskie rafinerie dzięki wsparciu przyjaciół z Europy i innych regionów świata. Pomogą w tym francuski wywiad, niemiecka broń oraz pakiety pomocy ze Skandynawii, Polski i innych krajów. A poszerzając perspektywę – od kilku lat Europejczycy, Kanadyjczycy i demokracje regionu Pacyfiku budują coraz silniejsze relacje handlowe i więzi bezpieczeństwa między sobą, a także z Indiami i Ameryką Łacińską. Właśnie otrzymali kolejny powód, by jeszcze bardziej je zacieśnić.

Wszyscy pozostali demokratyczni przywódcy powinni zwrócić uwagę na te procesy i wykluwające się sojusze.

Relacje Trumpa z Rosją pozostają intensywne – i bardzo osobliwe. Bo ostatecznie zawsze przyjmuje rosyjski punkt widzenia, niezależnie od tego, kto stoi na czele Rosji.

Od czasu pierwszej wizyty w Moskwie w 1987 roku, gdy istniał jeszcze Związek Radziecki, Trump głośno powtarzał rosyjską propagandę i przekazywał rosyjskie stanowisko. Po powrocie z tej podróży wykupił całostronicowe reklamy w trzech gazetach, atakując amerykańskie sojusze w Europie i Azji.

I od prawie 40 lat mówi w zasadzie to samo. Zmienił zdanie w kwestii aborcji i kryptowalut, wspierał różne partie polityczne w różnych okresach, ale jego niechęć do demokratycznych sojuszników Ameryki oraz sympatia wobec Rosji pozostają zadziwiająco niezmienne.

Natychmiast po jego oświadczeniu dotyczącym oleju napędowego i komentarzach na temat Wołodymyra Zełenskiego ponadpartyjna grupa kongresmenów i senatorów skrytykowała paliwową decyzję i zapowiedziała jej odwrócenie.

Wcześniej tego samego dnia generał sił powietrznych USA Alexus Grynkewich przekazał Rosji zupełnie inny komunikat.

Podczas Warsaw Security Forum, konferencji bezpieczeństwa w Warszawie najwyższy rangą amerykański wojskowy w Europie oraz naczelny dowódca NATO stwierdził, że każdy atak na Sojusz spotka się z przytłaczającą odpowiedzią. „Powstrzymamy atak i uniemożliwimy im osiągnięcie celów, jakie by nie były. Krótko mówiąc, dopilnujemy, aby każdy atak na któregokolwiek z sojuszników okazał się bezcelowy". Grynkewich zasugerował również, że nastąpią potężne działania odwetowe wymierzone we „wszystko i wszystkich, którzy wspierają, podtrzymują i kontrolują" agresora.

Gdyby taki język płynął także z Białego Domu, mógłby powstrzymać Rosję przed rozszerzaniem obecnej kampanii sabotażu i cyberataków w Europie, dalszym wspieraniem Iranu czy popełnianiem zbrodni wojennych w Ukrainie.

Jednak wbrew stanowisku amerykańskiego wojska i wywiadu, większości społeczeństwa i Kongresu prezydent trwa przy swoich poglądach. ●

Anne Applebaum

• © 2026 The Atlantic Media Co., as first published in „The Atlantic". All rights reserved. Distributed by Tribune Content Agency.

The Eastern Frontier Initiative

REKLAMA
Kraj/34423354

„Nigdy wcześniej nie czytałam [biografii], która sprawiłaby, że w połowie lektury podskoczyłam z miejsca, jakby jej bohater właśnie powrócił z martwych".

KATHRYN SCHULZ
„The New Yorker"

TŁUM. MICHAŁ LIPA



W poszukiwaniu BRUNONA SCHULZA

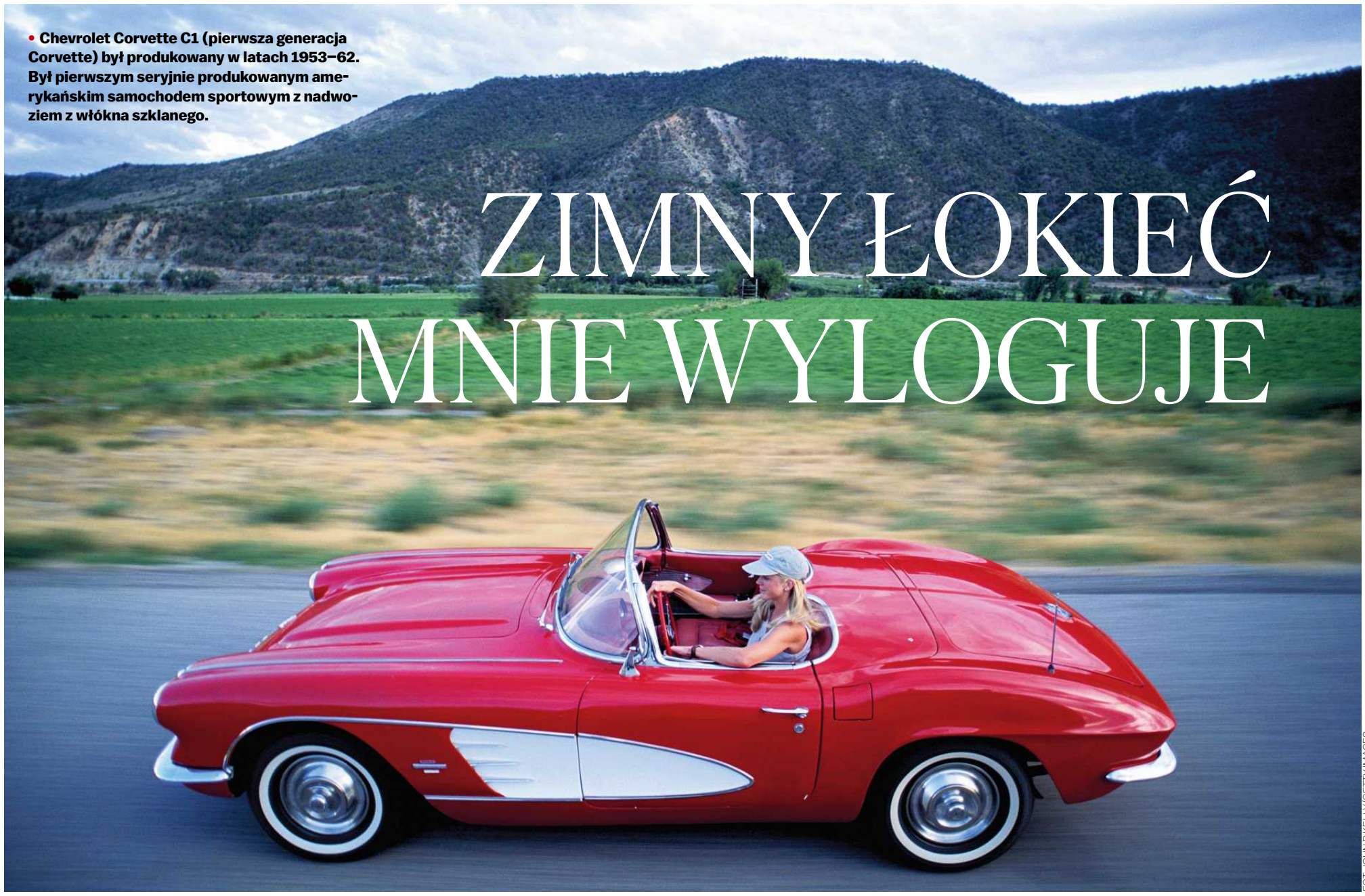
Benjamin Balint podążając tropem niezwykłych murali, jednego z ostatnich dzieł Brunona Schulza, kreśli wirtuozerski portret Mistrza z Drohobycza, będący poruszającą opowieścią o życiu, sztuce i cieniu historii.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA publio.pl
www.wydawnictwoagora.pl

Wydawnictwo Agora

1RP

eprasa.pl a960e54702



• Chevrolet Corvette C1 (pierwsza generacja Corvette) był produkowany w latach 1953–62. Był pierwszym seryjnie produkowanym amerykańskim samochodem sportowym z nadwoziem z włókna szklanego.

FOT. JOHN P KELLY/GETTY IMAGES

ZIMNY ŁOKIEĆ MNIE WYLOGUJE

Nie chcę smartfona, chcę sprawczości. Zetki i alfy brzydzą się nowymi samochodami.

Krystyna Romanowska

Jedni chcą Porsche, inni błękitnego Poloneza. Choć wychowali się ze smartfonami w rękach, nie przepadają za ekranami dotykowymi w autach – „tabletowi na kółkach dziękuję". Brzydzą się samochodami elektrycznymi, rzucili się na kursy prawa jazdy i o niczym nie marzą tak, jak o byciu kierowcą.

Pewnie nie oglądali „Drive", ale świetnie zrozumieliby jego bohatera.

W tym hipnotycznym filmie niejaki Driver przemierza nocne Los Angeles starym Chevroletem Malibu z 1973 roku. To mechanik i kierowca do wynajęcia, który zna samochody od podszewki i rozumie je lepiej niż ludzi. Ryan Gosling, przygotowując się do roli, rozebrał i odbudował filmowego Chevroleta. Miał wtedy 30 lat.

W świecie „Drive" liczą się umiejętności kierowcy, jego refleks, wyczucie maszyny i przyjemność panowania nad nią.

●

Gerardowi taka filozofia odpowiada, choć gdy powstawał „Drive", miał kilka lat. Wychował się wśród smartfonów i apek, dojrzewał w świecie AI, ale za kierownicą woli analogowe rozwiązania. Prawdziwe przyciski, mechaniczne zegary i możliwość zajrzenia pod maskę bez konieczności podłączania komputera.

Marzy o Porsche 911 generacji 997, takim z początku lat 2000, choć na razie jeździ miniaturowym Smartem. Podobnie jak wielu jego rówieśników fascynuje się samochodami z czasów, których sam nie pamięta. Drażnią go gigantyczne ekrany, elektroniczne gadżety, czujniki zastępujące dobrą widoczność i coraz bardziej absurdalne pomysły producentów, którzy każą kierowcom płacić abonament nawet za funkcje zamontowane już w samochodzie.

Ma 21 lat, studiuje w Warszawie. „Prawko" zrobił najszybciej, jak się dało. Zabiera dziewczynę w góry, pomaga rodzicom i dziadkom w grubszych zakupach.

– Nawigacja, muzyka, podłączenie telefonu, to jest w porządku. Ale po co mi od razu wielki tablet na całą deskę rozdzielczą? Prędkościomierz i obrotomierz powinny po prostu mieć wskazówki – mówi Gerard. – I wszystko regulowane przez ekran. To chore. Punkty karne lecą za samo wzięcie telefonu do ręki, a jednocześnie, żeby zmienić temperaturę, trzeba oderwać wzrok od drogi na kilkadziesiąt sekund. Zamiast ustawić klimę jednym pokrętłem.

Gerard nie potrzebuje też samochodu, który po zakupie będzie domagał się kolejnych opłat za odblokowanie wyposażenia. Subskrypcjom mówi stanowcze: nie!

Producenci odkryli bowiem coś, co wkurza solidarnie i międzypokoleniowo „iksy", milenialsów, zetki i alfy w streamingu muzycznym, w platformach serialowo-filmowych, w czytnikach e-booków, w grach komputerowych. Że kalkuluje się wymusić zamianę własności na abonament, aby zarabiać nie raz, przy sprzedaży, a cały czas. BMW eksperymentowało z abonamentem na podgrzewanie foteli, choć grzałki były już zamontowane w siedzeniach. Mercedes oferował właścicielom wybranych elektrycznych modeli dodatkową moc silnika za miesięczną lub roczną opłatą. BMW pozwala cyfrowo dokupić funkcje wspomagające parkowanie i prowadzenie. Kupujesz więc w pełni wyposażony samochód, ale już nie ty decydujesz, czego kiedy użyjesz.

Gerard nie formułuje tego tak uczenie, ale czuje się głosem pokolenia, gdy mówi, że wolałby po prostu przekręcić kluczyk i jechać. Ma na myśli i nadmiar brzęczyków, komunikatów po odpaleniu silnika, opcji do ustawienia. I irytację, że producenci coraz częściej ograniczają właścicielom możliwość samodzielnego decydowania – czy to o niby kupionej na własność grze, czy o samochodzie.

W starszych autach można było zajrzeć pod maskę, samemu coś wymienić, skorzystać z pomocy znajomego mechanika. Brat Gerarda jeździ Hondą z 2003 roku. Samochód ma ponad dwadzieścia lat, więc wymaga napraw, ale są proste, części tanie, a psuje się wcale nie tak często, bo w porównaniu do dzisiejszych samochodów niewiele jest do zepsucia. Honda, choć dawno pełnoletnia, dobrze służy właścicielowi.

Gerard ceni właśnie taką motoryzację. Nie wszystko musi być najnowsze, żeby działało. Dla niego samochód z lat 90. czy początku XXI wieku ma zalety, których często brakuje najnowszym modelom. – Przede wszystkim pozwala kierowcy zajmować się prowadzeniem, zamiast przedzierać się przez kolejne menu na ekranie – powtarza.

W USA firma Hagerty, zajmująca się ubezpieczaniem pojazdów kolekcjonerskich, postanowiła sprawdzić, czy młodzi Amerykanie rzeczywiście odwracają się – jak przez lata przekonywali badacze trendów, a za nimi publicyści – od samochodów. W 2024 roku zleciła sondaż obejmujący ponad dwa tysiące dorosłych respondentów. Wyniki okazały się zaskakujące.

• 77 proc. przedstawicieli pokolenia Z zadeklarowało, że lubi albo uwielbia prowadzić.

• 60 proc. chciałoby posiadać pojazd klasyczny lub kolekcjonerski albo przynajmniej youngtimera, czyli zwyczajne auto, ale z późnych lat 70., 80. czy wczesnych 90. Już ze wszystkimi wygodami, klimą, abeesami, kontrolami trakcji, oszczędzającymi paliwo wtryskami, działające i prowadzące się współcześnie, ale nieprzeładowane elektroniką. Bardziej analogowe niż cyfrowe.

• Wśród baby boomersów – a więc w założeniu już ustawionych życiowo i wraz z wiekiem coraz bardziej nostalgicznych – zainteresowanie takim autem deklarowało tylko 31 proc.

●

Oczywiście amerykańskiego sondażu, w dodatku zamówionego przez firmę z branży motoryzacyjnej, nie można przenosić wprost na polskich osiemnastolatków. Ale widać, że młodsze pokolenie wykazuje zaskakujące zainteresowanie samochodami „takimi, jak dawniej".

Objawia się to anegdotycznie: renesansem „resoraków", które dotarły nawet do Lidli i Biedronek, a kupują je nastolatki i młodsze zetki, w przepastnych koszach wyszukując pełnoletnie modele, gdy miniaturowe tesle kurzą się miesiącami. Ale też w twardych liczbach – tłumy nastolatków pod WORD-ami i mrowie „elek" na ulicach po obniżeniu z 18 do 17 lat wieku uprawniającego do kategorii B – i w planach zakupowych młodych ludzi.

Takich, jak 17-letniej Gai, która odlicza dni do egzaminu na „prawko" i jest rozdarta między kabrioletem Peugeota z połowy lat 2000 („niedrogi, mało pali, prosty, śliczny i praktyczny") a prawdziwą terenówką w rodzaju Suzuki Jimny, choć nie pogardziłaby większym Oplem Fronterą („fajnie wygląda, nie jak te dzisiejsze lodówki na kołach. I nie zakopie się na wakacjach na polnej drodze")

Gaja chodzi do dobrego liceum, nie je mięsa, gdyby mogła, głosowałaby na Joannę Senyszyn, wściekają ją wycinki drzew, deportacje młodych Ukraińców po koncercie Maxa Korzha i to, że rząd przymila się do „konfiarzy". Ale w przypadku samochodu by się dogadali.

Rodzice zarabiają w okolicach średniej krajowej, ale zacisnęliby pasa i spłacali raty za kilkuletnie auto. Dziewczyna uprawia sporty plenerowe, kilka razy w tygodniu dojeżdża kawał

eprasa.pl a960e54702

drogi za miasto. Ale nie chce ani ciężkiego SUV-a zawieszonego tak nisko, jak osobówka z epoki kanclerza Kohla („i jak to wygląda, przetłoczenia, ledy tu, tam, co to jest za dizajn, jak jakiś kukirin"), ani współczesnego ekonomicznego autka miejskiego („ciągle popiskuje alarmami i rozprasza, a wnętrze i plastiki są jak z Temu").

Choć boi się, że chcieć to może, a zdecyduje życie. Znalazła parę fajnych egzemplarzy, ale wyczytała, że za parę lat żadnym nie wjedzie do miasta. Doczytała i szukała takich od pierwszego właściciela, z książką serwisową, sprawdziła normy Euro, ale okazało się, że nawet jeśli silnik spełnia wyśrubowaną „piątkę", to – inaczej niż w Berlinie czy Londynie – liczy się jeszcze rok produkcji. Jak nie kijem, to pałką.

– Mój peżocik spełni normę, przejdzie badania, ale będzie miał 20 lat i magicznie zacznie truć. A wielki SUV wypuszcza czarne kłęby, ale wjedzie do centrum. To chyba niesprawiedliwe.

●

W Polsce prawo jazdy nadal zdobywają przede wszystkim młodzi ludzie.

• Statystyki Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców za rok 2024 mówią, że niemal 80 proc. praw jazdy wydanych po raz pierwszy trafiło do osób w wieku 16–24 lat (16-latkowie biorą się w statystyce stąd, że mogą robić „niepełne" prawo jazdy kategorii B1, pozwalające prowadzić mikrosamochody mogące rozpędzić się tylko do 45 km/h), a sami osiemnastolatkowie otrzymali ponad 111 tys. dokumentów.

• W kolejnym roku osoby w wieku 18–24 lat stanowiły ponad trzy czwarte odbiorców nowych uprawnień.

• Wprawdzie ogólna liczba pierwszych wydań praw jazdy spadała od 2021 do 2024 roku, z 372 tys. do 278 tys., ale w 2025 roku wzrosła do blisko 323 tys.

Wśród nich rzuca się w oczy szczególna grupa.

Od paru miesięcy parkingi i chodniki przy placach manewrowych i pod Wojewódzkimi Ośrodkami Ruchu Drogowego przypominają śródmiejski skwer późnym sobotnim wieczorem, tyle na nich porzuconych elektrycznych hulajnóg Bolta. A tłumek kłębiący się w oczekiwaniu na instruktorów nasuwa skojarzenia z licealnym podwórkiem po dzwonku.

• Od 3 marca do 3 lipca 2026 roku prawo jazdy kategorii B otrzymało 7,8 tysiąca osób, które nie ukończyły osiemnastu lat – podało Ministerstwo Infrastruktury.

Skąd ta nagła miłość do czterech kółek w pokoleniu, które podobno miało się bez nich znakomicie obywać?

– Może po prostu znudził im się ten cyfrowy kokon? – zastanawia się socjolog dr Jacek Szczepański, współautor niedawnych badań nad mobilnością młodzieży w województwie dolnośląskim naukowców z Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu WSB Merito.

– Bo ile można? Szybki komputer za dwie średnie krajowe już jest. Hulajnoga elektryczna też była. Smartfon, TikTok, shorty, wszystko już znane. Człowiek jednak potrzebuje nowych wrażeń. A samochodu nie da się prowadzić przesunięciem palca po ekranie. Trzeba wsiąść, ruszyć, nauczyć się prowadzić. A potem można podjechać pod szkołę. Najlepiej BMW. Choćby leasingowanym. Czy może być coś lepszego?

Dr Szczepański regularnie spotyka się z piętnasto-, siedemnastolatkami w Oleśnicy pod Wrocławiem, towarzysząc im w procesie edukacji. Obserwuje – choć nie są to wyniki badań – że przynajmniej część młodych, zamiast deklarowanych jeszcze niedawno wartości nazywanych uczenie postmaterialnymi – samorealizacji czy wolności wyboru – wybiera sprawdzone schematy wchodzenia w dorosłość.

Nastolatki planują mieć dzieci i pracę w pierwszej kolejności pozwalającej utrzymać rodzinę, a dopiero potem fajną, porównują swój status materialny z rówieśnikami, szukają dorywczych prac w wakacje. I oszczędzają na pierwszy samochód.

– Proszę zauważyć, że te siedemnastolatki są „najpierwsze", jeśli idzie o ten przywilej pełnoletniości. Wcześniejsze roczniki musiały czekać na możliwość robienia „prawka" do osiemnastki, a oni już mogą. To jest dodatkowa atrakcja: „ja już mam prawo jazdy, a ty jeszcze nie. Ja mogę podjechać, a ty musisz poczekać".

Jerzy, od 30 lat instruktor nauki jazdy, poniekąd potwierdza obserwację socjologa o dojrzałości pokolenia na przełomie zet i alfa. Bo docenia siedemnastoletnich kursantów. Są bardziej zmotywowani niż starsi koledzy, którzy uczą się, bo „tak wypada" albo „rodzice zmusili". – Szybciej się uczą. I powiem pani, że fajniej się z nimi jeździ.

Nie żeby było idealnie. Zgadza się, że najmłodsze pokolenia są takie, jak w opisach zatroskanych rodziców, publicystów i badaczy: rozproszone, zamknięte w sobie, mają trudności z koncentracją. – Wystarczy, że muszę wyjść do łazienki. Jeszcze nie zdążę zamknąć drzwi samochodu, a kursant już siedzi w telefonie. A przecież przed chwilą miał problem ze światłami. Mógłby sobie to przypomnieć, przemyśleć, dopytać mnie.

Ale generalnie Jerzy uważa obniżenie wieku zdobywania prawa jazdy za dobry pomysł, szczególnie że dzieciaki będą potem jeździły z opiekunami, którzy mogą skorygować ewentualne błędy.

A czy najmłodsi kierowcy będą szczególnie niebezpieczni na drogach? Bo fora internetowe i facebooki kipiały od takich obaw po decyzji o obniżeniu wieku uprawniającego do nauki jazdy.

Dr Szczepański nie chce dołączać do chóru dorosłych, którzy przy każdej okazji ogłaszają, że dzisiejsza młodzież jest gorsza.

– Bez przesady. Piętnaście lat temu młodzi też robili głupstwa za kierownicą. Tylko samochody były słabsze. Kiedyś sto koni robiło wrażenie, dziś niektóre zwykłe auta mają trzysta. Więc jeśli ktoś przesadzi, skutki mogą być poważniejsze. Ale nie ma powodu, żeby zakładać, że siedemnastolatkowie są bardziej skłonni do brawury niż wcześniejsze pokolenia. I czy siedemnastolatek aż tak bardzo różni się mentalnie od osiemnastolatka?

Bardziej niepokoi go coś innego. To, że młodzi dorastają w świecie, w którym urządzenia nieustannie podpowiadają im, co robić. Samochody też. Rozpoznają znaki, ostrzegają przed przeszkodami, pilnują pasa ruchu. – Oni są przyzwyczajeni do ciągłych bodźców. Do tego, że coś pika, świeci, wysyła komunikat. Jadą z rodzicami nowoczesnym samochodem i widzą, że nie trzeba nawet szczególnie uważać na znaki, bo samochód sam je rozpoznaje. To potrafi rozleniwiać.

– Ale oni właśnie nie chcą, żeby pikało, powiadamiało i wyręczało. Mają to od telefonu przez lodówkę po biletomat. Dlatego marzą o analogowym – aparacie fotograficznym, sprzęcie grającym i samochodzie – zauważam.

– Tylko ja bym zapytał, jak taki młody człowiek poradzi sobie w samochodzie z 2006 roku, gdy będzie musiał samodzielnie przejechać z Wrocławia do Warszawy – zastanawia się socjolog.

Na szczęście – choć są opinie, że ten przepis będzie fikcją, bo kto to skontroluje – przez 6 miesięcy od uzyskania uprawnień młody kierowca nie może prowadzić auta samodzielnie. Zawsze musi towarzyszyć mu opiekun – minimum 25 lat, prawo jazdy od 5 lat, trzeźwy – siedzący na przednim siedzeniu pasażera.

●

20-letnia Paulina („mój wymarzony samochód będzie błękitny") dobrze rozumie, że prawo jazdy i samochód to dwie osobne sprawy. Na razie nie ma ani jednego, ani drugiego. Do egzaminu podchodziła dwa razy i dwukrotnie nie zdała.

Za pierwszym razem podczas skrętu w lewo miała, zdaniem egzaminatora, stworzyć zagrożenie. Paulina przyznaje, że mogła popełnić błąd. Za drugim razem stres okazał się tak duży, że podczas parkowania nie potrafiła opanować drżącej nogi. Zaparkowała jak należy, ale mogła stworzyć zagrożenie.

Źle wspomina też pierwszą szkołę jazdy. Podczas obowiązkowych trzydziestu godzin za każdym razem trafiała na innego instruktora. Każdy tłumaczył inaczej, a ona nie mogła wypracować własnego sposobu prowadzenia. Myślała już, że to nie dla niej, dopóki znajomy rodziców, który jest instruktorem, nie zaoferował kilku dodatkowych lekcji.

Najtrudniejsze jest dla niej wyczucie samochodu, ocenianie odległości i jednoczesne obserwowanie wszystkiego, co dzieje się na drodze. Uważa, że kursanci powinni mieć więcej okazji do ćwiczenia reakcji w sytuacjach niebezpiecznych, choćby podczas poślizgu. Mimo początkowych niepowodzeń nie zamierza rezygnować. – Jeżdżę komunikacją miejską i na razie nie potrzebuję samochodu. Ale nie wiem, gdzie będzie mieszkać i pracować za kilka lat. Wolę mieć prawo jazdy na wszelki wypadek.

Ten „wszelki wypadek" jest ważny. Dr Agnieszka Szmelter-Jarosz, adiunktka w Katedrze Logistyki Wydziału Ekonomicznego Uniwersytetu Gdańskiego, od lat bada zachowania transportowe Polaków, w tym stosunek młodych ludzi do samochodów.

– W moich ankietach i wywiadach pogłębionych pojawiał się wątek emancypacyjny. Młode kobiety w kontrze do tego, jak wyglądało życie ich matek, ciotek i babć, które pozostawały zależne od mężczyzn lub młodszych pokoleń, bardzo szybko zdobywają prawa jazdy. Co ciekawe, dzieje się to w czasach, kiedy popularność wśród kobiet zdobywa trend tradwife, idealizujący tradycyjny podział ról w rodzinie – opowiada.

– Tymczasem moje rozmówczynie nie chcą, żeby o ich swobodzie decydowało to, czy mąż, partner albo ojciec ma akurat czas i ochotę je podwieźć. Prawo jazdy to dla nich fragment osobistej wolności. Nie muszą nawet kupować samochodu, bo przecież mogą skorzystać z auta współdzielonego, dostępnego przez aplikację. Najważniejsze, że mają uprawnienia i w razie potrzeby mogą po prostu wsiąść i pojechać.

Badaczka mówi, że ta potrzeba niezależności jest szczególnie wyraźna w krajach Europy Środkowej i części Europy Południowej, czyli tam, gdzie wciąż silne są „tradycyjne" wzorce wyniesione z poprzednich pokoleń.

A jednocześnie zauważa, że nasz krajowy run nastolatków na kursy „na prawko" to część znacznie szerszej zmiany pokoleniowej. Młodzi nie chcą już przyjmować gotowego scenariusza życia, według którego trzeba skończyć studia, potem znaleźć stałą pracę, założyć rodzinę, kupić mieszkanie i samochód. Kwestionują ten porządek w życiu zawodowym i prywatnym.

– Chcą sami decydować, które z tych rzeczy są im potrzebne i kiedy. Paradoksalnie więc prawo jazdy, które kiedyś było niemal obowiązkowym atrybutem dorosłości, dzisiaj może być dla młodej kobiety właśnie sposobem na uwolnienie się od cudzych oczekiwań.

Młode kobiety bardzo szybko zdobywają prawa jazdy. Nie muszą nawet kupować samochodu, to dla nich fragment osobistej wolności

●

Paulina samochodami specjalnie się nie interesuje. Zapytana o wymarzony model, odpowiada, że powinien być niebieski. Ale gdy zaczynamy rozmawiać szerzej o jej gustach, okazuje się, że ma całkiem sprecyzowane potrzeby. Lubi ubrania, meble i przedmioty z lat 70. i 80. Więc podobają jej się dawne samochody, szczególnie te kanciaste – „z charakterem" – bez obłych linii lub mnóstwa załamań nadwozi, które upodobniają wszystkie marki do siebie.

Podpowiadam błękitnego Poloneza, mówię, że nie musi bać się awarii i kosztów utrzymania zabytku, może być z ostatnich lat produkcji, już w wolnej Polsce. Auto bardzo jej się podoba.

– Moda na retro nie ogranicza się przecież do samochodów. Widać ją w ubraniach, meblach, muzyce, w całym sposobie wyrażania siebie – zgadza się dr Agnieszka Szmelter-Jarosz.

– Młodzi próbują w ten sposób wyrwać się z głównego nurtu i podkreślić własną indywidualność. Nie chcą bezrefleksyjnie powtarzać wzorców konsumpcyjnych starszego pokolenia, które utożsamiało sukces z kupowaniem coraz nowszych i droższych rzeczy. Oczywiście sami również są konsumentami, ale chcą konsumować inaczej – tłumaczy. – Stary samochód, podobnie jak ubranie vintage, może być sposobem na pokazanie własnego gustu, a nie zasobności portfela.

Rzecz jasna jest w tym pewna sprzeczność. Bo z jednej strony młodzi deklarują troskę o środowisko i chętnie korzystają z transportu publicznego, z drugiej fascynują ich samochody, które pod względem emisji spalin wypadają znacznie gorzej od współczesnych.

Moi młodzi rozmówcy odpowiadają na to, że przedłużanie życia rzeczy już wyprodukowanych wpisuje się w ich przekonanie, że nie wszystko trzeba natychmiast wymieniać na nowe. Od niemal każdego odpytanego nasto- i dwudziestoparolatka słyszę coś w rodzaju: „ciekawe, czy te trochę mniej spalin i emisji trujących cząstek równoważy te wszystkie zasoby, rzadkie metale, wodę i energię zużyte do produkcji nowoczesnego auta".

To interesujące pokolenie, bo jego stosunek do samochodów nie jest już tak silnie związany z prestiżem. Samochód ma im służyć oraz wyrażać osobowość. Może mieć moc i przyspieszenie, ale nie musi. Niemieckie „premium" – czemu nie, pod warunkiem, że jest oryginalne, już nie dlatego, że Audi albo Mercedes robią wrażenie na ziomalach czy sąsiadach. A równie dobrze może być zabawkowe Twingo z wczesnych „najntisów". Albo nawet Toyota Corolla z lat 80., z tych, jakimi na działki turlają się mocno starsi ludzie – bo ma „to coś".

I – to wraca jak refren – jest analogowa. Bo im młodsi ludzie, tym bardziej są zmęczeni cyfrowym pośpiechem, elektronicznymi, świetlnymi, bodźcami na każdym kroku, byciem online 24 godziny na dobę, technologią absorbującą uwagę w telefonie, sklepie, tramwaju, wszędzie. Nawet jeśli nie potrafią lub nie mogą od niej uciec. Na zasadzie: jeśli uzależniający algorytm TikToka czy Instagrama jest silniejszy ode mnie, a jednocześnie nie da się funkcjonować bez apki bankowej, Librusa i mObywatela, to przynajmniej w samochodzie się wyloguję.

●

Młodsza o rok od Pauliny Natalia stara się żyć ekologicznie, ale nie zamierza rezygnować z samochodu. Jeździ używanym malutkim SUV-em Suzuki SX4, które kupili jej rodzice, wychodząc z założenia, że początkujący kierowca będzie bezpieczniejszy z 4x4, a jednocześnie nie powinien uczyć się na nowym aucie. Przewidzieli trafnie: Natalia ma już za sobą kolizję z autobusem, który zahaczył o jej zderzak.

Na co dzień wybiera metro. Ma je pod uczelnią, więc nie widzi powodu, żeby przebijać się

eprasa.pl a960e54702

przez Warszawę autem. Samochód przydaje się, gdy jedzie do rodziców albo musi zrobić większe zakupy. – Staram się myśleć eko, ale mam też bardzo mało czasu. Prowadzę korepetycje, studiuję, a do rodziców chcę zaglądać regularnie. Jeśli podróż komunikacją z centrum Warszawy do podwarszawskiej miejscowości zajmuje mi dwie godziny, wybieram samochód. Wiem, że paliwa kopalne, że emisje z hamulców, z opon, dlatego jeżdżę, kiedy naprawdę muszę – tłumaczy.

A jednocześnie lubi prowadzić. Sprawczość, refleks, poczucie panowania nad maszyną, samodzielność – ekologiczne przekonania nie wykluczają przyjemności z jazdy. Dlatego ma wymarzony: sportową Toyotę GT86. Nie pozwoli sobie na nią, ale gdyby mogła, pogodziłaby przyjemność z przekonaniami. Tłumaczy, że to żaden paliwożerny kilkusetkonny symbol statusu, jest nieduża, lekka, a małą moc nadrabia dostrojonym zawieszeniem.

19-letni Szymon (samochód marzeń: FSO Polonez!) zdał egzamin za pierwszym razem, choć długo nie był pewien, czy mu się uda. Po drodze przeżył, jak sam mówi, kilka „mikrozawałów". Podczas jazdy inny kierowca zajechał mu drogę i egzaminator nacisnął hamulec. Później pojawiły się kolejne nerwowe sytuacje. Kiedy wrócili do ośrodka, egzaminator ciężko westchnął, ale ostatecznie zaliczył.

Szymon nie twierdzi, że prawo jazdy uczyniło go dorosłym. Dało mu za to większą pewność siebie, tak w ogóle w życiu. Może pojechać na działkę, przewieźć ciężkie rzeczy, odwieźć dziadka, pomóc rodzicom. Nie musi prosić nikogo o podwiezienie. – Posiadanie prawa jazdy, a przede wszystkim korzystanie z niego, może czynić człowieka bardziej wolnym i decyzyjnym – mówi.

Czy również doroślejszym? Tu Szymon ma wątpliwości. Wystarczy popatrzeć, jakie głupoty ludzie, także jego rówieśnicy, potrafią wyprawiać na drogach.

Szymon lubi auta naprawdę stare: Warszawy, Syreny i Wartburgi, a największy zachwyt budzą w nim samochody międzywojenne, oldtimery pełną gębą: długie, eleganckie, z materiałowymi dachami, lampami poza obrysem karoserii i kołami zapasowymi na zewnątrz nadwozia. Współczesnym samochodom brakuje, jego zdaniem, tej indywidualności. – Dawniej każdy samochód wydawał się unikalny, czy to była limuzyna księcia, czy autko z drewna dla urzędnika. Nie były takie idealnie opływowe jak dzisiejsze i to dodawało im uroku – tłumaczy.

Gdyby jednak miał wybrać jeden samochód dla siebie, postawiłby na Poloneza. Pierwszy drużynowy Szymona jeździł takim. Miało siedzenia wyłożone futerkiem, co młody harcerz zapamiętał na lata. – Dziwne połączenie, trochę creepy, ale rozkosznie wyglądał.

Natalia, fanka sportowej Toyoty, przyznaje, że nie rozumie zachwytów nad dawną motoryzacją, choć zna je z własnego otoczenia. Jej chłopak jeździ starszym Mercedesem coupé, modelu ona nie potrafi nawet wymienić. – On uważa, że kiedyś samochody miały duszę. A te nowe to tablety na kółkach – opowiada. – Faceci potrafią godzinami zachwycać się wyglądem, charakterem, a także dźwiękiem silnika.

Natalia pozostaje na te uroki odporna. Dla niej najważniejsze, żeby samochód zawiózł ją tam, gdzie potrzebuje. Ale ta GT86 cały czas kusi.

•

21-letni Maciej z północno-wschodniej Polski (ulubiony wóz: Chevrolet Camaro Z/28 z 1979 roku) właśnie robi prawko. Ma całą listę powodów, dla których warto.

Po pierwsze, nie trzeba sprawdzać rozkładów jazdy ani zastanawiać się, czy z Suwałk uda się wrócić ostatnim autobusem, czy trzeba będzie czekać do rana.

Po drugie, można odebrać z paczkomatu dwudziestokilogramową paczkę i nie taszczyć jej przez pół miasta razem z zakupami.

Po trzecie, kiedy pada deszcz, człowiek nie moknie, a papierowe torby z zakupami nie rozpadają mu się w rękach.

Po czwarte, latem jest klimatyzacja, zimą ogrzewanie, więc odpada marznięcie na przystanku zimą, gotowanie się w upale latem i pocenie się w autobusie niezależnie od pory roku.

Po piąte, oszczędza się mięśnie, czas, nerwy, ubrania i właściwie wszystko, co można oszczędzić.

Po szóste, jest bezpieczniej, bo kiedy pod Biedronką zrobi się lodowisko, pieszy może się przewrócić, a samochód, jak zauważa Maciej, ma jednak cztery koła. Owszem, może wpaść w poślizg, ale przynajmniej tak łatwo się nie wywraca.

Po siódme, nawet w dużym mieście komunikacja publiczna potrafi zawieść, a wtedy dobrze mieć alternatywę.

Wreszcie po ósme, najważniejsze: można przyjechać, kiedy się chce, odjechać, kiedy się chce, i nie prosić nikogo o podwiezienie.

Maciej podsumowuje to krótko: wolność, oszczędność czasu, sił i nerwów.

11

PROC.
• **amerykańskich „zetek" lubi albo uwielbia prowadzić samochód**

Trudno powiedzieć, czy istnieje drugi środek transportu, który tak skutecznie chroniłby człowieka przed dwudziestokilogramową paczką, przemoczonymi zakupami i oblodzonym parkingiem pod Biedronką.

Maciej puszcza mimo uszu mój sarkazm – zresztą trudno wyczuć, kiedy mówi serio, a kiedy ironizuje – i dorzuca punkt dziewiąty, na wszelki wypadek: kryzys. Zrobiłby prawo jazdy nawet wtedy, gdyby mieszkał w Warszawie, gdzie komunikacja miejska działa znacznie lepiej. Bo przecież mogą zepsuć się tory, może zabraknąć pieniędzy na kursowanie autobusów albo z jakiegoś innego powodu, od kataklizmu po sabotaż, „zbiorkom" zostanie ograniczony. Wtedy dobrze mieć prawo jazdy w kieszeni i umieć poprowadzić pojazd.

Najchętniej ogląda samochody z minionych dekad, jego motoryzacyjne sympatie sięgają za ocean, do Ameryki lat 70. i 80. Tamte samochody miały charakterystyczne linie, rozmaite kształty i znacznie odważniejsze kolory. Dziś – narzeka – producenci podporządkowali wygląd aut aerodynamice. Rozumie to, mniejszy opór, mniejsze spalanie, ale ulice zapełniły się czarnymi, srebrnymi i szarymi klonami.

Maciej ma jeszcze jeden powód, żeby tęsknić za dawną motoryzacją. Zero zaskoczenia: – Won z tabletami na kółkach – mówi. Podobnie jak Gerard podejrzewa, że zastępowanie przycisków i pokręteł elektroniką służy przede wszystkim producentom, a nie bezpieczeństwu czy funkcjonalności. Ma teorię podpartą tym, czego naoglądał się na YouTube o machinacjach firm z pralkami psującymi się tuż po gwarancji czy bateriami w smartfonach, które nagle z dnia na dzień tracą 40 procent pojemności, a oczywiście już nie są wymienne.

– Jak masz wszystko na guzikach i pokrętłach, to kiedy zepsuje ci się jedno pokrętło, masz jedno pokrętło zepsute. A jak padnie ekran, to masz wszystko zepsute. To jest takie postarzanie produktu, żeby wyciągnąć od ciebie hajs – przekonuje.

Do listy zalet starych samochodów dorzuca jeszcze prywatność. Widział kiedyś film o agentach wywiadu, w którym bohater celowo wybierał starszy model, bo trudniej było go namierzyć. Maciejowi spodobała się ta myśl. Współczesny samochód stale podłączony do internetu, budzi w nim podejrzenie, że właściciel coraz mniej nad nim panuje.

Podobne zastrzeżenia ma do wielu innych produktów. Uważa, że dawniej robiono lepsze, trwalsze i ciekawsze ubrania, perfumy i przedmioty codziennego użytku.

Kamil, milenials, który przygląda się motoryzacyjnym fascynacjom młodszych od siebie ludzi, zauważa, że zainteresowanie dawnymi samochodami wykracza poza Polonezy i Syreny. Młodych pociągają też luksusowe i sportowe modele z lat 80. i 90., które znają z filmów, gier i internetu. Kiedyś o takich samochodach czytało się w czasopismach motoryzacyjnych, dziś można je oglądać bez końca na ekranie, a podczas zlotów zobaczyć z bliska.

Kamil zwraca też uwagę na przyjemność, jaką daje samodzielne majsterkowanie przy starszych autach. Można je modyfikować, poznawać ich mechanikę i własnymi rękami naprawiać drobne usterki, zamiast za każdym razem jechać do serwisu.

On też ma teorię. – Pod każdym względem coraz mniej możemy zrobić sami. Niby jest konsumpcjonizm i opcji jak nigdy wcześniej, mam tuzin gatunków piwa i sosów do zapiekanki w Żabce, ale już nie podłubię w kodzie gry, bo dziś jest na serwerze producenta. Nie obejrzę filmu, który jest dostępny w USA, ale nie wszedł do dystrybucji w Polsce, bo DVD każdy mógł zhakować, a Netflixa nie zhakujesz.

Dla Kamila stary samochód, który robi to, co my chcemy, to ostatni bastion sprawczości.

•

Ale przecież są samochody, które łączą niezły styl, osiągi, prostotę konstrukcji – choć od elektroniki nie da się uciec – z poszanowaniem środowiska.

Gerard nie zamierza przesiadać się do elektryka. Drażni go przekonanie, że samochody elektryczne są z definicji ekologiczne, a kto

WE WTOREK W „WYBORCZEJ"

DODATEK SPECJALNY

Spadki i testamenty

• Co się stanie, jeśli nie zostawimy testamentu?
• Jak przygotować testament?
• Jak wydziedziczyć krewnych ?
• Majątek zapisać w testamencie czy lepiej darować za życia?
• Jak mieć pewność, że spadkobierca wykona naszą wolę



1 RP

eprasa.pl a960e54702

ma wobec nich zastrzeżenia, ten nie rozumie, w którą stronę zmierza świat.

– Mam wrażenie, że jesteśmy sztucznie pchani w stronę samochodów elektrycznych. Ciągle słyszymy, że są bardziej ekologiczne, ale przecież sama produkcja akumulatorów mocno obciąża środowisko. Potem dochodzi problem ich utylizacji. Po kolizji nie da się wyklepać tak łatwo, jak spalinówki, kiedy baterie się uszkodzą, to samochód idzie na złom – wylicza.

Gerard ma też wątpliwości dotyczące trwałości elektryków. Skoro baterie w telefonach czy tabletach po paru latach puchną albo gwałtownie tracą sprawność, w samochodzie elektrycznym po kilkunastu latach konieczna będzie wymiana akumulatora, a to najdroższy element, bardziej opłaci się kupić nowe auto.

Ale Gerard nie zamierza udawać, że chodzi tylko o racjonalne argumenty. Jest jeszcze coś, czego elektryk nie zaoferuje: przyjemność obcowania z tradycyjną motoryzacją.

– Ważne jest doświadczenie jazdy. Dźwięk silnika. Albo takie poczucie fizyczności maszyny, opór mechanizmów, którego nie daje „elektryk" działający gładko – tłumaczy.

Dr Agnieszka Szmelter-Jarosz uważa, że fascynacja młodych starszymi samochodami jest częścią szerszej zmiany pokoleniowej. Zetki nie odrzucają konsumpcji, ale próbują uwolnić się od jej wzorców odziedziczonych po rodzicach. – Oni przeciwstawiają się konsumpcjonizmowi starszego pokolenia, który polegał na kupowaniu bez ograniczeń, w tym posiadaniu coraz nowszych samochodów. To filozofia życia, która przekłada się na wybory transportowe.

A że starsze samochody mają gorsze parametry emisji spalin niż dzisiejsze, co średnio da się pogodzić z niepokojem młodych o stan planety? Badaczka udziela mniej więcej tej samej odpowiedzi, co obiekty jej badań: ich dalsze użytkowanie, gdy wymienia się poszczególne podzespoły, a nie całą maszynę, wpisuje się w ideę ponownego wykorzystywania rzeczy.

A poza tym zetki nie są tak przywiązane do samego posiadania samochodu, jak starsze pokolenia. Dla nich to element outfitu taki jak buty czy fryzura. Komunikat o sobie, część wyrażania siebie, nie muszą nim jeździć wszędzie i codziennie. Korzystają z komunikacji publicznej, chętnie poruszają się rowerami, a prawo jazdy to dodatkowa możliwość przemieszczania się, kolejny aspekt niezależności.

●

To właśnie może się okazać największym wyzwaniem dla przemysłu motoryzacyjnego. Producenci inwestują ogromne pieniądze w elektryfikację, kolejne generacje elektroniki i technologiczne udogodnienia – tymczasem przyszli nabywcy mogą wcale nie uważać tych nowości za wystarczający powód, żeby kupić samochód.

80

PROC.
• praw jazdy wydanych po raz pierwszy trafiła do osób w wieku 16–24 lat

– Elektryki trafiły w potrzeby pokoleń, które mają stosunkowo dużą siłę nabywczą, lubią technologiczne nowinki i traktują je jako sposób podkreślania statusu. Mam na myśli milenialsów i X-y. Dla młodszego pokoleniasamochód nie musi być najnowszy ani najbardziej zaawansowany. Ma być niezawodny i wygodnie dowieźć do celu – mówi Szmelter-Jarosz.

A co się stanie, kiedy dzisiejsi dwudziestolatkowie zaczną zarabiać więcej i zakładać rodziny? Czy nie okaże się, że jak w piosence Dezertera, „jesteśmy tacy sami / powtarzamy to, co robią / ludzie, z których się śmialiśmy"?

Badaczka przewiduje, że owszem, częściej będą korzystać z aut, szczególnie jeśli pojawią się dzieci. Nawet nie przez wygodnictwo – do przedszkola czy teatru własnymi czterema kółkami zamiast autobusem – ale z konieczności. Bo nawet Duńczycy w outdoor nie dojeżdżają tramwajem. Trudno zorganizować górską włóczęgę albo zaszycie się na podlaskim odludziu bez samochodu – a jeśli dotrze tam pociąg, przestaną być odludziem.

Socjolożka nie spodziewa się jednak, żeby przejęli od starszych pokoleń przekonanie, że samochód musi być coraz droższy i nowszy. Zmiana sytuacji życiowej może zwiększyć potrzebę korzystania z auta, ale niekoniecznie przełoży się na potrzebę okazywania zaspokajania aspiracji na polu motoryzacyjnym. – Na razie producenci nie muszą specjalnie reagować, ponieważ główny popyt na nowe auta generują starsze pokolenia, przede wszystkim milenialsi. Lecz kiedy zetki, a potem alfy staną się ważniejszą grupą nabywców i zaczną wyraźnie artykułować oczekiwania, producenci będą musieli się do nich dostosować – przewiduje.

Jak – nie wiadomo, może zmieni się wzornictwo, może efektowne i tanie gadżety elektroniczne, za sprawą których samochody tyją, będą musieli zastąpić starym, dobrym przyłożeniem się do właściwości jezdnych. Ale obecny trend: coraz więcej algorytmów, coraz mniej czystej jazdy – raczej nie utrzyma się.

– Zetki z wiekiem nie upodobnią się automatycznie do rodziców. Ich obecne wybory wynikają z czegoś znacznie głębszego, z pewnego rdzenia osobowości i podejścia do życia. A takie rzeczy bardzo trudno zmienić – podsumowuje Szmelter-Jarosz.

●

Tymczasem dr Sosnowski zauważa: – No i z pomocą samochodu można sobie zaklepać kolejny kawałek prestiżu. Czym właściwie ma się dzisiaj wyróżnić siedemnastolatek z zamożnego domu, który ma już wszystko?

Jak to się ma do wyrażania poprzez auto osobowości, nie stanu portfela? Kategoria-klucz to „siedemnastolatek". Socjolog mówi o najmłodszych kierowcach, czyli już bardziej pokoleniu Alfa niż Zet – a ono różni się od starszych młodych. Obyczajowo i światopoglądowo jest na lewo – gdy „pełne" zetki flirtują z wolnościową, „zdroworozsądkową", jak często ją nazywają, prawicą – ale bardziej tradycyjne, jeśli idzie o styl życia i wzorce życiowe.

Dlatego dr Szczepański opowiada o samochodach trzy-, czteroletnich, a także zupełnie nowych, branych w leasing na rodzicielską firmę. BMW zamiast rozsądnego wysłużonego opla. Auto za 180 czy 220 tysięcy złotych zamiast takiego z placu „Dwa tysiaki i jedziesz", którego pierwsze obtarcie o słupek nie będzie rodzinnym dramatem. – Rodzice mają firmę, więc biorą samochód w leasing. Nie trzeba od razu wykładać dwustu tysięcy, często rozlicza się to w kosztach, a efekt „wow" jest. A jak go obtłucze? Od tego są ubezpieczenia.

Instruktor Jerzy widział prezent dla małolata w postaci Mercedesa. – Przyjechał na lawecie! Proszę pani, nowy merc na osiemnastkę dla córki! Kupują młodemu człowiekowi samochód o dużej mocy, a on nie ma jeszcze umiejętności, żeby nad nim zapanować.

Dr Szczepański: – Obserwuję rodziców, którzy dużo mówią o wartościach, odpowiedzialności, rozsądnym wychowaniu. A potem kupują dziecku droższą zabawkę niż ta dziecka sąsiada. Czy to komputer, czy hulajnoga, czy samochód. To klasyczna rywalizacja statusowa. A teraz można ją ładnie opakować. Moje dziecko ma siedemnaście lat, a już zdało państwowy egzamin! Jest samodzielne, odpowiedzialne, niezależne, dojrzałe jak na swój wiek.

Samochód staje się więc rodzajem kolejnego osiągnięcia, które można dopisać do rodzinnego CV. Obok dobrego liceum, języków obcych, zagranicznych wyjazdów i korepetycji.

Dzieci z zamożnych domów od najmłodszych lat mają dostęp do usług i możliwości, o których ich mniej uprzywilejowani rówieśnicy mogą tylko pomarzyć. Po destrukcji publicznej szkoły za rządów PiS, obnażeniu jej niedoskonałości podczas pandemii i pozorowanych reformach ministry Barbary Nowackiej, takim przywilejem stała się prywatna szkoła. A teraz – wczesne „prawko" i dobry samochód.

●

Maciej nie zaprząta sobie głowy przyszłością przemysłu motoryzacyjnego. Ma pilniejszy problem: nauka prowadzenia okazała się dla trudniejsza, niż oczekiwał. Trzeba jednocześnie obserwować drogę, znaki, pieszych, kontrolować sprzęgło, biegi i kierownicę. Bywało, że miał ochotę zrezygnować. Ale tego nie zrobi. Ma już nawet zaplanowaną pierwszą przejażdżkę po zdobyciu prawa jazdy. Poczeka do drugiej w nocy, weźmie kolegę, który również męczył się ze zdobyciem uprawnień, i ruszą przed siebie.

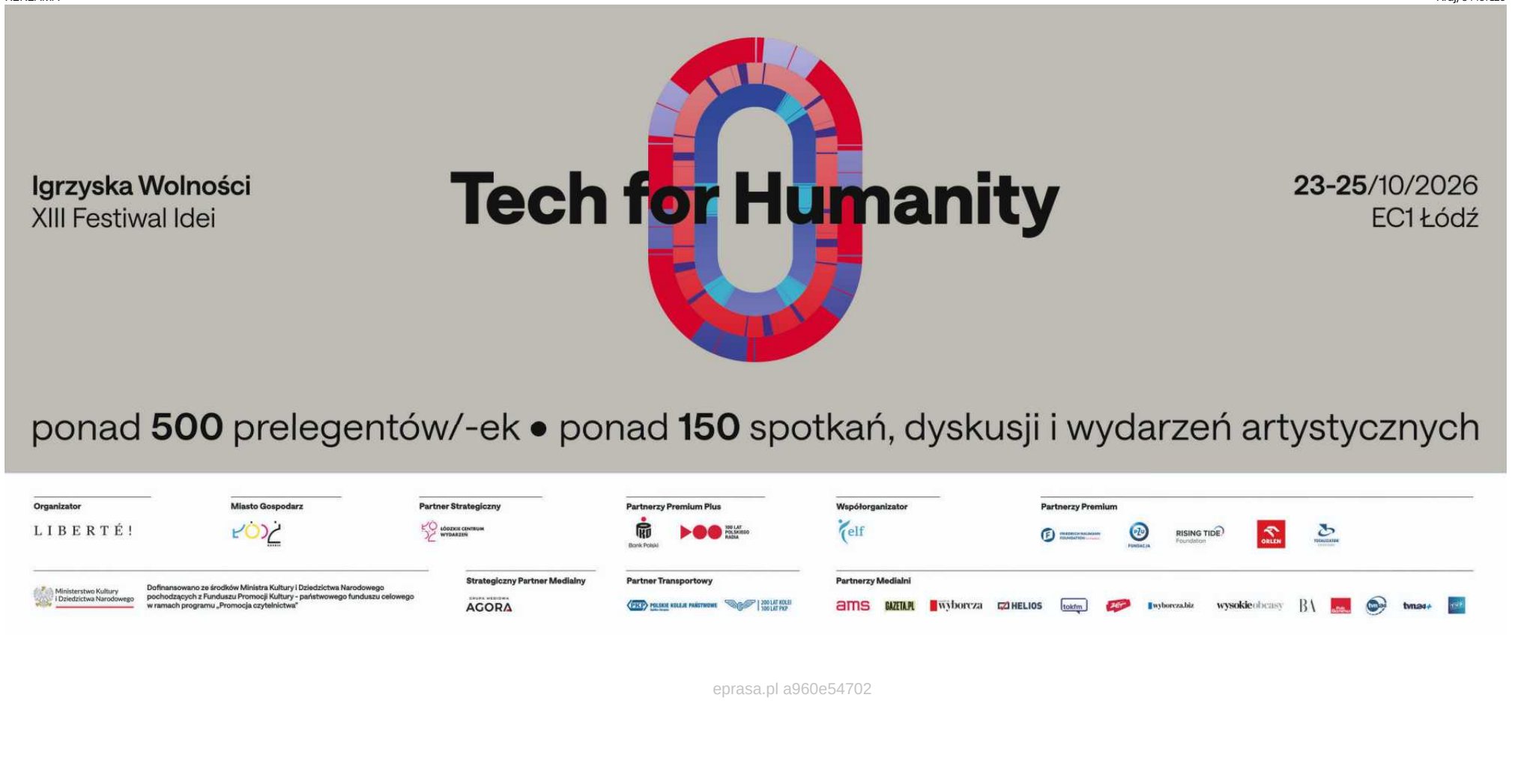
Pomysł narodził się po Halloween. Urządzili sobie wtedy maraton horrorów, a później wyszli na długi spacer. Było tak pusto, że Maciej pomyślał: to idealne warunki do nauki jazdy.

– Chcę sobie pojeździć po własnym mieście. Nie tylko jak wyglądają skrzyżowania i znaki, ale zobaczyć, gdzie jaka jest uliczka, zaułek, skrót. Tak, żeby nie ograniczać się do głównych arterii i nie być zdanym na Google Maps.

Czemu akurat o drugiej w nocy? Bo na drogach mało samochodów, więc nie będzie musiał się przejmować innymi kierowcami ani tym, że ktoś zobaczy jego błędy. – Jak coś źle zrobię, nie będzie wstydu – śmieje się.

Jest w tym pomyśle coś z „Amerykańskiego graffiti", klasycznego filmu George'a Lucasa, w którym młodzi ludzie spędzają noc, krążąc samochodami po ulicach kalifornijskiego miasteczka. Z tą różnicą, że Maciej nie planuje wyścigów ani podrywania dziewczyn. Chce spokojnie poćwiczyć skręcanie, rozpoznawanie znaków i orientację w terenie. No a przede wszystkim wreszcie sam zdecydować, dokąd pojedzie i kiedy wróci. ●

REKLAMA
Kraj/34457129



eprasa.pl a960e54702

Administrację Trumpa dopadła biegunka cięć budżetowych. Amerykanów – prawdziwa. Co gorsza, wybuchowa.

STANY ZATRUCIA POKARMOWEGO



• **Za sprawą tegorocznej epidemii produkcja różnych rodzajów sałaty spadła do najniższego poziomu od ćwierćwiecza. Miliony Amerykanów zrezygnowały z jedzenia wszelkiej zieleniny**

FOT. DON BARTLETTI/GETTY IMAGES

Alek Korab*

Było to kilka lat temu na Brooklynie. Zanim wyszedłem do pracy, wyciągnąłem z lodówki bajgla z kultowych delikatesów Russ & Daughters i przeciąłem go w poprzek. Moja matka nazwała mnie wcześniej grubym, więc uważałem na kalorie i nie posmarowałem go, jak należy, serkiem Philadelphia. Dodałem wędzonego łososia, plasterek pomidora i dokroiłem kawałek czerwonej cebuli. Jeszcze tylko kapary, koperek i nowojorskie śniadanie mistrzów było gotowe. Niebo w gębie.

Sześć godzin później zaczęło się piekło w żołądku.

Siedziałem przy biurku w biurze coworkingowym Fabryka Mosiądzu, pełnym kilkuosobowych startupów, z których większość jeszcze niedawno specjalizowała się w kryptowalutach, a teraz przebranżowiła się na sztuczną inteligencję. Zaczęło się od bólu głowy i skurczów żołądka, potem doszły nudności i gorączka. Najgorsze były dreszcze. Czułem się jak Nel z „W pustyni i w puszczy", tyle że bez dostępu do chininy.

Biuro jest dwie ulice od naszego mieszkania, ale o ewakuacji nie było mowy. Na pogotowie nie dzwoniłem, bo w Ameryce już samo wezwanie karetki oznacza rachunek na kilka tysięcy dolarów. Dowlokłem się do kanapy na środku open space'u i leżałem na niej godzinami, otoczony dziesiątkami młodych, zdrowych ludzi.

Po kilku godzinach podeszła do mnie para zetek z sąsiedniego startupu, który zajmuje się kompostowaniem ludzkich ciał (ostatnio modna rzecz tutaj). „Sępy zaczynają kołować" – pomyślałem, ale nie mogłem nawet otworzyć oczu.

– Pijany? – rzucił pierwszy.

– Co ty, nikt teraz nie pije. Na sto procent mikrodawkuje grzyby, wszyscy prezesi teraz to robią. Pewnie przedawkował – odpowiedział mu autorytatywnie drugi.

Przynieśli mi szklankę wody. Leżałem i przypominałem sobie wszystko, co zjadłem w ostatnich dniach. Wyszło mi, że to musiał być łosoś. Szlag by go trafił.

Kilka dni później doszedłem do siebie i w tym samym biurze redagowałem tekst o tym, że kalifornijski producent warzyw wycofuje z rynku gigantyczną partię czerwonych cebul. Urząd ds. Żywności i Leków (FDA) powiązał je z zatruciami salmonellą.

Łosoś był niewinny. Zbrodni dokonała niepozorna cebula.

Lato wybuchowej biegunki

Nie jestem specjalnie wyjątkowy. Każdego roku ponad milion mieszkańców USA choruje z powodu zakażenia bakteriami salmonelli.

Ale salmonella to mały Kazio. Według Centrów Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC), amerykańskiego odpowiednika sanepidu, każdego roku od jakiegoś posiłku rozchorowuje się w Stanach 48 mln osób. Z powodu zatrucia pokarmowego 128 tys. Amerykanów rokrocznie trafia do szpitala, a 3 tys. umiera. To nie kryzys, ale normalny tutaj stan powszechnego zatrucia.

Witajcie w Ameryce, gdzie obcy sieją spustoszenie i śmierć. Nazwy mają łacińskie: Salmonella, Escherichia coli, Listeria, Bacillus cereus, Cyclospora cayetanensis. Paszporty przeważnie amerykańskie albo latynoamerykańskie. Cebula, która mnie załatwiła, rosła w Kalifornii.

Hit minionego lata, czyli cyklospora, to tropikalny pierwotniak. W Stanach znano go od 1990 r., gdy rozłożył personel szpitala w Chicago, ale na dobre przywędrował w 1996 r. w malinach z Gwatemali. 1,5 tys. chorych w 20 stanach. Rok później prawie drugie tyle.

Przez następne dwie dekady przyjeżdżał z importem: w kolendrze i sałacie z Meksyku. Jak wielu imigrantów, został w USA. W 2019 r. FDA po raz pierwszy znalazła go w wyrosłej na amerykańskiej glebie kolendrze, a rok później w wodzie z kanału na Florydzie. Tamtego roku miksy sałatkowe marki Fresh Express z amerykańskich farm rozłożyły 701 osób w 14 stanach.

Tegoroczny gość przyjechał jednak po staremu, z Meksyku. Licznik CDC na koniec sezonu zachorowań na cyklosporozę pokazał 19,9 tys. potwierdzonych laboratoryjnie przypadków. Ponad tysiąc osób hospitalizowano, dwie zmarły.

W tym samym okresie rok wcześniej zachorowań było 1,2 tys. Frank Yiannas, były zastępca komisarza FDA ds. bezpieczeństwa żywności, mówił o skali „niespotykanej w historii USA".

Amerykańskie media nazwały to „latem wybuchowej biegunki".

Sałata z niespodzianką

W tej historii padną nazwiska kilku czołowych amerykańskich polityków (za chwilę) i nazwy paru słynnych amerykańskich marek. Na czele z Taco Bell, popularną siecią z jedzeniem inspirowanym kuchnią meksykańską. To trzecia największa sieć fast foodów w USA, zarówno pod względem wartości sprzedaży (po McDonaldzie i Chick-fil-A), jak i liczby lokali (po Subwayu i McDonaldzie). Właścicielem Taco Bell jest koncern Yum! Brands, do którego należy także m.in. KFC (we wrześniu koncern pozbył się dołującej Pizzy Hut).

Tegoroczne lato zrobiło się wybuchowe właśnie za sprawą poszatkowanej sałaty lodowej z tacosów i burrito z Taco Bell, którą dostarczył meksykański zakład amerykańskiego giganta rolno-spożywczego Taylor Farms.

Nie bywamy w Taco Bell, więc poprosiłem znajomego dziennikarza piszącego o jedzeniu o wyjaśnienie fenomenu tej sieci. – W Taco Bell jedzenie jest wyborne i uzależniające. Na podstawie trzech składników – mielonej wołowiny, sera i tortilli – wyczarowuje się wszystko: od prostego taco po szalone wynalazki w stylu Crunchwrap Supreme. Trzymasz to w dłoni, zjadasz w kilku kęsach i od razu masz ochotę na kolejną porcję – wyjaśnia. – Niektórzy po takim posiłku mają wzdęcia i czują dyskomfort w brzuchu, ale nie ma to nic wspólnego z cyklosporą; to po prostu efekt jedzenia niezdrowego, tłustego fast foodu.

Na ile opis kolegi jest trafny, czytelnicy w Polsce będą mogli przekonać się już niedługo; pierwsze lokale Taco Bell mają zostać otwarte nad Wisłą jeszcze w tym roku.

Ale to nie wszystko. Taylor Farms dostarcza też składniki do sałatek sprzedawanych pod własną marką w największych amerykańskich sieciach supermarketów: Costco, Trader Joe's, Walmart czy Kroger (w nich akurat zakupy robimy).

W sumie produkty Taylor Farms zostały wycofane z restauracji i sklepów w 27 stanach.

1 RP

eprasa.pl a960e54702

Problem amerykański czy meksykański?
Cyklospora to nie bakteria, a jednokomórkowy pasożyt. Poza ciałem człowieka żyje jako oocysta: kulka wielkości setnej części milimetra. Świeżo wydalona z kałem nie zaraża. Musi poleżeć w ciepłej glebie albo wodzie co najmniej tydzień, dwa. Dopiero jeśli taka dojrzała kulka zostanie połknięta, zaczynają się problemy.

Człowiek jest jedynym znanym żywicielem cyklospory. Jak więc dostała się na sałatę?

– Moja teoria jest taka, że poprzez zanieczyszczoną wodę – mówi prof. Donald Schaffner, kierownik katedry nauki o żywności na Uniwersytecie Rutgersa. Jeśli ma rację, pasożyt trafia na pola uprawne w wodzie użytej do nawadniania, mycia zbiorów albo po ulewie, z przepełnionych polowych toalet.

Zwykłe umycie sałaty tu nie wystarczy. Ani w domu, ani w przetwórni, gdzie przed pakowaniem płucze się ją w wodzie z chlorem w stężeniu kilkadziesiąt razy wyższym niż w kranie.

– Chemiczne środki dezynfekujące, takie jak chlor, skutecznie zabijają bakterie E. coli, ale oocysta pasożyta ledwo je zauważa – dodaje prof. Kalmia Kniel, mikrobiolożka z Uniwersytetu Delaware.

Rząd też to wie. W wytycznych z sierpnia FDA przyznała, że nie zna żadnej metody, która powstrzymałaby cyklosporę i nadawała się „do użycia przy świeżo krojonych warzywach".

Reprezentanci Taylor Farms przez całe lato powtarzali, że badania wszystkich źródeł wody używanej w zakładzie nie wykazały obecności cyklospory. Firma zamknęła jednak zakład 18 lipca.

Inspektorzy FDA dotarli tam dopiero w połowie sierpnia. Tyle czasu trwało załatwianie pozwolenia rządu, dla którego pracują – Departament Stanu zaleca, by „z powodu przestępczości" głęboko rozważyć wizyty w stanie Guanajuato w centralnym Meksyku, gdzie znajduje się zakład.

Polski czytelnik zapyta w tym miejscu: skoro sałata rosła w Meksyku, to może problem jest meksykański? Tyle że Taylor Farms to firma amerykańska. To ona wybiera dostawcę, myje, pakuje i dostarcza sałatę do Taco Bell czy Walmarta. A kontrolować ją, włącznie z jej meksykańskimi zakładami, powinna FDA. Tyle że jej pracownicy byli tam poprzednio w 2019 r.

Tyle o sałacie. Co się dzieje z człowiekiem, w którego jelicie cienkim cyklospora właśnie się zagnieździła? – Pasożyt namnaża się i wywołuje miejscowy stan zapalny – tłumaczy prof. Kniel. – Chory dostaje przewlekłej, obfitej, wodnistej biegunki, napadów gazów, skurczów brzucha. Kolejne objawy to skrajne zmęczenie i znaczna utrata masy ciała. Cyklosporoza, jeśli nie leczy się jej Biseptolem, potrafi ciągnąć się tygodniami albo wracać męczącymi nawrotami dokładnie wtedy, gdy pacjentowi wydawało się, że zdrowieje.

Przekonał się o tym Chase Strangio, prawnik z Queensu. W połowie maja na służbowym lunchu zjadł sałatę z kolendrą. Tydzień później zaczęły się gorączka, nudności, biegunka, a potem skurcze. „Moje ciało nie pozwalało mi jeść, w końcu trudno było nawet pić wodę" – mówił telewizji CBS. Stracił trzy kilo, dostał dwie kroplówki, na wynik testu czekał ponad dwa tygodnie. Jak mówi, wciąż nie potrafi zjeść niczego surowego bez lęku.

Mohammed Ayyad z Ohio jadł w Taco Bell 14 i 21 czerwca. 3 lipca zgłosił się na ostry dyżur, 9 lipca dostał wynik, 16 lipca złożył pierwszy pozew w tej sprawie.

W Michigan dwie osoby, obie z poważnymi chorobami współistniejącymi, zmarły. Wcześniej w dziesięciomilionowym Michigan notowano 40–50 przypadków cyklosporozy rocznie. W drugiej połowie lipca bywało, że stan notował ponad 500 nowych przypadków dziennie.

Jak to możliwe, że najpotężniejsze państwo na świecie nie jest w stanie poradzić sobie z mikroskopijnym pasożytem?

48 MLN
• **Amerykanów rocznie zatruwa się jedzeniem**

128 TYS.
• **trafia do szpitala**

3 TYS.
• **umiera**

Koszty przerzucane są na zwykłych Amerykanów, którym niewidzialna ręka rynku nie pomoże nawet w spuszczeniu wody w toalecie

Problem nr 1: triumf nad nauką
Po pierwsze, cyklospora, jak tłumaczy mi prof. Donald Schaffner, jest z kilku powodów wyjątkowo trudnym rywalem.

– Ma nietypowo długi okres inkubacji, od dwóch dni do dwóch tygodni, a standardowe badania zlecane przy infekcji biegunkowej i tak nie obejmują pasożytów. A nawet jeśli test na pasożyty zostanie zrobiony, nie obejmuje cyklospory, bo ta wymaga osobnego testu. To znaczy, że mogą minąć dwa tygodnie, zanim ktoś zachoruje, i kolejne dwa albo i więcej, nim potwierdzi się, że to cyklospora. A to znaczy, że ludzie muszą sobie przypomnieć, co jedli miesiąc wcześniej – mówi naukowiec.

Prof. Kniel dodaje, że polowanie na cyklosporę jest „nieporównanie trudniejsze" niż na bakterie, bo nie da się jej wyhodować. – Salmonellę wrzucasz wieczorem do bulionu i rano masz miliard komórek – mówi.

Nawiasem mówiąc, mam wrażenie, że ten miliard komórek salmonelli ją ekscytuje. Mnie jakoś znacznie mniej...

– Jesteśmy całkowicie zależni od odzyskiwania oocyst z ludzkich próbek klinicznych albo ze skażonej żywności – kontynuuje prof. Kniel. – A szukamy garstki oocyst o średnicy 8–10 mikrometrów, przyklejonych do woskowej skórki pęczka kolendry albo skrzynki malin.

Schaffner dokłada jeszcze jeden problem: przy bakteriach sekwencjonowanie genomu pozwala dopasować szczep z kału chorego do szczepu na jedzeniu, ale przy tym pasożycie „technologia jest dekady za tym, co potrafimy robić z bakteriami".

Zespół prof. Kniel przez cztery lata z rzędu składał w Departamencie Rolnictwa wnioski o 10 mln dol. na badania nad metodami wykrywania oocyst. Bez sukcesu. Departament Rolnictwa wyjaśniał, że recenzenci wybrali projekty „o największym znaczeniu" dla rolników.

W dodatku w USA system nadzoru nad bezpieczeństwem żywności jest skomplikowany. Odpowiadają za nie zarówno FDA, jak i Departament Rolnictwa, ale podział kompetencji między nimi jest niezbyt klarowny. Dla przykładu: mrożoną pizzę z serem kontroluje FDA, ale wystarczy położyć na niej pepperoni albo kurczaka i ta sama pizza przechodzi pod Departament Rolnictwa.

Ten system jest też, jak mówi prof. Kniel, nieprzystający do dzisiejszych czasów.

W mailach, do których dotarły Bloomberg i „New York Times", urzędnicy z Michigan narzekali na „przestarzały system nadzoru nad chorobami" i na to, że musieli przeanalizować wywiady z 700 chorymi. To nie są jednostronicowe ankiety. Samo przepytanie jednego pacjenta według szczegółowego kwestionariusza zajmuje od dwóch do trzech godzin.

Problem nr 2: problemy ze wzrokiem
Po drugie, państwo oślepło. Na początku 2025 r. jedyne w USA laboratorium CDC zajmujące się cyklosporą, zdolne dzięki analizom genetycznym identyfikować przypadki zachorowań i łączyć je w ogniska epidemiczne mające wspólne źródło, liczyło zaledwie 11 naukowców.

Ale to i tak było za dużo. Donald Trump na początku drugiej kadencji zaczął realizować obietnicę gwałtownego odchudzenia państwa, które, jak głosił w kampanii wraz ze wspierającymi go miliarderami, zatrudnia zbyt wielu urzędników. Narzędziem było DOGE, tymczasowy urząd do cięcia kosztów federalnych, faktycznie kierowany przez Elona Muska. Po roku zwolnień i odejść z 11 naukowców w laboratorium zostało trzech. Trzech na ponad 340 mln mieszkańców!

To nie wszystko. Latem 2025 r. CDC okroiło FoodNet, wspólny system nadzoru trzech agencji federalnych i dziesięciu stanów. Działało to tak, że stanowi epidemiolodzy obdzwaniali ponad 700 laboratoriów i wyłapywali potwierdzone przypadki zakażeń jednym z ośmiu groźnych patogenów. Dzięki temu mogli szybciej dostrzegać niepokojące trendy. Od ponad roku obowiązkowe raportowanie do FoodNetu obejmuje tylko salmonellę i E. colę. W przypadku pozostałych sześciu patogenów, w tym cyklospory, stało się dobrowolne. Co prawda w większości kraju takie dane i tak trzeba zgłaszać stanowym służbom zdrowia, a te przekazują je CDC, ale świadomie wyłączono jeden z systemów wczesnego ostrzegania.

W samej FDA około 440 pracowników ma dziś do skontrolowania ponad 300 tys. zakładów spożywczych w kraju i za granicą, czyli średnio 680 na głowę. Zakłady wysokiego ryzyka powinny być kontrolowane co trzy lata, pozostałe co pięć. Już w 2021 r. FDA nie dotarła na czas do połowy zakładów wysokiego ryzyka. Kontrole za granicą? W zeszłym roku FDA przeprowadziła ich 1,1 tys., najmniej od 15 lat (nie licząc pandemii), choć ustawa z 2011 r. zakładała dojście w pięć lat do poziomu 19,2 tys.

Thomas Gremillion, dyrektor ds. polityki żywnościowej w Consumer Federation of America, zrzeszającej około 250 organizacji konsumenckich, zwraca uwagę, że cięcia w budżetach służb federalnych przekładają się na cięcia stanowych i lokalnych wydziałów zdrowia.

– Inspektorzy nie wykrywają ognisk tak szybko jak dawniej, a każdy dzień zwłoki to nowi chorzy – mówi. – Najważniejszym narzędziem ochrony powinien być nadzór epidemiologiczny: wczesne wykrycie ogniska i intensywne śledztwo, w wyniku którego zakażony produkt zdejmowany jest z półek, nim zarażą się kolejni. To trzyma firmy w ryzach.

Dlaczego zatem nikt specjalnie nie protestował, gdy cięto koszty? Alexander Sundermann, epidemiolog z Uniwersytetu w Pittsburghu, zauważył w „New Yorkerze": „Opinii publicznej trudno dostrzec, że zdrowie publiczne działa, bo kiedy działa, nic się nie dzieje. Ameryka ma problem z pokazaniem, że prewencja ma znaczenie i że trzeba w nią inwestować. To są konsekwencje długofalowe. Ale konsekwencje krótkofalowe widzimy właśnie teraz. I będziemy ich widzieć coraz więcej".

Problem nr 3: związane ręce
Po trzecie, państwo, nie dość, że oślepło, to jeszcze związało sobie ręce. Obecna administracja uważa, że wielki biznes ma zbyt wiele ograniczeń, więc stopniowo pozwala niewidzialnej ręce rynku działać coraz swobodniej.

Przykład? Amerykańskie normy pozwalają zakładom drobiarskim na obecność salmonelli w co czwartej próbce mielonego kurczaka. Tymczasem badanie Consumer Reports z 2022 r. wykazało salmonellę w niemal jednej trzeciej próbek mielonego kurczaka ze sklepów.

Dla porównania: Dania w ciągu 25 lat zbiła odsetek zakażonych kurcząt z 14 proc. do 0,3 proc. i dziś ma status kraju wolnego od salmonelli w drobiu.

Tymczasem wiosną 2025 r. Departament Rolnictwa wycofał przygotowany przez administrację Bidena projekt zaostrzenia norm w drobiarstwie. Rzecznik departamentu tłumaczył, że nałożyłoby ono „znaczne obciążenia finansowe i operacyjne na amerykańskie przedsiębiorstwa oraz konsumentów".

Takich przykładów jest więcej. Administracja Trumpa sabotuje choćby wprowadzenie w życie Food Traceability Rule. Rozporządzenie, które miało obowiązywać od 2026 r., zakłada, że firmy musiałyby prowadzić szczegółową dokumentację pochodzenia i przepływu produktów, a na żądanie FDA udostępniać



***Alek Korab**



• Przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Od 2014 r. mieszka w Nowym Jorku. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol", był redaktorem naczelnym „Metra" – jednego z największych dzienników w USA. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach, współpracując m.in. z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Niedawno nakładem wydawnictwa Znak Literanova ukazała się jego książka **„Chory (k) raj. Jak naprawdę żyje się w Ameryce"**

eprasa.pl a960e54702

ją w ciągu 24 godzin. Republikanie przesunęli początek obowiązywania przepisów na lipiec 2028 r.

Jak podkreśla prawnik Bill Marler, który od 1993 r. pozywa firmy spożywcze w imieniu zatrutych, gdyby rozporządzenie weszło w życie, niezbędne dane „byłyby w rękach FDA w jeden dzień".

A jak było tego lata? „New York Times" ujawnił, że epidemiolodzy z Michigan od 1 lipca kilkukrotnie prosili właścicieli Taco Bell o listy dostawców. Członek zespołu szybkiego reagowania zaalarmował nawet zarząd Yum! Brands. Komplet dokumentów, który pozwolił ostatecznie wskazać meksykański zakład Taylor Farms, FDA dostała dopiero 13 lipca. Taco Bell twierdzi, że działało „natychmiast, dobrowolnie i aktywnie", a zarzuty dotyczące opóźnienia „są nieprawdziwe".

Pointę tego wątku napisał Matthew Cortland, prawnik i aktywista zdrowotny. Z rejestrów Federalnej Komisji Wyborczej wygrzebał dowód na to, że Taylor Farms przekazało milion dolarów MAGA Inc., komitetowi zbierającemu fundusze na rzecz Trumpa (nimi prezydent wspiera teraz republikańskich kandydatów do Kongresu). Wpłata nastąpiła sześć dni po tym, jak administracja zapowiedziała odroczenie Food Traceability Rule. Przypadek?

Tak czy owak, wielki biznes zorientował się, że taniej jest zatrudnić lobbystów w Waszyngtonie i dokładać się do kampanii polityków z obu partii, niż dostarczać produkt, który nie truje. Sektor rolno-spożywczy wydał w 2024 r. na lobbing w Waszyngtonie 182 mln dol. – więcej niż branża naftowa.

Koszty przerzucano są oczywiście na zwykłych Amerykanów, którym niewidzialna ręka rynku nie pomoże nawet w spuszczeniu wody w toalecie.

Problem nr 4: i kto tu rządzi?

Po czwarte, państwo oprócz oczu i rąk straciło też głowę.

Robert F. Kennedy Jr., szef departamentu zdrowia, któremu podlegają FDA i CDC, jest głosicielem antynaukowych poglądów (np. że szczepionki powodują autyzm) i zwolennikiem teorii spiskowych (już jako członek administracji stwierdził, że smugi za samolotami to chemikalia rozpylane przez Pentagon). Lubi pić niepasteryzowane mleko, kąpać się w rzeczce ze ściekami i zbierać z drogi padlinę, której ma, jak twierdzi, pełną zamrażarkę.

Zarazków się nie boi. – Wciągałem kiedyś kokainę z desek klozetowych – tłumaczył.

Szefem pionu żywności, a od maja 2026 r. p.o. szefa całej FDA został natomiast Kyle Diamantas. Jest prawnikiem, nie medykiem, ale za to zwykł polować z synem Trumpa, Donem Jr. Wcześniej bronił m.in. firmy Abbott, oskarżanej przez rodziców o to, że nie ostrzegała dostatecznie, iż u wcześniaków karmionych jej mieszankami mlecznymi wzrasta ryzyko wystąpienia potencjalnie śmiertelnej choroby jelit.

Nic więc dziwnego, że reakcja zdziesiątkowanych agencji na epidemię była adekwatna do kompetencji ludzi, którzy je nadzorują.

Ognisko cyklosporozy pojawiło się w Michigan, jak później stwierdzono, w maju, ale liczba przypadków zaczęła gwałtownie rosnąć w ostatniej dekadzie czerwca. Wtedy Michigan zaalarmowało władze federalne.

Te jednak reagowały niemrawo i prowadziły fatalną politykę informacyjną. Konferencję prasową zorganizowały dopiero w połowie lipca, gdy Michigan naliczyło już 3,3 tys. chorych. Ale o tym, że inspektorzy sprawdzają Taco Bell, Amerykanie dowiedzieli się ze źródeł „Washington Post", a nie od urzędników.

„W kapitalistycznej Ameryce Taco Bell jest naszym CDC, a Waffle House systemem ostrzegania pogodowego" – podsumował na X biolog i aktywista Lucky Tran.

Waffle House to sieć całodobowych barów na Południu, która słynie z tego, że zamyka się tylko podczas największych huraganów. Pewien urzędnik stanowej agencji zarządzania kryzysowego na Florydzie w 2004 r. rzucił pomysł korzystania z tzw. Waffle House Index: w ocenie skali katastrofy pomaga sprawdzenie, czy lokalny Waffle House jest wciąż otwarty. Parę lat później ten urzędnik został szefem federalnej agencji kryzysowej FEMA.

Wracając do katastrof żołądkowych – RFK, nie zająknąwszy się wciąż ani słowem o cyklosporozie, wypuścił wideo, w którym zdradza receptę na walkę z amerykańskim problemem, jakim jest „największy spośród wszystkich narodów wskaźnik chorób przewlekłych". „Wszystko zaczyna się od tego, że bierzesz odpowiedzialność za własne zdrowie" – radzi w filmie RFK. Towarzyszący mu aktor komediowy Rob Schneider, również znany antyszczepionkowiec, dodaje: „Bądź aktywny!". I, jak na ironię: „Jedz prawdziwe jedzenie!".



FOT. REUTERS/EVAN VUCCI

Nie boję się zarazków. Wciągałem kiedyś kokainę z desek klozetowych

ROBERT F. KENNEDY JR. AMERYKAŃSKI SEKRETARZ ZDROWIA

Dopiero potem władze federalne zaleciły, by nie jeść sałaty w Taco Bell w stanach Indiana, Kentucky, Michigan, Ohio i Wirginia Zachodnia. Ostrzeżenie ograniczono do pięciu stanów, choć cyklospora szalała już daleko poza nimi. Tego samego dnia Nowy Jork zgłosił np. 374 przypadki, Karolina Północna – 307, a Illinois – 227.

Następnie FDA ogłosiła, że badanie sałaty Taylor Farms na obecność cyklospory dało pozytywny wynik, ale kolejnego dnia stwierdziła, że wynik był błędny. Taylor Farms oświadczyło, że „FDA ich przeprosiła". Po czym FDA zaprzeczyła, że przepraszała. I tak dalej – cyrk na kółkach.

Skołowane stany próbowały walczyć z epidemią na własną rękę. Stan Illinois udzielił np. życiowej rady, by „unikać jedzenia i wody, które miały kontakt z kałem". Inne stany zalecały mycie jedzenia, choć, jak już wiemy, naukowcy podkreślają, że trudno w ten sposób usunąć cyklosporę.

Głos zabrał w końcu RFK, ogłaszając, że ogniska cyklosporozy zdarzają się „każdego lata" (prawda, tylko zwykle to kilkadziesiąt przypadków na stan). Oskarżenia, że władze ich nie śledzą, nazwał „fake newsami". 21 lipca, gdy zgłoszenia przychodziły już z 41 stanów, oznajmił na konferencji: „Mamy ognisko pod kontrolą".

Jeśli chcesz rozśmieszyć cyklosporozę, opowiedz jej o swoich planach. Dzień później FDA ogłosiła nowe ognisko choroby.

11 sierpnia Diamantas uspokajał, że Ameryka ma „najbezpieczniejszą żywność na świecie", a resort zdrowia znów stwierdził, że ognisko zostało „opanowane". Tego samego dnia CDC opublikowało tygodniowy raport: prawie 14 tys. potwierdzonych przypadków.

Opanowanie głównego ogniska, z którym ostatecznie powiązano niemal 13 tys. z blisko 20 tys. przypadków zachorowań w tym sezonie, CDC mogło odtrąbić jednak dopiero miesiąc później.

Na wyniki śledztwa FDA w meksykańskim zakładzie Taylor Farms trzeba było czekać do 2 października. Inspektorzy w końcu znaleźli cyklosporę w ściekach z zakładu oraz w rowie odwadniającym na polu jednego z dostawców sałaty. Choć firma zrezygnowała z usług tego dostawcy, początkowo broniła się, podkreślając, że próbkę pobrano ze ścieków poza terenem Taylor Farms.

Wystarczyło jednak kilka dni, by Bruce Taylor, założyciel Taylor Farms, ogłosił, że od przyszłego roku firma nie będzie sprzedawać sałaty lodowej ze środkowego Meksyku w sezonie cyklosporowym (maj-sierpień). Obiecał też inwestycje w badania i udział w pracach wspólnego zespołu FDA, naukowców i przedstawicieli branży.

Strach przed sałatą

Nasza dzielnica Williamsburg, jeszcze niedawno pełna niszczejących magazynów, stała się najmodniejszą w Nowym Jorku. Zamiast sklepu ze wszystkim po 99 centów – luksusowy salon Hermès. Zamiast chińskich fast foodów – „fast goody", sieci sałatkowe Just Salad czy Sweetgreen. W godzinach lunchu i kolacji kolejki wylewały się z nich na sąsiednie ulice – niczym w PRL-u pod mięsnym.

Poszedłem na spacer, by sprawdzić, jak jest dziś. Zobaczyłem pojedynczych klientów w milczeniu dłubiących widelcem w plastikowych miskach.

Amerykanie od dekad mają trudną relację ze świeżą żywnością. Reklamy przekonały ich, że szybciej i taniej jest jeść w fast foodzie – nawet nie trzeba wysiadać z auta. Zawsze pod ręką są przekąski z idealną proporcją tłuszczu, soli i cukru. Zostały zaprojektowane w laboratoriach tak, by nie dało się przestać ich jeść.

Ale to niejedyny problem. 19 mln Amerykanów mieszka w ubogich okolicach, oddalonych od najbliższego sklepu ze świeżą żywnością o ponad 10 mil (16 km) na wsi albo o ponad 1 milę w mieście (co bez auta oznacza mniej więcej to samo). Departament Rolnictwa nazywa te miejsca pustyniami żywieniowymi. Tam moda na zdrowe odżywianie – domena zamożnych przedmieść, lepszych dzielnic metropolii czy kampusów uniwersyteckich – nie docierała.

I za szybko nie dotrze. Tego lata zaufanie Amerykanów do świeżej żywności po prostu się załamało. Sondaż CBS News i YouGov pokazał, że 40 proc. Amerykanów ograniczyło kupowanie i jedzenie owoców i warzyw.

Trudno się dziwić. Tylko w sierpniu FDA ogłosiła 26 komunikatów o wycofaniu żywności z obrotu. Nie chodzi tylko o cyklosporę – i tu wracamy do salmonelli, którą znajdywano ostatnio na rzodkiewkach, mango i kiełkach lucerny. Salmonellą z papryczek jalapeño z Meksyku zaraziło się 488 osób w 34 stanach. Salsy, dipy i guacamole z tymi papryczkami musiała wycofać ze sklepów firma... Taylor Farms.

We wrześniowym sondażu Gallupa po raz pierwszy w historii większość Amerykanów stwierdziła, że nie ufa rządowi w kwestii bezpieczeństwa żywności (w 2004 r. ufało 85 proc.). W to, że żywność w sklepach jest bezpieczna, wierzy już tylko 65 proc. – kolejny rekordowo niski wynik. Z branżowego badania GS1 wynika, że dwie trzecie klientów po jednym wycofaniu jakiegoś produktu unika potem całej kategorii, np. po wycofaniu sałaty w torebce marki X przestaje kupować także sałatę innych marek.

No właśnie, największą ofiarą wybuchowego lata jest sałata. Tylko w lipcu 6,5 mln gospodarstw domowych przestało kupować miksy sałatkowe i zestawy do sałatek w torebkach, a ponad jedna czwarta zrezygnowała z sałaty i zieleniny w ogóle. Ceny hurtowe sałaty spadły do granicy opłacalności, a jej produkcja – do najniższego poziomu od ćwierćwiecza. Tylko jedna firma, Church Brothers Farms z Kalifornii, zaorała 3,9 mln główek w sześć tygodni.

Sieć sałatkowa Salad and Go, która już wcześniej miała kłopoty finansowe, została dobita przez epidemię i musiała zamknąć wszystkie 70 lokali. Nieważne, że nie kupowała sałaty od Taylor Farms.

W Taco Bell liczba wizyt w lipcu spadła w szczytowym momencie o 30 proc.

Na wystawianie ostatecznego rachunku strat jeszcze za wcześnie. Jakiej sumy można się spodziewać? Straty spowodowane przez ognisko bakterii E. coli zjadanej z sałatą rzymskiej na przełomie 2018 i 2019 r. ekonomiści oszacowali na 280-350 mln dol. Tylko że wtedy zachorowały 62 osoby. Tegoroczne ognisko było 208 razy większe.

Warzywa jak hamburgery?

Pytam moich ekspertów, czy sami jedzą dziś sałatę.

– Uwielbiam ją i podaję ją rodzinie – zdradza Thomas Gremillion.

Prof. Donald Schaffner deklaruje, że „u niego w domu je się sałatę do kolacji prawie każdego wieczoru". – Zanieczyszczone produkty zostały już albo spożyte, albo wyrzucone – kwituje.

Kolega po fachu od kulinariów: – Przez całe lato unikałem wszelkiej zieleniny – częściowo z ostrożności, a częściowo dlatego, że stanowiło to świetną wymówkę, by nie jeść nudnych sałatek. Zresztą mam wrażenie, że nasza kultura i tak poszła już w innym kierunku. W USA królują teraz bowle z komosą ryżową lub brązowym ryżem w roli bazy, a moda na „odchudzające" sałatki w dużej mierze przeminęła. W dobie popularności Ozempiku stawia się na białko, a nie na rukolę.

Od mojego zatrucia cebulą jesteśmy w domu nieufni wobec świeżych produktów. Od tego lata nie kupujemy niczego, czego nie da się obrać ze skórki. Epidemia się skończyła, ale nie wierzymy, że następnej ktoś zapobiegnie, a ani mnie, ani mojej partnerki nie stać na spędzenie dwóch tygodni w toalecie. Nasza ulubiona rukola musi poczekać.

Żartujemy, że na Halloween przebierzemy się za sałatę lodową. Strój na pewno będzie aktualny. Jak powiedział „New York Timesowi" Jim Gorny, który do 2024 r. był głównym doradcą FDA ds. zapobiegania skażeniom warzyw i owoców, „dopóki nie zabierzemy się do ciężkiej pracy nad lepszymi badaniami, nie zdobędziemy narzędzi do lepszego i szybszego wykrywania oraz lepszej analizy przyczyn źródłowych, ta sytuacja będzie się powtarzać".

Bill Marler, ten od pozywania firm, postawił na swoim blogu diagnozę: klientów nie da się namówić do powrotu do działu warzywnego. „Wrócą sami, kiedy warzywa przestaną wysyłać ludzi do szpitala" – pisze.

Liczby przyznają mu rację. Wszystko wskazuje na to, że w 2026 r. FDA wycofa ze sklepów najwięcej produktów żywnościowych od ośmiu lat. Kiedy piszę te słowa, z półek w sześciu stanach – ze względu na podejrzenie skażenia listerią – znika wędzony łosoś.

A jednak łosoś!

Marler porównuje dzisiejszą sytuację z 1993 r., kiedy hamburgery z bakteriami E. coli prawie zabiły amerykański fast food. Klienci wrócili, gdy branża, pod presją państwowego regulatora, zaczęła wreszcie badać mięso i zaostrzać normy bezpieczeństwa.

Tyle że wtedy państwo regulowało branżę. Dziś to branża reguluje państwo – o czym Amerykanom przypominają ich rozregulowane żołądki. ●

1 RP

eprasa.pl a960e54702



FOT. SHUTTERSTOCK

• Timisoara. Widok na miasto i Plac Zwycięstwa. Na pierwszym planie Sobór Trzech Świętych Hierarchów, a w głębi Opera Narodowa i Teatr Narodowy. Z balkonu tego gmachu przemawiali przywódcy rewolucji w grudniu 1989 r.

MIASTO REWOLUCJI

Zamysł Ceausescu był taki, by na Placu Zwycięstwa w Timisoarze gromadzili się ludzie i wiwatowali na cześć władzy, **ale w 1989 roku ludzie zgromadzili się tu po to, by powiedzieć władzy „nie!”.**

Anna Wyrwik

Mówią na nią Mały Wiedeń ze względu na architekturę. Mówią też Mały Nowy Jork ze względu na tygiel kulturowy, bo mieszają się tu ludzie i wpływy kulturowe z Rumunii, Węgier, Serbii, Austrii, i Niemiec. Ale Timisoara niczego nie kopiuje, to po prostu miasto środkowoeuropejskie i – jak mówi jeden z mieszkających tu artystów – „miasto, w którym liczy się wolność”.

1. Plac Zwycięstwa

– Kiedyś przyjechał Ceausescu i zażyczył sobie przebudowania Placu Zwycięstwa, co władze miasta posłusznie zrobiły – mówi historyk Ciprian Glavan, który oprowadza mnie po Timisoarze.

Gdy idzie się w kierunku tego placu Mostem Trajana, można ujrzeć taki obrazek: na pierwszym planie jest Sobór Trzech Świętych Hierarchów, za nim socjalistyczny blok, a na bloku nowa reklama firmy bukmacherskiej. Mieszanka czasów, stylów i idei.

Plac Zwycięstwa powstał dopiero na początku XX wieku, po tym gdy usunięto stąd resztki dawnych murów obronnych. Po obu jego stronach stoją monumentalne kamienice wybudowane przez tych, których stać było wówczas na zakup działki w tej lokalizacji. Na dole zazwyczaj mieściły się sklepy i lokale usługowe, na wyższych kondygnacjach mieszkali ludzie. Po prawej, na początku, stoją socjalistyczne bloki zamieszkane przez tych, których teraz jest stać na mieszkanie w tej lokalizacji. Pośrodku skwer z kwiatami i żywopłotem.

Na jednym końcu placu, po drugiej stronie ulicy, przy Moście Trajana stoi sobór, nie tak stary, jak może się wydawać. Wzniesiono go w latach 1936-40, a otwarty został w 1946 roku. Ma 11 wież, a najwyższa osiąga 90,5 m, co czyni ją jedną z najwyższych cerkwi w Rumunii.

Na drugim końcu placu stoi biały budynek wybudowanej w latach 70. XIX wieku Opery Narodowej.

– Zamysł Ceausescu był taki, by na placu gromadzili się ludzie i wiwatowali na cześć władzy, ale w 1989 roku ludzie zgromadzili się tu po to, by powiedzieć władzy „nie!”.

Timişoara w Rumunii

Timişoara (pol. dawniej Temeszwar) to największe miasto zachodniej Rumunii i nieformalna stolica historycznego regionu Banat. Jest stolicą okręgu Temesz (Timiş) oraz jednym z najważniejszych ośrodków gospodarczych, akademickich i kulturalnych Rumunii. Leży nad rzeką Bega, niedaleko granic z Serbią i Węgrami



INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

2. Bunt godzina po godzinie

Wielu Rumunów było rozczarowanych mijającym 1989 rokiem. Z całego bloku wschodniego dochodziły wieści o zmianach, a listopadowy Zjazd Rumuńskiej Partii Komunistycznej nie przyniósł nic nowego.

15 grudnia 1989 roku mieszkańcy Timisoary rozpoczęli protest przeciwko przeniesieniu pastora Lászlo Tokésa. – Miał odwagę, by mówić prawdę, i partii się to nie podobało – tłumaczy dr Gino Rado, prezes Stowarzyszenia Pamięci Rewolucji.

Na wystawie w budynku stowarzyszenia (ul. Oituz 2B w historycznym centrum miasta) poruszamy się godzina po godzinie grudniowych wydarzeń.

16 grudnia o 17.30 na Placu św. Marii ludzie zablokowali tramwaje. Ktoś jako pierwszy krzyknął „Wolność!”. Przyjechały służby. Rozpoczęły się aresztowania.

17 grudnia ok. godziny 14.30 Rozalia Irma Popescu została potrącona przez transporter opancerzony i stała się pierwszą ofiarą rumuńskiej rewolucji.

O 17.00 Ceausescu wydał rozkaz użycia broni. W muzeum ten moment symbolizuje ciemne pomieszczenie, w którym wiszą zakrwawione ubrania i słychać strzały.

Na Placu Wolności, na ulicach, ale i we własnych domach ludzie ginęli od kul.

Władze chciały usunąć ślady po protestach, m.in. potajemnie wywożąc 43 ciała zabitych do krematorium w Bukareszcie. Niszczyły do-

eprasa.pl a960e54702

kumentację medyczną. Wprowadziły blokadę medialną, by całkowicie odizolować Timisoarę od reszty świata. Nic to nie dało.

20 grudnia do protestujących dołączyli robotnicy.

– Dowodzący wojskiem zdali sobie sprawę z tego, że mają dwie możliwości: strzelać do tłumu, co oznaczałoby tysiące ofiar, albo się wycofać. Wybrali tę drugą – mówi Rado. – O 13.30 przywódcy rewolucji stanęli na balkonie Opery Narodowej. Timisoara stała się pierwszym wolnym miastem w Rumunii.

Podczas protestów w Timisoarze w dniach 16-20 grudnia władze zabiły 69 osób, w tym ośmioro dzieci, rannych zostało 209 osób, uwięziono 832 osoby.

Stowarzyszenie Pamięci Rewolucji powstało w 1990 roku. Przed wejściem do budynku znajduje się oryginalny fragment Muru Berlińskiego. W budynku prócz wystaw organizowane są konferencje, znajduje się archiwum, prowadzone są badania, z których powstają kolejne publikacje, a co najważniejsze – odbywają się działania edukacyjne.

– Mam wrażenie, że żadna władza po 1989 roku nie była zainteresowana tym, by opowiedzieć prawdę o czasach komunizmu w Rumunii – mówi Rado. – Młodsze pokolenie nie zostało nauczone, czym był brak wolności, dlatego dziś nie zawsze rozumie jej wartość. Musimy znać swoją historię, by móc wyciągać z niej wnioski. Aktualnie mamy m.in. wystawę o powstaniu węgierskim w 1956 roku i o wojnie w Ukrainie. Gdy patrzę na zdjęcia z obu tych wystaw, widzę jedno podobieństwo – jest nim agresor.

3. Pierwszy tramwaj, pierwsze lampy, pierwsze...

Timisoara znajduje się w zachodniej Rumunii, blisko granicy z Serbią i Węgrami. W czasach sowieckich bliskość z Węgrami i Jugosławią dawała ludziom żyjącym w dyktaturze Ceausescu świadomość, że można żyć inaczej, lepiej.

– Gdy w 1984 roku przyjechałem tu ze środkowej Rumunii, pomyślałem: „Wow, to jest Zachód!" – wspomina Rado. – Odbieraliśmy telewizje z krajów sąsiednich, słuchaliśmy Radia Wolna Europa. Pewnie dlatego w 1989 roku byliśmy pierwsi.

Timisoara w wielu dziedzinach była pierwsza.

– Różnorodność pod względem narodowościowym i kulturowym oraz bliskość granicy, a także fakt, że Timisoara była jednym z najważniejszych ośrodków przemysłowych w tej części Austro-Węgier, wpłynęły na jej otwartość i to, że pojawiały się tu kolejne innowacje – tłumaczy Glavan.

W 1869 roku po mieście przejechał, prawdopodobnie pierwszy w tej części Europy, tramwaj konny. 30 lat później był to już tramwaj elektryczny. W 1884 roku centrum miasta rozświetliło 731 lamp elektrycznych należących do prawdopodobnie pierwszej w Europie tak dużej instalacji zasilanej z elektrowni.

– Ważne, że nie chodziło tu o oświetlenie konkretnego budynku czy placu, bo takie już wtedy istniały w kilku europejskich miastach, ale całego centrum miasta – podkreśla Glavan.

4. Z rąk do rąk, czyli historia Banatu

Glavan na co dzień pracuje jako historyk w Narodowym Muzeum Banatu znajdującym się w budynku bastionu Marii Teresy, jedynym zachowanym z dziewięciu bastionów twierdzy Timisoara.

– Banat to kraina historyczna istniejąca od końca I wojny światowej. Obecnie jej większa część, środkowa i wschodnia, leży w granicach Rumunii, część zachodnia w granicach Serbii, a do tego dochodzi kilka wiosek węgierskich przy trójstyku granic tych państw. Nazwa wzięła się prawdopodobnie od słowa „ban", które oznaczało zarządcę danego terenu (czyli banatu) w tej części Europy.

W XIII wieku, gdy Banat był częścią Królestwa Węgier, ludzie wznieśli Timisoarę. Według niektórych źródeł jej nazwa wzięła się z połączenia nazwy okolicznej rzeki Timis i słowa „vár", czyli twierdza. Dziś jest ona największym miastem Banatu, ale już wtedy szybko stała się jednym z głównych ośrodków regionu.



• **Pałac Steinera przy Placu Unii. Perła secesji węgierskiej w Timişoarze. W 1909 r. jego budowę sfinansował Maks Steiner. Mieścił się tu Bank Dyskontowy Południowych Węgier** FOT. ANNA WYRWIK



• **Plac Wolności. Rzeźba „De-a telefonui" (Chłopiec z telefonem) autorstwa Bogdana Ratu. Plac został gruntownie zrewitalizowany w latach 2013-15** FOT. ANNA WYRWIK

W 1552 roku, czyli za czasów Sulejmana Wspaniałego, Osmanie pokonali Habsburgów i włączyli miasto w granice swego imperium na 164 lata. Po tym czasie (w 1716 roku) Habsburgowie odzyskali Timisoarę.

Chodzimy szerokimi ulicami centrum miasta. Są tak szerokie, że jeśli kojarzycie uliczki we Włoszech, Hiszpanii czy Portugalii, na których ledwo mieszczą się ogródki, w których ludzie popijają winem tapasy, i czasem muszą przesuwać stoliki, by ustąpić miejsca przejeżdżającym autom, to ulice Timisoary są ich całkowitym przeciwieństwem. Wielkie knajpiane ogródki stoją po obu ich stronach, a środkiem przejechałyby jeszcze dwa powozy konne.

– Po odzyskaniu miasta przez Habsburgów władze zdecydowały o przebudowie przestrzeni w obrębie twierdzy. Większość budynków z nietrwałych materiałów została wyburzona. Można było zaprojektować wszystko od nowa, nie oglądając się na średniowieczne pozostałości, więc zrobiono to zgodnie z ówczesnymi trendami, m.in. wytyczając szerokie bulwary.

Jedną z takich ulic dochodzimy do Placu Unii, przy którym znajdują się m.in. katolicka Katedra św. Jerzego i Sobór Wniebowstąpienia Pańskiego Serbskiego Kościoła Prawosławnego.

– W wyniku wojen miasto się wyludniło, dlatego zdecydowano o sprowadzeniu ludności z zagranicy, m.in. niemieckojęzycznej – mówi Glavan. – Rumuni, Serbowie, Niemcy, Węgrzy i Żydzi tworzyli tu wielokulturową społeczność, różnorodną też pod względem religijnym. Przez lata w mieście działały dwa magistraty – katolicki i prawosławny.

Podczas powstania węgierskiego w latach 1848-49 Węgrzy przez 107 dni oblegali Timisoarę. 9 sierpnia 1849 roku doszło do bitwy, w której wojska węgierskie dowodzone przez gen. Józefa Bema zostały ostatecznie odparte przez armię austriacką. Za karę Austriacy wyłączyli zbuntowane ziemie spod administracji węgierskiej, a Timisoarę uczynili głównym miastem wydzielonej prowincji Województwo Serbskie i Banat Temeszwarski. Po 11 latach ziemie zostały ponownie wcielone do imperium Habsburgów, a w 1867 roku do nowo powstałych Austro-Węgier.

Podczas I wojny światowej, gdy wojska rumuńskie wkroczyły do Timisoary, Domplatz przemianowano na wspomniany Plac Unii na pamiątkę ponownego zjednoczenia miasta z Rumunią. Banat został podzielony i tak dotrwał do dziś.

5. Czasem brakuje mi gór

Na ulicy Marasesti znajduje się, powstały jeszcze w XVIII wieku, Szpital Wojskowy Victora Popescu. To tu w 1847 roku przeprowadzono pierwszy na terenie Rumunii zabieg ogólnego znieczulenia eterem. Miało to miejsce zaledwie kilka miesięcy po wykonaniu po raz pierwszy tego typu zabiegu na świecie.

W jednej z bram znajduje się bar Aethernativ, od 20 lat prowadzi go Bogdan Danciu.

– Noroc! – mówi Danciu, gdy stukamy się kuflami piwa w piątkowy wieczór.

Oznacza to nie tyle „na zdrowie", ile bardziej „szczęście" i „powodzenie". Bar w środku jest niewielki, a jego główną część stanowi okrągły dziedziniec, na którym ludzie siedzą przy stolikach, rozmawiając przy dźwiękach muzyki granej przez DJ-a.

– Przyjechałem na studia i zostałem, jak większość ludzi z mniejszych miast, którzy przyjechali do Timisoary – opowiada Danciu. – Na początku lat dwutysięcznych nie było tu zbyt wiele miejsc, w których można było się spotkać i posłuchać muzyki. Postanowiłem więc takie miejsce otworzyć. Wtedy nie było to ścisłe centrum, bo po tych ulicach jeździły samochody, dziś wszędzie są deptaki.

W Aethernativ, prócz DJ-skich setów, odbywają się koncerty, wystawy sztuki lokalnych artystów, a Danciu podkreśla, że to miejsce spotkań miejskiej alternatywy.

– W Timisoarze zawsze silne były nastroje antysystemowe. Czuć tu ducha wolności i rewolucji – mówi. – Ważne jest, że czuć też szacunek dla innych poglądów, co wynika pewnie z przygranicznego charakteru miasta będącego od zawsze tyglem kulturowym.

Choć według Danciu mieszkańcy Timisoary, i szerzej – Banatu, nie potrafią czasem wyjść poza schemat.

– Daleko im do Bałkanów, gdzie ludzie codziennie siedzą w kawiarniach. Tu w tygodniu pracują, a na miasto wychodzą głównie w weekendy. Poza tym są bardziej zorganizowani. Poza momentami takimi jak rewolucje są racjonalni.

Danciu uważa, że jedną z przyczyn tego stanu rzeczy może być równina. To słowo, które kojarzy mu się z Timisoarą.

– Brakuje mi tu gór, choćby wzgórza, z którego można by popatrzeć na miasto z innej, szerszej perspektywy.

Na koniec proszę Danciu o muzykę z Timisoary, np. jako soundtrack do lektury tego reportażu.

Poleca trzy zespoły. Pierwszy to jazzowo-funkowy Blazzaj założony pod koniec lat 90. Drugi to, założony w połowie lat 90., rockowy Implant pentru Refuz. Trzeci to kultowy rockandrollo-

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl a960e54702

wy Phoenix, który zaczynał jeszcze w latach 60. Jego członkowie uciekli z kraju, chowając się w ciężarówce, w kolumnach głośników, i wrócili dopiero po roku 1989.

6. Pomnik żołnierza obok secesja

Chodzimy po mieście i mijamy stare kamienice. Barok, eklektyzm, wiedeńska secesja. Do tej ostatniej należy Pałac Steinera wybudowany na rogu Placu Unii w pierwszej dekadzie XX wieku, swoim stylem wyraźnie nawiązujący do dzieł Antoniego Gaudiego.

– Od momentu wybudowania nazywano ten budynek jednym z najnowocześniejszych i najpiękniejszych w mieście – mówi Glavan.

W kamienicach mieszczą się restauracje, w których ludzie próbują lokalnych dań, jak bulz z polenty i sera. Jeden z lepszych podają w restauracji Beraria 700.

W barze Bibliotheka klienci piją rumuńskie wina i piwa rzemieślnicze. W innych barach regularnie leje się Ciuc, popularne piwo rumuńskie. Co ciekawe, piwo Timisoreana z lokalnego browaru – istniejącego w mieście od roku 1718 i będącego pierwszym browarem na terytorium dzisiejszej Rumunii – można dostać jedynie w restauracji przy browarze, barach osiedlowych i sklepach.

– To piwo było popularne w czasach komunizmu i dziś kojarzone jest raczej z nostalgią wśród starszych ludzi, a nie z dobrą jakością – tłumaczy Danciu.

Czasy komunizmu widoczne są wśród monumentalnych kamienic w postaci np. Case de Mode, czyli Domu Mody, wybudowanego w latach 70., typowego przykładu architektury socrealistycznej.

Typowym przykładem tego okresu jest też Pomnik Nieznanego Żołnierza w Parku Antona von Scudiera, zwanym też Parkiem Centralnym. Przed 1989 rokiem był Pomnikiem Żołnierza Radzieckiego. Zmiana ustroju wpłynęła na zmianę nazwy i deskrypcji na pomnikowej tablicy, która dziś brzmi: „Chwała rumuńskiemu żołnierzowi, spadkobiercy tradycji starożytnej historii, który bohatersko walczył z bolszewizmem i faszyzmem o wolność i niepodległość ojczyzny".

7. Chłopiec, tam gdzie chodzą ludzie

Idziemy na Plac Wolności, gdzie chodnik wykonany jest z czerwonej cegły i szarego kamienia. Cegła wyznacza przebieg murów i fundamentów dawnych zabudowań, w tym łaźni tureckiej.

Jednym z najbardziej znanych obiektów na tym placu jest rzeźba chłopca z telefonem w ręku – „De-a telefonul".

– Władze odnawiały historyczną część miasta i zaprosiły artystów do sprzedania im swoich rzeźb. Ja jednak wolałem zrobić coś od początku, by móc pracować z przestrzenią – mówi Bogdan Rata, autor rzeźby. – Na środku Placu Wolności stoi Statua św. Marii i św. Jana Nepomucena. Nie chciałem z nią konkurować. Zaproponowałem więc postać chłopca, który rozmawia przez telefon, jak większość z nas. Nadałem mu naturalne wymiary i postawiłem w miejscu, w którym chodzą ludzie, dzięki czemu ma się wrażenie, że rzeźba im towarzyszy. Nie jest to najważniejszy pomnik na placu, ale z pewnością najbardziej ludzki.

I z pewnością wpisuje się w ideę twórczości rzeźbiarskiej Raty, dla którego liczy się nawiązywanie relacji ze sztuką w przestrzeni publicznej, a nie tylko patrzenie na nią z dołu.

Rata wykłada na Wydziale Sztuki i Projektowania na tutejszym Uniwersytecie Zachodnim. Uważa go za jeden z najbardziej otwartych wydziałów artystycznych w Europie. Tworzy od lat. Przez część kariery współpracował z galeriami w Paryżu, i to tam powiedzieli mu, że w Timisoarze mają świetnych artystów i muszą coś z tym zrobić.

W 2019 roku Rata założył Kunsthalle Bega. Gdy się tu spotykamy, licząca 2 tys. m kw. industrialna przestrzeń na tyłach budynku galerii handlowej jest zamknięta, ponieważ trwają przygotowania do kolejnej wystawy. Rata pokazuje mi swoje rzeźby i albumy, w których oglądam zdjęcia dzieł artystów z Wydziału Sztuki i Projektowania. Wielu z nich jest znanych na całym świecie.



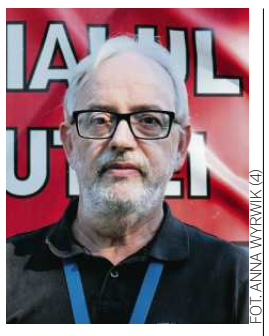
• **BOGDAN RATU, artysta, rzeźbiarz. Od 2019 r. prowadzi Kunsthalle Bega – niezależne centrum poświęcone sztuce współczesnej**



• **CIPRIAN GLAVAN, historyk z Narodowego Muzeum Banatu, które znajduje się w bastionie Marii Teresy – fragmencie twierdzy Timisoara**



• **BOGDAN DANCIU, na ul. Marasesti od 20 lat prowadzi bar Aethernativ, gdzie odbywają się koncerty i wystawy sztuki lokalnych artystów**



• **Dr GINO RADO, prezes Stowarzyszenia Pamięci Rewolucji. Powstało 26 kwietnia 1990 r. Dokumentuje obalenie reżimu Nicolae Ceausescu**

FOT. ANNA WYRWIK (4)

8. Dom rumuńskiej sztuki

• **Dinu Bodiciu** zajmuje się modą i wzornictwem, założył markę Madę With Time i projektował dla Lady Gagi.

• **Victor Drujiniu** jest ilustratorem komiksów, współpracuje m.in. z Dark Horse Comics.

• **Andrei Jecza** jest znanym w całej Europie kuratorem, prowadzi w Rumunii trzy galerie, dwie w Bukareszcie i jedną w Timisoarze.

• Multimedialna artystka **Lera Kelemen** wystawiała instalacje od Londynu po Nowy Jork.

• **Dragos Motica** jest znanym designerem, którego meble pochłaniają dźwięki.

• Mieszkająca w Berlinie artystka dźwiękowa i performerka **Ivana Vreme Moser** otrzymała w 2025 roku nagrodę na prestiżowym Ars Electronica.

• **Victor Vulpe** projektuje buty, za które zdobywa nagrody na najważniejszych konkursach na świecie.

• Do tego są malarze, jak **Cristian Sida** czy **Laurian Popa.**

To postacie ze starszego pokolenia, a już nadchodzi młode, według Raty jeszcze lepsze.

– Starsi często mówią, że młodsi są nudni i nic im się nie chce, a tymczasem młodzi to bystrzy i niezwykle interesujący ludzie, tylko trzeba ich wysłuchać. Moim zdaniem są znacznie mądrzejsi od nas.

W Kunstahalle Bega School Rata kontynuuje tradycję pracy z młodymi artystami. Wystawa „Utopia i badania" w tutejszym Narodowym Muzeum Sztuki jest poświęcona prekursorom takiego podejścia – eksperymentalnym grupom artystycznym 111 i Sigma działającym w mieście w latach 1966-81.

Jak można przeczytać w materiałach muzeum, Grupa 111, założona przez Stefana Bertalana i Constantina Flondor (później dołączył Roman Cotosman), „narodziła się z chęci dzielenia się ideami i koncepcjami artystycznymi". Artystów łączyło „zainteresowanie nowymi problemami języka wizualnego, nowymi technologiami oraz takimi dziedzinami badań teoretycznych, jak koncepcje algorytmów, cybernetyki, logiki matematycznej, a także bioniki".

Z 111 wywodzi się Sigma. Bertalan i Flondor byli nauczycielami w Liceum Sztuk Plastycznych, którzy współpracowali z młodymi artystami. W ich zamyśle uczeń był partnerem. Za cel stawiali sobie promowanie, zarówno w pracy artystycznej, jak i dydaktycznej, takich zasad, jak: „współpraca/praca zespołowa, interdyscyplinarność, eksperymentowanie, badanie natury, funkcjonalność i wykorzystanie nowych materiałów i technologii". Po tym, gdy Flondor został dyrektorem szkoły, oficjalnie uzyskała ona status liceum eksperymentalnego i przez cztery lata funkcjonowała według własnego programu nauczania.

– Uważam, że dziś Timisoara jest najważniejszym ośrodkiem sztuki współczesnej w kraju – mówi Rata.

W mieście regularnie odbywa się Biennale Art Encounters. Sztukę można oglądać w licznych galeriach. W budynkach pofabrycznych, położonych dalej, na wschód od centrum miasta, działa Centrum Kultury Faber, w budynku obok – galeria sztuki forum lab i artouching. Niedaleko mieści się Art Encounters Foundation, w której, gdy ją odwiedzam, trwa wystawa „Picasso en visite" składająca się z dzieł z kolekcji Musée Picasso w Antibes (otwarta do 17 stycznia 2027 r.). Studenci Wydziału Sztuki i Projektowania prezentują swe prace w UVT Art Center, galerii znajdującej się w sąsiedztwie Stowarzyszenia Pamięci Rewolucji. Na południe od centrum znajduje się Jecza Gallery.



• **Bastion Marii Teresy (cesarzowej Habsburgów) Jedyny zachowany fragment potężnych fortyfikacji, które otaczały miasto w XVIII w. Gruntownie odnowiony w latach 2008-10**

FOT. SHUTTERSTOCK



• **Pomnik Nieznanego Żołnierza. Przed 1989 r. – Żołnierza Radzieckiego. Stoi w Parku Centralnym im. Antona von Scudiera, niedaleko centrum**

FOT. ANNA WYRWIK

9. Timisoara ma swobodne podejście do wszystkiego

Gdy idę do Jecza Gallery, coraz dalej od centrum miasta, drogami między starymi willami, otoczonymi mosiężnymi ogrodzeniami, wciąż nie opuszcza mnie wrażenie, że Timisoara to dobrze zaprojektowana przestrzeń.

Nie jest, jak wiele miast Europy Środkowo-Wschodniej, na etapie odnajdywania swojej tożsamości i w trakcie zmiany. Wie, kim jest. Jedyna zmiana to remonty, których odgłosy słychać co kawałek przy kolejnych starych willach i kamienicach. Nie jest też, jak wiele miast Europy Środkowo-Wschodniej, w wiecznej pogoni za Zachodem albo bardziej jego hipsterskim wyobrażeniem znanym z ulic Berlina czy Londynu.

Timisoara jest sobą. Miastem średniej wielkości (250 tys. mieszkańców w 2021 r. według spisu ludności, 290 tys. według szacunków demograficznych z 2026 r.), czasem chaotycznym, jak ten widok z Mostu Trajana: sobór-blok-reklama, ale elementy tego chaosu ze sobą współgrają.

Jest też Timisoara miastem młodych ludzi, którzy ciągną tu z całego kraju. I miastem otwartym. – Można powiedzieć, że panuje specyficzna kultura współżycia. Nie mamy konfliktów na tle narodowościowym, ponieważ dla nas nie liczy się narodowość ani wyznanie – mówi Rado.

Rata uważa, że w Timisoarze liczą się wolność oraz swobodne podejście do sztuki, kultury i wszystkiego innego.

Gdyby ktoś wrzucił mnie nagle do Timisoary i – zdjąwszy wszystkie flagi, szyldy czy tablice rejestracyjne samochodów – spytał, gdzie jestem, nie odpowiedziałabym, że w Rumunii, ale też nie odpowiedziałabym, że na Węgrzech, w Serbii czy Austrii. Powiedziałabym, że jestem w mieście w Europie Środkowej. ●

Podcast „Poznajmy naszą Europę"

• **„MAMAŁYGA NIE WYBUCHA", CZYLI DLACZEGO RUMUNIA JEST INNA?**

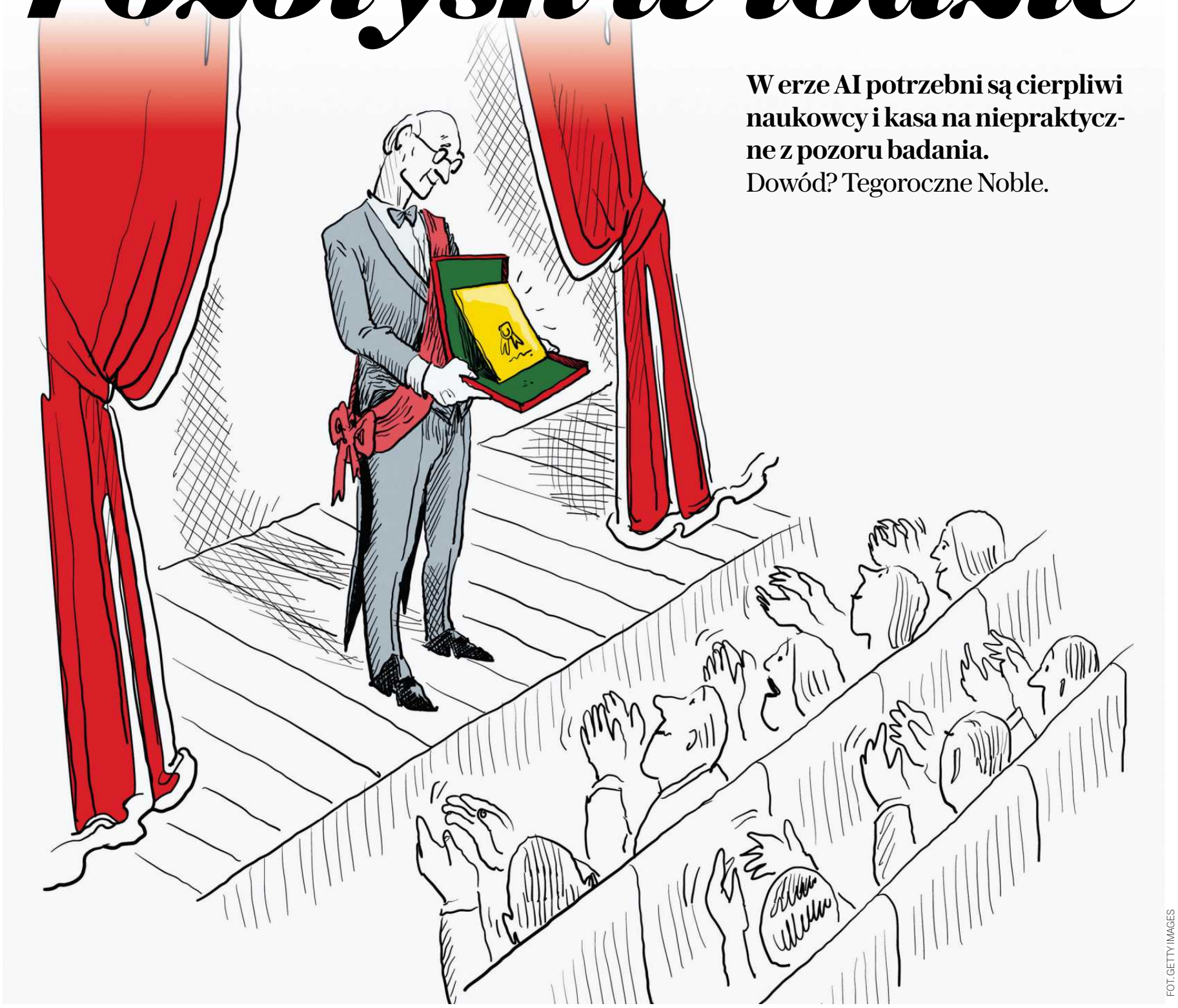
• **Alicja Dąbrowska** z „Gazety Wyborczej" rozmawia z **Rolandem Chojnackim,** dyplomatą i menedżerem kultury, dyrektorem Departamentu Dyplomacji Kulturalnej i Promocji Polski MSZ, który w 2001 r. otworzył Instytut Polski w Bukareszcie i kierował nim przez pięć lat.

eprasa.pl a960e54702

KULTURA OBYCZAJE NAUKA

Światło w mózgu, rozbłysk w lodzie

W erze AI potrzebni są cierpliwi naukowcy i kasa na niepraktyczne z pozoru badania. Dowód? Tegoroczne Noble.



FOT. GETTY IMAGES

Piotr Cieśliński

Przypomnijmy. Na początek medycznym Noblem uhonorowano trzech naukowców, którzy nauczyli biologów sterować komórkami nerwowymi za pomocą światła.

Następnego dnia Komitet Noblowski przyznał nagrodę fizykowi, który zamienił ogromny kawał antarktycznego lodowca w detektor cząstek przylatujących z najdalszych zakątków kosmosu.

W środę przyszła kolej na dwóch chemików, którzy pokazali, jak niewielka przewaga jednej lustrzanej wersji cząsteczek może zostać w reakcji chemicznej wielokrotnie wzmocniona.

W każdej z tych historii jest coś, co bardzo lubię w nauce. Czysta ciekawość, niepodyktowana poszukiwaniem praktycznych zastosowań, prowadzi po latach do odkrycia, które zmienia całą dziedzinę.

Glon pływający w stronę światła staje się kluczem do badania mózgu. Lód, którego na Antarktydzie jest pod dostatkiem, pozwala zobaczyć to, czego nie dostrzegą nawet największe teleskopy. A chemiczne reakcje, które wydają się interesować wyłącznie specjalistów, przybliżają nas do rozwiązania jednej z fundamentalnych zagadek życia.

Wspólny mianownik jest jeszcze jeden. Tegorocznych laureatów uhonorowano przede wszystkim za stworzenie nowych możliwości badawczych. Nie odkryli lekarstwa na Alzheimera, nie rozwiązali zagadki ciemnej materii ani nie wyjaśnili ostatecznie, jak powstało życie na Ziemi. Dali jednak naukowcom narzędzia, dzięki którym jesteśmy dzisiaj bliżej odpowiedzi.

Medycyna. Świetlny przełącznik w mózgu

Medyczny Nobel przypadł trzem badaczom, którzy byli pionierami optogenetyki, jednej z najbardziej przełomowych metod współczesnej neurobiologii. Dzięki tej technice można pobudzać lub hamować aktywność wybranych grup komórek nerwowych, kierując na nie światło odpowiedniej barwy.

Mózg jest niezwykle skomplikowaną siecią. U człowieka tworzy ją ok. 86 mld neuronów, połączonych w obwody, w których nieustannie przepływają impulsy elektryczne i sygnały chemiczne. Z ich działania wyłaniają się nasze wspomnienia, emocje, zdolność uczenia się i myślenia.

Optogenetyka pozwoliła uzyskać kontrolę nad obwodami mózgowymi z dokładnością, o jakiej jeszcze ćwierć wieku temu mogliśmy tylko marzyć.

Przez wiele lat naukowcy potrafili rejestrować impulsy elektryczne wytwarzane przez neurony, a także pobudzać określone obszary mózgu prądem za pomocą elektrod. Problem w tym, że w każdym takim obszarze znajdują się różne rodzaje komórek nerwowych. Pełnią one odmienne funkcje. Przy pomocy elektrod nie dało się pobudzić tylko tych, które nas interesują.To trochę tak, jakby chcąc sprawdzić, jak brzmi waltornia, kazać zagrać jednocześnie całej grupie muzyków.

Tymczasem badaczom zależało na czymś znacznie precyzyjniejszym: możliwości włączenia lub wyłączenia wybranej grupy neuronów dokładnie w określonym momencie, bez pobudzania sąsiednich komórek. Mogliby wtedy nie tylko obserwować, które neurony są aktywne, gdy zwierzę odczuwa strach, zapamiętuje coś albo wykonuje ruch, lecz także sprawdzić, czy to właśnie ich aktywność wywołuje dane zachowanie.

eprasa.pl a960e54702

Bez tego trudno ustalić, czy dane neurony rzeczywiście wywołują określone zachowanie, czy tylko stają się aktywne, kiedy ono występuje. To różnica między korelacją a związkiem przyczynowo-skutkowym, jedna z podstawowych pułapek nauki. Optogenetyka pozwoliła w wielu przypadkach tę pułapkę ominąć.

Co niezwykłe, wszystko zaczęło się od badań nad jednokomórkowymi glonami. *Chlamydomonas reinhardtii* to niepozorny zielony organizm żyjący w wodzie. Potrafi poruszać się dzięki wiciom i kierować ku światłu, które jest mu potrzebne do fotosyntezy. Jak jednak glon rozpoznaje światło?

Jak jednak glon pozbawiony oczu rozpoznaje światło? To pytanie zaintrygowało niemieckiego biochemika Petera Hegemanna z Uniwersytetu w Ratyzbonie. Wspólnie ze swoim rodakiem, biofizykiem Georgiem Nagelem z Instytutu Maxa Plancka we Frankfurcie nad Menem, odkrył szczególne białka, nazwane kanałorodopsynami, które działają jak mikroskopijne bramki w błonie komórkowej. Pod wpływem światła zmieniają kształt, otwierając drogę jonom, które mogą przepływać przez błonę.

To ważne, ponieważ przepływ jonów zmienia napięcie elektryczne błony. Na takich zmianach opiera się również działanie neuronów. Stąd był już tylko krok do rewolucyjnego pomysłu, którego autorem był zespół Karla Deisserotha ze Stanforda: a gdyby światłoczułe białko glona umieścić w komórce nerwowej?

W 2005 r. zespół Deisserotha pokazał, że wystarczy wprowadzić do neuronów ssaków odpowiedni gen, podpatrzony u glonów, aby można było sterować aktywnością neuronów za pomocą światła. Dzięki temu genowi neurony zaczynają wytwarzać światłoczułe białko, które wbudowuje się w ich błonę i działa jak przełącznik.

Dziś naukowcy wykorzystują różne rodzaje takich białek, aby pobudzać albo hamować aktywność neuronów. Niektóre reagują na światło niebieskie, inne na zielone lub czerwone. Geny potrzebne do ich wytwarzania dostarcza się do wybranych komórek nerwowych zwykle za pomocą zmodyfikowanych wirusów. Potem trzeba jeszcze doprowadzić światło do właściwego miejsca w mózgu, często za pomocą cienkiego światłowodu.

Metoda jest więc technicznie wymagająca i inwazyjna. Ale w laboratoriach okazała się bezcenna. Naukowcy mogą na przykład pobudzić grupę neuronów i sprawdzić, czy zwierzę zacznie wykonywać określony ruch. Albo zahamować aktywność innych i przekonać się, czy zmieni się jego reakcja na zagrożenie. Dzięki temu mogą badać obwody odpowiedzialne za pamięć, sen, apetyt, motywację, ruch, reakcje lękowe czy uzależnienia.

Dotychczas optogenetykę wykorzystywano do sterowania aktywnością neuronów przede wszystkim w doświadczeniach na zwierzętach. U ludzi jeszcze się jej nie stosuje w leczeniu chorób mózgu, choć naukowcy rozważają możliwość jej wykorzystania m.in. w terapii zaburzeń lękowych czy uzależnień. Przeszkodą jest między innymi konieczność dostarczenia odpowiednich genów do wybranych neuronów, a następnie doprowadzenia do nich światła, co w przypadku głębokich struktur mózgu wymagałoby inwazyjnych zabiegów.

Tegoroczni nobliści stworzyli jednak narzędzie, dzięki któremu naukowcy mogą znacznie dokładniej badać mechanizmy tych chorób oraz zaburzeń i szukać nowych metod terapii.

Co ciekawe, optogenetyka już dawno wyszła poza neurobiologię. Za pomocą światła naukowcy potrafią kontrolować także aktywność komórek serca, włączać i wyłączać określone geny czy sterować niektórymi procesami metabolicznymi. Badają jej potencjalne zastosowania w terapii nowotworów i zaburzeń rytmu serca.

A najbardziej namacalne zastosowania medyczne pojawiły się w... okulistyce.

Właśnie w tygodniu, kiedy były ogłaszane Noble, „New England Journal of Medicine" opublikował wyniki eksperymentalnej terapii optogenetycznej u dziesięciu niewidomych osób cierpiących na zaawansowane barwnikowe zwyrodnienie siatkówki. Badacze wprowadzili do ich oczu gen kodujący światłoczułe białko, dzięki czemu ocalałe komórki siatkówki, które normalnie nie reagują bezpośrednio na światło, zyskały na nie wrażliwość. Pacjenci korzystali też ze specjalnych gogli, które przetwarzały obraz otoczenia na odpowiednie impulsy świetlne.

To dowód, że metoda stworzona do badań podstawowych może zacząć pomagać pacjentom.

Fizyka. Teleskop bez światła

Pod koniec sierpnia 1988 r., kiedy w Polsce trwała kolejna fala strajków, a Lech Wałęsa szykował się do przełomowego spotkania z gen. Czesławem Kiszczakiem, które otworzyło drogę do rozmów Okrągłego Stołu, do Łodzi przyjechał 44-letni Francis Halzen, amerykański fizyk cząstek elementarnych belgijskiego pochodzenia.

Na konferencji naukowej na Uniwersytecie Łódzkim po raz pierwszy przedstawił pomysł, który mógł wówczas wydawać się szalony. Zaproponował, aby zamiast budować detektor cząstek kosmicznych w laboratorium, pojechać na biegun południowy i tam skorzystać z ogromnej masy naturalnego, przezroczystego lodu.

Po latach wspominał, że obawiał się, iż słuchacze go wyśmieją. Nikt się jednak nie śmiał. Tak zaczęła się jego droga do stworzenia obserwatorium neutrinowego IceCube, za które w tym roku otrzymał Nagrodę Nobla z fizyki.

Zwykły teleskop zbiera światło, radioteleskop – fale radiowe. IceCube nie wykorzystuje żadnego z tych rodzajów promieniowania. Jego zadaniem jest wykrywanie neutrin, jednych z najbardziej nieuchwytnych cząstek elementarnych, które powstają w reakcjach jądrowych, nie mają ładunku elektrycznego i posiadają niezwykle małą masę. Oddziałują z materią tak słabo, że potrafią przelecieć przez ogromne ilości skał, wody czy metalu bez pozostawienia jakiegokolwiek śladu.

W każdej sekundzie przez nasze ciała przelatują biliony neutrin wytwarzanych w Słońcu. W ogóle tego nie zauważamy i nie czujemy. Te cząstki zarejestrowano po raz pierwszy dopiero w latach 50. zeszłego wieku, długo po tym, kiedy teoretycznie przewidziano ich istnienie.

Ta ich przenikliwość jest bezcenna z punktu widzenia astronoma. Światło może zostać pochłonięte lub rozproszone przez materię. Naładowane cząstki promieniowania kosmicznego są odchylane przez pola magnetyczne, dlatego trudno ustalić, skąd dokładnie przyleciały.

Z neutrinami nie ma tego problemu. Mogą wydostawać się z niezwykle gęstych i gwałtownych środowisk kosmicznych, lecą niemal z prędkością światła, docierają do nas z olbrzymich odległości i niemal nic nie jest ich w stanie zatrzymać.

Niosą więc niezakłóconą informację z obszarów Wszechświata, do których tradycyjna astronomia ma ograniczony dostęp z powodu nieprzejrzystości. Problem w tym, że aby zarejestrować choćby niewielką część tych kosmicznych posłańców, trzeba podstawić im na drodze gigantyczny mur z materii.

Pomysł, który mógł wydawać się szalony, przedstawił w Łodzi. Obawiał się, że słuchacze go wyśmieją

Halzen wpadł na pomysł, by wykorzystać w tym celu kilometry sześcienne antarktycznego lodu. Natura przygotowała ten gigantyczny detektor za darmo. Wystarczyło tylko umieścić w nim odpowiednie czujniki, które będą rejestrować rzadkie błyski światła powstające, gdy któreś z niezliczonych neutrin zderzy się z atomem w lodzie.

Halzen pisał z autoironią, że choć znaleźli się śmiałkowie, którzy postanowili sprawdzić jego pomysł, to jako jeden ze „zbędnych teoretyków" na Antarktydę zaproszony nie został. Podczas prowadzonych tam nocnych odwiertów nie mógł jednak spać. Trzymał laptop przy łóżku i nieustannie sprawdzał e-maile.

Aż z drugiego końca świata przyszło pierwsze potwierdzenie, że pomysł ma sens. Na głębokości około dwóch kilometrów aparatura zarejestrowała króciutki błysk światła. Jak ujawniła późniejsza rekonstrukcja zdarzenia, wywołało go neutrino, które wpadło w Ziemię od strony północnego Pacyfiku, między Hawajami i Alaską. Przeniknęło przez ocean, potem przez tysiące kilometrów skał we wnętrzu naszej planety, aż wreszcie pod Antarktydą zderzyło się z atomem lodu.

To był rok 1997 r., ale na pełną działalność obserwatorium IceCube Halzen musiał poczekać do 2011 r. Już dwa lata później badacze ogłosili odkrycie neutrin o zdumiewająco wielkich energiach, pochodzących spoza Układu Słonecznego. Niektóre niosły energię setki razy większą niż energia pojedynczego protonu rozpędzanego w Wielkim Zderzaczu Hadronów w CERN, najpotężniejszym akceleratorze zbudowanym przez człowieka.

Skąd się wzięły? To jedno z najważniejszych pytań współczesnej astrofizyki. Od ponad stu lat wiemy, że Ziemię bombardują wysokoenergetyczne cząstki promieniowania kosmicznego. Nie wiemy jednak dokładnie, gdzie i jak są rozpędzane. Ich tory zakrzywiają się w polach magnetycznych, więc po dotarciu do Ziemi nie wskazują już miejsca pochodzenia. Neutrina lecą zaś niemal po liniach prostych, mogą więc zdradzić położenie kosmicznych akceleratorów.

W 2017 r. IceCube po raz pierwszy powiązał wysokoenergetyczne neutrino z konkretnym kosmicznym źródłem – odległą galaktyką z supermasywną czarną dziurą w centrum. Później pojawiły się kolejne obserwacje, m.in. neutrin nadlatujących z kierunku galaktyki NGC 1068, oddalonej o ok. 47 mln lat świetlnych.

To jednak dopiero początek. Nadal nie wiemy, jakie dokładnie mechanizmy działają w tych kosmicznych akceleratorach, które obiekty produkują najwięcej neutrin ani jak powstają cząstki o energiach miliony razy większych niż te osiągane w ziemskich laboratoriach.

IceCube pozwala szukać odpowiedzi, obserwując Wszechświat w sposób niedostępny tradycyjnym teleskopom. A gdy połączy się jego dane z obserwacjami światła i fal grawitacyjnych, można uzyskać pełniejszy obraz najbardziej gwałtownych zjawisk kosmicznych, od wybuchów gwiazd po materię spadającą na czarne dziury.

W ten sposób z pozoru szalony pomysł przedstawiony na bocznej sesji konferencji w Łodzi stał się początkiem nowego rozdziału astronomii. I na razie uświadomił nam przede wszystkim, jak wiele jeszcze pozostaje do odkrycia.

Chemia. Tylko jedna strona lustra

W 2001 r. Henri Kagan, 70-letni wówczas francuski chemik, miał powody do rozczarowania. Nagrodę Nobla z chemii przyznano za rozwój katalitycznej syntezy asymetrycznej, dziedziny, której był jednym z pionierów. Ale medal odebrali trzej inni badacze. Kagana pominięto, choć tej dziedzinie był gigantem i poświęcił jej niemal całe życie. Były też chwile, w których chciał rzucić wszystkim, bo eksperymenty nie przynosiły oczekiwanych rezultatów.

Uznanie przyszło późno. Nobla otrzymał dopiero teraz, w wieku 95 lat, wspólnie z 76-letnim Japończykiem Kenso Soaiem. Obaj zajmowali się jednym z najbardziej fascynujących problemów chemii: dlaczego życie tak zdecydowanie faworyzuje jedne lustrzane wersje cząsteczek, a inne niemal całkowicie odrzuca?

Żeby zrozumieć znaczenie ich odkryć, wystarczy spojrzeć na własne dłonie. Lewa i prawa wyglądają niemal identycznie, są lustrzanymi odbiciami – trudno jest założyć lewą rękawiczkę na prawą dłoń i odwrotnie. Różnica jest ważna z praktycznego punktu widzenia.

W chemii jest podobnie. Niektóre cząsteczki występują w dwóch odmianach, które są swoimi lustrzanymi odbiciami. Mają te same atomy i wiązania między nimi, ale różnią się ułożeniem przestrzennym. Nazywamy je enancjomerami, a tę właściwość chiralnością.

Różnica może wydawać się błaha. Ale znowu – dla życia ma fundamentalne znaczenie.

Białka wszystkich znanych organizmów są zbudowane niemal wyłącznie z aminokwasów o jednej orientacji przestrzennej. Podobnie jest z cukrami wchodzącymi w skład DNA i RNA. I choć możliwe są również ich lustrzane odpowiedniki, życie konsekwentnie wybiera jedną z dwóch wersji tych cząsteczek. Obrazowo mówiąc, w przypadku aminokwasów „lewą", a cukrów – „prawą".

Dlaczego? To zagadka sięgająca początków życia na Ziemi.

Problem dostrzegł już w XIX w. Ludwik Pasteur, kiedy badał kryształy związków organicznych. Zauważył, że niektóre występują w dwóch odmianach, będących swoimi lustrzanymi odbiciami. Od tego czasu chemików nurtowało pytanie, skąd bierze się przewaga jednej odmiany, skoro zwykłe reakcje chemiczne na ogół wytwarzają obie wersje w jednakowych ilościach?

Jak się przekonali lekarze, ma to również ogromne znaczenie praktyczne. Dwie lustrzane odmiany tej samej substancji mogą działać w ludzkim organizmie zupełnie inaczej. Jedna może być skutecznym lekiem, druga nie mieć działania terapeutycznego albo wywoływać niepożądane skutki.

Przykładem niebezpieczeństw związanych z lekami chiralnymi jest niesławny talidomid, który w latach 50. i 60. XX wieku spowodował ciężkie wady rozwojowe u tysięcy dzieci. Jego szkodliwe działanie wiąże się przede wszystkim z jedną z lustrzanych odmian, ale obie mogą przekształcać się w siebie nawzajem w organizmie.

W przypadku wielu innych substancji leczniczych można jednak uniknąć problemów, produkując od razu tylko potrzebną odmianę związku, zamiast otrzymy-



• **NOBEL Z MEDYCYNY Amerykanin Karl Deisseroth oraz Niemcy Peter Hegemann i Georg Nagel za „odkrycia dotyczące kanałów jonowych otwieranych światłem i optogenetyki"**



• **NOBEL Z FIZYKI. Belg Francis Halzen za „decydujący wkład w Obserwatorium Neutrinowe IceCube oraz odkrycie wysokoenergetycznych neutrin pochodzenia astrofizycznego"**





• **NOBEL Z CHEMII. Francuz Henri Kagan i Japończyk Kenso Soai za „odkrycie efektów nieliniowych i autokatalizy w asymetrycznej syntezie organicznej"**

FOT. REUTER (5), EPA/PAP

eprasa.pl a960e54702

wać mieszaninę obu, a potem mozolnie je rozdzielać.

W tym właśnie wyspecjalizował się Henri Kagan.

W 1986 r. wraz ze współpracownikami dokonał zaskakującego odkrycia. Wykazał, że w pewnych reakcjach chemicznych nawet drobna przewaga jednej lustrzanej wersji katalizatora może prowadzić do znacznie większej przewagi jednej z wersji końcowego produktu. Czyli początkowa przybliżona równowaga zamienia się w dominację jednej z lustrzanych wersji. Zjawisko to nazwano dodatnim efektem nieliniowym.

Wykorzystał to Kenso Soai, który współdzieli z Kaganem tegorocznego Nobla. Japończyk wychowywał się w prefekturze Hiroszima i od dzieciństwa fascynował przyrodą. Jak wspominał po otrzymaniu Nobla, bardziej interesowały go organizmy żywe niż samochody czy samoloty. Ostatecznie wybrał chemię, ale pytania dotyczące biologii nigdy nie przestały go nurtować.

Soai badał reakcje autokatalityczne. Ich niezwykłość polega na tym, że powstający związek sam działa jak katalizator, czyli przyspiesza wytwarzanie kolejnych cząsteczek tego samego związku.

W 1995 r. Soai i jego współpracownicy odkryli reakcję, która połączyła autokatalizę z dodatnim efektem nieliniowym. Powstający w niej alkohol był katalizatorem dla reakcji, a przy okazji wzmacniał powstawanie własnej lustrzanej odmiany.

Jednym słowem, jeżeli początkowo było choćby odrobinę więcej jednej lustrzanej wersji alkoholu, mogła ona szybciej zwiększać swoją liczebność. A im więcej jej powstawało, tym skuteczniej napędzała wytwarzanie następnych cząsteczek o takiej samej symetrii. W odpowiednich warunkach niemal niewidoczna z początku przewaga mogła zamienić się w prawie całkowitą dominację jednej lustrzanej odmiany końcowego produktu.

Tegoroczne Noble przypominają: najciekawsze odkrycia czekają tam, gdzie jeszcze nawet nie wiemy, czego nie wiemy

Zdaniem wielu naukowców podobny mechanizm mógł odegrać ważną rolę u początków życia na Ziemi. Pomógłby wyjaśnić, dlaczego wszystkie znane organizmy budują białka niemal wyłącznie z „lewych" aminokwasów, a DNA i RNA z cukrów o „prawej" orientacji przestrzennej. Być może na pierwotnej Ziemi jedna z dwóch lustrzanych odmian uzyskała niewielką przewagę, która następnie została wielokrotnie wzmocniona przez reakcje chemiczne. Skąd wzięła się początkowa nierównowaga? Mogła powstać przypadkowo, ale mogły też przyczynić się do niej spolaryzowane światło, powierzchnie minerałów lub procesy zachodzące w przestrzeni kosmicznej.

Trzeba jednak dodać, że reakcja Soaia wymaga szczególnych substancji i warunków, które prawdopodobnie nie występowały na pierwotnej Ziemi. Nadal więc nie wiemy, jakie procesy rzeczywiście doprowadziły do tego, że całe ziemskie życie posługuje się zestawem cząsteczek z tylko jednej strony lustra. Ale dzięki noblistom wiemy już, że taka naturalna „selekcja" jest jak najbardziej możliwa. To ważny krok w poszukiwaniu odpowiedzi.

Co łączy te Noble

W czasach, gdy coraz doskonalsza sztuczna inteligencja przejmuje od ludzi kolejne zadania, również w badaniach naukowych, tegoroczne Noble mają pewną wspólną cechę. Uhonorowano naukowców, którzy znaleźli nowe sposoby prowadzenia eksperymentów i obserwacji, a więc zdobywania informacji o rzeczywistym świecie.

W każdym przypadku ich odkrycia pozwoliły zobaczyć albo zrobić coś, czego wcześniej nie potrafiliśmy. Co znamienne, za tymi przełomami stali ludzie, którzy nie tylko analizowali dostępne dane, ale wymyślili, jak zdobyć zupełnie nowe.

Sztuczna inteligencja potrafi przeszukiwać ogromne zbiory danych, projektować cząsteczki, analizować obrazy czy podpowiadać rozwiązania. Ale żeby miała co analizować, ktoś musi najpierw wydobyć z natury informacje, których jeszcze nie posiadamy: szturchnąć ją w miejscu, którego nikt wcześniej nie próbował, zbudować detektor zdolny wychwycić nieznany sygnał, wymyślić doświadczenie, które ujawni coś nieoczekiwanego.

Oczywiście AI już pomaga projektować eksperymenty, sterować aparaturą, a nawet samodzielnie prowadzić część doświadczeń. Jednak nawet najdoskonalsza analiza istniejących danych nie zastąpi nowych obserwacji i konfrontowania hipotez z rzeczywistością. AI może znakomicie podsuwać hipotezy, ale ktoś lub coś musi jeszcze sprawdzić je w realnym świecie.

W epoce sztucznej inteligencji zdolność zadawania naturze nowych pytań i uzyskiwania od niej odpowiedzi może więc stać się jeszcze cenniejsza.

Z tegorocznych wyborów płynie również inna lekcja. Wielkie odkrycia naukowe dojrzewają powoli. Prace prowadzące do optogenetyki zaczęły się od badań nad zachowaniem glonów. Pomysł IceCube wymagał dziesięcioleci wysiłku, zanim zaczął przynosić przełomowe wyniki. Badania Kagana i Soaia również mają historię liczoną w dziesiątkach lat.

W żadnym z tych przypadków nie można było na początku przewidzieć ostatecznego znaczenia odkrycia. Kto mógł przypuszczać, że dociekania nad tym, jak jednokomórkowy glon reaguje na światło, zrewolucjonizują neurobiologię? Nie było też pewności, czy gigantyczny detektor w antarktycznym lodzie zdoła wychwycić coś więcej niż szum. A jak przekonać kogoś do finansowania badań nad tym, dlaczego życie na Ziemi wybrało określone lustrzane wersje cząsteczek, skoro nie wiadomo, czy przyniosą jakąkolwiek praktyczną korzyść?

To jeden z najważniejszych argumentów za finansowaniem badań podstawowych, których motorem bywa czysta ludzka ciekawość. Nie każde z nich doprowadzi do wielkiego przełomu. Większość nie doprowadzi. Ale nie potrafimy z góry wskazać, które okażą się bezcenne.

Tegoroczne Noble przypominają więc o czymś, co łatwo przeoczyć w świecie coraz potężniejszych komputerów, wielkich zbiorów danych i sztucznej inteligencji. Najciekawsze odkrycia często czekają tam, gdzie jeszcze nawet nie wiemy, czego nie wiemy. A natura, jak pokazują historie tegorocznych laureatów, wciąż sporo tam ukrywa. ●

REKLAMA Kraj/34455812



1 RP

eprasa.pl a960e54702

NIE UMIESZ SIĘ PODPISAĆ? DO WIDZENIA

Zadziwia mnie fakt, że wydajemy miliardy na czołgi, które żyją na dzisiejszym froncie raczej krótko, **a nie umiemy, korzystając z wiedzy psychologicznej, socjologicznej, antropologicznej, informatycznej zbudować systemu, który by chronił ludzi przed rosyjskimi botami**

Z **PIOTREM VOELKELEM**
ROZMAWIA **TOMASZ KWAŚNIEWSKI**

– Już panu mówię, co przede wszystkim dziś trzeba zrobić...

...ale najpierw proszę się przedstawić, żeby czytelnicy wiedzieli, z kim mają przyjemność.
– Po pierwsze jestem emerytem. Znaczy, mam 75 lat, i uważam, że to już jest czas na emeryturę, ale nie umiem przestać pracować. Wciąż więc zarządzam sporymi projektami – jestem założycielem Uniwersytetu SWPS, a to generuje obowiązki zwłaszcza te związane ze strategią.

Podobne wyzwanie to Collegium da Vinci w Poznaniu.
– Są też liceum i szkoła podstawowa w Poznaniu, które założyłem z myślą o wnukach, co okazało się być bardzo dobrym projektem, w efekcie jest tam dziś blisko tysiąc dzieci.

A wnuków ma pan ile?
– Dziewięcioro. Ale to dlatego, że mam trójkę dzieci, i każde ma trójkę swoich.

Jestem też deweloperem. Ale nie takim, który ma fabrykę mieszkań. Tylko po prostu zagospodarowuję działki, które stały się przez lata pracy moją własnością.

Nie chcę ich sprzedać, wolę wybudować mieszkania, akademiki, które przynoszą stały dochód. Wszystko z myślą, że dokończę sukcesję i przekażę też ten majątek dzieciom. Będzie to kolejny etap oddawania obowiązków, syn dzielnie już zarządza firmami z grupy Vox.

Którą pan stworzył.
– Tak. To konglomerat kilku niezwykłych firm: w branży meblarskiej byliśmy jednymi z nielicznych, którzy poszli ścieżką własnego projektowania. Na tyle ambitnego, że zaczęli kopiować nas Włosi. Zrobiliśmy na przykład meble oparte o zaawansowane badania potrzeb dzieci i młodzieży. Pracowaliśmy nad tym z psychologami, kognitywistami itd. W rezultacie powstały meble, które uczą zmieniać świat. Co uważam, że ma istotny związek z demokracją...

...o której zaraz będziemy rozmawiać.
– Już rozmawiamy. Bo trudno wychowywać dziecko, które kocha wolność, jeśli w domu mu nic nie wolno.

VOX powstał z firmy, którą założyłem, gdy w 1979 roku odszedłem z Polskiego Teatru Tańca, gdzie byłem szefem technicznym.

Teatrowi zawdzięczam to, że umiem wiele. Bo raz, że przygotowywanie premier, a dwa, że tournée po różnych krajach, i Jugosławia, i Rosja, i Szwecja. I w każdym teatrze nowe osoby, inne zwyczaje, nauczyłem się więc, jak sobie zjednywać ludzi na tyle, żeby wieczorem byli gotowi wykonać każde polecenie. I miałem na to tylko dwanaście godzin.

A z wykształcenia jest pan kim?
– Inżynier odlewnik. Studiowałem dwa lata na politechnice w Poznaniu, byłem tam też w pewnym momencie szefem kultowego klubu: „Od Nowa". A potem przeniosłem się do Wrocławia, też na Politechnikę i tam zostałem szefem, również słynnego wówczas klubu studenckiego: „Pałacyk".



FOT. ŁUKASZ CYNALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

To był, rozumiem, klub rozrywkowy?
– Miał wiele funkcji. W tygodniu były wieczorki poezji, dobre koncerty typu Grechuta, Demarczyk. A w weekendy rzeczywiście dyskoteka, która na to wszystko musiała zarobić.

A w ogóle coś pan odlał?
– Najwięcej to z Abakanowicz.

Wspólnie z Jarkiem Maszewskim – przyjaciel, profesor ASP, który miał tą unikalną cechę, że łączył ludzi – namówiliśmy ją, żeby w Poznaniu zrealizowała swoje marzenie, czyli grupę rzeźb „Nierozpoznani". I przekonałem, dzięki właśnie kompetencjom odlewniczym, żeby zrezygnowała z brązu i odlała je z żeliwa. Co dla niej było nowością. Ale potem tak już pokochała żeliwo, że kolejne rzeźby powstawały właśnie w tym materiale.

Rozumiem, że oryginalnie miał pan raczej odlewać rury, przęsła, szyny...
–...no tak, oryginalnie to nasze państwo kochane, komunistyczne, widziało mnie jako tego, który w bagnie i błocie buduje Hutę Katowice. Udało mi się wywinąć – wtedy wszyscy absolwenci otrzymywali skierowanie do pracy od, nazwijmy to, inspektora, który uznał, że nadaję się do Teatru Tańca i pozwolił mi na tę przygodę.

To była moja pierwsza praca po studiach, miałem 22 lata.

A jak to się uzasadniało, że inżynier odlewnik idzie do Teatru Tańca?
– Tak, że teatr potrzebuje szefa technicznego. Gościa, który umie oświetlić, nagłośnić, zrobić dekoracje i tak dalej. Ja to umiałem też dlatego, że pracowałem w klubach studenckich.

I później z tego teatru...
–...po sześciu latach uznałem, że wystarczy, trzeba zacząć myśleć o rodzinie i zamożności. I założyłem firmę prywatną: Wytwarzanie galanterii z kości rogów, surowców miejscowych i odpadowych.

A trzeba było mieć wtedy jakiś kapitał?
– No miałem. Odłożyliśmy z żoną, bo ona też pracowała, kilkanaście tysięcy złotych. Mało, ale wystarczyło na pierwsze maszyny. Kupiłem je w Moskwie. Bo jeden z ostatnich moich wyjazdów z Teatrem Tańca był właśnie do Moskwy – odpowiadałem za oświetlenie gigantycznego koncertu: prezentacja gwiazd z Polski, taki nasz dzień kultury. Przyjechali: Krystian Zimerman, Gustaw Holoubek, Mazowsze, Stanisław Mikulski – pociąg pełen największych naszych gwiazd.

I potem kupił pan te maszyny?
– Tak, bo dostałem kupę kasy jako szef oświetlenia. Naprawdę dali mi walizkę rubli.

Pojechałem taksówką do sklepu dla rzemieślników, i kupiłem dwie nieduże maszy-

eprasa.pl a960e54702

ny wielofunkcyjne do obróbki drewna. Zapakowałem je do pociągu i przywiozłem do Polski. A potem dokupiłem kolejne – odkryłem, że mogę jako rzemieślnik dostać kredyt w banku spółdzielczym. I zacząłem produkować karnisze. Które dzięki temu, że wymyśliłem wiele rozwiązań technicznych...

Sprzedawał je pan w Poznaniu?
– W różnych miastach, bo woziłem po całej Polsce. I zarabiałem bardzo dużo jak na tamte czasy. Ludzie je dosłownie rozchwytywali. Tak czy owak, mogłem sobie kupić lepsze auto. Żona przestała pracować, zajęła się domem, wychowaniem jednego, potem kolejnych dzieci.

A tych maszyn w sumie miał pan ile?
– W pierwszym warsztacie może siedem.

A w sumie dlaczego, bo przecież wtedy nic nie było, mógł się pan więc wziąć za cokolwiek, wybrał pan karnisze?
– Za tym stała zwykła ludzka serdeczność. Bo jak jeździłem po świecie, to fascynowały mnie różne produkty, wśród nich na przykład lustra podświetlane. To było lustro, które dawało światło dookoła i człowiek wyglądał młodo, bo nie było widać zmarszczek.

I ja te lustra próbowałem sprzedawać w Polsce, ale nie szły. Bo w sklepach najczęściej stały na półce za ladą, klient nie mógł podejść, nie wiedział, o co chodzi. One stały, wszyscy patrzyli, i nic. A były drogie. Przez te lampki, instalacje. W końcu jeden z właścicieli tych sklepów prywatnych, miły gość, mówi mi: „Piotr, zostaw te cholerne lustra, szkoda życia. Zacznij robić karnisze, to idzie jak bułki".

Bo pan cały czas robił te lustra?
– I o mało co na nich bym się nie wyłożył.

On mnie przekonał, że karnisze. Wtedy poszedłem do kolegów z Opery Poznańskiej, których znałem stąd, że razem robiliśmy dekoracje dla Teatru Tańca, i oni pomogli mi opracować genialną technologię produkcji tych karniszy. Dużo lepszą niż konkurencji. Produkowałem je szybko i tanio, a cena rynkowa była wysoka, więc zarabiałem naprawdę, ile chciałem.

I później?
– Spotkałem Niemca, który przyjechał do Polski szukać kogoś, kto by dla niego produkował zabawki z drewna. Był genialnym plastykiem, miał złote ręce, zrobił przepiękną kolekcję zabawek ręcznie robionych. I potrzebował ich dużo więcej, niż sam mógł wyprodukować.

Zlecił mi próbną serię. I zacząłem produkować na dużą skalę do Niemiec. To dawało mi unikalną sytuację, bo musiałem mieć paszport.

Przypomnijmy, że w tamtych czasach paszport należał do państwa, które wydawało go tylko na czas podróży.
– A ja mogłem wyjeżdżać i co tydzień jeździłem z tymi zabawkami do Hamburga. Co sobotę ładowałem nimi dużą przyczepę. Zaczepiałem ją do mercedesa, którego kupiłem przy pierwszym wyjeździe. Bo w Polsce były kartki na paliwo, a tam kupiłem sobie diesla. Dzięki czemu stałem się wolnym człowiekiem, bo diesel w PRL-u był bez kartek.

Potem okazało się, że można tam kupić na szrocie, czyli na złomie, bardzo tanio, prawie nowe volkswageny passaty. Bo volkswagen, namówiony przez rząd, kupił blachę z Rosji, i okazało się, że ona rdzewieje strasznie. Bo ma w sobie taką ilość siarki, że to aż wybucha. Niektóre części z tej ruskiej blachy rdzewiały po roku. W związku z czym prawie nowe samochody szły na złom, a właściciele dostawali nową furę. I ja te auta kupowałem za pięćset marek, przywoziłem do Polski, naprawiałem porządnie, i sprzedawałem za krocie.

Tak więc w jedną stronę wiozłem zabawki. A z powrotem przywoziłem auto.

Później już pan nie mógł się opędzić od tych różnych możliwości zarabianie pieniędzy?
– Później założyłem firmę polonijną. Wystartowała w 1989 roku, jak Balcerowicz zmienił nam system. Nazwałem ją właśnie VOX. I ona za chwilę stała się fabryką mebli dla dzieci, potem dla młodzieży, a na końcu dla wszystkich.

Profesor w przyszłym roku będzie miała 80 lat. Wszyscy wiele mu zawdzięczamy.

Jak się słucha tych różnych bogaczy, to oni często mówią, że aby zrobić majątek, trzeba kilka razy zbankrutować...
–...głupota, która nie ma nic wspólnego z prawdą. Ja wiem, że aby iść do przodu, muszę mieć sukcesy. One mnie nakręcają, pozwalają mi otwierać większe biznesy.

Myślałem, że chodzi o to, że na tej drodze biznesowej bankructwo jest po prostu czymś...
–...tak, co się zdarza. Niemniej nie zgadzam się że aby zostać miliarderem, trzeba choć raz zbankrutować. To idiotyczne. Gdybym trzymał się tych luster podświetlanych, to ja bym dzisiaj prosił, żeby zapłacił pan za kawę.

Najważniejsza w biznesie jest wytrwałość i to przypomina trochę pracę dzięcioła. Dzięcioł nie może uderzyć dwa razy w to miejsce, gdzie chce i powiedzieć: „A tam, pieprzę, będę kuł w innym miejscu". Nie może, bo jak odpuści, przeniesie się w inne miejsce, a potem w następne, to nigdy nie dotrze do robaków.

A co ze szczęściem? To w ogóle jest kategoria, którą pan uwzględnia?
– Bardzo. Ja generalnie uważam się za człowieka szczęśliwego...

...ale mnie chodziło o to, że nastąpiły szczęśliwe dla pana zbiegi okoliczności, które pozwoliły panu, a nie komuś odnieść sukces?
– Wie pan, ja jestem kaleką. W sensie, że jestem dyslektykiem, dysortografikiem, dysgrafikiem. To, że zdałem maturę, zawdzięczam tylko bardzo uprzejmej pani polonistce. Pomogła mi ominąć ortograficzne rafy. Gdyby nie ona, pewnie do dzisiaj byłbym w liceum.

Mam zresztą więcej takich słabości, na przykład słabo pamiętam nazwiska, fakty, daty. Mam za to dużą łatwość łączenia różnych punktów, rzeczy, ludzi, tworzenia z nich nowej jakości.

To pozwoliło mi stworzyć wiele oryginalnych projektów i nowych biznesów. Uniknąć tego, że będę jedynie podwykonawcą niemieckich, francuskich, czy angielskich koncernów, produkować ich meble, przy bardzo małej marży, na ich zamówienie. Co robi większość polskiego przemysłu meblowego.

Polska ma mało marek rozpoznawalnych, poza wyjątkami, które się liczą w Europie. A jesteśmy drugim na świecie producentem mebli. Czyli jesteśmy podwykonawcami. W najlepszym wypadku kopiujemy zachodnie meble.

Dlaczego nikt nie ryzykuje, nie idzie w swoją stronę?

To nieprawda, że nie da się okiełznać hejtu w sieci. Ma pan jakiś swój numer, tak jak PESEL i tylko z tym może pan publikować. W efekcie każdy może łatwo ustalić, kto pisze do Krystyny Jandy: „Ty k..."

– O, bo do tego trzeba mieć kilka rzeczy.

Po pierwsze trzeba być odważnym. To jest ryzyko, zyli trzeba pokonać własny lęk, obawy.

Po drugie, trzeba wejść we współpracę z zupełnie innym światem, na przykład ludźmi od projektowania. Trzeba mieć więc trochę otwartości, ale też ciekawości świata. Umiejętności rozmowy, współpracy z różnymi osobami. Czyli tego, czego mnie nauczył Polski Teatr Tańca.

No dobrze, a jak pan w tych zamierzchłych czasach myślał o tym, co się nazywa demokracją, wolnością? Bo przecież w sumie było panu chyba wtedy dość dobrze?
– Uczciwie trzeba powiedzieć, że ten eksport mebli i zabawek do Niemiec wtedy dał mi wiele różnych rzeczy, przede wszystkim właśnie kawałek wolności polegający na paszporcie.

Po drugie nauczyłem się wtedy kapitalizmu, bo jeździłem na targi w Niemczech, wiedziałem, na czym polega prawdziwy gospodarczy system, a nie komunistyczne, planowane zarządzanie. W efekcie, jak wywaliła się komuna i Balcerowicz wszystko pozmieniał, znalazłem się w świecie, który rozumiałem. A wielu kolegów, rzemieślników zbankrutowało. Bo ich interes na przykład polegał na tym, że mieli szwagra w kopalni, mieli więc dostęp do taniego węgla i dzięki temu mogli hodować w szklarni goździki. Ten węgiel to była ich jedyna przewaga. I potem, jak się rynek otworzył i można było kupić węgla, ile się chciało, tylko drożej, skończyło się eldorado.

Ale tak, wolność była wtedy bardzo ważną rzeczą. W domu słuchało się Wolnej Europy, ciągle żyliśmy w przekonaniu, że komuna to straszny system, upokarzający.

Ja, żeby demonstrować wolność, chodziłem do kościoła.

A jak to potem się już zmieniło, to pamięta pan, z czego naprawdę się pan cieszył?
– To były różne przestrzenie. Na przykład byłem dumny, że rodzice wzięli biżuterię i dali ją na plan wspierania reform Balcerowicza. Bo była taka akcja: chodziło o wsparcie miejsc, które najbardziej ucierpiały na skutek transformacji. To w końcu zostało nawet sformalizowane, jako Fundusz Daru Narodowego.

Rodzice uważali, zresztą jak wielu innych współobywateli, że to jest nasza przyszłość, i trzeba tej naszej kochanej ojczyźnie w tym trudnym momencie pomóc.

Ciekawe, bo ja mam w głowie, że wtedy było generalnie ciężko, a tu od pana słyszę, że część ludzi, która miała więcej, wrzucała to do wspólnego kociołka...
–...to nawet nie było tak, że miała jakoś dużo więcej, bo ojciec był lekarzem weterynarii, i owszem, zarabiał przyzwoicie, ale nie był zamożny. Ja byłem dużo bogatszy od niego.

Tak czy owak, to wejście nowego systemu, Wałęsa, nowy rząd, te wszystkie „Zwyciężymy!" – to oddziaływało na ludzi.

A działo się tak dlatego...
–...bo był entuzjazm.

Generalnie jak człowiek kocha swój kraj i widzi, że rząd wydaje mądrze pieniądze, to podatki płaci chętnie. Ale jak państwo je marnuje, to obywatel szuka, jak się wykręcić.

A dziś, jakby pan miał powiedzieć, co pan myśli, czuje, jak pan patrzy na świat, Polskę?
– Jestem świeżo po lekturze książek Shoshany Zuboff: „Wiek Kapitalizmu Inwigilacji" oraz Petera Pomerantseva: „To nie jest propaganda. Przygody na wojnie z rzeczywistością".
W związku z czym tym bardziej mam poczucie, że świat jest dziś zarządzany przez wielkie, niezinwentaryzowane, nieuświadomione moce, czyli algorytmy, systemy operacyjne, za którymi stoją właściciele platform. Oni zbudowali nam nową rzeczywistość, a my przeszliśmy z poziomu decyzji opartych o fakty – jakieś realne wykresy, cyfry, udokumentowane zdarzenia – do świata, w którym decydują świadomie podsycane emocje.

Czyli ma pan wrażenie, że decyzje dziś podejmowane...
– ... nie wynikają, w największym skrócie, z prawdy i mądrości.

Tylko z nieustającej reakcji na jakieś zdarzenia?
– Tak, przy czym w dodatku w ramach tych zdarzeń pojawia się cała masa nieprawdziwych informacji. W rezultacie czego stajemy się ofiarami wojny informacyjnej, jaką prowadzi z nami, myślę, Putin. Proszę pamiętać, że 60 proc. tego, co jest dziś w internecie, generują boty. Czyli maszyny, które udają ludzi, wpływając na nas i zmieniając nasze poglądy.

Wolność to wspaniała sprawa, która polega na tym, że mam prawo myśleć i mówić co chcę. Ale trudno ją uznać za wartość, jeżeli jestem napakowany nieprawdziwymi informacjami.

Dziś trzeba chronić ludzi przed zalewem nieprawdziwych informacji. I że bierność państwa w tej przestrzeni jest zdumiewająca.

Jak więc pan patrzy na to co teraz się dzieje w Niemczech? Chodzi mi o zwycięstwo AfD...
– Z jednej strony myślę, że to odreagowanie wielu błędów, które poprzednie rządy niemieckie popełniły, patrz Merkel i otwarcie granic. Z drugiej strony jestem przekonany, że na całą Unię Etrwa dziś nalot hejtów i dezinformacji, bardzo precyzyjnie przygotowywanych w Rosji, konkretnie w Petersburgu – jeśli wierzyć Pomerantsevowi – tam jest główny sztab, silne ekipy psychologów, informatyków i innych specjalistów. Oni, wykorzystując narzędzia, które dostali głównie od Amerykanów i trochę od Chińczyków, stosują dywanowe naloty na Europę. Wywołują reakcje, które są wynikiem emocji, a nie skutkiem racjonalnych decyzji.

Bo przecież obiektywnie jest tak, że wschodnie landy dostały przy połączeniu się Niemiec gigantyczną kasę. To nawet widać, że w zachodnich Niemczech siadły inwestycje, bo gigantyczna kasa poszła na to, żeby we wschodnich budować infrastrukturę, remontować miasta, miasteczka, tworzyć miejsca pracy. Zmusili nawet Porsche, żeby pod Dreznem otworzyło fabrykę. A efekt jest taki, że ci, którzy powinni budować w sobie poczucie zadowolenia, są dzisiaj wrogami tego systemu. I bardzo łatwo stają się de facto brunatną siłą w Europie.

Właśnie, bo jak pan myśli o AfD, to co panu przychodzi do głowy?
– Że to jest jak Braun u nas. To są wszystko ludzie, którzy sprzyjają rozbiciu Europy. Idą po autorytarnej ścieżce.

Jak pan powiedział, że są siły, które dziś sterują światem, podrzucając to, do czego ludzie się przyklejają, pomyślałem, że w ludziach musi być coś, jakaś dyspozycja, nastrój, do czego to się przykleja...
–...nie, nie, inaczej. Z grubsza ten proces wygląda następująco: Rosjanie programują zestaw botów, które na przykład mają zadanie wejść w środowisko, załóżmy, pszczelarzy. I wrzucają im informację typu, że idą straszne opady. Wyrabiają w ten sposób relacje, w których ci pszczelarze traktują ich jako takich bardzo światłych, dobrych doradców. Budują zaufanie.

Po czym w pewnym momencie mówią tym pszczelarzom, a jest ich, powiedzmy, dwa tysiące: „Słuchajcie, co za sensacja, Owsiak kradnie". I pszczelarze wciągnięci w teorię spiskową: „Tylko my wiemy, że Owsiak kradnie", ataku-

Rosjanie programują zestaw botów, które mają wejść w środowisko pszczelarzy. I wrzucają im informacje typu, że idą straszne opady. Tak wyrabiają relacje, w których ci pszczelarze traktują ich jako światłych doradców. Budują zaufanie. Po czym w pewnym momencie mówią pszczelarzom: „Słuchajcie, co za sensacja, Owsiak kradnie".

eprasa.pl a960e54702

ją prawdziwego Owsiaka. Tak skutecznie, że on chce zamknąć Orkiestrę Świątecznej Pomocy.

To są te mechanizmy. Po prostu wojna informacyjna, która się toczy od lat. A w Polsce dopiero od niedawna, powoli pojawia się opowieść, że trzeba walczyć również na tym polu.

Po co mam dziś wywoływać prawdziwą wojnę, skoro mogę zmienić poglądy obywateli tych krajów, które chcę uzależnić, i oni sami w demokratyczny sposób wybiorą rozwiązania, które są mi na rękę.

Ja, gdy słyszę tego typu teorie, myślę: no dobra, ale skąd się w takim razie biorą tacy ludzie jak Pomerantsev, również pan, dlaczego akurat wy jesteście na te manipulacje odporni? A ci inni nie...
– Nie ma pan racji, ponieważ ludzie są sobie równi tylko w górnolotnych hasłach. A w sumie są nierówni. Dlaczego? Bo są różnie wykształceni. Mają różne doświadczenia. Otoczenie. Są w różnym stopniu podatni na propagandę. A po drugiej stronie są naprawdę wybitni psycholodzy.

Dzisiaj sztuczna inteligencja pozwala stworzyć komunikację niemalże indywidualną. Opisuje to Zuboff na przykładzie tego, jak Google pierwszy raz wspierał wybory Obamy. Było jasne, że na Obamę gotowe jest głosować mniej więcej 30 proc. Amerykanów, 30 proc. go odrzuca, a 30 proc. się waha. Oni zaatakowali więc tych niezdecydowanych. A robili to tak, że jak wiedzieli, że pan lubi koty, to dostawał pan fotki Obamy, który głaska kota – bardzo zindywidualizowane sugestie, które finalnie spowodowały, że Obama zebrał większość.

No, a teraz AI oraz platformy społecznościowe bardzo to otworzyły.

No i co zrobić?
– Informować.

Ale jak? Gdzie?
– Wszędzie. Jeden poziom to jest to, co pan robi. Próbujecie obiektywnie opisywać różne sytuacje. Czasami się wam nie uda, bo kogoś skrzywdzicie, ale generalnie dążycie do prawdy.

Drugi poziom to demaskowanie dezinformacji.

I trzeci, to masowe udostępnianie ludziom prawdziwych informacji – mój wnuk Jędrzej aktualnie pracuje z ludźmi z SWPS-u, psychologami, socjologami, informatykami nad stworzeniem aplikacji, która będzie przygotowywała informacje na pewno sprawdzone. Do tego indywidualnie sprofilowane – są tacy, których bardziej interesuje sport, a są tacy, których bardziej biznes i tak dalej.

Bo ludzie potrzebują informacji.

Rozumiem, że rdzeniem i tak jest edukacja...
–...oczywiście, ludzi niewykształconych łatwiej zmanipulować, tylko nie każdy ma czas się wykształcić, prawda? Natomiast każdego można chronić przed dezinformację poprzez informację.

Ale musi być też coś w powietrzu, do czego ta dezinformacja, na przykład serwowana przez Putina, się przykleja...
– Znów polecam panu lekturę Zuboff. Ona demaskuje ten mechanizm, opisuje, jak tworzono w serwisach społecznościowych te przyklejające się technologie.

Po pierwsze sięgnięto po badania, które były robione w kasynach gry, na użytkownikach „jednorękich". A wśród nich są tacy, którzy potrafią po dwa dni spędzić przy automacie. Nie śpiąc, nie jedząc, po czym jak odchodzą, to o niczym innym nie myślą, tylko żeby wrócić. A jak siedzą, to właśnie nawet nie wiedzą, że już drugi dzień mija, bo w kasynach jest bez przerwy to samo światło. Na podstawie tych badań naukowcy ustalili, jakich pan potrzebuje bodźców, żeby wytrwać wiele godzin przy ekranie. Co ile minut musi pan zostać nagrodzony, dostać dopaminowy strzał, żeby się nie odkleić.

Były też badania robione przez Amerykanów, bo oni nie mogli zrozumieć, dlaczego pilot, który bombardował Wietnam, jak wraca z niewoli, nagle jest komunistą. I okazało się, że Wietnamczycy, używając technik rosyjskich, ale też chińskiej, bardzo dobrze ogarnęli pranie mózgu. W związku z czym potrafią człowieka...

...przekonać.
– Do wszystkiego.

Wiedza uzyskana w trakcie tych badań również jest dziś powszechnie stosowana, potęgi internetowe używają jej na przykład w relacjach z dziećmi, żeby uzależnić je od siebie.

W tym kontekście zadziwia mnie fakt, że wydajemy miliardy na czołgi, które żyją na dzisiejszym froncie raczej krótko, a nie umiemy, korzystając z wiedzy psychologicznej, socjologicznej, antropologicznej, informatycznej, zbudować systemu, który by chronił ludzi przed botami i sianą przez nie dezinformacją.

Powinniśmy całkowicie w Europie wykluczyć anonimowe wypowiedzi w internecie. Jeżeli się pan nie podpisuje, to nie jest publikowane. Koniec! Ma pan jakiś numer, jeden jedyny, tak jak PESEL i tylko z tym może pan publikować. W efekcie każdy może łatwo ustalić, kto pisze do Krystyny Jandy: „Ty k...!".

Demokracja polega na tym, że pan może powiedzieć bez konsekwencji negatywnych, co pan uważa, ja też, ale mówimy to jawnie. Tymczasem internet używając ważnego hasła „wolność słowa", sprowadził demokrację do ścieku, w którym bardzo trudno jest pływać. Platformy społecznościowe, używając hasła wolności słowa, poszły w stronę, że każdy może robić, co chce. Co więcej, oni tak kierują ruchem wypowiedzi, że pan dostaje jedynie rzeczy, które albo bardzo pana wspierają, albo bardzo wkurzają. Bo chodzi o to, żeby pan był w tej swojej bańce, i z jednej strony czuł wspólnotę z tymi swoimi, a z drugiej wrogość do tych innych.

A chodzi o pieniądze?
– Wyłącznie. Pan ma tam siedzieć, nie wyłączać się, a wszystko opiera się na dwóch emocjach: gniewie i akceptacji. Bo dostaje pan tylko te dwa strzały. Adrenalinę i dopaminę.

I oni mając tysiące badań, jak uzależniać ludzi, stworzyli system, który Putin wykorzystuje, żeby wysadzić w powietrze Europę.

Jak pan patrzy w przyszłość, to co widzi? Jak będzie wyglądała przyszłość pana wnuków?
– Uważam, że trzeba stosować trochę opowieść Gorbaczowa: jak nie my, to kto? Jak nie teraz, to kiedy? Dlatego wspieram projekt wnuka, żeby zbudować kontratak na dezinformację.

Też wspólnie z Fundacją Demokratyczną Adama Michnika, nasza Fundacja Voelkel, zorganizowała konkurs dla młodych ludzi – Democratic Trigger, którzy przy pomocy grafiki, filmu lub fotografii pokazują, że dla nich demokracja też jest ważna i czują to narastające zagrożenie. Czas oddać głos młodym, którzy mają liberalne poglądy i chcą bronić wolności. Dobrze, gdyby pojawili się też jako liderzy i stanęli na czele świeżych ruchów politycznych.

Ale co panu przychodzi do głowy, kiedy pan po prostu myśli o przyszłości?
– Generalnie uważam, że świat, pomijając te wielkie ekologiczne zagrożenia, które grożą tym, że będziemy wymierać... No ja po prostu kocham życie, kocham ten świat.

Żyłem w tak różnych sytuacjach i warunkach, że uważam, że zawsze można znaleźć tysiąc powodów, sposobów, żeby być szczęśliwym. I uważam, że osobiście żyję w szczęściu, mimo różnych irytacji. Na to szczęście składa się z kilka rzeczy. Po pierwsze, że robię tylko to, co chcę. Nikt mnie nie zmusi, żebym robił coś, czego nie chce albo mi się nie podoba, albo nie jest w świecie moich wartości.

Pracuję z ludźmi, których szanuję i z którymi się dobrze czuję – to świetni ludzie, którzy wiedzą z naszego wspólnego gadania i myślenia, co należy zrobić. Mam ich kilkanaścioro blisko siebie. I po trzecie, na wakacje jeżdżę z osobami, które podziwiam, od których mogę się czegoś nauczyć.

W ogóle uważam, że moja uprzywilejowana pozycja polega na tym, że mam dostęp do mądrych ludzi, z którymi mogę budować swój świat.

Ale mnie zależy na trochę dalszej i mniej osobistej perspektywie. Dlatego zapytałem pana o wnuki. Sam mam dzieci - i raczej pesymistyczną wizję przyszłości. Która bierze się przede wszystkim z tych klimatycznych prognoz. Później do tego dochodzi...
–...sztuczna inteligencja.

Właśnie.
– Która posprząta wiele.

Tak, w związku z czym nie mam na przykład pojęcia, co dzieciakom rekomendować w kwestii wykształcenia. A trzecia rzecz to właśnie ta zawierucha nazwijmy ją polityczno-religijno-wojenno-migracyjna...
–...no tak, ale gdyby żył pan na przykład w okresie po I wojnie światowej, to tych zagrożeń też wtedy było trochę.

Byłem dumny, że rodzice dali biżuterię na plan wspierania reform Balcerowicza. Bo była taka akcja: chodziło o wsparcie miejsc, które najbardziej ucierpiały na skutek transformacji

Zgadza się.
– Tam komuna, za chwilę Stalin, tu za chwilę Hitler.

Ale z czego tu czerpać pocieszenie?
– Nie, no po prostu świat jest taki.

Są ludzie, którzy swoje wartości czerpią z tego, ile mogą wyrwać, wyłudzić, dostać, podbić. Ich celem jest dyktatura albo jakaś przemoc.

I tak było zawsze.
– A druga część ludzi czerpie satysfakcję z tego, co może dać. Jeżeli pan sobie wymyśli świat, w którym może pan wiele dać, a wiele to znaczy na przykład trochę czasu komuś. To nie musi być kasa. Pocieszeniem może jest więc świadomość, że ten lepszy świat też istnieje. I te dwa światy ze sobą jakoś się przepychają. Zawsze tak było, nic nowego się nie dzieje.

Teraz kto zwycięży?

Właśnie?
– To zależy, po której stronie będzie świadomość rządzących. Bo co by nie mówić, oni mają spory wpływ na to, w jaką stronę to pójdzie.

I ja, jak tu rozmawiam z panem, to jednak z maleńką nadzieją, że ktoś to przeczyta. I być może wśród tych ludzi będą ci, którzy mają wpływ na to, co się dzieje.

I co pan by chciał, żeby przede wszystkim zrobili?
– Żeby zrozumieli, że żyjemy w świecie wojny informacyjnej i zaczęli społeczeństwo, Europę, chronić przed dezinformacją, która ma nas przekierować w pożądaną dla najeźdźcy stronę.

Bo dawniej wojny, te religijne, one były po to, żeby pan przestał być niewierzącym, a stał się wierzącym. I teraz jest podobnie, tylko ta wojna o pana poglądy dzieje się w sieci. Dziś już nie trzeba tego robić mieczem i krwią, tylko robi się to przez dezinformację.

Czyli po pierwsze: koniec z anonimowością. Nie umiesz się podpisać? Nie chcesz? Do widzenia! Oczyścić świat z tego zła. Są kraje, jak choćby Korea Południowa, gdzie to się już udało zrobić i przez jakiś czas funkcjonowało...

...w 2012 roku ich sąd konstytucyjny uznał, że tak jednak być nie może, bo to ogranicza wolność słowa, zniechęca do debaty.
– Tak, ale Korea wykorzystała swoje doświadczenia i dziś wystarczy skarga poszkodowanego w internetowej publikacji, aby władze znalazły autora ataku i w krótkim czasie ukarały.

Jeśli więc nie zakaz anonimowych wpisów, to skuteczna ochrona poszkodowanych, nieunikniona kara dla sprawców szkód i obelżywych wpisów.

Po drugie, należy stworzyć wiarygodne platformy informacyjne, autoryzowane przez tych, którzy mają wiedzę, chcą dążyć do prawdy.

Coś jeszcze?
– Niech pan nie prowokuje, bo jak Brzoska dostał taką możliwość, to zaproponował tysiąc deregulacji.

No to jeszcze jedną.
– Dziś jest tak, że połowa studentów w Polsce studiuje na własny koszt. Czyli płaci za studia. To studenci wszystkich uczelni niepublicznych, nazywanych prywatnymi. I też wszyscy studenci zaoczni w uczelniach publicznych. A druga połowa nie płaci za studia. Za te studia płacimy my wszyscy, bo za darmo to nic nie ma.

I jest też tak, że psychologia u nas, na USWPS kosztuje około 16 tys. zł rocznie, a na uczelni publicznej dwa, trzy razy drożej. Dlaczego? Bo system dotacji jest nieefektywny, rozrzutny.

Niezwykle ważne jest to, żeby usunąć patologię w zarządzaniu szkolnictwem wyższym.

Jak?
– Otóż wszystkim studentom trzeba dać kredyt studencki, który dostaje się w banku państwowym po zdaniu matury. Jest limit, w zależności od kierunku studiów pożycza się, ile potrzeba, i jak kończy się studia, to połowa jest umarzana. A resztę można spłacić w ciągu dziesięciu lat, przekazując na spłatę wypracowany w Polsce podatek dochodowy.

Czyli zamiast...
–...wpłacać podatek dochodowy do Urzędu Skarbowego, przekazywalibyśmy go na spłatę tego kredytu. Finansowanie studiów przy tym rozliczeniu szłoby z tej samej puli pieniędzy, co dzisiaj dotacje dla publicznych uczelnie.

Efekt będzie taki, że po pierwsze ludzie będą kończyć studia, a nie zapisywać się dla legitymacji i przywilejów. Po drugie, możliwość spłaty kredytu podatkiem zmniejszy emigrację absolwentów.

Wróćmy na chwilę do PRL-u, a w zasadzie do tego, jak pan był młody. Gdy myślał pan wtedy o przyszłości, to towarzyszyły temu raczej nadzieja, optymizm, czy co tam było?
– Żyję w przekonaniu, że nie ma takiej rury, której się nie da odetkać. To jest notabene powiedzenie, które Jerzy Stuhr wyśpiewał niegdyś w Opolu. I ja w to naprawdę wierzę. Nie ma sytuacji, z którą sobie nie poradzę.

Dlaczego? Bo przez całe lata żyjąc na prowincji, potem pracując w klubach studenckich, w teatrze, w kolejnych firmach, bardzo wiele się nauczyłem. I jak pan mnie zapyta, co jest ważne w edukacji, to powiem: umieć!

Nie wiedzieć, bo wiedza jest tu...

...czyli w telefonie?
– Tak, za pomocą kliknięcia może pan dziś dostać w zasadzie wszystko, co pan potrzebuje. A umieć coś: zrobić kawę, usmażyć mielone kotleciki, to wszystko daje panu co?

Co?
– Wolność.

Bo jak pan dużo umie, to pan nie musi o wszystko prosić. Tak więc uważam, że w edukacji są kluczowe umiejętności.

Sztuczna inteligencja jeszcze bardziej to popchnie w kierunku: warto umieć.

I to jest pana przesłanie dla wnuków?
– Tak, że muszą umieć robić konkretne rzeczy. I żeby potrafili funkcjonować we wspólnocie.

eprasa.pl a960e54702

ROŚLINY POMOGŁY MI PRZETRWAĆ

– Towarzysząc roślinom, dużo bardziej czujesz, na czym polega życie. Widzisz, że wcale nie ty jesteś najważniejszy na świecie.

Z DRAMATURGIEM **PAWŁEM SZTARBOWSKIM***
ROZMAWIA WOJCIECH SZOT



Dramaturg, dyrektor w teatrach i wykładowca akademicki nagle zaczyna zajmować się roślinami domowymi. Prowadzi na ten temat audycję, pisze książkę. Co się stało?
– Uspokoję cię – nic złego. Mamy błędne założenie, że człowiek powinien poświęcić życie tylko jednej dziedzinie. Od wielu lat pracuję w tak zwanym polu kultury i w pewnym momencie poczułem, że chciałbym mieć przestrzeń, w której mogę odpocząć od gęstych relacji międzyludzkich. Rośliny mnie fascynowały i coraz częściej wchodziły w mój świat. I tak to się potoczyło. Nie jestem profesjonalnym botanikiem, ale pasjonatem, który kilka lat spędził na zdobywaniu wiedzy i dzisiaj czuje, że może się nią podzielić z innymi.

Zajmowanie się roślinami to dla ciebie ucieczka?
– Myślę, że niektórzy z moich znajomych czy ludzi, którzy obserwowali to, co się w moim życiu zawodowym działo w ostatnim czasie, mogą to tak odbierać. Ja jednak myślę, że ta pasja ma inne podglebie. Naprawdę wydaje mi się, że we współczesnym świecie nie ma niczego równie ważnego jak zajmowanie się planetą jako pewną całością rozumianą dużo szerzej niż tylko problemy gatunku ludzkiego. I nie ma dziś niczego bardziej politycznego. Każde zwrócenie uwagi na przyrodę odsyła nas do pytań o przyszłość. A ta zależna jest od polityków.

Podobnie jak stanowiska w polskiej kulturze. W 2024 roku byłeś blisko zostania dyrektorem Instytutu Teatralnego. Jak pisał Witold Mrozek w „Wyborczej”, wygrałeś konkurs, miałeś znaczną przewagę głosów zarówno u komisji konkursowej, jak i w wewnętrznym głosowaniu pracowników Instytutu. Jednak ministra Hanna Wróblewska nie powołała cię na to stanowisko.
– Ministra kultury wystawiła do wiatru mnie, komisję konkursową, pracowników, ale też w jakiś sposób samą siebie, bo w trakcie zmieniła zasady procedury, którą przecież sama wymyśliła. To nie było dla mnie łatwe. Dobrze, że pytasz o to w kontekście roślin, bo między innymi to właśnie one pomogły mi wtedy przetrwać psychicznie. Zamiast iść do sądu i tracić energię na przepychanki, zacząłem wtedy pisać „Domowe królestwo roślin”.

Miłość do teatru przelałeś na rośliny?
– Zawodowo teatr wciąż jest dla mnie na pierwszym miejscu. Pracuję w Teatrze im. Jaracza w Łodzi i w Akademii Teatralnej w Warszawie. Zbieram materiały do biografii Krystiana Lupy. Myślę, że trzeba w życiu mieć kilka ścieżek, którymi się idzie. Dzisiaj wszyscy funkcjonujemy w bańkach społecznych i powinniśmy próbować je rozszczelniać.

Najpiękniejszy moment w relacji z roślinami przychodzi wtedy, gdy przestajesz je traktować jako element wystroju, a dostrzegasz w nich żywe istoty, od których możesz się czegoś nauczyć. Gdy pojawia się międzygatunkowa przyjaźń.

Towarzysząc roślinom, dużo bardziej czujesz, na czym polega życie. Obserwujesz wzrost, nieustanną walkę o przetrwanie, o wydanie nowego liścia, pędu, o każdy nowy kwiat. Widzisz, że wcale nie ty jesteś najważniejszy na świecie.

To twoje doświadczenie?
– Gdy zacząłem czytać o świecie roślin, zachwyciły mnie sposoby ich funkcjonowania, często niecentralistyczne, pozbawione hierarchii.

Praca w kulturze jest przede wszystkim pracą z ludźmi, przyglądaniem się człowiekowi, jego psychice, umiejętnościom, talentom, relacjom. Dopiero w ostatnich dekadach zaczęliśmy trochę rozszczelniać tę budowaną przez wieki antropocentryczną perspektywę. Coraz silniej dociera do nas, że ustawianie człowieka i jego potrzeb w centrum wszechświata prowadzi nas do katastrofy. Dotarliśmy do miejsca, w którym coraz wyraźniej widzimy, że jeśli nie nauczymy się współpracować z innymi organizmami, chronić je, to czeka nas zagłada.

Rośliny domowe uchronią nas przed zagładą?
– Może? Szacuje się, że do 2050 r. 70 proc. ludzkości będzie mieszkało w miastach. Rośliny domowe dla wielu mogą być jedynym kontaktem z przyrodą. Żyjemy obecnie w multikryzysie, z którego nie wiemy, jak się wydostać. Może opieka nad roślinami nie uchroni nas przed każdą katastrofą, ale na pewno może sprawić, że staniemy się bardziej wrażliwi na innych.

Podczas pandemii koronawirusa wiele osób odkryło, jak ważny jest dla nich kontakt z roślinami. Pewnie wszyscy pamiętamy, jak wielkie oburzenie wzbudził zakaz wychodzenia na spacery do parków. Mnóstwo osób postanowiło ukwiecić swoje balkony czy wprowadzić rośliny do mieszkań. Kwiaciarnie internetowe przeżywały oblężenie. Myślę, że gdyby nie pandemia, nie byłoby dziś tak silnego ruchu, jakim jest rozbetonowywanie przestrzeni publicznej.

Niezwykłe wrażenie zrobiła na mnie książka wybitnego włoskiego botanika Stefano Mancuso, „Naród roślin. Manifest zielonego supermocarstwa”. Zdaniem Mancuso naszym celem powinno być zazielenianie niemal całej przestrzeni, w której żyjemy, a wycinka drzew powinna być uznana za zbrodnię przeciwko ludzkości. Mancuso apeluje do ludzi kultury, by tworzyli opowieści, narracje związane z roślinami, bo to królestwo zostało zaniedbane przez całe wieki.

Jak teatr może opowiadać o roślinach?
– To wyjątkowo trudne, bo już sama konstrukcja współczesnej sali teatralnej, w której nie ma okien, sprawia, że rośliny raczej tu giną niż się rozwijają. Una Chaudhuri, amerykańska badaczka teatru, w eseju „The Fifth Wall: Climate Change Dramaturgy” zauważa, że obok trzech ścian teatru i czwartej, którą stanowi publiczność, istnieje też piąta ściana – to, co znajduje się ponad przestrzenią widowni i sceny. Teatr przyzwyczaił nas do przekraczania czwartej ściany i budowania relacji między aktorami a widzami. Może więc czas skierować uwagę na tę piątą ścianę, patrzeć do góry i podejmować problemy, z którymi mierzy się nasza planeta. Szukanie języka dla takiej opowieści to obecnie najważniejsze zadanie.

Pracujesz w Teatrze im. Jaracza w Łodzi. Jakie masz tam rośliny?
– W gabinecie mam bardzo ładną paprotkę. Do tego mam dwa epipremna, kliwię i wilczomlecz. Zajmują cały parapet. Kliwia za chwilę zakwitnie.

Jak zajmowanie się roślinami wpłynęło na twoją praktykę zawodową?
– Kontakt z fragmentem świata, którego do tej pory nie dostrzegałeś, zawsze wpływa na twoje postrzeganie rzeczywistości. Dzisiaj na pewno częściej zastanawiam się nad tym, czy możemy trochę inaczej opowiadać świat.

Niedawno wpadliśmy w teatrze na pomysł, żeby zmienić trochę wygląd naszego foyer. To wysokie, przeszklone i puste pomieszczenie zostanie wypełnione roślinami. Powstał w ten sposób projekt „Teatr, który rośnie”.

Akurat reżyser, z którym najczęściej pracuję, czyli Paweł Łysak, jest bardzo wrażliwy na te tematy. Razem zrobiliśmy kilka lat temu w warszawskim Teatrze Powszechnym piękny spektakl o odpowiedzialności za katastrofę klimatyczną „Jak ocalić świat na małej

eprasa.pl a960e54702



• **„Moją największą pasją jest ratowanie roślin. Takich przecenionych w supermarkecie, zostawionych przy śmietniku. Tu ryzyko niepowodzenia jest spore. Ale jaka satysfakcja, gdy się uda!”**
FOT. PIOTR ANTONÓW, AGATA SKWARCZYŃSKA

scenie?”. Innym przykładem jest przygotowana w Teatrze im. Jaracza niedawna adaptacja „Internatu” Serhija Żadana, w której pojawiła się scena, której narratorami są psy. Żadan był na premierze i bardzo chwalił ten pomysł.

W literaturze mamy do czynienia z niezliczonymi już próbami opowiadania przy pomocy nieludzkich narratorów czy bohaterów. Czasem wydaje mi się to tylko zabiegiem pod publiczkę, bo przecież to zawsze jest nasza projekcja tej innej perspektywy.
– Radykalne odrzucenie antropocentryzmu jest moim zdaniem niemożliwe i przeciwskuteczne. Cenniejsze wydaje mi się tworzenie takich opowieści, które będą czułe na istnienie innych światów niż ludzki. Przyglądanie się roślinom w domu może być początkiem budowania takich mostów między nami a innymi istotami.

Wyobraźmy sobie kogoś, kto nigdy nie miał roślin w domu, a chciałby spróbować. Od czego zacząć?
– Nie będę oryginalny – od epipremnum i sansewierii, ewentualnie też od znanej z „Leona zawodowca” aglaonemy. To „żelazne” rośliny, co wcale nie oznacza, że nie trzeba umieć się nimi opiekować. Owszem, przeżyją niemal w każdych warunkach, ale to żywe organizmy i skoro umieszczamy je w domu, to należy im się nasza uwaga. Sam zaczynałem właśnie od tego rodzaju roślin, dlatego pisząc „Domowe królestwo roślin” dużo myślałem o początkujących.

Ile roślin „zamordowałeś”?
– Zdarzyło się. Jednak moją największą pasją jest ratowanie roślin. Takich z „półek śmierci” – przecenionych w supermarkecie, pozostawionych przy śmietniku. Tu ryzyko niepowodzenia jest spore. Ale za to jaka satysfakcja, gdy się uda!

Co się z taką rośliną robi?
– Przynosi do domu. Jeśli jest przemoczona, trzeba wyjąć z doniczki i owinąć gazetą, żeby odsączyć z podłoża jak najwięcej wilgoci. Później oczyszcza się wszystkie uschnięte czy zgniłe elementy. Następnie wyciąga się ją z podłoża, żeby zobaczyć, w jakim stanie są korzenie. Nadgniłe trzeba usunąć i ocenić, czy roślina ma ich jeszcze wystarczająco, czy też trzeba pomóc jej się ukorzenić. Jeśli jest ich wystarczająco, to przesadzamy do nowego podłoża. Korzenie to kluczowa część rośliny, rodzaj jej „centrum dowodzenia”.

Przesadzanie zawsze mnie stresuje.
– Gdy kupujemy rośliny i nie chcemy się tym zajmować, warto sprawdzić, bo niektóre kwiaciarnie oferują przesadzanie do właściwego podłoża. Warto jednak zdobyć trochę wiedzy na temat kupionej rośliny, bo przecież chcemy, żeby nam towarzyszyła przez kolejne lata. I może nie warto unikać przesadzania, bo praca z ziemią bardzo dobrze działa na mózg, uruchamia coś w rodzaju pierwotnego instynktu, który daje ukojenie naszym nerwom.

Co jest dla ciebie miarą sukcesu w zajmowaniu się roślinami?
– Poczucie, że jestem w stanie zrozumieć potrzeby jakiejś rośliny. To zabrzmi może zbyt górnolotnie, ale czasem potrafię wyczuć, co się dzieje z daną rośliną i jak można jej pomóc. Na pewno też jakimś rodzajem sukcesu jest to, że od kilku lat prowadzę w Trójce audycję radiową poświęconą roślinom, która znalazła swoich słuchaczy.

Czego się nauczyłeś z tych rozmów?
– Mnóstwa rzeczy, ale najcenniejsze było chyba uświadomienie sobie, jak niewiele wciąż wiemy o roślinach. Niemal cały czas pojawiają się badania, które przemeblowują naszą wiedzę na ich temat. W ostatnim czasie dowiedzieliśmy się choćby o tym, że rośliny potrafią wydawać ultradźwięki, które – zależnie od potrzeb – przyciągają lub odstraszają owady.

To zabrzmi może zbyt górnolotnie, ale czasem potrafię wyczuć, co się dzieje z rośliną i jak można jej pomóc



„Domowe królestwo roślin”
Paweł Sztarbowski
Wytwórnia
Warszawa

Powiedzmy, że ktoś nie ma w domu roślin, ale chciałby spróbować. Wiemy już jakie rośliny kupić, ale od czego zacząć myślenie o nich?
– Od odpowiedzi na pytanie: czy mamy okno, przez które przez kilka godzin dziennie wpada do domu światło. Jeśli nie mamy, będziemy musieli posiłkować się specjalistycznymi lampami. Warto wiedzieć, z której strony świata to okno się znajduje i ile światła wpada do naszego mieszkania.

Roślina potrzebuje trzech podstawowych rzeczy: światła, podłoża i nawodnienia. Z tym ostatnim trzeba być ostrożnym. Bardzo często wydaje nam się, że rośliny trzeba przede wszystkim podlewać. Wbrew pozorom rośliny w mieszkaniach częściej giną od przelania niż od tego, że ktoś zapomniał je podlać. Jeśli ktoś nie może się jednak powstrzymać przed bieganiem z konewką po mieszkaniu, powinien kupić sobie paproć. Trzeba się bardzo postarać, żeby ją przelać. Choć oczywiście też nie są to rośliny bagienne.

Rośliny stały się w ostatnim czasie kwestią statusu i mody. Był moment, że co drugi mój znajomy miał w domu ten sam krzak.
– Moda na rośliny ma dobre i złe strony. Dobra to taka, że zachęceni przez ładne zdjęcia na profilu znajomych sami możemy odkryć w sobie pasję do roślin. Jak się zaprzyjaźnimy z jedną rośliną, to z pewnością będziemy chętni do poznania innej.

A zła strona?
– Każda dziedzina ludzkiej aktywności staje się częścią wielkiego, bardzo wyrachowanego biznesu. Większość roślin, które oferuje się nam jako egzotyczne, to rośliny hodowlane. Często tak zmodyfikowane, że nie poradziłyby sobie w „prawdziwej” dżungli. Hodowcy podsuwają nam rośliny o niezwykłych kształtach i kolorach, które kosztują nawet kilkanaście tysięcy złotych. Oczywiście osoby z doświadczeniem będą umiały z nimi pracować, ale większość z nas nie jest w stanie przekształcić mieszkania w szklarnię z odpowiednią wilgocią i oświetleniem. Można wydać bardzo dużo, a po miesiącu-dwóch mieć w domu umierającą roślinę.

Warto docenić rośliny, które są w mieszkaniach od wieków. Akurat ja jestem filodendroniarzem, co oznacza, że uwielbiam filodendrony, różnorodność ich liści, wolę życia. Dobre na początek są też wspomniane już aglaonemy. No i oczywiście storczyki, szczególnie popularne falenopsisy są dość proste w pielęgnacji. ●

***Paweł Sztarbowski**

• Dramaturg, teatrolog, doktor nauk humanistycznych. Był zastępcą dyrektora w Teatrze Polskim w Bydgoszczy i Teatrze Powszechnym w Warszawie. Obecnie związany m.in. z Teatrem Jaracza w Łodzi i z Akademią Teatralną w Warszawie. Prowadzi audycję „Królestwo Roślin” w Trójce.

eprasa.pl a960e54702

MAMY KRZEM, BRAKUJE DOLINY



Prawa fizyki są takie same w Chinach, Stanach Zjednoczonych i Holandii. Dlaczego tylko nieduży europejski kraj potrafi zbudować maszyny, bez których cyfrowy świat by się zatrzymał.

Z **PETEREM WENNINKIEM*** ROZMAWIA **PIOTR CIEŚLIŃSKI**

Co sprawiło, że firma ASML, którą pan kierował przez wiele lat, jest tak wyjątkowa? Tylko wy produkujecie maszyny do wytwarzania najbardziej zaawansowanych procesorów i innych układów scalonych. Dlaczego nikt na świecie, nawet w Stanach Zjednoczonych czy Chinach, nie potrafi z nią skutecznie konkurować?
– Rzeczywiście, prawa fizyki są przecież takie same w Chinach, Stanach Zjednoczonych i Holandii. A jednak to właśnie nam udało się stworzyć technologię, której nikt inny na świecie nie potrafi dorównać.

Moim zdaniem najważniejszym powodem jest to, że stworzyliśmy cały ekosystem współpracy, którego uczestnicy mają jasno określony wspólny cel. W naszym przypadku tym celem był rozwój przemysłu półprzewodnikowego zgodnie z prawem Moore'a.

Chodziło o to, by co dwa, trzy lata pojawiała się kolejna generacja coraz wydajniejszych układów scalonych, mieszczących coraz więcej tranzystorów. To niezwykle złożone zadanie, wymagające wielu różnych kompetencji.

ASML jest przede wszystkim architektem i integratorem całego systemu. Nie wytwarzamy samodzielnie wszystkich części naszych maszyn. Korzystamy z ekosystemu dostawców, z których każdy dysponuje specjalistyczną wiedzą i umiejętnościami. Łączymy te kompetencje i dzięki temu powstaje coś, czego żaden z uczestników nie byłby w stanie osiągnąć samodzielnie.

Tylko tyle?
– Podstawą naszego modelu jest współpraca oparta na wzajemnym zobowiązaniu, że będziemy sprawiedliwie dzielić się zarówno ryzykiem, jak i korzyściami z tego, co wspólnie osiągniemy. Jeżeli uda nam się opracować kolejną generację technologii i stworzyć dzięki temu wartość, wszyscy powinni mieć w tym swój udział.

To bardzo europejski, a powiedziałbym nawet, że charakterystyczny dla północno-zachodniej Europy sposób myślenia. Nie znajdzie pan takiego samego modelu ani w Chinach, ani w Stanach Zjednoczonych.

W Ameryce, kiedy współpracuje się z innymi, trzeba bardzo uważać, żeby ktoś nie zagarnął dla siebie większości zysków. My postawiliśmy na inny model, którego fundamentami są kompetencje, przejrzystość i wiarygodność. Każdy musi być w czymś naprawdę dobry i dotrzymywać zobowiązań. Jeżeli obiecuje, że coś zrobi, musi to wykonać. Ale najważniejsze jest sprawiedliwe dzielenie się ryzykiem i zyskami. To kwestia kultury współpracy.

Nasi japońscy konkurenci stosowali inny model, oparty na integracji pionowej. Próbowali robić wszystko sami. My uznaliśmy, że nie ma sensu samodzielnie robić czegoś, co inni potrafią wykonać lepiej. Dzięki połączeniu ich umiejętności mogliśmy osiągnąć efekt synergii.

To niemal cud, że nikt inny na świecie nie potrafi zrobić tego samego.
– Nie możemy zakładać, że ta przewaga będzie trwała wiecznie. Technologie rozwijają się coraz szybciej, wszystko przyspiesza.

To jednak pewien paradoks. Skoro jest to tak bardzo europejski sposób współpracy, dlaczego w Europie nie ma więcej firm takich jak ASML?
– Ponieważ w ASML naprawdę wierzyliśmy w ten model. Wierzyliśmy, że dzięki współpracy można stworzyć większą wartość, jeżeli nie próbuje się zagarnąć wszystkiego dla siebie, lecz pozostawia się odpowiednią część korzyści innym.

Proszę pomyśleć: dlaczego miałby pan ze mną współpracować, gdybym wszystkie zyski chciał zatrzymać dla siebie? Nie miałby pan żadnego powodu. Współpraca wymaga zaufania. Kiedy uda się je zbudować, wiedza zaczyna się pomnażać w niezwykłym tempie. Pan wie coś, czego ja nie wiem, a ja wiem coś, czego pan nie wie. Kiedy połączymy nasze kompetencje, uzyskamy więcej niż zwykłą sumę tego, co każdy z nas potrafi osobno.

Jeden plus jeden daje wtedy trzy. Na tym polega siła naszego modelu.

Mówi pan, że to europejski model, ale przecież nie radzimy sobie z tworzeniem wielkich firm technologicznych. Przegrywamy z USA i Chinami.
– Ponieważ nie stworzyliśmy odpowiednich warunków do rozwoju innowacji. Mamy za dużo regulacji. Powiem nawet, że nasze otoczenie prawne skutecznie hamuje innowacyjność.



Które przepisy ma pan konkretnie na myśli?
– Wskazałbym trzy obszary.

Pierwszy to europejskie zasady pomocy publicznej. Powstały w czasach, kiedy dominowało przekonanie, że państwo powinno jak najmniej ingerować w gospodarkę. Tymczasem dziś na całym świecie rządy wspierają strategiczne technologie. Europa nie może zachowywać się tak, jakbyśmy nadal żyli w tamtej epoce.

Drugi problem to prawo konkurencji. Jeśli chcemy rywalizować z Chinami i Stanami Zjednoczonymi, europejskie firmy muszą mieć możliwość łączenia kompetencji i osiągania odpowiedniej skali. Nie możemy z góry blokować każdej konsolidacji tylko dlatego, że prowadzi do powstania większego przedsiębiorstwa.

I trzecia rzecz: regulacje rynku finansowego. W Europie mamy ogromne zasoby kapitału, między innymi w funduszach emerytalnych, ale stworzyliśmy tak wąskie ramy inwestowania, że bardzo trudno finansować z tych pieniędzy ryzykowne przedsięwzięcia technologiczne. Jeżeli chcemy innowacji, musimy pozwolić inwestorom podejmować świadome ryzyko.

Rolą państwa powinno być tworzenie warunków sprzyjających rozwojowi, a nie zarządzanie nim. Rząd ma ułatwiać działanie przedsiębiorstwom, naukowcom i innym uczestnikom tego procesu.

W Holandii udało się nam doprowadzić do takiej współpracy. ASML buduje właśnie kolejny wielki ośrodek, w którym docelowo może znaleźć się miejsce pracy nawet dla 20 tysięcy osób. To ogromne przedsięwzięcie.

Przedstawiciele władz, przedsiębiorstw i instytucji naukowych wspólnie zastanawiają się, czego potrzeba, by umożliwić kolejny etap rozwoju. Jeżeli przepisy utrudniają realizację tego celu, trzeba je odpowiednio zmieniać.

***Peter Wennink**

• Ma 69 lat. Jest przewodniczącym rady nadzorczej Heinekena i doradcą ekonomicznym rządu Holandii – przez ponad dekadę kierował tym gigantem technologicznym. Rozmawiałem z nim w Brukseli podczas jubileuszu 30-lecia programu Marii Skłodowskiej-Curie, jednego z najważniejszych europejskich programów wspierających mobilność i kariery młodych naukowców.

eprasa.pl a960e54702



• Król i krolowa Holandii oglądają maszynę holenderskiej firmy ASML w centrum badawczym NY Creates (zajmuje się technologiami półprzewodnikowymi) podczas swojej wizyty w Albany w stanie Nowy Jork w USA (12.06. 2024 r.)

FOT. FOT. PATRICK VAN KATWIJK / ANP / AFP

Tranzystory w nanometrach? Potrzymaj mi chodaki

• ASML to holenderska firma produkująca maszyny do litografii półprzewodnikowej, czyli urządzenia, które za pomocą światła nanoszą niezwykle drobne wzory obwodów elektronicznych na krzemowe płytki. To jeden z kluczowych etapów produkcji procesorów i innych układów scalonych. ASML nie produkuje więc samych chipów, lecz dostarcza sprzęt, bez którego ich producenci nie mogliby wytwarzać najbardziej zaawansowanych układów.

Jej wyjątkowa pozycja bierze się przede wszystkim z technologii EUV, czyli litografii w ekstremalnym ultrafiolecie. Pozwala ona tworzyć na chipach struktury o rozmiarach liczonych w nanometrach i upakować na nich coraz więcej tranzystorów.

ASML jest jedyną firmą na świecie produkującą takie systemy do masowej produkcji najbardziej zaawansowanych półprzewodników. Dlatego jej maszyny stały się jednym z najważniejszych wąskich gardeł światowego przemysłu technologicznego. Firma powstała w 1984 r. jako wspólne przedsięwzięcie Philipsa i ASM International. Dziś zatrudnia ponad 44 tys. osób, a w 2025 r. osiągnęła 32,7 mld euro przychodów.

Co konkretnie powinny zrobić rządy?
– Przede wszystkim zadbać o infrastrukturę. Czy mamy odpowiednią infrastrukturę energetyczną? To jedna z najważniejszych kwestii. Czy dysponujemy infrastrukturą cyfrową i wystarczającymi zasobami obliczeniowymi? W Europie jesteśmy pod tym względem bardzo zależni od reszty świata.

Druga sprawa to ludzie. Musimy rozwijać talenty, wspierać kreatywność, inwestować w szkoły, uniwersytety i instytucje naukowe, a jednocześnie lepiej łączyć je z biznesem.

Trzecia kwestia to przepisy, które trzeba uprościć i dostosować do potrzeb innowacyjnej gospodarki.

I wreszcie potrzebujemy rynku kapitałowego, który zapewni finansowanie przedsięwzięć technologicznych.

Jeżeli państwo stworzy odpowiednie warunki, inwestycje zaczną napływać. Proszę spojrzeć na Szwajcarię, Singapur czy Chiny. Tam władze starają się ułatwiać rozwój, zamiast próbować nim zarządzać.

Tymczasem w Europie zajmujemy się na przykład regulowaniem sztucznej inteligencji. I słusznie, ale jeszcze nie stworzyliśmy własnego wielkiego modelu językowego, który mógłby konkurować z amerykańskimi, a już próbujemy regulować tę technologię.
– Nie ma niczego magicznego w wielkich modelach językowych. We Francji mamy przecież Mistrala. W Europie dysponujemy wiedzą i kompetencjami, które są potrzebne do budowania takich systemów. Problem nie polega na tym, że czegoś nie potrafimy. Polega na tym, że warunki prowadzenia działalności w Europie są mniej korzystne niż w Stanach Zjednoczonych czy Azji. Nie pozwalamy własnym przedsiębiorstwom rozkwitać i się rozwijać.

Właśnie tutaj państwo powinno odgrywać rolę wspierającą.

Innowacyjność z definicji wiąże się z ryzykiem. Jeśli opracowuje pan coś nowego, to znaczy, że nie wie pan dokładnie, jak osiągnąć zamierzony rezultat. Gdyby pan wiedział, nie byłaby to innowacja

Jednocześnie musimy zachować ostrożność, kiedy rozmawiamy o regulowaniu sztucznej inteligencji. Nie twierdzę, że regulacje są niepotrzebne. Oczywiście musimy chronić społeczeństwo przed zagrożeniami związanymi z nowymi technologiami. Takie obawy pojawiają się zresztą na całym świecie, również w Stanach Zjednoczonych.

Trzeba tylko uważać, by przepisy, które mają nas chronić, nie blokowały innowacji.

Jak znaleźć równowagę?
– Musimy zaakceptować fakt, że innowacyjność z definicji wiąże się z ryzykiem.

Jeśli opracowuje pan coś nowego, to znaczy, że nie wie pan dokładnie, jak osiągnąć zamierzony rezultat. Gdyby pan wiedział, nie byłaby to innowacja. Po prostu powtórzyłby pan coś, co już wcześniej zostało zrobione. A skoro nie wiemy, jak osiągnąć cel, musimy eksperymentować i podejmować ryzyko.

W Europie mamy z tym problem. Nasze prawodawstwo w szczególności niechętnie dopuszcza ryzyko. Potrzebujemy przepisów, które pozostawiają więcej swobody, ale jednocześnie wymagają przejrzystości. Musimy wiedzieć, co się dzieje, i odpowiednio szybko reagować, jeżeli coś zaczyna iść nie tak.

O sukcesie innowacyjnego przedsiębiorstwa decyduje między innymi szybkość, z jaką potrafi rozpoznać własny błąd i zmienić kierunek działania Można więc wyznaczyć pewne granice, ale pozostawić innowatorom przestrzeń do eksperymentowania. Jeśli przekroczą te granice, powinni móc skorygować kurs. Najważniejsze, żeby rozumieli, co robią, i mieli kontrolę nad całym procesem.

Łatwo powiedzieć, ale znacznie trudniej to wprowadzić w życie.
– Uda się to tylko wtedy, kiedy przy jednym stole usiądą przedstawiciele biznesu, instytucji naukowych i władz, a każdy będzie rozumiał swoją rolę.

Rolą państwa jest tworzenie odpowiednich warunków. Rolą instytucji naukowych jest kreatywność, poszukiwanie nowych rozwiązań, a czasem także podważanie dotychczasowych sposobów myślenia. Rolą biznesu jest współpraca z naukowcami i przekształcanie ich pomysłów w rozwiązania, które przynoszą korzyści społeczeństwu, konsumentom i klientom. Trzeba połączyć te trzy środowiska i wyznaczyć im jeden wspólny, jasno określony cel. Wszyscy muszą wiedzieć, co chcą razem osiągnąć.

Na jakie technologie Europa powinna przede wszystkim postawić?
– Na energetykę. Europa nie ma dużych zasobów surowców naturalnych. Nie dysponujemy znaczącymi rezerwami paliw kopalnych, z wyjątkiem Norwegii, która przecież nie jest w stanie zaspokoić potrzeb całego kontynentu.

Dlatego musimy zdecydowanie postawić na innowacje w energetyce, w tym na odnawialne źródła energii.

Co jest tutaj największym wyzwaniem?
– Musimy spojrzeć na energetykę jako na cały system.

Zacznijmy od wytwarzania energii. Jak chcemy ją produkować? Możemy wykorzystywać wiatr, słońce i energię jądrową. Ale musimy również myśleć o produkcji paliw i innych nośników energii.

Potem pojawia się kwestia magazynowania. Jeśli będziemy coraz bardziej polegać na źródłach odnawialnych, podaż energii będzie się zmieniać w zależności od pogody. Potrzebujemy więc nowych technologii jej przechowywania. Właśnie dlatego tak ważne są uniwersytety i badania naukowe. To one powinny pomóc znaleźć nowe rozwiązania.

Następny problem to dystrybucja energii. Europejskie sieci nie są jeszcze przystosowane do powszechnej elektryfikacji gospodarki.

Na końcu musimy przyjrzeć się odbiorcom. Gdzie zużywa się najwięcej energii? Jakie potrzeby mają zakłady przemysłowe, zwłaszcza tak energochłonne gałęzie gospodarki, jak przemysł chemiczny czy hutnictwo?

Wszystkie te elementy trzeba ze sobą połączyć: produkcję, magazynowanie, przesyłanie i zużywanie energii.

Musimy też uwzględnić bezpieczeństwo. Czy nasz system energetyczny będzie podatny na ataki? Czy powinniśmy skupiać wszystkie źródła energii w kilku miejscach, czy raczej stworzyć system bardziej rozproszony, a przez to mniej wrażliwy na zagrożenia?

To nie są problemy, które każde państwo może rozwiązać samodzielnie. Potrzebujemy wspólnego europejskiego planu, który powinien powstać tutaj, w Brukseli. Energia przepływa przecież przez granice. Energia to absolutny priorytet, ponieważ bez energii nie uda nam się zrealizować żadnego z naszych pozostałych celów.

Jakie są te inne cele?
– Technologie cyfrowe – mam na myśli półprzewodniki, fotonikę, technologie kwantowe i sztuczną inteligencję. Dysponujemy niezbęd-

eprasa.pl a960e54702

ną wiedzą i możemy w tych dziedzinach skutecznie konkurować.

Kolejnym obszarem są nauki o życiu, w tym biotechnologia. Przemawiają za tym między innymi zmiany demograficzne. Nasze społeczeństwa starzeją się szybciej, niż przybywa młodych ludzi. To oznacza, że będziemy potrzebować coraz więcej opieki medycznej i nowych rozwiązań dla ochrony zdrowia. Dlatego biotechnologia i technologie medyczne są tak ważne.

Właśnie to doradza pan holenderskiemu rządowi? Przygotował pan dla niego obszerny raport dotyczący przyszłości gospodarki.

– To duży raport, liczący około 160 stron, ale jego najważniejszą częścią jest konkretny plan działania. Zebraliśmy 51 projektów dotyczących czterech strategicznych dziedzin: technologii cyfrowych, nauk o życiu, energii i klimatu oraz bezpieczeństwa. To ambitne przedsięwzięcia, w których realizację mają się zaangażować konsorcja łączące przedsiębiorstwa, instytucje naukowe i inne zainteresowane podmioty, przy wsparciu państwa. Wszystkie te projekty wymagają współpracy.

Dlaczego jeszcze nie zostały zrealizowane? Ponieważ chociaż dysponujemy odpowiednimi talentami, nie mamy wystarczającej infrastruktury, przepisy nas ograniczają i brakuje pieniędzy. Wracamy więc do problemów, o których wcześniej rozmawialiśmy. W każdym projekcie trzeba osobno zidentyfikować przeszkody i znaleźć sposób, by je pokonać. Jeżeli spośród tych 51 przedsięwzięć uda nam się zrealizować choćby dziesięć czy dwadzieścia, już osiągniemy bardzo wiele. I nie chodzi wyłącznie o bezpośrednie rezultaty. Nauczymy się również lepiej ze sobą współpracować, co zaprocentuje w innych dziedzinach. To bezpośrednia nauka płynąca z ASML.

Patrzymy na niskie ceny i mówimy, że to nieuczciwa konkurencja. Częściowo wynika ona z dotacji, ale w dużej mierze także z tego, że Chińczycy są od nas lepsi w tym, co robią

Zastanawiam się, czy czegoś podobnego do pańskiego raportu nie potrzebuje Polska.

– Jestem absolutnie przekonany, że Polska ma własne atuty gospodarcze i naukowe, które są istotne w dziedzinach, o których rozmawialiśmy. Powinniście się na nich skoncentrować i rozwijać je tak, aby stały się ważne dla reszty Europy, a także dla całego świata. Każdy kraj może to zrobić na swoim poziomie. Nie musi być dobry we wszystkim. Powinien rozpoznać swoje mocne strony, skoncentrować na nich wysiłki i zbudować wokół nich odpowiednie kompetencje. Musimy też pamiętać, że wszystkie te zmiany będą nas kosztować. Każdy będzie musiał wnieść swój wkład, choć silniejsi powinni zapłacić trochę więcej. Musimy wzajemnie się wspierać. Silna Polska jest niezwykle ważna dla silnej Europy, która chce zachować znaczenie w świecie.

Niby wszystko jest jasne, jest diagnoza, niemal gotowe recepty, ale wciąż trudno je nam wdrożyć w Europie.

– Wierzę, że presja na zmiany stała się na tyle silna, że wreszcie zaczniemy działać.

Z wykształcenia jest księgowym. Gdy jako młody dyrektor finansowy ASML dyskutowałem z zatrudnionymi w firmie fizykami i matematykami, lubiłem powtarzać, że pod wpływem ciśnienia wszystko staje się płynne. Fizycy natychmiast mnie poprawiali, przypominając, że nie jest to uniwersalne prawo przyrody, wszystko zależy od warunków.

Nie zamierzam się spierać, ale moim zdaniem świat znalazł się właśnie w sytuacji, w której ciśnienie jest na tyle silne, że może wreszcie przełamać dotychczasowy bezwład w Europie. Mam wrażenie, że właśnie osiągnęliśmy taki moment.

Być może nie wszyscy politycy zdają sobie jeszcze z tego sprawę. Myślę, że w Polsce odczuwacie tę presję mocniej niż w Holandii. I macie ku temu powody.

Ciągle się mówi o tym, jak bardzo zagrażają nam Chiny. Powinniśmy się ich obawiać?

– Powinniśmy z nimi konkurować. Przez długi czas żyliśmy w samozadowoleniu. Lubię zwięzłe *fat, dumb and happy* – byliśmy syci, leniwi i przekonani, że wszystko jest w porządku. Sądzę, że dotyczy to całej Europy. W tym czasie Chiny stopniowo stały się światowym mocarstwem, które w wielu dziedzinach dysponuje już technologiami lepszymi od naszych. Musimy więc szybciej wprowadzać innowacje.

Zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych coraz częściej słychać głosy, że należy ograniczać sprzedaż najbardziej zaawansowanych technologii do Chin.

– Chiny mają duży problem. Ich rynek wewnętrzny nie rośnie wystarczająco szybko, dlatego muszą sprzedawać swoje produkty za granicą, nawet jeżeli wymaga to subsydiowania produkcji albo obniżania cen.

Ale proszę zauważyć, że nie wszystko, co Chińczycy sprzedają nam taniej, zawdzięczają państwowym dotacjom. Często są po prostu bardziej wydajni.

Dlaczego produkują taniej? Ponieważ są sprytniejsi, ciężej pracują i szybciej wprowadzają innowacje. A kiedy jest się bardziej produktywnym, można sprzedawać taniej. My natomiast patrzymy na niskie ceny i od razu mówimy, że to nieuczciwa konkurencja. Owszem, częściowo wynika ona z dotacji, ale w dużej mierze także z tego, że Chińczycy są po prostu od nas lepsi w tym, co robią.

Przecież my również możemy stać się bardziej produktywni.

A zatem nie powinniśmy ograniczać chińskiego importu?

– Nie! Absolutnie musimy chronić własny przemysł i miejsca pracy. Jeśli Chiny zaczną zalewać Europę swoimi produktami, może to zagrozić milionom miejsc pracy. Nie możemy na to pozwolić.

Chińczycy powinni sami ograniczyć nadmierny eksport, a jeżeli tego nie zrobią, będziemy musieli zastosować środki ochronne, takie jak kontyngenty importowe czy cła. Musimy chronić najważniejsze gałęzie europejskiego przemysłu.

Ale też nie możemy tworzyć systemu, w którym ochrona przed konkurencją stanie się trwałym usprawiedliwieniem naszej nieefektywności. Proszę pamiętać, że znaleźliśmy się w tej sytuacji również dlatego, że przez lata byliśmy zbyt leniwi. Dlatego takie środki powinny obowiązywać przez stosunkowo krótki czas. Maksymalnie pięć lat. Potem należy je znieść. Chodzi o to, żeby dać europejskim przedsiębiorstwom, instytucjom naukowym i rządom czas na uporządkowanie własnych spraw i przyspieszenie innowacji.

Nie mam nic przeciwko ochronie europejskich miejsc pracy i przemysłu. Ale jednocześnie europejski przemysł potrzebuje porządnego kopniaka. Powinniśmy mu powiedzieć: macie pięć lat, żeby wziąć się do roboty. ●

Kraj/34455158



1 RP

eprasa.pl a960e54702

POLECA

PRZEMYCHNIĘTA

ADA

Anderman
Z DOPŁYWAMI



Realizm od absurdu dzieli jeden krok. Można z kimś pić wódkę w barze i widzieć wokół postaci jakby wyjęte z międzyplanetarnej knajpy w „Gwiezdnych wojnach". Jak autor „Fotografii"

Tadeusz Nyczek*

Muszę od tego zacząć, bo wszystko, co potem napiszę, bez tego początku może brzmieć fałszywie. Otóż wyszło mi, że Janusza Andermana znam jakieś 54 lata, a może 55; nie pamiętam, czy poznaliśmy się w 1971 czy 1972 roku, zresztą co za różnica.

Przez taki szmat czasu wiele znajomości czy nawet przyjaźni zdążyło się rozlecieć, często bezpowrotnie, a my z Andermanem jakoś się trzymamy. To tak na wypadek gdyby ktoś pytał, jak tak wiekowe kumpelstwo może wpływać na relacje autor – krytyk. Cóż, może. Po prostu znam Andermana i jego pisarstwo jak przysłowiowy zły szeląg, choć w tym przypadku szeląg jest akurat dobry, wielokroć sprawdzony.

Świat jego prozy to w dużej mierze był (i jest) także i mój świat. Nie tylko dlatego, że dzielą nas trzy lata w kwestii urodzin. Takich, których dzielą trzy lata w dowodzie osobistym, są setki tysięcy i niewiele z tego wynika.

Po prostu nie bez znaczenia jest fakt, że nasza świadoma młodość literacka zaczęła się w Krakowie po Marcu '68; że kiedy ja w 1975 roku skończyłem swoją redaktorską robotę w buńczucznym wtedy, a dziś zapomnianym już „Studencie", to najpierw Adam Zagajewski, a potem Anderman przejęli po mnie biurko szefa działu literackiego. I choć niebawem, w 1976, Anderman wyjechał do Warszawy, a ja cztery lata zacząłem krążyć między Krakowem a opolskim teatrem Kochanowskiego, najwyżej zmieniła się tylko częstotliwość osobistych spotkań. Dzisiaj i ja mieszkam w Warszawie, ale to już inna bajka.

Porządna mafia zawsze broni swoich

Anderman krakowski to było zjawisko rzadkie, bo nietypowe. Podczas gdy wszyscy pisali wiersze (poza mną, ja o nich pisałem), tylko dwóch wybrało prozę, przynajmniej taką, która się liczyła, Anderman i trochę później Jerzy Pilch. Julian Kornhauser i Zagajewski też wydali parę książek prozą, ale wiersze zawsze były górą.

Kiedy w 1976 roku wyszła Andermanowa „Zabawa w głuchy telefon", od razu było wiadomo, że to debiut jak dzwon. Akcja działa się oczywiście w Krakowie, choć w późniejszej twórczości Janusza Kraków jako fabularna baza pojawi się już tylko raz, w dosyć szokującej powieści „To wszystko" (2008), o pisarzu gościnnie mieszkającym w wieży budynku znanego krakowskiego wydawnictwa, które zamówiło u niego powieść; w tej wieży autor-narrator planował samobójstwo w trakcie pisania powieści o planowanym samobójstwie.

Zaraz po debiucie Anderman, powtórzmy, wyprowadził się do Warszawy i tu się trochę rozjechały nasze ścieżki. Ale pokoleniowa mafia literacka jest jak każda porządna mafia: zawsze pamięta o swoich ludziach. Poza wszystkim kolejne książki Andermana i Pilcha bardzo poszerzały naszą generacyjną opowieść o świecie; poezja wyrąbywała nowe ścieżki językowego poznania, proza po swojemu dopowiadała własne narracje.

Było co opisywać, bo jak głosił tytuł głośnej książki esejów Kornhausera i Zagajewskiego, wokół istniał „Świat nie przedstawiony", czy raczej kiepsko przedstawiony, socjalistyczny barak ze swoimi licznymi atrakcjami gorliwie zakłamywanymi przez towarzyszy z partyjnego nadania. Gdzieśmy się nie ruszyli, wszędzie szła za nami duszna chmura ustroju tylko momentami pozwalająca o sobie zapomnieć. Choć trzeba przyznać: chwilami niezgorzej bawiliśmy się w nieudawaną młodość.

Oko czułe na szczegóły

To wszystko było dla kogoś takiego jak Anderman wspaniałym polem do literackich harców. Skądinąd wcale niezakończonych wraz z upadkiem reżimu, bo ciemne chmury mają to do siebie, że nigdy nie znikają, nawet gdy ustrój się zmieni. Nim został „prawdziwym" pisarzem, był w „Studencie" reporterem czy reportażystą, nie umiem tego rozróżnić. Ów reporter o przenikliwym oku czułym na szczegóły został w nim na zawsze.

Nawet najtępsi recenzenci nieomylnie dostrzegali – zwłaszcza w mistrzowskich opowiadaniach – absolutny słuch Andermana na wielobarwność mowy Polaków każdej formacji społecznej. Także umiejętność przekładania słyszanego i widzianego na pisane. Przypominał w tym Mirona Białoszewskiego; choć aparaty podsłuchowe mieli podobne, charakter pisma jednak bardzo różny.

Historia ostatniego półwiecza rzucała Andermanem na różne strony, bo co prawda Warszawa bywała

• **Janusz Anderman. Warszawa, marzec 2006.** FOT. BARTOSZ BOBKOWSKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl a960e54702

ostatnią ostoją, to na przykład taki stan wojenny zamykał go dla poprawienia ideowego kręgosłupa w którymś z leczniczych zakładów internowania, konkretnie w Białołęce. Wypuszczony na wolność, do prawdziwych lecznic we Francji i Anglii, zajął się knuciem w emigracyjnym wydawnictwie „Puls", ale gdy proponowano mu trwałe wybranie wolności, jakoś nie skorzystał i wrócił pod opiekę rodzimego Raju Krat.

Z mrocznej Warszawy lat 80. jednak uciekł i zaszył się z rodziną w zakupionej za małe pieniądze mazurskiej chacie, we wsi słabo cywilizowanej. Wytrzymał tam kilka lat, może kilkanaście, i mimo wszystko wrócił do Warszawy, bo tam znów zaczęło się jakieś nowe, inne życie, warte pióra. Urodzony opozycjonista, w literackim podziemiu czuł się bardziej u siebie.

To prawdziwa powieść w odcinkach

Z Adamem Michnikiem znali się od dawna, z czasów peerelowskiego knucia, i kiedy pojawiła się „Wyborcza", Anderman przystał do niej w sposób naturalny i do dzisiaj z nią przestaje. To Michnik zaproponował Andermanowi pisanie do „Wyborczej" regularnych comiesięcznych opowiadanek z serii „Fotografii". Pierwsze pojawiły się w 1998 roku i szybko stały się hitami czytelniczymi.

W tej sytuacji Anderman pisał dalej i z małymi przerwami robił to aż do 2010 roku, co było niezłym wyczynem, bo uskładało się tych tekstów ponad 200. Co kilka lat te wydrukowane zbierał w książkę i tak z czasem w księgarniach pojawiały się najpierw „Fotografie" (2002), potem „Nowe fotografie" (2007), wreszcie „Fotografie ostatnie" (2010).

Teraz odważna gdańska oficyna słowo/obraz terytoria opublikowała je wszystkie w opasłej, półtorakilogramowej księdze pod zbiorczym tytułem „Fotografie. Powieść rzeka z dopływami". Kluczowe jest tu określenie „powieść rzeka", do czego jeszcze wrócimy.

O tamtym trójksięgu napisałem wtedy entuzjastyczną recenzję w nieistniejącym już (w ówczesnej tygodnikowej formule) „Przekroju". Że jest czymś najlepszym ze wszystkiego, co Anderman stworzył, i że jest jedną z najważniejszych pozycji w polskiej literaturze ostatniego dziesięciolecia, może i trzydziestolecia. Nie pamiętam, co tam dokładnie napisałem, bo komputer redakcyjny, na którym recenzja powstała, od dawna nie istnieje. Teraz, po 16 latach i powtórnej lekturze, bez wahania powtarzam tamte opinie.

Nadal czyta się świetnie. Nie tylko nic się tam nie zestarzało, ale nabrało z odległości dodatkowego smaku odkrywania na nowo wielu już zapomnianych historii. I jak się czyta tę wielką księgę, prawie 700 stron, szczególnej wagi nabiera podtytuł „powieść rzeka". Bo te 200 z okładem opowiadań są prawdziwą powieścią w odcinkach o Polsce drugiej połowy ubiegłego wieku i pierwszego dziesięciolecia obecnego.

„Nie jestem kalką świata"

Czy jest to „prawdziwa wielka powieść realistyczna", o którą upominało się wielu krytyków i badaczy literatury co najmniej od początków nowego ustroju? Nawet jeśli jest to tylko mozaika, a nie spójna fabuła. Czy to ma jakieś znaczenie? Jeśli pytać o granice nowoczesnego realizmu, z pewnością nie.

Bo swoistym fenomenem „Fotografii" jest realizm nierealistyczny, coś pośredniego między Balzakiem a Gombrowiczem. Albo między Zapolską a... może wręcz Lemem. Po prostu te migotliwe obrazki z życia polskiego, ten ogromny obraz złożony z setek różnego koloru i kształtu kamyków, czasem przypomina swojski pejzaż widziany z okien samolotu, a czasem sen wariata śniony nieprzytomnie. Jest jednocześnie wielkim reportażem, sprawozdaniem ze stanu rzeczy, ale i opowieścią z kraju absurdu spisaną przez współczesnego podróżnika, który mógłby się nazywać powiedzmy Jonathan Swift.

Czy osobista obecność autora w każdym z opisywanych miejsc gwarantuje, że tak tam było naprawdę? Jak wiadomo, niekoniecznie, skoro realizm od absurdu dzieli jeden krok. Można z kimś pić wódkę przy barze w Spatifie i widzieć dookoła postaci jakby wyjęte z międzyplanetarnej knajpy w „Gwiezdnych wojnach".

Krótko mówiąc, nie dajmy się nabrać na precyzję opisów scenek i scenek z jakże nam dobrze znanej rzeczywistości polskich miast, miasteczek i wsi (z nielicznymi wycieczkami do Londynu czy Berlina). Na język, jakim rzekomo mówią prości chłopi spod Płońska czy wyrafinowani intelektualiści z Krakowskiego Przedmieścia.

Te realia są przepuszczone przez filtry języka i wyobraźni pisarza, który zaprasza nas do zbudowanego przez siebie gabinetu krzywych luster. Te historie są prawdziwe i jednocześnie tylko przypominają prawdę, bo widzimy je okiem kogoś, kto powiada: ja to wszystko znam, bo sam tam byłem i widziałem, ale musicie pamiętać: nie jestem kalką świata. Jestem kimś, kto musi ten świat bez przerwy nazywać po swojemu – żeby nie zwariować od tego, co widzę. I obojętne, jak nazwiecie język, którym ten świat nazywam: groteska? Realizm à rebours? Radosny ekspresjonizm?

Niech was też nie myli tytuł: „Fotografie". Czyli to, że źródłem powstania tych opowiastek była znaleziona walizka ze starymi zdjęciami. Że, jak pisze Anderman zaraz w pierwszym opowiadaniu, „na tę walizkę natknąłem się przypadkiem w piwnicy (...) okazało się, że jest wypełniona fotografiami. Są to głównie fotografie rodzinne, kilku pokoleń". I jakoby zawartość tej zapomnianej w piwnicy rodzinnego domu walizki stała się podstawą do stworzenia z pamięci całego cyklu tekstów.

To tylko częściowo prawda. Rzeczywiście, jeszcze przez jakiś czas, w każdym razie przez większą część pierwszego tomu tych opowiadań, Anderman powołuje się na konkretne zdjęcia prawdopodobnie przez siebie robione. Potem fotografie raz znikają, raz się pojawiają w roli pretekstów do ich opisu. Czasem te fotografie już robił ktoś inny. Albo w ogóle nie chodziło o zdjęcia.

Opowiadania z czasem się wydłużają, zmieniają w samoistne narracje. I najczęściej czytając, widzimy, że na tych domniemanych fotografiach nie mogło być wielu rzeczy, na które autor się powołuje. Że są po prostu kompletnie wymyślone.

Nie moralizuje, nie stawia do kąta

Szybko staje się jasne, że bynajmniej o żadną dokumentację prozą starych zdjęć nie chodziło. Najlepszy dowód: w „Fotografiach" nie znajdziemy żadnej fotografii, a przecież aż by się prosiło. Powód jest prosty: unaocznione zdjęcie tylko blokowałoby wyobraźnię zarówno opisywacza, jak czytelnika prawdziwych albo domniemanych okoliczności powstania fotografii.

To jak z teatrem i teatrem radiowym. W tym realnym świat przedstawiony jest namacalny, a jego sensów widz może się najwyżej domyślać, patrząc na scenę. W radiowym wszystko musi być pracą wyobraźni słuchacza. W „Fotografiach" rolę aktorów ze słuchowiska spełnia tekst opowiadań. Możemy wierzyć w istnienie fotografii albo nie, to bez znaczenia. Pozostaje wierzyć opowieści i własnej wyobraźni.

Większość tekstów ma za tło naturalne środowisko autora, czyli niemal wszystko, co jest związane z literaturą i szeroko rozumianym życiem literackim. Jest to światek nadzwyczaj barwny, ale nieszczególnie atrakcyjny, zwłaszcza w opinii Andermana. Powiedzieć, że widziany okiem weredyka ironisty, to mało powiedzieć.

Tu chyba najlepiej daje o sobie znać szybko zauważalna cecha pisarstwa Andermana: deprecjonowanie narodowej skłonności Polaków do mitologizowania stanów ekstremalnych. Doskonałym przykładem okolice stanu wojennego, a i późniejsza dekada lat 90., kiedy na poły desperacko usiłowaliśmy urządzić się w nowym ustroju. Czego zawsze Anderman nie cierpiał, to cierpiętnictwa i podstawiania piersi pod medale za „narodowe męczeństwo"; tu był w swoim żywiole.

Skądinąd „Fotografie" to jeszcze nic. Kto bardziej ciekaw, niech sięgnie po brawurowo antyheroiczny tom opowiadań „Brak tchu" (1983) ze stanu wojennego i internowania albo „Kraj świata" (1988), zbiór innych opowiadań, mało wyrozumiałych dla rodaków jako zbiorowości. A komu mało, niech zajrzy do powieści „Cały czas" (2007), na podstawie której w 2009 roku Janusz Morgenstern nakręcił „Mniejsze zło", film o bezproduktywnym pisarzu robiącym karierę za pomocą przypadkowo znalezionego maszynopisu cudzej powieści. Notabene „Kraj świata" też został sfilmowany – w 1993 – przez Marię Zmarz-Koczanowicz. Śmieszny i straszny.

Ta ostrość oceny radykalnie różni Andermana choćby od wspomnianego Białoszewskiego, przede wszystkim jako prozaika. Białoszewski postrzegał ludzi jak biolog obserwujący życie fascynującego mrowiska, nawet mając za mrówki swoich najbliższych przyjaciół. Pilnie rejestrował zachowania tej zbiorowości – nie oceniając. Anderman każdym zdaniem daje do zrozumienia, co myśli o wielkich i małych bohaterach swoich historyjek. Ale nie moralizuje, nie stawia do kąta, nie przestrzega ani nie stawia się wyżej od nich.

Sir Jonathan Swift też nie wyrokował, czy rację mają Lilipuci, czy Olbrzymi. Nie hamował się za to przy opisie ostatniej podróży, do krainy koni, które miał za mądrzejsze od ludzi, i nie przypadkiem kazał tym ostatnim usługiwać rozumnym zwierzętom.

Z czasem i Anderman zaczął się przychylać do stanowiska późnego Swifta. Nie opuszczając „Wyborczej", zmienił optykę i już bez zbytnich ceregieli wycelował lunetę w jedną stronę ludzkiej społeczności. W 2013 roku pojawiły się już mniej regularne felietony, niemające osobnego nadtytułu, bez żadnych sentymentów atakujące rodzimą prawicę polityczną. W 2021 ich pokaźny zbiór wyszedł pod tytułem „Golenie frajerów. Kronika głupoty czasów IV RP". Pisze je do dziś. ●

Śródtytuły tekstu – „Wyborcza".



FOT. ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Tadeusz Nyczek

• Ur. w 1946 r., krytyk literacki, teatralny i plastyczny. Publikował m.in. w „Życiu Literackim", „Dialogu", „Przeglądzie Powszechnym" i „Wyborczej". W latach 2002-11 był redaktorem działu teatru w „Przekroju", w latach 2012-14 – przewodniczący jury Nagrody Nike.



Janusz Anderman, **„Fotografie. Powieść rzeka z dopływami"**, wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2026.

1 RP

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Katarzyna Kuczyńska-Koschany*

Tajne komplety psychoanalityczne (lwowskie)

skąd wie
jak sprawić
żebym nie
płakała

przecież nie od Freuda

skąd wie
kiedy mówić
po polsku
kiedy po niemiecku
i po ukraińsku
kiedy

przecież nie

skąd wie
że rokoko
skąd wie
że nie wiem

przecież

3 SIERPNIA 2026, W 1622. DNIU WIELKIEJ WOJNY

(BEZ JEDNEJ ŁZY)



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

***Katarzyna Kuczyńska-Koschany.** Ur. w 1970 r., profesorka, literaturoznawczyni, eseistka, poetka. Autorka m.in. książek o Rilkem i Tuwimie. Wydała tomy poetyckie „Zielony promień" i „Łania w styczniu". Wiceprzewodnicząca Komitetu Nauk o Literaturze PAN, członkini Otwartej Rzeczypospolitej i Polskiego PEN Clubu

Nawet najtępsi recenzenci nieomylnie dostrzegali – zwłaszcza w opowiadaniach – absolutny słuch Andermana na wielobarwność mowy Polaków każdej formacji społecznej

eprasa.pl a960e54702

MIĘDZY TEOLOGIĄ I TEKSTOLOGIĄ

Czy dobrze jest bezkrytycznie zagrzebywać się w przyrodzonej nam narodowo-religijnej tożsamości? Niedobrze! Trzeba przenikać to, co odmienne

Jakub Kloza

Antropolog, publicysta

Można tę opowieść zacząć od sfilmowanej prawdziwej historii Pawła Bramsona, niegdyś dwudziestoparoletniego kibica Legii Warszawa, a raczej kibola z Żylety, biorącego udział w stadionowych burdach, na dodatek – antysemity. Gdy odkrył swoje żydowskie pochodzenie, skrywane dotąd przez rodziców, uznał, że zawalił mu się świat. „Patrzysz w lustro i widzisz kogoś, kim nie jesteś (...) Nie wiesz, po której stronie jesteś" – powtarzał.

Co ta historia ma wspólnego z doświadczeniem brutalnie nawracanych na chrześcijaństwo Żydów z Toledo, z gorącymi sporami żydowskich asymilatorów sprzed wieku i z uwikłaniami tożsamościowymi polskiej literatury? Sporo.

Co świeckie, co religijne

Monografia „Wyparte dziedzictwo", pod red. Anny Janek i Adama Regiewicza, w oryginalny sposób wpisuje się w utrwalone już literaturoznawcze tendencje. To z jednej strony tradycja badań nad związkami literatury i religii, z drugiej nowatorskie podejście do obecności elementów tradycji żydowskiej i poetyki hebrajskiej w literaturze nowoczesnej.

Pierwszy kontekst jest już dobrze znany, odkąd dysponujemy dwoma tomami wielkiej pracy „Literatura a religia" z 2020 r., zredagowanymi przez Łukasza Tischnera i Tomasza Garbola. Religijna optyka interpretacyjna na polskim gruncie jest czymś więcej niż jedną z wielu metodologii lektury, bo stanowi o istotnym elemencie tożsamości rodzimego literaturoznawstwa. Ma to swoje korzenie w specyfice polskiego katolicyzmu, innym niż zachodni przebiegu sekularyzacji oraz silnej tradycji badań nad „sacrum" w literaturze, które w PRL-u były wytrychem do podejmowania tematyki religijnej.

Dziś dominujące w literaturoznawstwie wrażliwym na problemy duchowości jest tzw. nastawienie postsekularne, które zdaje sobie sprawę z niedostatków klasycznej tezy o sekularyzacji (sformułowanej przez Maxa Webera). Dąży ono ponadto do rekonfiguracji pojęć używanych do opisu doświadczeń religijnych, dostrzegając zmienny charakter kategorii „świeckie" i „religijne".

Alina Mitek-Dziemba zauważa jednak, że recepcja myśli postsekularnej w obszarze polskiej Akademii przebiegła specyficznie: została na modłę zachodniocentryczną zdominowana przez nawiązania do myślicieli związanych z żydowskim mesjanizmem i szkołą frankfurcką. Świadectwem tej osobliwości jest wypracowana przez polskich badaczy kategoria „maranizmu".

Co cudze, co własne

Gdzie tkwią korzenie postawy marańskiej? W historii sefardyjskich Żydów, którzy musieli przyjąć chrzest bądź opuścić Hiszpanię za sprawą wydanego w 1492 r. edyktu Izabeli I Kastylijskiej i Ferdynanda II Aragońskiego. Jak pisze we wstępie „Wypartego dziedzictwa" Regiewicz, „[z]muszeni do konwersji Żydzi przyjmują wówczas postawę marańską: ukrywają swoją prawdziwą tożsamość i praktykują narzuconą religię". Samo określenie pochodzi od hiszpańskiego „marrano" oznaczającego prawdopodobnie świnię.

Tak narodził się nowy model tożsamości, rozdartej między dwie tradycje – jawną i ukrytą, cudzą i własną, przyjmowaną i wypieraną. Termin maranizm zrobił karierę dzięki niesłychanej ekstensywności pozwalającej czynić z niego kategorię opisującą szeroko pojętą nowoczesną tożsamość rozbitą, niepełną czy skonfliktowaną. Pytanie tylko, czy zawsze słusznie.

Maranem w pewnym sensie może być każdy. Choć Jacques Derrida doszukiwał się swoich dalekich przodków wśród hiszpańskich Żydów-konwertytów, swoją marańskość rozumiał szerzej: jako kondycję egzystencjalnej inności, nigdy niemożliwego utożsamienia się z samym sobą.

To podejście jest bliskie Agacie Bielik-Robson, której tekst poświęcony „Słowom Pańskim" Jakuba Franka otwiera monografię. Badaczka fenomenu polskiego maranizmu podkreśla w nim czasową i filozoficzną zbieżność historii sefardyjskich Żydów z narodzinami powieści łotrzykowskiej, która portretowała bohatera z marginesu, często włóczęgę bądź oszusta, podkreślając jego indywidualizm i sprzeciw wobec zastanego porządku. Wspólny maranom i łotrzykom jest zatem nowożytny gest odejścia od krępującej tradycji w imię wolności i życia pojmowanego jako autonomiczna wartość.

W tej interpretacji widać prawdziwy potencjał maranizmu, który pozwala dowartościować rolę tradycji religijnych w tworzeniu nowoczesnego etosu, a także odkryć podskórny nurt literatury polskiej. Jednak to podejście ostatnio coraz bardziej krytykują literaturoznawcy, którzy zżymają się, że maranem został „ochrzczony" co drugi polski pisarz. Spotyka to nawet twórców, którzy niewiele mają wspólnego z żydowskim dziedzictwem.

Powieść łotrzykowska portretowała bohatera z marginesu, podkreślając jego sprzeciw wobec zastanego porządku. Wspólny łotrzykom i opisywanym tu maranom jest nowożytny gest odejścia od krępującej tradycji w imię wolności

Warto podejść do tej perspektywy interpretacyjnej krytycznie. Zwłaszcza że pojęcie, mające na celu dowartościowanie różnorodności kłębiącej się w pojedynczym fenomenie, stało się przejawem metodologicznej ortodoksji, zdominowanej przez badaczy jednego kręgu i coraz mniej zrozumiałe, choć czasem porywające interpretacje.

„Wyparte dziedzictwo" mierzy się z tym przesytem i proponuje otwarcie nowych dróg, a może raczej powrót na te, które zostały porzucone.

Między dwiema górami

W tej propozycji chodzi przede wszystkim o wyjście poza marańskie pęknięcia, tajemnice i nietożsamości, by skonfrontować tę perspektywę z projektami asymilacyjnymi, próbami zrozumienia (i porozumienia) i postawami dialogicznymi.

Niezwykle wartościowe okazują się w książce rozważania zamieszczone w tekście „Asymilatorzy i marani" Eugenii Prokop-Janiec, która prześledziła obecność motywów marańskich w dyskusjach Żydów-asymilatorów sprzed ponad stu lat. Te odkrycia pokazują, że maranizm można tropić w tekstach literackich nie tylko na prawach lektury podejrzliwej, odkrywającej to, co w utworach zaszyfrowane, a dla autora często nieuświadomione, ale także w ramach perspektywy tożsamościowej, etycznie przyznającej wartość próbom autorskich samookreśleń.

Pomijając jednak perspektywę tożsamościową bądź marańską (antytożsamościową), robota, jaka stoi przed literaturoznawcami, jest podobna. Niezależnie bowiem od stosunku autora do żydowskości nie może on całkowicie oderwać się od tradycyjnych skryptów narracyjnych, figur i poetyk, zwłaszcza starotestamentowych, które narzucają mu się jako formy wypowiadania własnego doświadczenia.

Ważne w tej książce pojęcie „wypartej tradycji" celowo nawiązuje do psychoanalitycznego pojęcia wyparcia, które zakłada powrót tego co bolesne bądź wstydliwe w zmienionej formie. Badanie tych form pozwala lekturom marańskim wypracowywać bardziej spójny grunt, na którym dopiero warto formułować konkretne propozycje interpretacyjne.

Przejawem takiej filologicznej brawury jest zwłaszcza tekst Artura Żywiołka o czasie mesjańskim w „Jezusie z Nazarethu" Romana Brandstaettera. Analiza językowych form, za pomocą których pisarz rekonstruuje biblijne doświadczenie czasu, wydobywa specyfikę kolejnych tomów tetralogii oraz językową arcydzielność autora.

Można powtórzyć tutaj dyrektywę Artura Sandauera, który, odpowiadając na liczne zastrzeżenia co do jego badań biblijnych prowadzonych z pozycji intelektualisty pochodzenia żydowskiego, napisał tekst „Mniej teologii, więcej tekstologii". Przyznać jednak trzeba, że wyraźnie brakuje w „Wypartym dziedzictwie" artykułów badających obecność poetyki hebrajskiej i typowych dla niej figur retorycznych w tekstach XX-wiecznych autorów.

Wydany niedawno przez Ossolineum tom „Opowieści chasydzkie" odżywił namysł i dyskusje nad tą przeciekawą tradycją żydowską, która zrodziła się na wschodnich ziemiach RP. Polski chasydyzm jako przejaw hybrydyzacji kulturowej jest silnie obecnym wątkiem rozważań w książce.

Do tego kontekstu nawiązuje m.in. Giovanna Tomassucci w artykule o Adolfie Rudnickim, przytaczając jego opowiadanie „Prawda gobelinu, prawda świata", „gdzie mowa jest o rysunku ukazującym dwie góry stojące przez »wieki naprzeciwko siebie«. Jego autor opowiada starą legendę, która go zainspirowała: udręka świata nie ustanie, dopóki te dwie góry się nie zejdą, ale jeśli tak się stanie, istnieje ryzyko, »iż się zgubią«.

Jest to nie tylko aluzja do opowiadania [Icchoka Lejba] Pereca »Między dwiema górami« – opisującego trudną konfrontację chasydów i mitnagdim (ortodoksów) – ale przede wszystkim do żydowskiego przysłowia (...) »Dwie góry nie mogą się połączyć, ale dwoje ludzi tak«. Autor podpowiada czytelnikom, że chodzi o trudne współżycie, tym razem Polaków i Żydów".

W rozchwianiu, w zawieszeniu

Historia wspomnianego Pawła Bramsona kończy się, nieoczekiwanie, akceptacją kulturowej przynależności i wejściem mężczyzny do synagogi, w której postanawia zostać. Ale nie wszystkie historie przywołane w „Wypartym dziedzictwie" zmierzają do tak jednoznacznego kresu. Bliższe im jest pewne rozchwianie, ale w tym zawieszeniu pomiędzy może być coś budującego.

Unaocznia to artykuł Beaty Łukarskiej o żydowskim i nieżydowskim spojrzeniu na chasydyzm. Pierwszą perspektywę reprezentuje Julian Stryjkowski, bliski ideom asymilacyjnym, który do chasydów odnosił się niechętnie, opisując ich np. w „Austerii" niczym chmarę owadów („Za nim chasydzi zbici w jeden kłąb milcząco przepychali się bokiem przez otwarte drzwi"). Z kolei wywodzący się z innego świata Stanisław Vincenz, człowiek pogranicza, był tradycją chasydów głęboko zafascynowany.

Obie te postawy są tak naprawdę rewersem przeświadczenia, że czymś niepożądanym jest bezkrytyczne zagrzebywanie się w przyrodzonej nam narodowo-religijnej tożsamości, a chęć przeniknięcia tego, co inne, okazuje się wysiłkiem wartym podjęcia.

Wspomniana wcześniej osobliwość polskiego literaturoznawstwa tak silnie próbującego zrozumieć żydowską tradycję wydaje się tendencją dobrą i obiecującą. ●

Tytuł i śródtytuły – „Wyborcza".

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn

„Wyparte dziedzictwo. Maranizm i inne strategie. Żydowskie i polskie spory o wypartą tradycję",
red. Anna Janek i Adam Regiewicz,

Wyd. Austeria, Kraków – Budapeszt – Syrakuzy 2025



eprasa.pl a960e54702



• Grzegorz Braun przed Sądem Rejonowym dla Warszawy Pragi-Południe, 5 marca 2026 rok. Lider Konfederacji Korony Polskiej podczas procesu w sprawie zgaszenia świec chanukowych w Sejmie, próbował bronić się przy pomocy książki o początkach państwa polskiego

FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNAK

Słowianie W KAJDANACH

Grzegorz Braun uważa, że państwo Piastów powstało po to, by obronić się przed żydowskimi handlarzami niewolników

Piotr Głuchowski

eprasa.pl a960e54702

Podczas serii rozpraw w warszawskim sądzie, przed którym europoseł i lider Konfederacji Korony Polskiej Grzegorz Braun odpowiada między innymi za potraktowanie gaśnicą świecznika chanukowego w Sejmie, oskarżony zaprezentował prawnikom i wspierającej go publiczności dwie książki: reprint XVIII-wiecznej Księgi Tanja autorstwa rabina Szneura Zalmana z kresowych Liadów i najnowszą pracę historyka Tomasza Szkopka „Niewolnictwo Słowian. Germańscy łowcy, żydowscy handlarze, arabscy eksploatatorzy".

Obie pozycje przedłożył sędziemu jako wnioski dowodowe obrony mające świadczyć o przyrodzonej żydowskiej perfidii, której pada ofiarą jako podsądny.

Sąd wniosków nie uwzględnił, lecz „Niewolnictwo..." – po zareklamowaniu na szeroko retransmitowanej w sieci wokandzie – znajduje się obecnie w czołówce bestsellerów większości konserwatywnych księgarni jak XLM, Multibook czy Capitalbook. Redakcja związanego z Januszem Korwin-Mikkem serwisu Najwyższy CZAS! zbiera pieniądze dla tłumacza, który przełoży książkę na angielski. Profesor nauk społecznych Adam Wielomski z UKSW, monarchista, współpracownik papierowego jeszcze „Najwyższego Czasu!", niedoszły poseł i europoseł z list Unii Polityki Realnej i PiS poświęcił pracy Szkopka jeden z odcinków swego programu „Naukowo o polityce" na YouTubie:

– Ta książka zrobiła na mnie duże wrażenie – stwierdził, chwaląc autora za rzetelny aparat naukowy i „przełamanie tabu w polskiej historiografii".

RYZYKOWNA TEZA MAGISTRA SZKOPKA

Pochodzący z Gdyni Tomasz Szkopek jest magistrem historii Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie rozpoczął i przerwał z powodów osobistych przewód doktorski na temat Łużyc. Później redagował Wikipedię jako Michael Tav. Czytelnicy zainteresowani religią mogą kojarzyć nazwisko autora z okładek dwóch książek wydanych przez trójmiejską oficynę Exter: „Szaty zbawienia" to opis dziewiętnastu szkaplerzy – strojów duchownych, których kształty zatwierdza Stolica Apostolska, zaś praca „Przepaszcie biodra wasze!" to rzecz o medalikach z Barankiem Bożym, pierścieniach świętego Józefa i innych sakramentaliach. Obie książki sprzedały się w nakładach po kilkaset egzemplarzy i nie znalazłem w sieci recenzji żadnej z nich.

„Niewolnictwo Słowian" – przeciwnie – wzbudza gorące debaty. 250-stronowa, bogato ilustrowana opowieść z przypisami i indeksem nazwisk, sprzedała się już w ponad 20 tysiącach egzemplarzy. Zadedykowana „Słowianom uprowadzonym w niewolę" leży obowiązkowo na sprzedających tylko za gotówkę stoiskach, które towarzyszą imprezom Korony i zaprzyjaźnionych organizacji, jak Klub imienia Romana Dmowskiego albo Fundacja Osuchowa. Szkopek organizuje spotkania z czytelnikami, którzy piszą w sieci: „ważna książka z istotnymi informacjami w niewygodnej dla pewnych środowisk kwestii", „bolesna prawda o historii", „wiedza wstydliwie ukrywana" (cytaty z wpisów kupujących na Allegro.pl).

Wydawca „Niewolnictwa" – spółka 3S Media – należy do doktora socjologii Tomasza Sommera, redaktora naczelnego „Najwyższego Czasu!", przed laty polityka bezskutecznie startującego na Wiejską i do Brukseli z list ultraliberalnych partii Libertas i KORWiN, obecnie sympatyka „szerokiego frontu gaśnicowego". Jego oficyna wypuściła dotąd na rynek takie książki jak: „Polityka żydowska" (współautorem jest Sommer); „1000 lat Polski według Brauna" (dwa tomy); „Jedwabne. Historia prawdziwa" (również dwa woluminy) czy „Nowa Generalna Gubernia" – obraz współczesnej Polski oczami żydożercy starej daty Stanisława Michalkiewicza. Ostatnim przebojem oficyny jest „Donald Tusk grabarz wolności".

Wydaną w lutym tego roku książkę Szkopka naczelny Sommer zredagował osobiście. Jej streszczenie sam autor przedstawił w kwietniowej rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy":

„Słowianie byli ofiarą agresji z kilku stron. Od północy atakowali Waregowie i Rusowie, od wschodu Chazarowie, od zachodu Niemcy, z kolei południowi Słowianie walczyli z Bizantyjczykami. Ze względu na fakt, że Słowiańszczyzna była poza zasięgiem Imperium Rzymskiego, zarówno w źródłach germańskich, jak i bizantyjskich [nasi przodkowie] określani byli jako barbarzyńcy i siłą rzeczy stanowili materiał na niewolników".

Szkopek pisze, że handlowali tymi niewolnikami przede wszystkim Żydzi: „Mieli oni dobre warunki do życia zarówno w świecie chrześcijańskim, jak i muzułmańskim. I tu, i tam byli tolerowani. Wszędzie mieli też swoją diasporę. Chrześcijanie niechętnie zapuszczali się do krajów muzułmańskich i odwrotnie. Więc jednym i drugim odpowiadało, że Żydzi wzięli na siebie rolę pośredników. Poza tym handel niewolnikami był uważany za zajęcie niegodne i właśnie jako taki był zostawiany Żydom".

Na koniec autor stawia tezę: państwo Piastów nie zbudowało się – jak twierdzi większość historyków – na niewolnictwie. Powstało po to, by obronić poddanych przed braniem w niewolę i sprzedażą Żydom.

– To teza ryzykowna, a pan Szkopek jest w połowie amatorem – mówi mi mediewista i archeolog profesor Przemysław Urbańczyk z UKSW w Warszawie, autor „Korzeni Polski". – Wedle obecnej wiedzy źródłem

„W związku z masową praktyką kastrowania słowiańskich niewolników przez Żydów przed sprzedażą Arabom także w świecie islamu słowo Saqlab/Saqalib – Słowianin zaczęło oznaczać białego niewolnika-eunucha"

dochodów pierwszych Piastów była, niestety, sprzedaż ludzi i to trwało aż do czasów Bolesława Chrobrego. Głównym rynkiem, na który odstawiano pojmanych, była Bratysława, a później Praga. Żydzi rzeczywiście byli pośrednikami w tym handlu, choć nie dominowali. Większe ilości słowiańskich niewolników pozyskiwali Skandynawowie.

– Mnie również zdaje się niemożliwe, aby państwo Piastów powstało bez kumulacji kapitału pochodzącego ze sprzedaży niewolnych – potwierdza profesor Andrzej Nowak, autor „Dziejów Polski" i gorący zwolennik PiS. – Handel ludźmi umożliwił zbudowanie systemu grodów i tak się działo wówczas nie tylko na naszych ziemiach. Dopiero chrzest zmienił wszystko, bo nowa wiara głosiła, że nie ma Żyda, Greka ani niewolnika, są dzieci Boże. Dzięki aktowi chrztu państwo piastowskie odeszło od handlu ludźmi w ciągu kilkudziesięciu lat.

Ten proces ilustruje ósma kwatera Drzwi Gnieźnieńskich, na której święty Wojciech Slavnikowic napomina czeskiego księcia Bolesława II Pobożnego, aby poniechał sprzedaży ludzi. Obok biskupa i władcy widoczni są dwaj kupcy żydowscy w spiczastych nakryciach głowy, którzy prowadzą na sznurze parę niewolników ze związanymi rękoma. Scena ta jest okładką książki Szkopka.

POTOMKOWIE KANAANA ZNAD ODRY I WISŁY

Wczesnośredniowieczne niewolnictwo Słowian nie jest tematem nowym. Profesor Henryk Samsonowicz w pracy „O dalekim handlu »Nowej Europy« w X wieku" pisał już ćwierć wieku temu: „Najwyższą wartość wywożoną z obszaru powstających państw [Słowian] stanowili ludzie. Żaden inny produkt eksportowany czy do Bizancjum, czy do arabskich kalifatów nie miał równie wysokiej wartości rynkowej".

Źródła mówią o dziesięciokrotnym przebiciu – kupiec nabywał Słowianina za kilka gramów srebra (cena porównywalna z koniem), a po dostarczeniu człowieka do Chorezmu na terenie dzisiejszego Iranu mógł za niego wziąć nawet i 90 gramów (około 30 dirhemów), o ile skuty w kajdany nie umarł po drodze.

„W zamian za wyeksportowanych niewolników Piastowie mogli sprowadzać egzotyczne towary przeznaczone do ostentacyjnej konsumpcji, opłacania lojalności politycznej i demonstrowania statusu społecznego" – pisze w drugim tomie „Korzeni" profesor Urbańczyk. Po czym dodaje: „Temat jest delikatny politycznie, ponieważ wpisuje się w uproszczoną wizję Europy Środkowej jako obszaru eksploatowanego przez bardziej cywilizowane części kontynentu. Wizja budowniczych państwa piastowskiego jako bezwzględnych handlarzy ludźmi nie wygląda też najlepiej w zderzeniu z wyidealizowanym wyobrażeniem Polski jako oazy wolności i Polaków jako nieskazitelnie szlachetnych. Jednak w tamtym świecie handel ludźmi nie był niczym wstydliwym – elity wczesnośredniowieczne powszechnie się nim parały".

Szlak, po którym wędrowali w obie strony i kupcy, i prowadzeni przez nich niewolnicy, „wiódł z Andaluzji do Czech, a dalej przez Kraków, Przemyśl, Kijów nad Morze Czarne lub Kaspijskie" – pisze dalej Urbańczyk. Trzeba było bowiem okrążać zajęte przez nieprzyjaznych Madziarów tereny nad dolnym Dunajem.

Jednym z wędrujących handlarzy był Ibrahim ibn Jakub, Żyd z portowej Tortosy w arabskiej części dzisiejszej Hiszpanii i zdaniem Urbańczyka także szpieg tamtejszego kalifa Al-Hakama II: „Pojechał w 965 roku do Magdeburga i Pragi w poszukiwaniu niewolników słowiańskich. W czeskiej stolicy zebrał informacje o dobrze tam znanym królu Północy – Mieszku".

Ibn Jakub zanotował, że kraj pod władzą Mieszka „obfituje w mięso, miód i rolę orną", mieszkańcy zaś „są skorzy do zaczepki, gwałtowności i gdyby nie ich niezgoda wywołana mnogością podziałów na szczepy żaden lud nie zdołałby im sprostać". Jest to najstarsza wielozdaniowa relacja na temat naszych przodków.

Ibrahim był radanitą, czyli kupcem wędrującym po ar-Radaniji, jak Arabowie określali wspomnianą trasę z kalifatu Kordoby przez Małopolskę na Bliski Wschód. Poszukiwani niewolnicy byli dla niego natomiast – jak pisze Szkopek, do którego książki wracamy – Kananejczykami, czyli potomkami przeklętego w Księdze Rodzaju syna Chama i wnuka Noego imieniem Kanaan. Zgodnie z Torą i Biblią ów młody nieszczęśnik został wyznaczony przez dziada – budowniczego Arki – do „bycia najniższym sługą swych braci". I jego potomkowie tak samo. Kiedy Izraelici wyszli z Egiptu około 1400 lat przed naszą erą, uznali, że Kananejczykami są dotychczasowi mieszkańcy Ziemi Obiecanej, z którymi wojowali i których brali w niewolę. Wedle Szkopka „za Kananejczyków przybyłych w starożytności do Europy" późniejsi o przeszło dwa tysiące lat żydowscy radanici „uznali również kupowanych i sprzedawanych Słowian".

X-wieczny talmudysta Gerszom ben Jehuda z Moguncji, duchowy ojciec judaizmu aszkenazyjskiego zwany przez swoich „światłem diaspory", w komentarzu do traktatu Chullin (o przygotowywaniu koszernych posiłków) używał nazwy Kanaan na określenie całej Słowiańszczyzny, mową kananicką nazywał zaś wszelkie języki słowiańskie. Podobny znak równości (Słowianie to potomkowie Kanaana) stawiał Szlomo ben Icchak zwany Raszi (1040-1105), autor najważniejszych komentarzy do Tory, które są jednocześnie pierwszymi hebrajskimi traktatami wydanymi drukiem. Słowiań-

eprasa.pl a960e54702

wodzi ludy żyjące wówczas między Donem a Łabą od Jafeta, najstarszego i ukochanego syna Noego. Legat papieski i biskup-podróżnik Giovanni z Marignoll potwierdził tę koncepcję w swojej spisanej po 1350 roku „Kronice Czeskiej": „Słowianie, a wśród nich Czesi, pochodzą od Jafeta, ojca naszego, a nie od Chama – jak wywodzą niektórzy". To samo pisał Jan Długosz. Z czasem polska historiografia przyjęła, że szlachta Rzeczypospolitej wywodzi się od Sarmatów, którzy byli potomkami Jafeta. W roli potomstwa Chama (i Kanaana) szlachetnie urodzeni obsadzili chłopów.

Żydzi zostali jednak przy swoim – Słowian wszelkich stanów i nacji opisywał wspólnie jako Kananejczyków jeszcze w XVI wieku wpływowy kabalista Salomon Luria z Brześcia Litewskiego, Izraelici z Europy Zachodniej, basenu Morza Śródziemnego i Bliskiego Wschodu aż rozbioru Polski mienili zaś swych pobratymców mieszkających na Litwie i w Koronie „Żydami kananejskimi".

WYKARMIENI PSIM MLEKIEM

Starożytni autorzy – od Pliniusza Starszego po Klaudiusza Ptolemeusza – nazywali Słowian Antami, Wenedami/Wendami albo Słowenami (możliwe, że od „słowa" i „sławy"). We wczesnym średniowieczu coś się jednak zmieniło.

Szkopek: „W efekcie trwającego od VII wieku handlu słowiańskimi niewolnikami etnonim Słowianin [Słowen] w językach niesłowiańskich uległ apelatywizacji, stał się wyrazem pospolitym oznaczającym niewolnika".

Apelatywizacja to proces, w którym nazwa własna staje się wyrazem pisanym małą literą – mamy więc adidasy, pampersy, wandali – czyli niszczycieli i słowian – w językach romańskich, germańskich i skandynawskich ludzi niewolnych. W starożytnej łacinie zniewolonych określano jeszcze: „ancilla", „servus" albo „familius". Od XI wieku już głównie „sclavus". W efekcie dziś po angielsku niewolnik i Słowianin to odpowiednio slave i Slave, po francusku esclave i Slave, po włosku i schiavo i Slavo...

Dalej tylko gorzej. IX-wieczny arabski kronikarz Ibrahim Al-Qayrawani notował: „Frankowie są sąsiadami Słowian. Zagarniają ich i sprzedają w Hiszpanii. Jeńcy zostają [uprzednio] wykastrowani przez Żydów, którzy są pod ochroną Franków. Ci kastraci z Hiszpanii są eksportowani do wszystkich krajów Ummy". Czyli muzułmańskich.

Szkopek: „W związku z masową praktyką kastrowania słowiańskich niewolników przez Żydów przed sprzedażą Arabom także w świecie islamu słowo Saqlab/Saqalib – Słowianin zaczęło oznaczać białego niewolnika-eunucha".

Połowa kastrowanych nie przeżywała zabiegu, lecz wedle profesora Wielomskiego ryzyko opłacało się „tym na literkę żet, jak ich określam ze względu na algorytmy YouTube", ponieważ „arabscy odbiorcy życzyli sobie eunuchów nie do ciężkiej pracy, lecz do oddziałów przybocznych i administracji państwowej", w związku z czym najlepiej za nich płacili.

Al-Dżahiz, IX-wieczny arabski przyrodnik i filozof, zanotował w swej „Księdze zwierząt": „Kiedy spomiędzy dwóch braci słowiańskich wykastruje się jednego, to rzezaniec stanie się lepszym w pracy, sprytniejszym, zręczniejszym i bardziej inteligentnym w rozmowie. Natomiast jego [niekastrowany] brat pozostanie przy swej wrodzonej niewiedzy i głupocie właściwej Słowianom. Język jego nie będzie swobodny i nie będzie miał łatwości w doborze wyrazów. (...) Pierwszą rzeczą, jaką sprawia kastracja u Słowianina, jest zatem powiększenie jego inteligencji, wysubtelnienie bystrości, wygładzenie charakteru i ożywienie rytmu jego duszy (...). Co się tyczy słowiańskich kobiet i młodych chłopców, to nie ma żadnego sposobu na ich poprawę".



• **Słowiańscy i afrykańscy niewolnicy na targu w Kordobie. Miniatura z XIII-wiecznego zbioru pieśni „Cantigas de Santa Maria" wydanego w Kastylii za panowania Alfonsa X (1221-1284)**

FOT. PIEMAGS / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W



• **Ósma kwatera Drzwi Gnieźnieńskich, na której święty Wojciech napomina czeskiego księcia Bolesława II Pobożnego, aby poniechał sprzedaży ludzi. Z lewej widać żydowskich kupców w spiczastych czapkach, którzy prowadzą związanych niewolników**

FOT. MATHIASREX, MACIEJ SZCZEPAŃCZYK / WIKIMEDIA COMMONS (CC BY-SA 4.0)

Według prof. Urbańczyka dopiero ugruntowany pod koniec pierwszego tysiąclecia kościelny zakaz niewolenia chrześcijan połączony z akcją ich wykupu „spowodował załamanie się masowego handlu ludźmi w Europie, co zahamowało import do krajów arabskich"

Muzułmanie, jak wspomina Szkopek, też mieli opowieść uzasadniającą niewolniczy status Słowian. Wedle anonimowego, lecz szeroko rozpowszechnionego w całej Ummie XII-wiecznego „Zbioru historii" („Mojmal al-Tawarigh wa al-Qasas") praprzodek Sakalibów został po śmierci matki wykarmiony psim mlekiem, co stało się przyczyną skundlenia jego nacji. Bo pies jest w islamie przeklęty niczym wąż w chrześcijaństwie, jako że miał pogryźć Proroka. XI-wieczny perski filolog Abu Sa'id Gardezi potwierdził nawet „naukowo", że nazwa Saqlabi pochodzi od staroirańskiego słowa „sag", które oznacza psa.

NAJGORSZY Z NARODÓW

W końcówce średniowiecza, kiedy Europejczycy i Arabowie zaczęli masowo niewolić Afrykanów, nazwali ich „czarnymi słowianami" – black slaves. Historyk Przemysław Kucharczak będący także dziennikarzem „Gościa Niedzielnego" pisze w tekście „Słowianin z Murzynem, dwa bratanki", że w pochodzącym z 1462 roku dokumencie, który upoważniał portugalskiego handlarza Diogo Valarinho do eksportu ludzi z Wysp Zielonego Przylądka, niewolników tych określono właśnie „czarnymi słowianami".

Szkopek: „Spotyka się twierdzenie, że Słowianie są dla Anglosasów »białymi Murzynami«. W rzeczywistości było dokładnie odwrotnie: to Murzyni byli »czarnymi Słowianami« dla ludzi Zachodu".

Całą tę gmatwaninę podsumowuje w pracy „Kilka uwag o Słowianach" (1999) profesor Adam Łukaszewicz, archeolog śródziemnomorski z UW: „Fakt nadania niewolnikom nazwy Słowian nie jest po prostu mechaniczną konsekwencją dużej liczby słowiańskich niewolników. Chodzi tu raczej o nastawienie tych, którzy najzupełniej świadomie nadali pejoratywny sens nazwie całego ludu. Znalazła tu wyraz tendencja do wartościowania, przekonanie mieszkańców Zachodu o własnej wyższości nad rzekomymi barbarzyńcami, którzy padli ofiarą zniewolenia".

To przekonanie ma dalszą, sięgającą nowożytności i również wspomnianą przez Szkopka historię: zakaz osiedlania się Słowian w miastach Rzeszy, zakaz żenienia się Niemców ze Słowiankami, zakaz używania języków słowiańskich w niemieckich sądach... Jak pisze w „Szkicach średniowiecznych" mediewista profesor Jerzy Strzelczyk, w Dreźnie i wielu innych ośrodkach nawet od kandydata do miejskiego cechu rzemieślników wymagano udowodnienia, że nie miał w rodzinie żadnego Słowianina.

Jeszcze 500 lat po ustaniu handlu „Kananejczykami" Marcin Luter „pisał, że Słowianie są najgorszym ze wszystkich narodów" – przypomina Szkopek.

Co ciekawe, reformator, pisząc po łacinie, użył wobec ocenianych starożytnego określenia Wendowie: „pessima omnium natio est die Wenden".

SPRZEDAJĄ MNIE ŻYDOM, A TY CHRAPIESZ?

„Dopiero w końcu X wieku lukratywny handel słowiańskimi niewolnikami napotkał przeszkodę w postaci umacniającego się w Europie Środkowo-Wschodniej chrześcijaństwa" – pisze profesor Urbańczyk w „Korzeniach". Dopóki transportowani przez Europę niewolni byli poganami, ich nieszczęście raziło niewielu – handlowała nimi nawet magdeburska kuria. Także biskup praski Wojciech Slavnikowic uznawał niewolenie pogan za dozwolone. Gdy jednak Mieszko I przyjął chrzest, sytuacja się zmieniła. Wedle „Żywotów świętego Wojciecha" spisanych przez Brunona z Kwerfurtu i Jana Kanapariusza z Rzymu przyszłemu świętemu ukazał się we śnie Chrystus: „Jam jest Jezus, którego sprzedano i oto znowu sprzedają mnie Żydom, a ty jeszcze chrapiesz?". Owo widzenie we śnie przedstawia siódma kwatera Drzwi Gnieźnieńskich, profesor Urbańczyk pisze zaś dalej, że po wstaniu z łóżka „Wojciech-Adalbert zaprotestował przeciw uprawianemu w Pradze handlowi ludźmi, co skłóciło go z czeskim księciem, dla którego było to ważne źródło dochodów".

Według profesora to właśnie ugruntowany pod koniec pierwszego tysiąclecia kościelny zakaz niewolenia chrześcijan połączony z akcją ich wykupu „spowodował załamanie się masowego handlu ludźmi w Europie, co zahamowało import do krajów arabskich".

„Ta utrata dochodów z eksportu może częściowo tłumaczyć nadaktywność militarną Bolesława Chrobrego, który wojując, próbował zapewnić swoim ludziom rekompensatę w postaci trybutów, rabunków, haraczów oraz porywania bydła, o czym wspomina w swej kronice merseburski biskup Thietmar – czytam dalej w „Korzeniach". – Wojny przestał Chrobry prowadzić dopiero po zagarnięciu w 1018 roku Kijowa, którego bogactwami zapełnił własny skarbiec (...). Handel ludźmi nie ustał jednak całkowicie, bo jeszcze papież Benedykt IX zarzucał Czechom sprzedawanie »jak bydlęta« chrześcijan wziętych do niewoli podczas najazdu księcia Brzetysława na Polskę w 1038 roku. Tak wyglądał świat średniowieczny, którego moralna ocena z dzisiejszego punktu widzenia nie ma większego sensu". ●

2 RP

eprasa.pl a960e54702

Jasne strony dziejów

Ameryko, wróć!

Był czas, kiedy Ameryka odczuwała wspólnotę wartości z Europą. I inwestowała w nią. Czas, by Europa inwestowała w Amerykę.

Brzeziecki



Henry Kissinger, Zbigniew Brzeziński, Richard Pipes, Madeleine Albright... to chyba najbardziej znani środkowoeuropejscy urzędnicy amerykańscy, którzy także aktywnie kreowali tamtejszą opinię publiczną w drugiej połowie XX wieku. Różne mieli poglądy, dla różnych prezydentów pracowali, ale wiedzieli, że Europa jest ważna. Kissinger – najbardziej chyba z nich kontrowersyjny – nawet narzekał, że Europa nie ma telefonu. Poza nimi można by wymienić cały legion innych urzędników i kongresmenów, którzy mieli przodków w naszej części Europy. A z takich, którzy w ogóle wywodzili się z Europy, składała się właściwie cała amerykańska klasa polityczna. Ambasador Daniel Fried, który położył wielkie zasługi dla członkostwa Polski w NATO, także miał przodków urodzonych w Polsce. Jego rodzice już nie mówili w naszym języku, ale ojciec odziedziczył ciepłe uczucia dla kraju nad Wisłą. Fried także — do tego stopnia, że od zera wyuczył się polskiego i poświęcił Polsce wiele lat kariery.

Inni mieli ojców, którzy lądowali na plażach Normandii, a potem szli na Berlin. Wracając do domu, zabierali raczej dobre wspomnienia, pewnie zostawiali też niejedno złamane serce. Wracali też z poczuciem braterstwa broni.

Amerykańska klasa polityczna przez dekady inspirowała Europę do jednoczenia się, a gdy upadł komunizm, zdecydowała ostatecznie o objęciu parasolem NATO także krajów Europy Środkowej. Bez tych wszystkich ludzi historia mogłaby się potoczyć inaczej.

Pewnie, że nigdy nie było całkiem różowo. Kryzys sueski, w który wdały się Wielka Brytania i Francja był źródłem irytacji Waszyngtonu, Francja nie integrowała się w pełni z NATO, druga wojna w Iraku wywołała ostre napięcia między „starą” Europą a Waszyngtonem, z którymi trzymały takie państwa jak Polska.

Ale gdy prezydent John F. Kennedy mówił w 1963 roku, wkrótce po wybudowaniu muru berlińskiego, „Ich bin ein Berliner”, a Reagan niemal ćwierć wieku później nawoływał Michaiła Gorbaczowa „zburz pan ten mur”, dawali sygnał, że Jankesi solidaryzują się ze Starym Kontynentem. Wspólnota ta najsilniejsza była między Ameryką a Wielką Brytanią. Przedstawiciele obu krajów mówili o sobie „kuzyni”.

Polska i inne kraje regionu załapały się jeszcze na ten dobry czas w latach 90. XX wieku. Już wtedy zwolennicy rozszerzenia NATO mówili, że trzeba się spieszyć, bo okno możliwości może lada chwila się zatrzasnąć. Zdjęcia uśmiechniętego Bronisława Geremka podpisującego w Independence w USA akt wstąpienia Polski do NATO to wspaniała pamiątka po tamtej epoce.

Ameryka traci to zrozumienie dla Europy. Nie wynika to jedynie z ideologii MAGA. Przecież także za Baracka Obamy Waszyngton dawał do zrozumienia, że USA nie chcą już tyle uwagi poświęcać Europie, która winna w większym stopniu brać za siebie odpowiedzialność. Ale Obama to mówił kulturalnie i nikt mu nie wierzył, dopiero gdy obecna administracja powiedziała to brutalnie, Europa wzięła te słowa na poważnie. Tyle dobrego.

Rzecz jednak nie w samym Trumpie ani jego akolitach. Amerykańską elitę współtworzą w coraz większym stopniu ludzie, dla których Europa jest tylko punktem na mapie, bo ich przodkowie pochodzili z innych regionów globu. Na tę różnorodność trudno się obrażać, ale trzeba umieć dotrzeć do ludzi, z którymi nie dzielimy kodów kulturowych.

Swego czasu Amerykanie prowadzili skierowane także do młodych elit PRL programy stypendialne. Włodzimierz Cimoszewicz, Grzegorz Kołodko, Marek Belka gościli na amerykańskich uniwersytetach. Niektórzy się zżymali, że USA nagradzają konformistów. Na dłuższą metę pomysł okazał się przedni. To właśnie tacy politycy postkomunistycznej lewicy kontynuowali reformy i nie zeszli z prozachodniej ścieżki.

Ciekawe czy i w jakim zakresie Europa, w tym Polska, inwestują w 30-40 latków z amerykańskich NGO-sów i think-tanków (na poziomie akademickim programy są). To już nie jest tak, że Amerykanów stać na wszystko. Dla wielu z nich – zwłaszcza niebędących waspami (od White Anglo-Saxon Protestants) – staż i podróż po Europie, obejrzenie miejsc, zrozumienie ludzi mogłyby być ważnym punktem w budowie karier.

Stać dziś Polskę na taki program. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

Antypolityka historyczna

Zapomniane wynalazki

Jak oceniać te, które się nie sprawdziły? Odpowiedź wcale nie jest oczywista.

Janowski



Niedawno natrafiłem na następującą historyjkę. Otóż w 1827 roku powstała pierwsza na Węgrzech linia kolejowa. Prowadziła z centrum Pesztu (Peszt i Buda były osobnymi miastami) do miejscowości Köbanya (niecałe 8 km), która dziś jest dzielnicą Budapesztu. Köbanya znaczy po węgiersku kamieniołom i kolej miała transportować urobek tego kamieniołomu do portu w Peszcie, aby dalej płynął Dunajem. Był to na Węgrzech czas reform gospodarczych i społecznych, a rozbudowa nowoczesnej sieci transportowej była warunkiem ich powodzenia.

Problem w tym, że była to bardzo dziwna kolej, mianowicie: napowietrzna. Miała być tańsza; nie trzeba torowiska, nasypu, drewna na podkłady, mostków itp. Trzeba wbić ileś tam słupów i na wysokości 2-3 metrów nad ziemią poprowadzić dwie równoległe szyny. Po tych szynach toczy się wózek – dwa kółka połączone osią, a pod tym wózkiem podwieszone są po bokach dwa wagoniki z ładunkiem. Konie w kieracie na końcu linii poruszały linę ciągnącą wagoniki. Ruchu pasażerskiego nie planowano.

Towarzystwo akcyjne zebrało kapitał, budowę uroczyście rozpoczęto w targowy dzień 8 czerwca 1827 roku i pierwszy fragment oddano do użytku po ośmiu dniach (jakie tempo!). Niestety, konstrukcja nośna zawaliła się zaraz po otwarciu, bo słupy postawiono zbyt rzadko. Ponownie otwarto linię 20 sierpnia, w dzień św. Stefana, święto narodowe Węgier. Działała przez ponad pół roku. Psuła się często, a popyt był niewielki, przyniosła więc straty. W marcu 1828 towarzystwo akcyjne uchwaliło kolej rozmontować, wyposażenie sprzedać, a pieniędzmi spłacić wierzycieli. Koniec historyjki.

Dlaczego ją opowiadam?

Po pierwsze, wydaje mi się zabawna. Na stronie internetowej Budapesztu można zobaczyć rekonstrukcję tej kolei i zastanowić się, co by było, gdyby rozwój kolejnictwa poszedł w kierunku linii napowietrznych. Drugi powód jest serio. Przy lekturze prac historycznych staje przed nami często poważne pytanie: jak oceniać wynalazki techniczne, które się nie sprawdziły? Bo przecież nie ulega wątpliwości, że inwestorzy się pomylili, stawiając na technologię skrajnie niepraktyczną. Może byli po prostu ignorantami, nie wiem; ale gdybym miał ich bronić, powiedziałbym coś takiego:

Węgierska kolej powstała ledwie dwa lata po otwarciu linii kolejowej Stockton-Darlington, która to data uważana jest za początek ery kolei parowej. Nie było jeszcze w 1827 roku jasne, czy trakcja parowa ma przyszłość; jeszcze długo wielu fachowców sądziło, że tam, gdzie trzeba przewozić ciężkie towary, które się nie psują – a więc prędkość nie jest najważniejsza – konie są najekonomiczniejsze. Na początku lat 30. XIX wieku powstała duża lina kolejowa przystosowana wyłącznie do trakcji konnej (Gmunden-Linz-Czeskie Budziejowice, w sumie 128 kilometrów!), która funkcjonowała przez około 40 lat. Zresztą parowóz trzeba byłoby zamówić w Anglii, a potem go przewieźć; nikt na kontynencie nie potrafiłby go w 1827 roku wyprodukować. Wybór trakcji konnej dla przewozu kamienia z kamieniołomów był w pełni uzasadniony.

Idea budowy kolei napowietrznej zamiast „normalnej”, naziemnej, jest trudniejsza do obrony. Jednak weźmy pod uwagę, że idea ta nie powstała w głowach węgierskich projektantów; projekt takiej linii został przedstawiony przez angielskiego inżyniera, potem udoskonalony w Austrii. Węgrzy mogli zasadnie myśleć, że oto mają szansę wprowadzić najgorętszą nowinkę technologiczną i prześcignąć inne kraje, zabierające się do budowy kolei. Nie ich wina, że nowinka okazała się niewypałem.

Takich wynalazków, które zdawały się mieć szanse powodzenia, było w XIX wieku wiele. Na niektórych angielskich liniach stosowano rozwiązanie „konno-parowe”: na płaskich odcinkach była trakcja konna, a na pagórkowatych – stacjonarne maszyny parowe wciągały za pomocą liny wagony pod górę. W późniejszych dekadach, w końcu stulecia, parowe tramwaje w wielu miastach z powodzeniem konkurowały z elektrycznymi. Świat linearnego rozwoju nauki i techniki byłby strasznie nudny, a zarzucone pomysły pokazują nam bogactwo myśli ludzkiej: „potargany”, wieloznaczny świat obfitujący w meandry i rozstajne drogi, a przez to barwniejszy i ciekawszy. Nieudane wynalazki są dla historyka często ciekawsze niż te, które wygrały. Historii wcale nie muszą pisać zwycięzcy. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

eprasa.pl a960e54702

PIERWSZA POLICJANTKA II RP



• Uczennice szkoły policyjnej w Warszawie w 1925 roku, a wśród nich starszy przodownik Stanisława Filipina Paleolog (1892-1968), która siedzi czwarta od prawej
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

O Stanisławie Paleolog mówiono: racjonalna, surowa, zdyscyplinowana, wierzy, że państwo musi być silne. W 1925 roku to państwo powierzyło jej bardzo ważne zadanie.

Urszula Cur

eprasa.pl a960e54702

Z fotografii patrzą młode kobiety – pewne swojej roli, choć nowe w męskim świecie. Tu stoją w szeregu, dumne po ukończeniu kursu. Tam jedna prowadzi za rękę zagubione dziecko, a inna odprowadza nieletnich chłopców do izby zatrzymań.

Wśród kobiet widoczna jest postać w gali orderowej: Krzyż Niepodległości, Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi i Medal Dziesięciolecia Odzyskanej Niepodległości. Wyprostowana, spokojna – pozuje w mundurze ze świadomością swojej roli i znaczenia chwili. To Stanisława Filipina Paleolog.

Twarz powściągliwa, owalna, o dość pełnych policzkach. Na zachowanych zdjęciach skóra wygląda na gładką, jasną. Oczy ciemne, nos prosty. Usta wąskie, lekko zaciśnięte – znać po nich wewnętrzną dyscyplinę.

CHCEMY LECZYĆ PROSTYTUCJĘ

Po 123 latach niewoli trzeba było odbudować nie tylko państwo, ale i społeczeństwo. Władze wypowiedziały wojnę zgniliźnie moralnej i „zwyrodnieniu rasy", zapowiedziały walkę o „wzmożenie tężyzny umysłowej, fizycznej narodu polskiego".

Doktor Leon Wernic – twórca polskiej wenerologii i eugeniki – ordynator warszawskiego szpitala św. Łazarza widział skalę problemu. Dorośli zarażeni kiłą i niedożywione dzieci. „Trzeba prostytucję i choroby weneryczne objąć leczeniem i nadzorem – stałym, administracyjnym" – postulował.

W 1922 roku rząd wydał rozporządzenie „O nadzorze nad nierządem", a rok później powstał Narodowy Komitet do Walki z Handlem Kobietami. Sejm ratyfikował także konwencję o zwalczaniu „białego niewolnictwa", a przy ministerstwach utworzono specjalne biura i referaty. W 1924 roku Liga Narodów zarekomendowała tworzenie policji kobiecej do walki z handlem kobietami i dziećmi.

„Władze zamierzają przystąpić do zorganizowania policji kobiecej. Zadaniem jej ma być przede wszystkim walka z nierządem i jego najbardziej zbrodniczą formą, jaką jest handel żywym towarem" – obwieszcza „Bluszcz" w lutym 1925 roku.

„Chcemy prostytucję leczyć jako chorobę przynoszącą katastrofę życiową jednostkom, a podkopującą zdrowie i moralność całego społeczeństwa" – mówiła Stanisława Paleolog.

Działania te wyrastały z popularnego wówczas przekonania, że kobiety trafiające do prostytucji są ofiarami handlu ludźmi i przymusu. Aleksandra Jakubczak w książce „Polacy, Żydzi i mit handlu kobietami" pokazuje, że rzeczywistość była bardziej złożona, a obraz „białego niewolnictwa" pomijał inne przyczyny pracy seksualnej kobiet.

Brygady sanitarno-obyczajowe miały zająć się dziećmi, dziewczętami i kobietami włóczącymi się po ulicach, konwojować je do szpitali, zakładów karnych, asystować przy badaniach w sądach, więzieniach, urzędach śledczych.

PRZYJMUJEMY TYLKO PANNY

Policja wraz z kobiecymi organizacjami społecznymi określiły w 1925 roku wymagania wobec kandydatek.

Kryteria były wyśrubowane: przyszłe policjantki musiały mieć skończone co najmniej sześć klas szkoły powszechnej oraz znać języki obce. Wzrost powyżej 160 cm. Makijaż wykluczony, włosy krótkie lub skromnie upięte.

Chętne do służby miały przedstawić świadectwo moralności z kancelarii parafialnej w miejscu zamieszkania. Wymagane było zaświadczenie o działalności społecznej w organizacjach młodzieżowych.





▲ **Wieś Zimna Woda, rok 1937, złote gody rodziców Stanisławy Paleolog – Zygmunta Augusta Demetraki-Paleolog i Zofii z Chorzelskich (oboje siedzą). Stanisława w mundurze stoi za ojcem** FOT. KSIĄŻKA „KAMIEŃ PALEOLOGÓW" MIECZYSŁAWY DEMSKIEJ-TRĘBACZ

◀ **Podkomisarz Stanisława Paleolog w 1927 roku, już jako kierowniczka referatu policji kobiecej w Komendzie Głównej Policji Państwowej**
FOT. ZE ZBIORÓW NARODOWEGO ARCHIWUM CYFROWEGO

Policjantką mogła zostać wyłącznie panna albo bezdzietna wdowa w wieku 25–40 lat. Dla mężatek ani matek miejsca w policji nie było. Więcej: kandydatki zobowiązywały się, że nie wyjdą za mąż przez siedem lat od rozpoczęcia służby.

Pierwszeństwo miały panie z doświadczeniem wojskowym. Często już się znały, bo walczyły razem o niepodległość w pierwszej wojnie światowej i wojnie polsko-bolszewickiej. Odpadały te o słabej tężyźnie lub z problemami zdrowotnymi – wojny odcisnęły swe piętno, a i sylwetka, i moralność, i zdrowie policjantek miały być bez zarzutu. Musiały świetnie wyglądać zarówno w skromnych sukienkach, jak i w zdobnych sukniach, by pracować pośród biedy i luksusu.

„Są sprawy, w których kobieta musi stanąć przy kobiecie" – powtarzała Paleolog podwładnym.

BIZANTYJSKIE KORZENIE

Stanisława Filipina przyszła na świat w 1892 roku w Rumnie pod Lwowem. Mężczyźni z jej rodziny nosili podwójne nazwisko: Demetraki-Paleolog. Kobiety tylko Paleolog. Ten szczegół pokazywał, kto niósł pamięć rodu. Opowieść o jej przodkach ma początek w niepozornym kawałku marmuru, oprawionym w drewno i oznaczonym datą 1796. Według rodzinnego przekazu początki tej historii sięgają jednak znacznie dalej w przeszłość.

W 1729 roku dwaj bracia Paleologowie mieli uciekać z Grecji po nieudanym spisku pałacowym. Wyruszyli konno, nocą, każdy w inną stronę, każdy z połówką kamienia. Ich połączenie miało w przyszłości pomóc potomkom obu linii rozpoznać się nawzajem.

Dzieje rodu Demetraki-Paleologów prowadzą od Bizancjum, gdzie dynastia ta od XIII wieku władała Cesarstwem Bizantyńskim, przez Bałkany i Węgry, na ziemie polskie. Potomkowie i krewni rodu pojawiali się na tronach Serbii, Bułgarii i Rusi, a dynastyczne małżeństwa przenosiły bizantyńską kulturę, sztukę i symbole na Zachód. Uczeni, artyści i emigranci uciekający przed ekspansją osmańską współtworzyli później intelektualny klimat włoskiego Odrodzenia.

Polska gałąź Demetraki-Paleologów odziedziczyła nie tylko nazwisko, lecz także pamięć o wędrówce i obowiązku wobec nowej ojczyzny. Rodzina stopniowo wrastała w polskie społeczeństwo. Jej członkowie uczestniczyli w życiu lokalnych wspólnot, a w dramatycznym XX wieku angażowali się w działalność niepodległościową, organizacje paramilitarne, polskie podziemie i formacje powstańcze. Wojny ponownie zmuszały ich do wędrówki – przez Rumunię, Włochy i Francję do Anglii.

*Urszula Cur

• Psycholog, młodszy inspektor policji w stanie spoczynku. Ponad 20 lat służyła m.in. w Komendzie Głównej Policji i Centralnym Biurze Śledczym Policji, zajmując się najtrudniejszymi sprawami kryminalnymi i interwencjami kryzysowymi. Specjalizuje się w profilowaniu sprawców przestępstw i psychologii przestępczości. Prowadzi Szkołę Profilowania. Autorka książek „Profil zabójcy" i „Sprawiedliwość dla Gorgonowej". Absolwentka Polskiej Szkoły Reportażu.

eprasa.pl a960e54702

Cesarze i uchodźcy, wojownicy i uczeni, ziemianie, lekarze, inżynierowie i piloci tworzą wielopokoleniową opowieść o rodzie, który zmieniał kraje, dokonując znaczących czynów.

SUROWA I ZDYSCYPLINOWANA

Stanisława – „córka ojca", lecz nie o czułość tu chodzi, a o charakter. Z ojcem, bratem Jerzym i siostrą Heleną działała w „Gniazdach Macierzy" – ogniskach krzewiących kulturę fizyczną i patriotyzm, związanych z „Sokołem". Dewiza ugrupowania brzmiała: „Kto ptakiem przelecieć chce świat, ten skrzydła sokoła od młodych ma lat".

Tam gimnastyka nie była zabawą, a treningiem obywatela. Poprzeczka cnót zawieszona była wysoko. Liczyły się uczciwość, obowiązkowość, odwaga, wytrwałość. Odradzające się państwo próbowało nie tylko odbudować granice, ale także „zregenerować się moralnie i biologicznie" – jak mawiała Stanisława. Wierzyła, że silne państwo musi opierać się na zdrowym, zdyscyplinowanym społeczeństwie. Była racjonalna, surowa i zdyscyplinowana.

Ukończyła szkołę klasztorną sióstr sakramentek we Lwowie. Maturę zdała bez potknięcia, Akademię Handlową ukończyła z dyplomem. Potem pracowała w dyrekcji kolei.

Pierwsze waleczne kroki stawiała na bruku lwowskich ulic, gdy w 1918 roku Ukraińcy chcieli zdobyć miasto. Przy Komitecie Obywatelskim Polek z Marią Dulębianką na czele, zebrały się sanitariuszki. Podpułkownik Aleksandra Zagórska utworzyła z nich oddział siedemnastu kurierek.

Paleolog przedzierała się przez linię bojową z rozkazami, meldunkami i raportami o ruchach wojsk ukraińskich. Przeprowadzała na polską stronę mężczyzn chcących walczyć. Była sprytna: chodziła głównymi drogami, nosiła koszyki, udając, że spieszy na zakupy.

W wieku 26 lat była już adiutantką ppłk Zagórskiej.

TOREBKA Z MIKROFONEM

„W latach 1923-1925 pracowałam jako urzędniczka w klinice uniwersyteckiej w Krakowie. W kwietniu 1925 roku zostałam powołana do organizowania Policji Kobiecej, otrzymałam stanowisko komendantki". Gdy w Polsce powstawały brygady, policja kobieca istniała już w dwudziestu dwóch krajach i miała zasługi w pracy społecznej, m.in. w Stanach Zjednoczonych, Niemczech i Wielkiej Brytanii.

To Polki utworzyły izby zatrzymań dla żebrzących dzieci, bezdomnej młodzieży oraz nieletnich sprawców czynów zabronionych; pracowały w nich funkcjonariuszki po kursach pedagogicznych i psychologicznych.

Jako jedyne miały też zadania stricte policyjne i nosiły broń. Przechodziły takie samo szkolenie jak mężczyźni, między innymi kurs śledczy, na którym uczyły się „grać na fortepianie" – w policyjnym żargonie zdejmować odciski linii papilarnych, fotografii kryminalistycznej i pracy w laboratoriach. Wśród zadań służbowych był udział w rewizjach i przesłuchaniach, prowadzenie niejawnych obserwacji i rozmowy z informatorami. Kluczowe w tym okazały się znajomość języków obcych – angielskiego, rosyjskiego, jidysz oraz budowanie wiarygodnej legendy operacyjnej.

Policjantki w dopasowanych do akcji garderobach działały skutecznie i bez wzbudzania podejrzeń. Kobieca służba śledcza miała nowoczesny sprzęt: szara torebka w kształcie trapezu z małym srebrnym zapięciem, na przodzie, ale od wewnętrznej strony miała zamontowany niewidoczny na zewnątrz mikrofon. Służyła do dyskretnej obserwacji ludzi i miejsc. Policjantki skutecznie gromadziły dowody.

Otrzymywały takie samo wynagrodzenie jak mężczyźni. Jednak mundury mogły nosić dopiero od 1935 roku. Wcześniej pracowały w strojach cywilnych z szarego drelichu: długich, wąskich spódnicach, bluzach zapinanych na męską stronę, beretach oraz czarnych półbutach na obcasie nie wyższym niż cztery centymetry.

ŚWIAT SUTENERÓW I GWAŁCICIELI

„30 policjantek wyrusza dziś z ławy szkolnej na służbę. Zakończył się pierwszy w Polsce kobiecy kurs policji – niewątpliwie to zdarzenie przełomowe w życiu społecznym" – obwieszcza „Kurier Czerwony" w 1925 roku.

„Chciałabym, aby praca utrzymała się na gruncie ideowym. Wejdziemy w stosunki ciężkie: czeka nas walka z handlarzami żywym towarem, walka z prostytucją, praca jest bardzo odpowiedzialna" – zapowiadała komendantka Paleolog.

W alfabetycznym „Skorowidzu osób podejrzanych" Paleolog czarnym atramentem zapisała nazwiska członków żydowskiej szajki „Zwi Migdal" oraz przedstawicieli innych środowisk, w tym Polaków. Policyjny rejestr obejmował handlarzy kobietami, narkomanów, producentów pornografii, kazirodców, gwałcicieli, sutenerów, męskich prostytutek i „pederastów", a także jedną kobietę z adnotacją „miłość lesbijska".

Przy warszawskiej brygadzie sanitarno-obyczajowej otwarto Izbę Zatrzymań dla Nieletnich, aby rozdzielić młodych sprawców od dorosłych; zatrzymani mogli korzystać ze świetlicy, pomocy szkolnych, biblioteczki i radia. Na ulicy Krochmalnej, już z daleka słychać było dziecięcy gwar.

W izbie zatrzymań gwarantowano ciepłą wodę w prysznicu, sypialnie z łóżkiem i ciepłym kocem, jedzenie i opiekę. Sale, które w ciągu dnia były klasą szkolną z tablicą i ławkami do nauki pisania i czytania, gier i zabaw, nocą zamieniały się w bezpieczne miejsce do spania. I całodobową opiekę.

Policyjny rejestr obejmował handlarzy kobietami, narkomanów, producentów pornografii, kazirodców, gwałcicieli, sutenerów, męskich prostytutek i „pederastów", a także jedną kobietę z adnotacją „miłość lesbijska"

Pomysłowość projektantów mebli pozwalała w trzech niezbyt dużych pokojach zmieścić od 30 do 40 łóżek.

WYSZKOLENIE RACZEJ DOBRE

Dzięki profesjonalizmowi i zaangażowaniu policjantki uzyskiwały dobre wyniki. Komisarz Paleolog – Kierownik Referatu Policji Kobiecej Komendy Głównej P.P. nadzorowała pracę wszystkich brygad w kraju. Regularnie przeprowadzała inspekcje, wskazywała uchybienia, zagrożenia oraz określała potrzeby sprzętowe i kadrowe.

Łódź, 14 września 1935
Komendantka zapisuje: stan osobowy brygady powinien wzrosnąć z 16 do 25 szeregowych – z uwagi na 700-tysięczną ludność Łodzi oraz około dwóch i pół tysiąca prostytutek jawnych i tajnych. Władze administracyjne Łodzi nie przejawiają większego zainteresowania pracą brygady.

Za dwa lata łódzki Zarząd Miejski nieodpłatnie ofiaruje budynek wraz z ogrodem na Izbę Zatrzymań dla Nieletnich. Będą tam trafiać dzieci z nędzy: brudu, ścisku, braku higieny. Przeważnie chłopcy, którzy włóczą się, żebrzą, kradną.

Paleolog zaproponuje metodę wychowawczą: utrzymanie porządku w placówce należy do samych zatrzymanych. Ma to zwalczać „wrodzone lenistwo".

Miasto będzie opłacać elektryczność, opał i gaz, finansować obfite, zdrowe wyżywienie, pokrywać koszty zatrudnienia wychowawczyni.

Warszawa, 10–31 maja 1937
Z przygotowaniem do służby policjantek 6. Brygady Kobiecej Wydziału Kryminalnego w Warszawie jest nieźle, ale Paleolog w pokontrolnym raporcie wskazuje słabe punkty:

1. Broń przestarzała, jej przeglądy nieregularne; sprawdzać broń co dwa tygodnie.
2. Wiele policjantek lekceważy polecenia służbowe i nie trzyma się standardów wyznaczonych rozkazami, część choruje „notorycznie", co wymusza konieczność sprawdzenia ich przydatności do służby.
3. Patrole brygady kryminalnej chodzą ulicami miasta głównie między 21 a północą, a potem z nich znikają. Skutek? Po północy pojawiają się prostytutki. Unikają w ten sposób kontroli i szerzą choroby weneryczne.
4. Wykrywanie domów publicznych jest mało skuteczne, a jeśli już któryś jest zamykany, to raczej lokale niższej kategorii, znane policji.
5. I najcięższe zarzuty: brak inicjatywy i brak obserwacji sutenerów i stręczycieli.

Lwów, 1–3 grudnia 1937
Stan osobowy sekcji to dwadzieścia dwie osoby. Wyszkolenie „raczej dobre", ale Paleolog zaleca: policjantki trzeba doszkolić z przepisów o zwalczaniu prostytucji i przestępczości nieletnich, a także zapoznać z działaniami społecznymi w tych obszarach. „Dochodzeń o przestępstwa obyczajowe i seksualne, jak sutenerstwo, utrzymywanie domów nierządu, gwałty, nierząd z nieletnimi, zarażenia chorobami wenerycznymi jest dość dużo. Procent wykrytych i zawyrokowanych jest znaczny". Przeważają dochodzenia o porzucenie dzieci, poronienia, dzieciobójstwa – w większości wykryte i osądzone.

Poznań, 23–26 lutego 1938
Ogólna ocena pracy ośmiu policjantek kryminalnych i sześciu mundurowych – dobra. Przepisy z „czasów zaborczych" wciąż obowiązują i ograniczają rolę policji w zwalczaniu prostytucji. Mimo to „w ostatnich czasach podjęto energiczniejszą walkę z nierządem w lokalach publicznych – restauracjach, kawiarniach itp. – gdzie w tzw. boksach, prostytutki potajemne i jawne, jak również parkietówki (fordanserki), kelnerki i bufetowe uprawiają nierząd z gośćmi".

Społeczeństwo Poznania przyjęło policjantki nieufnie, przykład: „dziecko ułomne – garbusek – chłopiec lat 10 zatrzymany przez policjantki za żebraninę pod kawiarnią. Kładzie się na ziemię i krzyczy: „nie chcę iść z panią, bo mnie pani zabije, nie kradłem, jeść mi się chciało", kopie i gryzie. Publiczność zachowuje się agresywnie, wydziera policjantce dziecko i krzyczy: idź na wschód szerzyć sobie kulturę, tu jesteście niepotrzebne, tu radzą sobie nasi policjanci".

Wilno, 21–25 kwietnia 1938
W służbie śledczej siedem kobiet, w służbie mundurowej dziewięć. Broń utrzymana dobrze, „jednak lufy mają raka" – „zżarte przez rdzę". W 1936 roku domów schadzek było 75, dwa lata później – 42. Dochodzenia prowadzone są sumiennie i wyczerpująco. Potrzeba większej inicjatywy, lepszego wywiadu wśród prostytutek, kelnerek, fordanserek, bo po likwidacji potajemnych domów schadzek ich właściciele otwierają kawiarnie, bary, piwiarnie.

Komisarz Paleolog sugeruje utworzenie izby zatrzymań: „na ulicach Wilna widzi się gromady dzieci żebrzących pod pretekstem sprzedaży kwiatów, cukierków itp., zdarzają się częste wypadki ofiarowania się nieletnich dziewczynek do nierządu."

Kraków, grudzień 1938
W sekcji kobiecej pracuje pięć kobiet i mężczyzna, patrolują ulice dzień i nocą starając się ujawniać tajne prostytutki (zatrzymano ich 150) i wyłapywać unikające kontroli sanitarnych (zatrzymano ich 459).

Jedna z policjantek została upomniana, bo jej zachowanie w służbie i poza nią źle wpływało na postrzeganie całej brygady.

Lublin, kwiecień 1939
W Lublinie jest 100 zarejestrowanych prostytutek i 200 nielegalnych. Resocjalizacja kobiet nie działa, bo komisja sanitarno-obyczajowa w mieście rzadko się zbiera.

Pracę policjantek kom. Paleolog ocenia dobrze, szczególnie wobec sutenerów.

W mieście jest dużo nieletnich żebrzących i włóczących się, dzieci przychodzą z peryferii i ubogich dzielnic do śródmieścia „gdzie natarczywie zaczepiają przechodniów". Zatrzymywane dzieci są zwalniane, bo brakuje instytucji opiekuńczych.

Z raportu kom. Paleolog maluje się obraz miasta: „służące są wyzyskiwane przez chlebodawców w ten sposób, że nie otrzymują żadnych wynagrodzeń pieniężnych tylko mieszkanie i utrzymanie, natomiast na ubranie zmuszane są zarabiać nierządem". Nie zawiadamiają policji w obawie przed utratą pracy.

W KONSPIRACJI I NA OBCZYŹNIE

„Wrzesień 1939 – ze sztabem Komendy Głównej Policji Państwowej wyewakuowana zostałam na Wołyń. Odbiwszy się od sztabu, wcielona zostałam wraz z częścią kompanii szkolnej policjantek do Armii Gen. Kleberga we Włodawie. Policjantki pełniły funkcje sanitariuszek w oddziałach frontowych, mnie zlecono funkcję kuriera między gen. Klebergiem a płk. Brzoza-Brzeziną (...) W końcu października lub w pierwszych dniach listopada wróciłam do Warszawy".

Policjantki z brygad kom. Paleolog działały w konspiracji jako kurierki, łączniczki i agentki wywiadu Polskiego Państwa Podziemnego, a część z nich pomagała cywilom uniknąć wywózek i obozów zagłady. Paleolog po powrocie do Warszawy, do czerwca 1943 pracowała w kontrwywiadzie wojskowym. Organizowała kobiece brygady wywiadowcze, szkoliła kobiety pracujące w fabrykach opanowanych przez Niemców, współtworzyła podziemne struktury policyjne. W momencie wybuchu powstania zgłosiła się do Oddz. II grupy „Chrobry".

Swój życiorys napisała do akt weryfikacyjnych w 1946 roku. „Po nawiązaniu kontaktu z władzami pracuję dalej jako robotnica przy obróbce granatów. Po powstaniu dn. 6.X. znalazłam się w szpitalu Czerwonego Krzyża przy Jaworzyńskiej – zakażenie krwi wskutek zatarcia pilnikiem palców, później zachorowałam na zapalenie opłucnej z wysiękiem. Wskutek zasypania w kamienicy przy ul. Górskiego, złamanie obojczyka i uszkodzenie kolana, obecnie czeka mnie operacja kolana (...) Po wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski Urząd Bezpieczeństwa wszczął poszukiwania za mną – musiałam się ukrywać, wskutek ciężkich warunków materialnych przyjęłam pracę w Instytucie Higieny Psychicznej. Byłam kierowniczką administracyjną Instytutu i asystentką prof. Dąbrowskiego. Równocześnie zostałam przyjęta na drugi rok studiów Higieny Psychicznej. W październiku 1945 musiałam przerwać pracę, gdyż w związku z moją sprawą aresztowano jednego z członków mojej rodziny. W lipcu 1946 roku nie mając środków do życia, przyjęłam pracę w szpitalu chorych na gruźlicę kostną dzieci – pracowałam pod zmienionym nazwiskiem jako dozorczyni nocna, przy 130 dzieciach, obsługa trzech pięter, sześć nocy tygodniowo. 10. VIII. wyjechałam za granicę i dn. 12.09.46 przyjęta zostałam do 2-go korpusu".

Ostatnie 11 lat życia spędziła w szpitalu w Penley, sparaliżowana po wylewie. „Major Stanisława Demetraki–Paleolog, organizatorka, Komendantka kobiecej Policji w Polsce, ukochana siostra i bratowa zmarła 4.12.1968 przeżywszy lat 76" – głosi napis na nagrobku w Manchesterze. Walka o Polskę, tworzenie policji kobiecej i obrona praw najsłabszych wyrastały u Stanisławy prawdopodobnie z tego samego przekonania: że wolność i odpowiedzialność za innych współistnieją. A solidarność kobiet jest wtedy, gdy jedna z nich decyduje się stanąć przy drugiej. ●

1 RP

eprasa.pl a960e54702

WIECZNY BLASK KONSTANTYNOPOLA

Mówisz: „Bizancjum”, myślisz: „amoralny przepych”. Ten stereotyp przygasza blask tysiącletniego mocarstwa. Ale nawet okruchy cesarskiej stolicy przykryte warstwami osmańskiego Stambułu, pokazują potęgę dziedzica Imperium Romanum.

Beata Maciejewska



• **Wnętrze meczetu Hagia Sophia, kiedyś kościoła Świętej Mądrości Bożej, przez 1000 lat największej chrześcijańskiej świątynii**

FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wielbiciele Jamesa Bonda zapewne pamiętają nakręcony w 1963 roku film „Pozdrowienia z Rosji”, w którym młody Sean Connery płynie łodzią przez upiorne podziemia, między marmurowymi słupami wyrastającymi z wody, żeby zakraść się do sowieckiej ambasady. To Cysterna Bazyliki, zbiornik na wodę o pojemności 100 tysięcy metrów sześciennych, wsparty na 336 kolumnach, brzuch Konstantynopola.

Tytułowemu bohaterowi powieści Umberta Eco, czternastoletniemu Baudolinowi, skojarzyła się z „bazyliką czy kościołem opackim całkiem do góry nogami, jako że nawet światło, które ledwie muskało rozpływające się wśród cieni wysokich sklepień kapitele, nie padało z rozet czy witraży, lecz z wodnej posadzki odbijającej ruchome błyski pochodni”.

Zbiornik wybudowano na rozkaz cesarza Justyniana I, zajął miejsce bazyliki św. Eliasza, zniszczonej podczas powstania Nika, ludowej rewolty, wywołanej brakiem zgody Justyniana na zmniejszenie podatków. Miał być magazynem wody dla Wielkiego Pałacu, gdyby wojna lub zamieszki zablokowały akwedukty. Dziś przyciąga tłumy turystów, godzinami trzeba czekać na wejście, ale spacer w mroku, w gąszczu kolumn wyciągniętych przez budowniczych ze zrujnowanych świątyń – są i doryckie, i jońskie, i korynckie, choć i tak wszyscy fotografują kapitele z głowami Meduzy – nad taflą wody, w której przemykają ryby, jest tego wart.

POTĘŻNE MURY I WYKWINTNE MOZAIKI

Podobne zainteresowanie budzi Hagia Sophia, kościół Świętej Mądrości Bożej, obecnie meczet, a przez 1000 lat największa chrześcijańska świątynia. Gdy wysłannicy księcia Włodzimierza Wielkiego, władcy Rusi, zobaczyli sprawowaną tu liturgię, poczuli się jak w niebie i według Latopisu Nestora wyznali, że nie ma „na ziemi takiego widowiska ni piękna takiego, i nie wiemy, jak opowiedzieć o tym, tylko to wiemy, że tam Bóg z ludźmi przebywa, i nabożeństwo ich najlepsze ze wszystkich krajów”.

Nie poruszył ich amoralny przepych lub prostacki luksus, ale wyrafinowane piękno, mistycyzm i łączność ze Stwórcą.

A przy tym to także dzieło wykorzystane do politycznej propagandy, w plecionkach kapiteli kolumn znajdują się greckie monogramy cesarza Justyniana i cesarzowej Teodory, zaś cała budowla jest materialnym znakiem potęgi i wspaniałości imperium. Czy może być inwestycja bardziej użyteczna?

Mury obronne cesarza Teodozjusza II, wzniesione w V wieku też nie są dowodem nadmiaru, ale potrzeby, żeby ochronić stolicę przed atakami Persów, Awarów, Słowian, Arabów, Bułgarów, Rusów, Seldżuków i Pieczyngów. Fortyfikacje mogło obsadzić 10 tysięcy żołnierzy. Ta kombinacja fos i wysokich na kilkanaście metrów murów z wieżami nadal robi piorunujące wrażenie, więc podróżnicy odwiedzający Konstantynopol w czasach jego świetności musieli uznać, że jest niezwyciężony.

Trzeba też zajrzeć do Muzeum Mozaik, kryjącego pozostałości po Wielkim Pałacu. Nie ma już wprawdzie Porfirowej Komnaty, wyłożonej od podłogi po sufit kamieniem w kolorze cesarskiej purpury (sprowadzano go z góry Gebel Dokham w Egipcie, ale występuje też w Sudetach i w Małopolsce), w której cesarzowe rodziły przyszłych władców świata obdarzonych tytułem Porfirogenety, za to zachowały się mozaiki zdobiące portykowy dziedziniec pałacowy.

Szacuje się, że zajmowały powierzchnię 1900 metrów kwadratowych, zostały ułożone z 80 milionów wielokolorowych sześcianów o bokach długości 5 milimetrów. Do naszych czasów zachowała się zaledwie jedna czwarta, ale dają wyobrażenie o splendorze cesarza, który wprawdzie miał boskie wsparcie, jednak bardziej potrzebował akceptacji obywateli i przed nimi odpowiadał.

GRECKA KOLONIA

Z rekonstrukcją całego Konstantynopola już trudniej sobie poradzić, a złożenie obrazu cesarstwa bizantyjskiego z okruchów architektury, dzieł sztuki, kronik i relacji podróżników jest wielkim wyzwaniem nawet dla historyków bizantynistów. Bo trzeba stworzyć panoramę potężnego państwa, będącego łącznikiem między antykiem a czasami nowożytnymi, zbudowanego z nachodzących na siebie kręgów kultury grecko-rzymskiej, hebrajsko-chrześcijańskiej i orientalnej, z tysiącami urzędników i systemem prawnym, do którego wciąż się odwołujemy, trwającego ponad tysiąc lat.

Podjął się tego amerykański historyk greckiego pochodzenia, Anthony Kaldellis, w polskich księgarniach można kupić I tom jego historii Bizancjum „Nowe Imperium Rzymskie. Przebudzenie Wschodu”, wydany przez Znak.

Nowe Imperium Rzymskie, bo jego mieszkańcy uważali się za Rzymian, po grecku ο??ωμα? οι, a władcy za sukcesorów rzymskich cesarzy. Bizancjum to termin ukuty przez nowożytnych historyków, od pierwotnej nazwy Konstantynopola, który narodził się ok. 660 roku p.n.e. jako grecka kolonia Byzantion.

Według legendy zawdzięczała swoje imię królowi Byzasowi, synowi Posejdona i nimfy Keroessy, ale parantele z bogami olimpijskimi nie zacierają skromnych początków. Bo cóż znaczyła grecka kolonia z kilkoma tysiącami mieszkańców wobec miasta, z którego wola Konstantyna uczyniła pępek świata. To nie Byzantion, ale Konstantynopol stał się centrum imperium, mającego w szczycie ekspansji 27 mln mieszkańców.

KONSTANTYNOWI JUŻ DZIĘKUJEMY

„11 maja 330 roku słońce, wschodzące znad azjatyckich wzgórz na wschodnim brzegu Bosforu, po raz ostatni zaświeciło nad starożytnym miastem Byzantion – pisze Anthony Kadellis. – Tego dnia cesarz Kon-

eprasa.pl a960e54702

stantyn dokonał ponownej fundacji miasta i zadedykował je sobie oraz rzymskiej bogini Fortunie. (...) promienie odbijały się od konturów najwyższej budowli w mieście – kolosalnego posągu samego Konstantyna. Pokryty brązem monument przedstawiał nagiego mężczyznę z głową zwieńczoną promienną koroną, w prawej ręce dzierżącego włócznię, a w lewej — kulę ziemską, symbolizującą jego uniwersalną władzę nad światem".

Kolumna z porfiru stoi do dziś, choć jest okaleczona i spięta trzema pierścieniami. Posąg Konstantyna strąciła w 1106 roku wichura, więc zastąpiono go złotym krzyżem, który przetrwał trzysta lat. Symbol miasta, święty i wieczny.

Według legendy w podstawę kolumny wmurowano relikwie Krzyża oraz laski Mojżesza, przywiezione przez cesarza Konstantyna, a mieszkańcy powtarzali przepowiednię, że gdy wróg będzie wkraczał do miasta, z kolumny zstąpi anioł z mieczem, wręczy go nieznanemu przechodniowi, a ten stanie na czele ludu Konstantynopola i pokona najeźdźców.

Cud się nie zdarzył, choć według kronikarzy bizantyjskich 29 maja 1453 roku pod kolumną zgromadził się tłum czekający na anioła. Osmanowie weszli do Konstantynopola, cesarz Konstantyn XI Paleolog zginął w walce o swoją stolicę, a Mechmed II Zdobywca przyjął tytuł sułtana Rzymu.

PRZEPIS NA STOLICĘ

Ale zanim do tego doszło, miasto przeżyło wieki chwały. Jak przekonuje Anthony Kaldellis, nie przez przypadek dostało pierwszoplanową rolę. Znakomicie położone, w równej odległości od Eufratu i od górnego Dunaju, kontrolowało Bosfor, wąskie gardło komunikacji morskiej i węzłowy punkt imperium. Nadawało się na centralny ośrodek władzy, miało być klamrą spinającą Europę i Azję. „Wschód cesarstwa potrzebował nie tyle cesarzy wędrujących po prowincjach, ile własnego Rzymu" – pisze Kadellis.

Byzantion od 73 roku był rzymski i z Rzymem łączył się wschodnim odgałęzieniem via Egnatia, drogi kończącej się nad Adriatykiem. A choć określenie „Rzym Wschodu", „drugi Rzym" wydaje się go deprecjonować, bycie tym drugim nie oznaczało bycia gorszym.

Nie od razu był równorzędny z pierwszą stolicą Imperium, ale błyskawicznie budował pozycję. Konstantyn wytyczył miasto na wyrost, kazał otoczyć murami puste pola, zajął powierzchnię trzy razy większą niż terytorium Byzantionu. Powiększył też hipodrom i zadbał o stworzenie systemu bezpłatnego rozdawnictwa 80 tysięcy porcji chleba i oliwy.

Zakładał, że miasto będzie tak ludne, iż nie wyżywi mieszkańców, korzystając jedynie z bezpośredniego zaplecza gospodarczego. Zależnie od wielkości tych przydziałów, można było zapełnić brzuchy nawet 160-240 tysięcy ludzi. Warzywa i mięso dostarczały pobliskie gospodarstwa wiejskie, Bosfor był niewyczerpanym rezerwuarem ryb, ale zboże było najważniejsze.



• **Flota krzyżowców pod Konstantynopolem podczas czwartej krucjaty w 1203 roku**

FOT. HISTORY_DOCU_PHOTO / ALAMY STOCK PHOTO / BE&W

Szacuje się, że mozaiki w Wielkim Pałacu zajmowały powierzchnię 1900 metrów kwadratowych, zostały ułożone z 80 milionów wielokolorowych sześcianów o bokach długości 5 milimetrów

Skala dostaw z Egiptu, ale także z Tracji, Krymu, Azji Mniejszej i Syrii, była tak wielka, że morze przy wejściu do stołecznego portu wyglądało jak drewniane miasto. W przeszłości Egipt wysyłał nadwyżki produkcji zbożowej do Rzymu, teraz statki obierały kurs na Bosfor.

„Oznaczało to, że Konstantyn chciał, aby Rzym się skurczył, żeby Konstantynopol mógł się rozwijać. Nowy Rzym dosłownie wyrywał jedzenie z ust swojej matki" – twierdzi Anthony Kaldellis.

CESARZ KARMI, LUD KLASZCZE

Państwowe piekarnie piekły chleb, żeby był gotowy przed świtem, a tysiące „obywateli rzymskich", jak nazywano ich w przepisach dotyczących wydawania darmowej żywności, ustawiało się przed centrami dystrybucji. Trzymali w dłoniach żetony z brązu, na których zapisano imię posiadacza/posiadaczki i wielkość przydziału.

Zdarzyło się za panowania Konstantyna, że niekorzystne wiatry opóźniały przybycie floty zbożowej, więc cesarza powitały na hipodromie słabe oklaski. Zrozumiałe, że popadł w zły nastrój, bo głodni obywatele są więcej niż niebezpieczni i znalazł kozła ofiarnego w osobie pogańskiego filozofa, któremu zarzucono powstrzymywanie wiatru za pomocą magii. Skazał go na śmierć, bo pełne spichlerze były ważniejsze nawet od pełnego skarbca.

„Aby mieszkaniec stolicy Nowego Rzymu mógł otrzymać żeton uprawniający do otrzymania zasiłku żywnościowego, początkowo oczekiwano od niego, że w przyszłości zbuduje lub kupi w Konstantynopolu dom, a później wręcz tego wymagano"– pisze Kaldellis.

Interes wydaje się korzystny: zainwestuj w Nowy Rzym, a będziesz dostawać darmowy chleb do końca życia. Ale wybrańcy dostali darmowy chleb, a nawet darmową rezydencję bez żadnych warunków. Wystarczyło być senatorem w Rzymie i podążyć za cesarzem do nowej stolicy.

Dołączyli do nich wkrótce senatorowie ze wschodnich prowincji, a ich gospodarstwa domowe przypominały małe dwory: dalsza rodzina, niewolnicy, „zarządcy, rachmistrzowie, chłopi, rzemieślnicy, kucharze, piekarze, winiarze, myśliwi, malarze i ludzie dostarczający wszelkiego rodzaju przyjemności". Szczególnie ta ostatnia kategoria rozpala wyobraźnię. Sądząc po surowych kazaniach ówczesnych biskupów, choćby Bazylego Wielkiego, doktora Kościoła, uważanego za ojca wschodniego monastycyzmu, przyjemności były grzeszne. Dostarczali je mimowie, błazny, muzycy, tancerki, chłopcy ufryzowani jak dziewczęta i oczywiście same dziewczęta, obowiązkowo pozbawione wstydu.

Kaldellis wyliczył, że skromne gospodarstwo senatora na Wschodzie, nawet bez nieskromnych dziewcząt i chłopców, liczyło około 30 osób. A ponieważ mniej więcej w 400 roku w Konstantynopolu mieszkało około 2,5 tysiąca urzędników rangi senatorskiej, to w stolicy żyło 75 tysięcy ludzi zależnych od jej czołowych mieszkańców lub z nimi powiązanych. Następcy Konstantyna wzmacniali rangę senatu, a Konstantynopolem zarządzali jak Rzymem, wprowadzając m.in. instytucję prefekta, reprezentującego władcę w czasie jego nieobecności, dbającego o bezpieczeństwo publiczne i porządek.

POGAŃSCY BOGOWIE PŁACĄ ZA SPLENDOR

Koszt założenia takiego miasta był gigantyczny, nakładane na mieszkańców podatki nie były w stanie sfinansować inwestycji. Konstantynopol przypominał gigantyczny plac budowy, a ktoś musiał zapłacić za te kościoły, gmachy użyteczności publicznej, akwedukty, otaczającą forum dwupoziomową kolumnadę z białego marmuru i fontannę z posągami dwunastu syren lub hippokampów ustawionych na wysokich kolumnach. Chrześcijański cesarz sięgnął po skarby pogańskich świątyń.

Złote i srebrne posągi przetapiał na monety, brązy i marmury kazał ustawiać w miejscach publicznych dla ozdoby. Św. Hieronim ze Strydonu napisał, że Constantinopolis dedicatur omnium paene urbium nuditate (Konstantynopol został poświęcony kosztem ogołocenia niemal wszystkich miast).

Pogańscy bogowie subsydiowali budowę Nowego Rzymu, pisze Anthony Kaldellis.

Ogromne drzwi do budynku senatu pochodziły ze świątyni Artemidy w Efezie. Zdobiły je sceny z Gigantomachii, które mogły Konstantynowi sprawiać dużo radości. Płaskorzeźby przedstawiały bogów walczących z gigantami o wężowych kończynach, a Konstantyn nazywał swojego pokonanego rywala, cesarza Licyniusza, „wężowym potworem".

Z kolei na hipodromie stanęła Kolumna Wężowa, przywieziona przez Konstantyna ze świątyni Apollina w Delfach. Monument upamiętniał zwycięstwo greckich polis nad Persami w bitwie pod Platejami, miał początkowo postać trzech węży splecionych ze sobą, unoszących na głowach złotą urnę.

RZYM JEST JEDEN

Miasto było coraz bardziej żarłoczne, wysysało nie tylko dzieła sztuki, ale i zdolnych ludzi. W ciągu dwóch wieków Konstantynopol zamienił się w półmilionową metropolię. Ludzie umierali tu w szybszym tempie niż mieszkańcy wsi, z powodu chorób, pożarów i przemocy mógł tracić co roku 1 procent populacji, ale i tak się rozrastał dzięki nieustannej migracji ludności z prowincji. Ciągnęli do Konstantynopola w nadziei na lepsze życie, szli piechotą aż z Bałkanów, „w zgrzebnych płaszczach na grzbiecie, do których wychodząc z domu, włożyli tylko kilka sucharów".

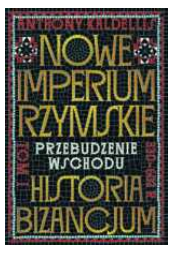
To cytat z „Historii sekretnej" Prokopiusza z Cezarei, inteligentnego paszkwilu politycznego, napisanego przez wysoko postawionego urzędnika cesarskiego i najsłynniejszego historyka bizantyjskiego. Być może chciał odreagować uciążliwości pisania dzieł pochlebnych, a może zawiedzione nadzieje dworskiego lizusa sprzęgły się z jakimiś machinacjami politycznymi – w każdym razie stworzył diabelski portret cesarza Justyniana oraz Teodory.

Ona to wszetecznica, a opisy jej wyuzdania to lektura dla dorosłych. On łajdak z gminu, którego wuj, poprzedni cesarz Justyn, był jednym z owych bałkańskich migrantów, mających garść sucharów za cały majątek.

Justynian też był synem prostego chłopa, urodził się na terenie dzisiejszej Macedonii Północnej jako Petrus Sabattius, a do Konstantynopola został sprowadzony przez wuja już jako nastolatek. Nie przyszedł na świat w Porfirowej Komnacie, ale w Bizancjum pochodzenie społeczne, wykształcenie ani majątek nie stanowiły przeszkody w wyborze na cesarza.

Bo cesarz był wybierany, a odpowiedzialność za wyniesienie nowego bazyleusa ponosili senat, wojsko, lud stolicy i jej biskup. Sukcesja dynastyczna nie obowiązywała, choć cesarze starali się zapewnić władzę swoim potomkom, mianując ich współcesarzami. Tytuł porfirogenety też ułatwiał dojście do tronu.

Za czasów Justyniana Cesarstwo Bizantyjskie osiągnęło największą świetność w dziejach. W 476 roku Odoaker usunął z rzymskiego tronu Romulusa Augustulusa, więc władający Konstantynopolem stali się jedynymi, którzy mogli się nazywać rzymskimi imperatorami, a ich miasto przestało być „drugim Rzymem". Stało się numerem pierwszym. ●



Nowe Imperium Rzymskie. Przebudzenie Wschodu. Historia Bizancjum tom 1

Anthony Kaldellis
Tłum. Arkadiusz Bugaj
Znak Horyzont

1 RP

eprasa.pl a960e54702

ŻYWOT PANÓW BRACI



W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**
Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

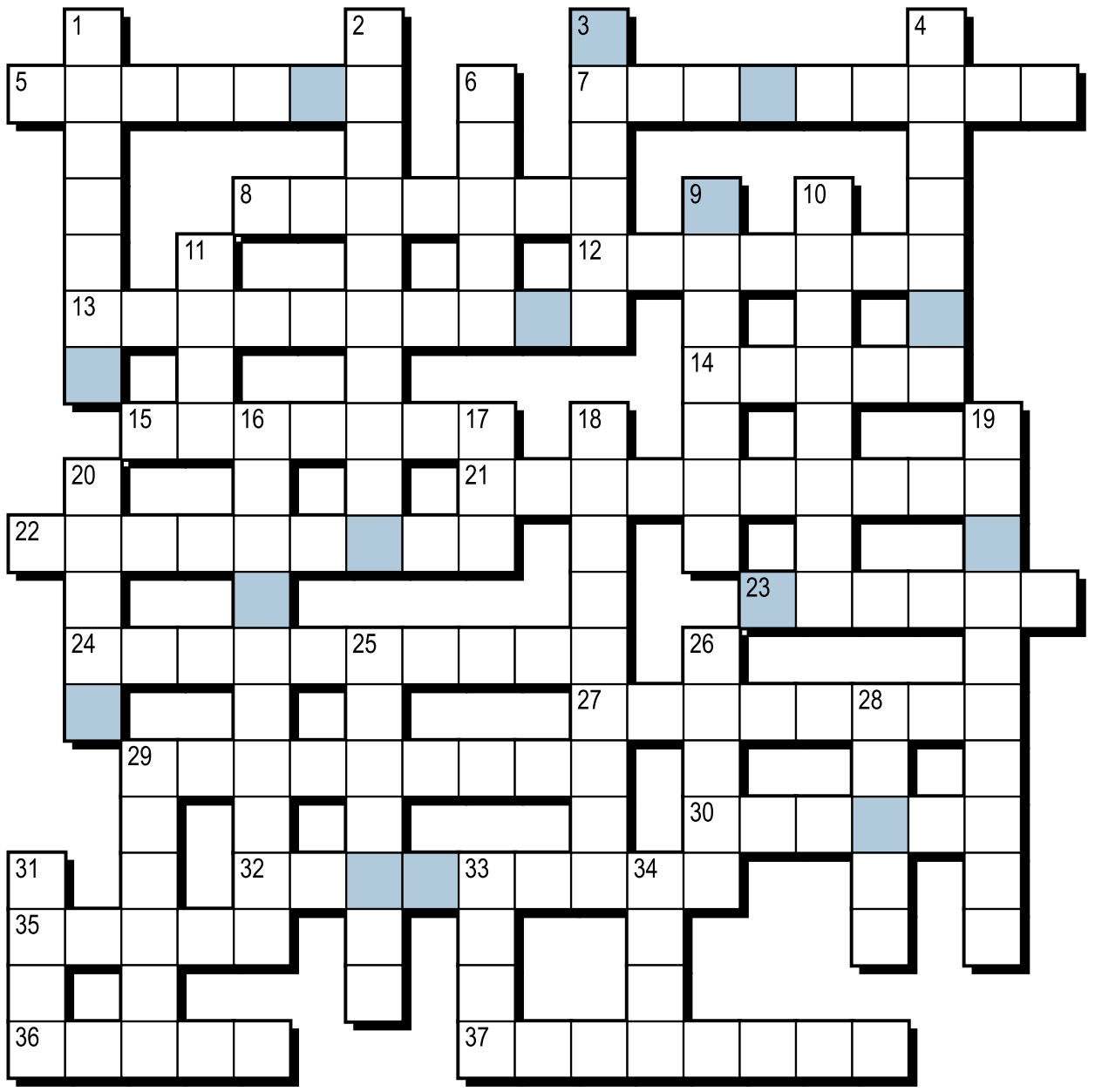
KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

Kraj/34444595

eprasa.pl a960e54702

weekendówka nr 226



WIĘCEJ ŚWIATŁA!

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
5) świecenie przerywanym światłem
7) imię Konarskiego i Staszica, ważnych postaci polskiego Oświecenia
8) reflektor samochodowy
12) w nich mocuje się żarówki
13) Thomas Alva Edison ze względu na narodowość
14) „Nocna ... żarówki", w repertuarze Starego Dobrego Małżeństwa
15) intensywność światła
21) imię piosenkarki śpiewającej: „Nad ogromną betonową wsią z wolna gaśnie słoneczna żarówka"
22) o czymś zasilanym prądem
23) nocna – na stoliku w sypialni
24) żarówki – z lampy (trzeba dać nową)
27) latarka na głowie grotołaza, górnika
29) „... i Gwiazda Wieczorna", czeska baśń filmowa
30) w pokoju ucznia, z lampką
32) lampy obrazowe stosowane w dawnych telewizorach
35) nocą oświetlana latarniami
36) surowiec na bańkę żarówki
37) ... światła, wykorzystana w słynnym wzorze Einsteina

Pionowo:
1) jednostka mocy (kW)
2) omiatają koncertową scenę
3) gaz szlachetny stosowany do wypełniania żarówek o dużej mocy
4) języczek ognia
6) gaz szlachetny używany jako wypełniacz lamp jarzeniowych
9) gaz szlachetny z takim samym zastosowaniem jak 3 pionowo
10) osadzona w lichtarzu
11) sklep, w którym można dostać np. wiekowe lampy
16) lampa niegasnąca na wietrze (żeglarze podpowiedzą)
17) owad lgnący do światła
18) żaróweczka naszej planety
19) cecha światła rażącego oczy
20) tłuszcz w kaganku
25) poetycko o braku światła (jak pomieszczenie z utrwalaczami)
26) potocznie o sygnałach świetlnych i dźwiękowych radiowozu, karetki (jechać na ...)
28) trzeba go wytężać w półmroku
29) wśród trunków wlewanych do lampki
31) jednostka natężenia oświetlenia
33) wiązka światła
34) elektryczność

Leszek Rydz

Rozwiązania weekendówki nr 225 z 10 października (krzyżówka wietrzna)

POZIOMO:
5) Margaret Mitchell 10) imię 11) Krakowski spleen 13) władca 14) peryfraza 15) zakłócenia 18) Orkiestra 19) walka 22) zefir 24) kołysanka 26) Elton John 28) wojna 30) zamiecie 31) wiry 32) wietrzyk 33) Atlantyk 34) Jontek 35) wiatrowskaz

PIONOWO:
10) jaskółka 2) trwoga 3) smok 4) ptaszek 6) grajdołek 7)halny 8) linia 9) cisza morska 12) stopnie 15) zawierucha 16) siły 17) ospa wietrzna 18) orkan 20) latawce 21) Anna Jantar 22) zboża 23) fen 25) łapanie 27) zeskok 29) grzywna 31) Wenus

HASŁO: Wind of Change

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34455562

DO 24 PAŹDZIERNIKA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej"

— **na listopad** u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



*Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej". Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi. Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej". Co zrobić, by zostać członkiem Klubu: 1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-16). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej.
**Cena sugerowana. Kwota oszczędności wynika z różnicy ceny sugerowanej i sumy cen codziennej sprzedaży detalicznej.

1 RP

eprasa.pl a960e54702

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza



NARGES MOHAMMADI

Kobieta, życie, wolność!

– z laureatką Pokojowej Nagrody Nobla rozmawia Paulina Reiter

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl **NR 41 (1412)** SOBOTA – CZWARTEK, 17-22 PAŹDZIERNIKA 2026

Wywalczymy świetlaną przyszłość



JOANNA WRÓŻYŃSKA

Sytuacja praw człowieka w Iranie jest bardzo poważna, a więzienia i kara śmierci to jedne z największych przyczyn mojego niepokoju" – mówi Paulinie Reiter Narges Mohammadi, irańska aktywistka, obrończyni praw człowieka i dziennikarka, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla, którą irański reżim skazał łącznie na czterdzieści cztery lata pozbawienia wolności. Władze Iranu wielokrotnie wykorzystywały przeciwko Mohammadi szeroko definiowane zarzuty dotyczące „bezpieczeństwa narodowego" i „propagandy" lub oskarżały ją o zakłócanie porządku publicznego. Organizacje takie jak Amnesty International i Human Rights Watch uznają prowadzone przeciwko niej postępowania za represje związane z pokojową działalnością na rzecz praw człowieka.

Obawy Mohammadi nie są bezpodstawne. 21 września 2026 r. Radzie Praw Człowieka ONZ został przedstawiony „Raport niezależnej międzynarodowej misji ustalającej fakty dotyczące Islamskiej Republiki Iranu" („Report of the independent international fact-finding mission on the Islamic Republic of Iran"), który dotyczy przede wszystkim represji władz irańskich związanych z protestami rozpoczętymi w grudniu 2025 r. Impulsem dla tych protestów był gwałtowny kryzys gospodarczy, ale protestujący Irańczycy szybko zaczęli się też domagać zmiany systemu politycznego. Autorzy raportu stwierdzili, że część naruszeń popełnionych przez władze Iranu w związku z tłumieniem protestów stanowi zbrodnie przeciwko ludzkości.

Protesty z grudnia 2025 r. były kolejną już odsłoną narastającego sprzeciwu wobec władz Islamskiej Republiki Iranu. We wrześniu 2022 r., po śmierci Mahsy Amini, irańskiej studentki aresztowanej przez policję obyczajową za rzekome ignorowanie przepisów dotyczących zasłaniania włosów, setki tysięcy Irańczyków, w tym tysiące kobiet, wyszły na ulice protestować przeciwko obowiązkowi noszenia hidżabu, dyskryminacji kobiet i represjom władz. Od haseł wykrzykiwanych przez protestujących ruch zaczęto określać mianem Kobieta, Życie, Wolność (Woman, Life, Freedom). To samo hasło skandowała Mohammadi, wychodząc z więzienia.

Opisując represje z lat 2025-26, autorzy raportu odnoszą się też do protestów „Kobieta, życie, wolność", dowodząc, że system dyskryminacji kobiet nie został w Iranie zlikwidowany. Dodają, że nie rozliczono sprawców przestępstw, które w poprzednich raportach zakwalifikowali jako obejmujące m.in. zbrodnie przeciwko ludzkości. Także inne materiały Rady Praw Człowieka ONZ wskazują na przypadki egzekucji kobiet.

Sytuacja praw kobiet w Iranie pozostaje bardzo trudna i nie chodzi tylko o doraźne działania władz, ale o zapisy prawa. Kobiety są karane za brak nakrycia głowy, dyskryminuje je prawo rodzinne. Przemoc domowa, gwałt małżeński nie są penalizowane, już 13-latki można legalnie wydać za mąż. „Jestem pewna, że wywalczymy dla siebie świetlaną przyszłość" – przekonuje mimo wszystko Mohammadi, choć ją samą opór wobec władz kosztował bardzo wiele. I dodaje: „Walka będzie trwała nadal, aż do czasu, kiedy osiągniemy wolność, równość i demokrację". ▲

| **Joanna Wróżyńska** – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EKSTRA"

■ **NA OKŁADCE:** Florence Pugh - nowa gwiazda ■ **TEMAT NUMERU:** • Jedzenie to nowa religia: Czy dieta może nas ocalić? ■ Sydney Sweeney i kolejne skandale ■ Zuzanna Witych: Mistrzyni świata we freeridzie ■ Wojciech Chmielarz: O „Lalce", klasowości i miłości ■ Tom Holland – męskość bez schematów ■ Wegedzieci: Co jedzą na bezmięsnej diecie ■ Bogna Sworowska: Silver modelka projektuje ■ Kremy od lekarza ■ Desery Rozkosznego ■ Japońskie smaki: Doświadczyć omakase

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Joanna Wróżyńska

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Joanna Dzik

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Klaudia Koźlińska

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl

SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz

DYREKTOR SPRZEDAŻY:
Bartosz Wysocki
PROMOCJA:
Katarzyna Stożek

DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 41 (1412)
NA OKŁADCE:
NARGES MOHAMMADI
FOT. NARGES FOUNDATION





TRIO WOKÓŁ OCZU



Trzy nowości pod oczy: serum Kloo ma redukować cienie i opuchliznę, wygładzać i nawilżać skórę – zawiera kwas traneksamowy, tripeptyd i kofeinę ***(15 ml/99 zł)***; krem Neurae obiecuje rozświetlenia i rozluźnienia skóry „jak po botoksie" – zawiera ekstrakt z rukwi wodnej, z alg, z eperui, tarczycy alpejskiej i czerwonego indygowca ***(15 ml/340 zł)***; świeży krem bez konserwantów (ważny 2,5 mies.) Fridge z kofeiną i ekstraktem kawowym działa przeciwobrzękowo. ***(15 ml/179 zł)***



WŁOS POD NOS

Zapach na włosach utrzymuje się dłużej niż na skórze, dlatego coraz częściej powstają perfumy do włosów o lekkich recepturach, opartych na naturalnych składnikach, które nie wysuszają włosów. Neboa proponuje aż siedem kompozycji. ***(50 ml/34 zł, Rossmann)***



ANTYGRAWITACJA

Nowa linia BANDI Medical Expert Anti Gravity powstała dla skóry z obniżoną gęstością i jędrnością. Kluczowym składnikiem jest α-kompleks Marine V-Lift, łączący ekstrakt z czerwonej algi *Gigartina stellata* oraz fermenty bakterii, peptydy i krzem. ***(Liftingujący krem na dzień, 50 ml/99 zł)***



PIĘĆ RAZY MOCNIEJ

Każde z trzech serum Sesdermy The Power of 5 wykorzystuje pięć form jednego składnika aktywnego (wit. C, retinoidów lub kwasu hialuronowego), zamkniętych w liposomach. Dzięki temu mogą one skuteczniej docierać w głąb naskórka, być lepiej tolerowane. ***(C-Vit 5, 30 ml/243 zł; Reti Age 5 – 283 zł; Hidraderm Hyal 5 – 216 zł)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE; OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

NARGES MOHAMMADI

Drzwi *więzienia*

Życie jest dla mnie nieodłącznie związane ze stawianiem oporu





Z **NARGES MOHAMMADI**
ROZMAWIA **PAULINA REITER**

Do dziś Narges Mohammadi, irańska aktywistka, obrończyni praw człowieka, dziennikarka i naukowczyni, otrzymała wyroki skazujące ją łącznie na 44 lata pozbawienia wolności i 154 baty. Na skutek kolejnych aresztowań spędziła 161 dni w izolatkach, a konsekwencje, jakie miało to dla jej psychiki, opisuje w książkach: najnowszej – „Nigdy nie przestanę walczyć", i wcześniejszej – „Biała tortura", na którą złożył się opis jej doświadczeń i rozmowy z dwunastoma innymi więźniarkami politycznymi. W 2015 roku jej dzieci wraz z mężem Taghiem Rahmanim, dziennikarzem, aktywistą, opozycjonistą, który również spędził kilkanaście lat w więzieniu, zostały zmuszone do uchodźstwa z Iranu. Od tego czasu Mohammadi nie widziała ich na żywo. To one w jej imieniu odbierały Pokojową Nagrodę Nobla za działalność na rzecz praw człowieka, a szczególnie praw kobiet w Iranie.

„Jestem jedną z miliona dumnych, wytrwałych Iranek, które powstały przeciw uciskowi, represjom, dyskryminacji i tyranii. Wspominam dziś wszystkie te dzielne kobiety, które poświęciły się, by stawić opór nieubłaganej opresji w różnych sferach życia. Piszę te słowa zza wysokich, zimnych murów więzienia. Jestem więźniarką, która przeżywając głębokie cierpienie spowodowane brakiem wolności, równości i demokracji, odnalazła sens swojego życia oraz wiarę" – pisała w przemyconym z więzienia wykładzie noblowskim.

Wspomnienia, które złożyły się na książkę „Nigdy nie przestanę walczyć", Narges Mohammadi zaczęła pisać w 2017 roku, gdy odsiadywała wyrok w więzieniu Evin, jednym z najcięższych w Iranie, gdzie przemoc i tortury są codziennością. W maju 2016 roku została skazana w Teheranie na 16 lat więzienia za utworzenie i przewodniczenie ruchowi na rzecz praw człowieka, który prowadzi kampanię przeciwko karze śmierci w Iranie.

W grudniu 2019 roku, po proteście okupacyjnym przeciwko zabijaniu ludzi biorących udział w masowych demonstracjach, który urządziła w więzieniu wraz z kilkoma towarzyszkami z celi, została pobita i przeniesiona na oddział ogólny więzienia w Zandżanie. Wszystkie jej rękopisy, prawie dwanaście zeszytów, zostały w Evinie, a jej koleżanki z celi podarły je, by nie wpadły w ręce strażniczek.

Kiedy ponownie trafiła na oddział kobiecy w Evinie, podjęła na nowo pisanie. Notesy i długopisy można kupić w więziennym sklepiku, a robienie zapisków jest dopuszczalne. Zakazane natomiast jest szmuglowanie zapisków na zewnątrz. Jednak celem Mohammadi było właśnie to – by jej słowa przekroczyły mury więzienia, by świat je przeczytał. Okazję do wyniesienia ich dawały widzenia z bliskimi, choć wiązało się to z dużym ryzykiem – strażniczki patrolowały salę widzeń, a nad stanowiskami zamontowano kamery. Mohammadi w szmuglowaniu pomagały również jej towarzyszki z celi. Gdy jakaś została przyłapana i notatki przepadały, Mohammadi zaczynała pisać od nowa. Wyniesione zapiski trafiały do działaczek Narges Foundation w Paryżu, gdzie zostały przełożone z perskiego na angielski, a stamtąd do wydawnictwa Aschehoug w Oslo, które poddało tekst redakcji i go wydało.

„Ponieważ podczas finalizowania prac redakcyjnych Narges Mohammadi była tygodniami więziona w izolacji, liczba stojących przed nami wyzwań znacznie wzrosła" – piszą w posłowiu wydawcy. „Nie pomogło też to, że autorytarni przywódcy Iranu odcięli kraj od internetu podczas ogólnokrajowych brutalnie tłumionych demonstracji w styczniu 2026 oraz późniejszej wojny między Stanami Zjednoczonymi i Izraelem a Iranem" – dodają.

Gdy kontakt z Mohammadi się urwał, tym bardziej zrozumieli, jak ważne jest przeciwstawienie się próbom odebrania jej głosu.

Kiedy Mohammadi przeszła w więzieniu atak serca, międzynarodowa presja sprawiła, że zawieszono jej karę z przyczyn zdrowotnych. Dało jej to możliwość naniesienia ostatnich poprawek do książki, jak również udzielenia prasie kilku wywiadów.

Nie mogłam z nią przeprowadzić wywiadu przez internet – Iran nadal jest odcięty – ani przez telefon. Fundacja Narges zaproponowała mi, że przekaże moje pytania Mohammadi. Kilka dni później przyszły do mnie pliki audio z nagranymi odpowiedziami. Tak powstała niniejsza krótka rozmowa. Nie na wszystkie pytania odpowiedziała, ale nie miałam możliwości dopytania bohaterki o więcej. Całą wstrząsającą historię znajdziecie jednak w jej monumentalnym, przemyconym z więzienia Evin dziele.

To opowieść bardzo osobista – historia kobiety, która chciała być wolna – studiowała fizykę, wyszła za mąż wbrew sprzeciwowi rodziny, zaangażowała się w ruch walczący o prawa kobiet i demokrację, a gdy trafiła do więzienia, podjęła walkę z karą śmierci i torturami, płacąc za to ogromną cenę – rozłąkę z rodziną. Książka Mohammadi nie jest jednak tylko historią osobistą, autorka kreśli szerokie tło historyczne, społeczne i polityczne, pokazując nam, jak na przestrzeni jej życia zmieniał się Iran i jaki wpływ miały te zmiany na życie zwykłych ludzi.

Ostatnie wieści, jakie dotarły do nas na pani temat, były bardzo niepokojące: w więzieniu przeszła pani atak serca, a stan pani zdrowia był bardzo poważny. Jak się pani czuje?

– Podczas mojego ostatniego, czternastego aresztowania 12 grudnia 2025 roku w Maszadzie zostałam napadnięta i dotkliwie pobita. Zadane mi uderzenia w głowę i przetrzymywanie w izolatce przez kolejne dwa miesiące w takim stanie doprowadziły do zaostrzenia choroby serca i płuc, a także innego problemu zdrowotnego – nagłych dużych spadków ciśnienia krwi, wynikających z zaburzenia funkcjonowania pewnych części mózgu.

Przez jakiś czas przetrzymywano mnie też w publicznym więzieniu w Zandżanie, w bloku dla skazanych za zabójstwo. Tam mój stan zdrowia załamał się tak, że przeniesiono mnie



Narges Mohammadi
ze zdjęciem Mahsy Amini

Sytuacja praw człowieka w Iranie jest bardzo poważna, a więzienia i kara śmierci *to jedne z największych przyczyn mojego niepokoju*

do szpitala. Spędziłam w nim dziesięć dni i w tym czasie lekarz sądowy z Zandżanu dwukrotnie wydawał ostrzeżenia o moim stanie i konieczności przetransportowania mnie do Teheranu na angiografię. Od tamtego czasu leżałam już w trzech szpitalach. Wypuszczono mnie w ramach zawieszenia wykonywania wyroku i jestem w trakcie leczenia.

W wiadomościach, które szmuglowano od pani z więzienia, opisywała pani przez lata warunki, w których panią przetrzymywano – torturę, jaką jest izolacja w pojedynczej celi, terror przesłuchań. Jednocześnie w wywiadzie z Christiane Amanpour, po tym jak wypuszczono panią z więzienia Evin, gdzie siedziała pani na oddziale kobiecym, mówiła pani, że tęskni za swoimi towarzyszkami. Radość z wolności zabarwiona jest goryczą?

– Więzienie jest w moim odczuciu nadal zjawiskiem osobliwym i nieznanym. Każda ze ścian, drzwi, pocięte liniami sklepienie nieba widoczne ponad murami, brzmienie więzienia – to wszystko jest dla mnie przypomnieniem rzeczy, których poza jego murami nie mogłabym doświadczyć. Prawdopodobnie każda osoba przeżywa je inaczej, bo przecież jako ludzie różnimy się między sobą.

Czasem w więzieniu pewne zjawiska funkcjonują w sposób paradoksalny, stają się wielowymiarowe, piszę zresztą o tym w swojej książce. Na przykład drzwi celi w izolatce czy wrota więzienia. Wrota więzienia, które otwierają się, gdy jesteś zabierana do środka, budzą nienawiść. Chcesz od nich uciec, bo za nimi zostaje wolność, którą ci odbierają, biorąc cię do niewoli. Te same wrota jednak, kiedy masz opuścić więzienie, otwierają się na zwycięstwo i wolność, a ty czekałaś przecież dni, miesiące albo nawet lata, pielęgnując w głowie myśl o chwili, w której weźmiesz odzyskaną wolność w objęcia, znów zobaczysz ulice i place... A jednak, kiedy zamykają się za tobą, nie czujesz zadowolenia, a twoja radość z odzyskanej wolności jest niepełna, bo zostawiasz w więzieniu bliskie ci osoby; żyłaś z nimi przez te lata, miesiące i dni, doświadczałyście wspólnych chwil, a teraz zostawiasz je za murami, sama wychodząc na wolność. Ta wolność nie ma już wtedy takiego znaczenia jak dawniej, bo czujesz, że w więzieniu zostawiłaś jakąś część siebie, którą są twoje przyjaciółki i towarzyszki.

Pani protesty wobec tortur, jakimi jest przetrzymywanie w izolatce, które nazywa pani białymi torturami, były bardzo głośne. Inicjowała też pani protesty wobec kary śmierci. Czy przyniosły jakiś efekt?

– Dzięki szeroko zakrojonym działaniom obrońców praw człowieka i walce samych więźniów, zwłaszcza tych, którzy wyszli na wolność i dzielą się swoimi doświadczeniami, prowadząc działalność aktywistyczną, obecnie więzienia być może nie są porównywalne z tymi z lat osiemdziesiątych. Prawda jest jednak taka, że w tych dniach jesteśmy świad-



Pokojową Nagrodę Nobla w imieniu Narges Mohammadi odebrała jej córka Kiana

kami wyjątkowo brutalnych i bolesnych represji wewnątrz zakładów karnych. Rosnące statystyki wykonanych egzekucji są jednym z przejawów tej narastającej fali przemocy. Podobnie tortury psychiczne, duchowe i fizyczne, którym byli i wciąż poddawani są więźniowie, a o których w ostatnim czasie spływa do nas dużo doniesień, są kolejnym elementem represji. Sytuacja praw człowieka w Iranie jest bardzo poważna, a więzienia i kara śmierci to jedne z największych przyczyn mojego niepokoju.

Widzieliśmy nagrania, jak wychodząc z więzienia, krzyczała pani: „Kobieta, życie, wolność!"– hasło protestów przeciw władzy, które odbyły się po śmierci Mahsy Amini, brutalnie pobitej przez policję moralną. Wezwanie do sądu po otrzymaniu Nagrody Nobla przyszło bardzo szybko, w grudniu 2023 roku. Teraz wydała pani książkę, która jest opowieścią o pani życiu, a jednocześnie oskarżeniem reżimu. Jej tytuł jest deklaracją „Nigdy nie przestanę walczyć". Będzie czytana na całym świecie. Czy nie boi się pani konsekwencji?

– Zawsze, kiedy mogłam przeciwstawić się uciskowi, poniżeniu i dyskryminacji, dawało mi to poczucie, że żyję, że doświadczam swojego człowieczeństwa. Innymi słowy, życie jest dla mnie nieodłącznie związane ze stawianiem oporu. Myślę, że ta walka będzie trwała nadal, aż do czasu, kiedy osiągniemy wolność, równość i demokrację. Oczywiście nie chodzi o to, że do tego czasu nie będziemy wolni; nie oznacza to, że nie będziemy żyć. Żyjemy naszym oporem czy też, inaczej mówiąc, w toku swojego życia poprzez opór i walkę nadajemy mu znaczenie i sens. Sprawiamy, że różne aspekty życia nabierają blasku. To wszystko może dawać nam nadzieję i motywację. Jestem pewna, że wywalczymy dla siebie świetlaną przyszłość.

Moja książka to również akt oporu. To znacznie więcej niż tylko wspomnienia, więcej niż opowieść pewnej kobiety o jej własnych losach. Starałam się nakreślić w niej, wers po wersie i strona po stronie, sytuację Irańczyków i Iranek, pokazać, w jaki sposób w swoim życiu, tym codziennym, walczą o przynależne im prawa człowieka.

Jest to obraz życia kobiety, która, żeby móc być człowiekiem, kobietą, matką, mierzy się z mnóstwem przeszkód i represji ze strony prawa, władzy i przesiąkniętej tą władzą religii, a także tradycji i przekonań leżących u podstaw życia społecznego – i mimo to wciąż podejmuje wysiłek, żeby żyć swoim życiem.

Dorastała pani w atmosferze wolności i radości, ale pani matka – która wychowała panią w duchu feminizmu – sprzeciwiała się pani małżeństwu z opozycjonistą i zaangażowaniu politycznemu, przeczuwając, że ten wybór sprowadzi na panią więzienie i zagrożenie życia. Czy zastanawia się pani czasem, jak wyglądałoby pani życie, gdyby pani nie zaangażowała się w ruch na rzecz praw człowieka?

– Nie sądzę, żebym mogła wyobrazić sobie inne życie, czy to w przeszłości, czy teraz, czy w przyszłości. Być może to ma związek z moim dzieciństwem – tak jak to opisywałam i zapewne czytała pani w mojej książce – z moją sytuacją rodzinną, miłością i ciepłem, które otrzymałam od rodziców, ale też z rzeczywistością, z którą stykałam się w szkole i w życiu społecznym. Po prostu droga inna niż aktywistki walczącej o prawa człowieka nie była mi pisana. I nie wyobrażam sobie też żadnego innego życia niż właśnie aktywność na rzecz umocnienia się praw człowieka i trwałego pokoju na świecie.

Książkę dedykuje pani swoim dzieciom – Alemu i Kianie – które, jak pani pisze, tak wiele wycierpiały z powodu ścieżki, którą pani wybrała. „Mam nadzieję, że pewnego dnia wybaczycie mi moją nieobecność i wszystko, co jeszcze może się zdarzyć" – czytamy. Historia pani macierzyństwa i rozłąki z dziećmi łamie serce. Czy oprócz gniewu na reżim robiła pani też wyrzuty sobie samej, że wybrała walkę o kraj kosztem szczęścia rodzinnego? Jak pani tłumaczy to swoim dzieciom?

FOT. NARGES FOUNDATION; JO STRAUBE / NOBEL PRIZE OUTREACH

– Pamiętam, że w jednym z sądów sędzia prowadzący moją sprawę stwierdził: „Zostawiłaś swoje dzieci, żeby pójść do więzienia i prowadzić działalność aktywistyczną. Wiesz, że Ali i Kiana to pierwsze osoby, które zwrócą się przeciwko tobie, bo jako matka się nimi nie zajmowałaś?" Odpowiedziałam mu tak: „Czy nie sądzi pan, że moje dzieci prędzej niż przeciw mnie zwrócą się przeciwko władzy, która wtrąciła ich matkę do więzienia za obronę praw człowieka?"

Ilekroć zastanawiam się nad swoim aktywizmem, tym, co myślałam, zrobiłam, w jaki sposób działałam – co ostatecznie przyczyniło się do mojego aresztowania – najpierw myślę o tym, co zrobiła władza i przeciw czemu protestowałam. Dlatego też naruszanie praw człowieka przez władzę stało się tą właśnie kwestią, którą najpierw zaczęłam nagłaśniać swoimi wypowiedziami, a potem całkowicie skoncentrowałam się na niej w swojej działalności aktywistycznej. Później nastąpiły różne wydarzenia i cóż, ja znalazłam się w więzieniu, a moje dzieci wyjechały z Iranu.

Zwraca pani uwagę na szczególną hipokryzję reżimu – strażnicy więzienia i policja obyczajowa mają gęby pełne frazesów o religii. „Niech pokój i Boże miłosierdzie będą z tobą" – życzył pani funkcjonariusz więzienny, który panią przesłuchiwał. Co pani sądzi o wykorzystaniu religii jako narzędzia politycznego w Iranie?

– Myślę, że dyktatura oparta na religii jest najgorszym z totalitaryzmów. Reżim, który dopuszcza się aktów represji na podstawie przekonań ideologicznych, lekceważy, ogranicza i odbiera ludziom ich prawa, jest najgroźniejszą, najbardziej zabójczą odmianą tyranii, ponieważ każde opresyjne działanie wywodzi z wartości i zasad religijnych. W rezultacie zawiesza społeczeństwo, człowieka w ciemnej przestrzeni, w której nie potrafi on wyraźnie dostrzec i rozpoznać znamion ucisku, trudno jest mu zauważyć czy odróżnić represyjne działania władzy. W moim przekonaniu to najbardziej niehumanitarny rodzaj dyktatury.

Doświadczenie wprowadzenia władzy religijnej w naszym kraju przyniosło wprawdzie ludziom dużą świadomość i bardzo wiele nas nauczyło, prawda jest jednak taka, że miało dla Irańczyków bardzo wysoką cenę. Gdyby do niego nie doszło, myślę, że mieliśmy przed sobą zupełnie inną przyszłość.

Jakie są pani nadzieje dla Iranu. I jakie oczekiwania wobec społeczności międzynarodowej – jak powinna reagować?

– Niestety, problemy ekonomiczne mieszkańców Iranu narastają z każdym dniem, przy czym w tych ciężkich warunkach narastają również represje ze strony władzy – toteż ludność Iranu przechodzi teraz przez bardzo trudny okres. W tej przestrzeni rozmowa o naruszeniach praw człowieka w Iranie jest jedną z najpilniejszych spraw, którymi chcielibyśmy, żeby zajęło się środowisko międzynarodowe.

Mam nadzieję, że Irańczycy osiągną demokrację. Ludzie toczą walkę o wolność i równość. Powołali wyjątkowe ruchy społeczne i kosztowało ich to wiele ofiar. Zabijanie ludzi na ulicach, wtrącanie do więzień i egzekucje były konsekwencją tych potężnych ruchów, powstań i powtarzających się protestów obywateli.

Żywię nadzieję, że zmiany wewnętrzne i międzynarodowe podążą w takim kierunku, który będzie korzystny dla mieszkańców Iranu i umożliwi im sięgnięcie po demokrację, wolność i równość tak, jak tego pragną. Wprowadzenie demokracji w Iranie, prócz tego, że jest pragnieniem mieszkańców, którego spełnienie może dać im stabilność, rozwój, dobrobyt i lepsze życie, patrząc z perspektywy całego regionu, może w istotny sposób wpłynąć też na przyszłość Bliskiego Wschodu. ▲



NARGES MOHAMMADI
„Nigdy nie przestanę walczyć", przekład Dariusz Żukowski, wyd. Znak LiteraNova

Pliki audio datowane są na 17 września.
Przekład z języka perskiego: Katarzyna Wąsala



Menopauzy
nie da się ominąć,
dlatego zacznijmy
o niej mówić głośno.

MENOPAUZA BEZ TABU.ORG.PL

Wejdź na stronę,
pobierz bezpłatne
kompendium
i poczuj się pewniej
na każdym etapie.

KULCZYK
FOUNDATION

OGŁOSZENIE



Szacunek do starości jest elementem kultury uchodźczyń spędzających czas z Babciami

Jak utulić *starość*

Minęło 10 lat, odkąd Tanzila jest w Polsce, a nadal czeka na azyl. Jest w zawieszeniu. I cały czas się boi, że może zaraz po nią przyjdą. Ale nie dziś. W tym domu opieki zapomina o strachu, bo liczy się tu tylko czułość

TEKST **PAULA SZEWCZYK**

Dziewięćdziesiąt lat skończyłam.
– Nie wygląda pani.
– To dobrze!

Rozmawiam z Gabrielą na stronie w ogrodzie. W prywatnym domu pomocy dla osób starszych w Radości jest od niespełna półtora roku. Wcześniej mieszkała pod Warszawą w 30-metrowej kawalerce.

– Sama sobie gospodarzyłam.

Choć rodzinę ma Gabriela dużą, kłopot w tym, że dzieci z wnukami od lat żyją za granicą.

– Ale tutaj jest mi dobrze, do kuzyna blisko. I pokój mam sama, jednoosobowy. Co sobie położę na biurku, na oknie, to mi nikt nie weźmie. I jak śpiewam pod nosem, nikomu nie przeszkadza. Nie narzekam. O, idzie moja Krysia. Krysiu, gdzie chcesz usiąść? Ja z tobą pójdę, przepraszam.

Gabriela podchodzi do przyjaciółki i łapie pod ramię, by pomóc jej z chodzikiem dojść do krzesła.

Chcę porozmawiać też z Alicją, ale brak jej słów. Przez większość rozmowy patrzy mi w oczy i milczy.

DOBRY CZŁOWIEK Z POLECENIA

Artur Lewinowicz urodził się w Toronto, ale mieszka w Łodzi. Przeprowadził się do Polski po wygranej walce z rakiem. Zdecydował, że skoro dostał jeszcze jedną szansę, zacznie od nowa w mieście, z którego niegdyś wyjechali jego rodzice. Odkąd się tu przeniósł, minęło pięć lat. I nawet gdy był chory, nie przestawał grać.

Bo wyjazd do prywatnego domu spokojnej starości w podwarszawskim Wawrze zaczyna się, zanim ruszą w jego stronę samochody. Czekając wraz z grupą uchodźczyń z Czeczenii na kierowców, działaczka Marina Hulia proponuje:

– Możesz grać już teraz!

Artura dwa razy nie trzeba zachęcać. Wyjmuje skrzypce i ku zdziwieniu przechodniów i turystów w centrum Warszawy, gra. „Oczy czarne" i „W moim ogródeczku", ale we własnej, nowoczesnej aranżacji.

Przyznaje w przerwie między utworami, że gdy do domu rodzinnego przychodzą znajomi i zachęcają go do muzykowania, mama śmieje się, że mają parę godzin z głowy.

– Bo gdy wyjmuję skrzypce z futerału, nie potrafię przestać.

Z Mariną Hulią poznali się niedawno, przez znajomą.

– Wie, co robię, i poleca mi dobrych ludzi. Chciałam Artura spotkać natychmiast.

– I tak Marina mnie znalazła. A dziś jedziemy razem do Babć.

Dla Artura to pierwszy raz. Marina przyjeżdża do domu w Radości od dziesięciu lat.

TANZILA CZEKA NA AZYL

Gdy samochody zatrzymują się na posesji, ta jest jeszcze pusta. Lada chwila pomagajki – jak mówi o nich Marina, Czeczenki i Polki – wejdą do domu przywitać się z Babuszkami i pomogą im zająć przygotowane w ogrodzie krzesła. Artur rozkłada skrzypce i głośniki, dzieci przypominają sobie słowa wierszyków, które powiedzą Babciom. Marina wyjmuje z plecaka wielki złoty mikrofon, przez który poprowadzi spotkanie i do którego każda z chętnych śpiewać będzie słowa piosenek pisanych przez Gabrielę.

Gabrieli entuzjazm na przyjazd Mariny widać, gdy tylko przekroczy próg. Do ogrodu idzie sama, bez chodzika czy kul. Pytam ją w przelocie, czemu zawdzięcza tę imponującą formę, mówi: – Taniec i śpiew!

I rzeczywiście, zatańczy i zaśpiewa w Radości niejedną piosenkę.

Nie wszystkie z mieszkających tu są w tak dobrej kondycji. Część kobiet potrzebuje wsparcia przy chodzeniu czy wstawaniu, ale żadna nie chce przegapić wizyty swoich ulubienic. Wśród nich jest 26-letnia Tanzila. Do Polski przyjechała w 2016 roku z Groznego. Razem z matką i rodzeństwem próbę przedostania się przez polsko-białoruską granicę podjęła 54 razy. Gdy za 55 to się wreszcie udało, spędziła na dworcu w Brześciu niemal 10 miesięcy. Tanzila była najstarsza z rodzeństwa, pomagała matce, opiekowała się siostrami i braćmi, tęskniła za tymi, którzy zostali w Czeczenii, jak choćby babcia Sacyta. Od momentu wyjazdu już się nie spotkały i pewnie nigdy więcej nie zobaczą. Połączenia wideo to za mało, żeby pobyć razem. Pewnie dlatego dzisiaj Tanzila przyjeżdża do Radości.

– Nie ma przy mnie mojej babci, tęsknię za nią bardzo. A tutaj mogę poczuć bliskość Babć, które z kolei w Polsce nie mają nikogo. Po co przyjeżdża? – Masować rączki Babuszkom naszym. Nakarmić domowym obiadem, wyściskać. Sprawia mi to przyjemność.

Kiedy poznała Marinę, była jeszcze nastolatką. To ona pomogła jej w Polsce z formalnościami, dawała wsparcie. – Chciałam się jej odwdzięczyć, ale też zrobić coś dobrego. Z wdzięczności, że w Warszawie jest teraz mój dom, i z potrzeby serca. Żeby wszystkim nam się żyło tutaj trochę lepiej.



Fatima masuje mieszkańcom Radości dłonie

Dziś sama jest matką. I czeka na azyl. Chciałaby odetchnąć, nie zastanawiać się codziennie, czy razem z mężem i córką zostanie odesłana do Czeczenii. A czekanie jest trudne. – Bo minęło dziesięć lat, a nadal jestem w zawieszeniu. Nie jestem ani tutaj, ani tam. Cały czas się boję, że może zaraz po mnie przyjdą. Ta niepewność jest okropna. Z Babciami tutaj zapominam o swojej sytuacji i o strachu, bo jestem całkowicie skupiona na nich. Na czułości do nich.

PODAĆ OBIAD, ZATAŃCZYĆ

Roza razem z córkami przyjeżdża do Radości od pięciu lat, pierwszy raz tuż po tym, jak poznała Marinę Hulię. Do dziś pamięta, jak w pandemii koronawirusa nie mogły wejść do środka. Stały z dzieciakami za szybą, kładły na niej ręce po obu stronach, by chociaż w ten sposób przywitać się z zamkniętymi po drugiej stronie Polkami. Mimo chłodu przez kilka godzin tańczyły dla Babć. Śpiewały im czeczeńskie i polskie piosenki, dodawały otuchy.

Początki w Polsce Roza określa jednym słowem: ciężkie. Nie znała języka ani kultury, nie miała pracy. W Groznym była nauczycielką angielskiego, w Polsce sprzątała, pracowała w kuchni. Przyjechała z mężem i dziećmi z plecakiem. W zamkniętym ośrodku dla uchodźców w Kętrzynie spędziła z nimi dziewięć miesięcy, tam też zaszła w ciążę. – To było straszne. Emocjonalnie i psychicznie. Nie chcę teraz sobie tego nawet przypominać. Dziś liczy się tylko radość ze spotkania z Babuszkami. Chcę skupić się na miłości do nich.

Pytam Rozę, dlaczego wolną niedzielę spędza z seniorkami w Radości. Mogłaby pójść z dziećmi na plac zabaw, do parku, zająć się swoim życiem. – Wiem, że nie muszę tu być, ale chcę, bo po prostu lubię to robić. Lubię z Babuszkami rozmawiać, podać im obiad, zatańczyć dla nich. Widzę po nich, jak to ważne, jak są szczęśliwe.

Korzystają na tym też dzieci Rozy. Co tydzień pytają, kiedy znów odwiedzą Babcie. Przecież w Polsce nie mają dziadków. – W szkole zazdroszczą kolegom, że jadą na weekend do babci czy dziadka. Cieszę się, że mają ich chociaż tu.

DOM SENIORA? CO TO?

Gabriela zajmuje miejsce tuż przy Arturze, który jest gotowy do gry.

– Gdy zaproponowałam mu charytatywny występ w domu opieki, zapytał tylko o jedno: kiedy.

Marina już po tej pierwszej rozmowie wiedziała, że Artur się sprawdzi. Przyjazdy do Radości nie są bowiem tylko występem czy akademią. – Nie jesteśmy tu formalnie, z przymusu czy bo tak wypada. W naszych spotkaniach z Babciami chodzi o to, by było wszechstronnie. Z jednej

FOT. RADOSŁAW GRABIEC / PHOTOGRADE.ART



Artur Lewinowicz umila spotkanie w Radości grą na skrzypcach

strony kuchnia, smaczna i jak ja to mówię, bezzębna, bo mięciutka. Z drugiej zaś przytulenie, pobycie razem, czułe rozmowy. I oczywiście część artystyczna.

Dziś akurat zagra Lewinowicz, ale nie zawsze bywa to profesjonalny czy wybitny muzyk. W Radości byli już choćby harcerze, przyjechali w swoich mundurach, w beretach, z repertuarem harcerskim. Marina pamięta, że gdy wyśpiewali „Stokrotka rosła polna", Babcie były zachwycone. Innym razem występował uczeń Mariny. – Michał jest niewidomy, ale chociaż nie widzi, cudownie słyszy. Grał pięknie na gitarze, śpiewał. Całym sobą, tak że nasze Babcie nawet nie zauważyły jego niewidzenia.

Była zarówno „Szła dzieweczka", jak i „Człowiek z liściem na głowie".

Hulia podkreśla, że żadna pomagajka za pomoc, jak również żaden z artystów za występ przez te wszystkie lata nie wzięli pieniędzy. – To, co wspólnie robimy, to nie jest żaden projekt. Nie mamy fundacji czy dofinansowań. Jedyne, czego potrzebujemy, to kilka samochodów, chęć i swój wolny czas.

Gdy pytam Marinę, skąd przyszedł jej ten pomysł, odpowiada: – Z szacunku do starości.

Ten jest również elementem kultury spędzających czas z Babciami uchodźczyń, o której mówi Roza. Bardzo ją dziwi, że w Polsce takie miejsca jak podwarszawski dom opieki w ogóle istnieją. – W Czeczenii nie mamy takich placówek, nie ma ani domów seniora, ani domów dziecka. Dla nas starsza osoba to skarb, jest święta. Jeśli umiera najbliższa rodzina, pod opiekę bierze ją dalszy wujek, jeśli nie ma wujka, kuzyn, a jeśli żadnej takiej osoby w rodzinie nie ma, opiekują się nią sąsiedzi, zwyczajnie biorą pod swój dach. To też mnie motywuje do odwiedzania Babuszek. Żaden człowiek nie zasłużył, żeby być sam.

W Radości byli już choćby harcerze. Marina pamięta, że gdy wyśpiewali „Stokrotka rosła polna", *Babcie były zachwycone*

PYTANIA, KTÓRE SĄ ZBĘDNE

Gdy ogród wypełnia się mieszkankami Radości, Marina szuka wzrokiem Emilii. Raptem tydzień temu rozmawiały przez telefon, nie mogła się doczekać tej wizyty. Ale nie widać jej wśród Babć. Dopiero jeden z pracowników domu opieki przekaże pomagajkom smutną wieść. Emilia zmarła przed dwoma dniami. Mariną to wstrząśnie, ale stara się nie pokazać po sobie emocji. – Skupiamy się na tych, dla których tu dziś przyszłyśmy – ucina moje pytanie, czy wszystko w porządku.

Łapie za złoty mikrofon.



90-letnia Gabriela z Mariną Hulią

– Mamy ze sobą znakomity krem, który zawiera młodzieńcze składniki. Zaraz nasze dziewczyny i dzieci wymasują wam rączki. Byle nie za dużo Rozoczka. Trochę mniej, żeby dłonie nie były za tłuste – zwraca uwagę.

– Bardzo prosimy o kilka papierowych ręczników, bo myśmy zapomnieli i zaraz masujemy. Żeby było lepsze krążenie i lepsze postrzeganie świata! Dobrze. To, jaki będzie następny utwór – zwraca się do Artura.

– Kompozycja własna.

– Proszę bardzo! Artur gra, my masujemy, wy uśmiechacie się. Żeby było dobrze i fajnie!

Część kobiet nie ma sił, by wspólnie śpiewać. Nie wszystkie są też w stanie odpowiedzieć na moje pytania, ile mają lat czy jak długo są w Radości. Po kilku próbach przestaję je zadawać. Rozmowa nie jest tak ważna jak obecność, dotyk czy otulenie kocem. Bo może między Babciami a pomagajkami nie pada zbyt wiele słów, ale po łzach w oczach, gdy będą się żegnać, widać, że ich wizyta jest zwyczajnie ważna.

Przed odjazdem jeszcze jeden punkt wizyty. Obiad. Od rana czeczeńskie migrantki gotowały wegańską zupę z soczewicy. Na drugie kurczak i zapiekane w piekarniku ziemniaki. Dodatek do wyboru, mizeria albo buraczki, a na deser dwa torty. Chętnych jest tak dużo, że zabraknie talerzy i sztućców. Luba, pomagajka z Ukrainy, cieszy się, że jej ciasto jest tak rozchwytywane. Odkąd pobito jej wnuka na Moście Świętokrzyskim w Warszawie, stara się, jak może, by odwdzięczyć się innym za pomoc, którą od obcych, dobrych ludzi otrzymał jej Artiomka.

Rozmawiam z Saszą, ojcem chłopca. – To był dla całej rodziny szok, co się stało. Ale naprawdę dużo osób chciało Arte-

mowi to jakoś wynagrodzić. On stara się normalnie żyć, wychodzić. Chociaż za każdym razem, gdy jest na zewnątrz, ogląda się za siebie.

– Ciężej żyje się teraz waszej rodzinie w Polsce? – dopytuję.

– Nie, pracuję i z Ukraińcami, i z Polakami, jest normalnie, w porządku. Żyjemy jak wcześniej. Dlatego też tu dzisiaj jestem. Bo może spotkało nas coś złego, ale wciąż możemy dać od siebie wiele dobra.

Zdaniem Mariny tak właśnie to działa. – Gdy spotka cię dobro, chcesz je komuś oddać. Gdy pomożesz raz, masz potrzebę szukać kolejnych okazji, by to dobro nieść.

MNIEJ MIEJSC NIŻ CHĘTNYCH

Marina Hulia wspomina: – Pamiętam, że 10 lat temu były w Radości zupełnie inne Babcie. Kiedyś szyłyśmy dla nich poduszki. Na każdej na specjalnych maszynach haftowałyśmy imiona. Mieszkała tu wtedy cudowna Basieńka, poruszała się na wózku inwalidzkim, miała kota Murka. Przyjeżdżamy, stoję z tą poduszką, mówię: „Ta dla Basi, gdzie jest Basieńka?". Ktoś mówi:



Fatima i Tanzila przysłuchują się grze Artura

„Jej nie ma". „Jak to, a gdzie jest Basia?". A inna Babcia, Tereska, mówi: „Ona sobie poszła". I dopiero wtedy zrozumieliśmy, że ona nie żyje. Nikt nas nie uprzedził. Wszyscy płakaliśmy, dzieci też.

Potem odeszła Tereska, potem kolejna Babcia i kolejna. Dziś nie ma już żadnej, którą Marina poznała dekadę temu. – Ale przychodzą nowe Babcie, zapoznajemy się z nimi od nowa i opiekujemy. Bez wyjątku. Nazywam to przytuleniem starości.

Najpierw jeździła sama.

– Czemu akurat Radość?

– Wtedy przyjeżdżałam tu do konkretnej osoby, pani Marysi. Nie miała nikogo, była zupełnie sama. Byłam tu dla niej, ale i tak wszystkie Babcie się gromadziły tak przy mnie. Pomyślałam sobie: jakaż ja jestem niemądra! Po co jeżdżę sama? Miałam przecież wokół siebie cały orszak wspaniały ludzi. I Polek, i Czeczenek, i dzieci. Wiedziałam, że każde z nich z przyjemnością pojechałoby ze mną. I tak się zaczęło.

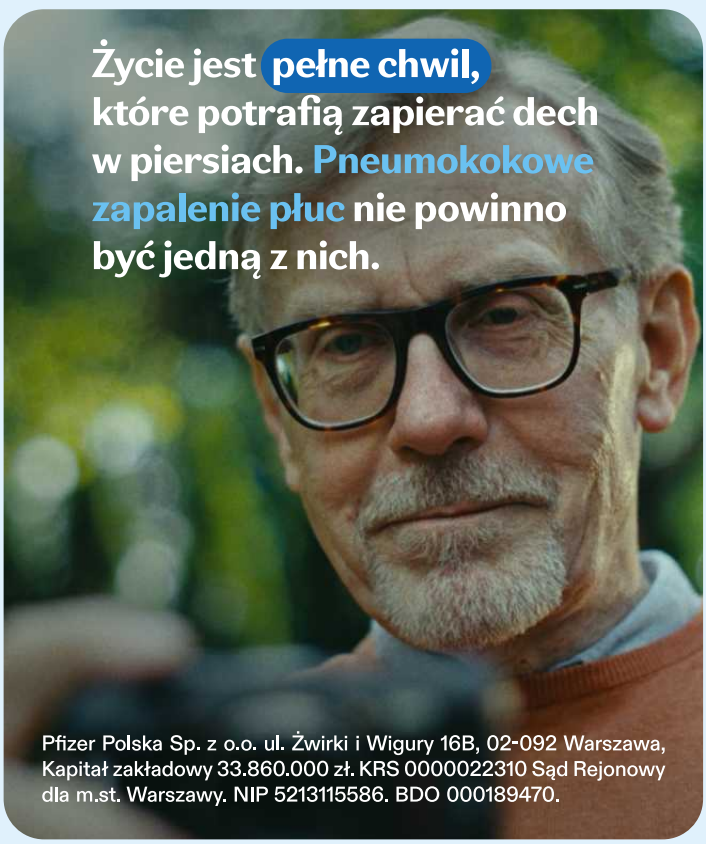
Wtedy jeszcze żyła Heda. Mariny przybrana siostra z Czeczenii. Zmarła niedawno w wieku 52 lat, miała raka. Przed śmiercią powiedziała w krótkim filmie dokumentalnym, że najważniejsze, co ją spotkało w Polsce, to Babcie.

– Bo jej mama nie żyła. Mówiła: „Gdy przytulam je wszystkie, czuję, że oddaję mamie to, czego nie zdążyłam dać jej za życia".

Heda również uciekła z Czeczenii, tyle że po śmierci jej 14-letniego syna. Moznur zginął przez wojnę, ratowała więc pozostałe pięcioro dzieci, które jeszcze miała. Matka Hedy zmarła, gdy ta była już w Polsce. Nie mogła być na jej pogrzebie.

– Każda z kobiet, która jest tu ze mną dzisiaj, ma swoją trudną historię. Przeszły niejedno. A mimo to nadal, gdy pytam, kto jedzie ze mną do Radości, większy problem mam, by znaleźć miejsce w samochodach nie chętnych. ▲

OGŁOSZENIE



Masz 65 lat lub więcej?

Ochrona przed pneumokokowym zapaleniem płuc to coś więcej niż ochrona przed infekcją.[1,3]
Mniej hospitalizacji. Większa sprawność. Mniej powikłań.[1,3]*
To także troska o zdrowie, samodzielność i codzienne życie na dłużej.*[2,4]
Porozmawiaj z lekarzem lub farmaceutą o szczepieniu przeciw pneumokokom.

Zaszczep się już dziś!

Dowiedz się więcej na
www.pneumokokowezapaleniepluc.pl

** Korzyści odnoszą się do obserwowanego zmniejszenia ryzyka wybranych zdarzeń chorobowych oraz ich następstw, które mogą wpływać na funkcjonowanie pacjenta.*

1. Centers for Disease Control and Prevention (CDC). Pneumococcal Disease Symptoms and Complications. Aktualizacja: 25.02.2026. Dostęp: 18.09.2026. https://www.cdc.gov/pneumococcal/signs-symptoms/index.html
2. Restrepo MI, Reyes LF. Pneumonia as a cardiovascular disease. Respirology. 2018;23(3):250-259. doi:10.1111/resp.13233. PMID:29325222. Dostęp: 18.09.2026. https://pubmed.ncbi.nlm.nih.gov/29325222/
3. Dulfer EA, Serbée MJV, Dirkx KKT, Schaars CF, Wertheim HFL, de Jonge MI, Cremers AJH. Cardiovascular events after invasive pneumococcal disease: a retrospective cohort study. International Journal of Infectious Diseases. 2024;147:107185. doi:10.1016/j.ijid.2024.107185. Dostęp: 18.09.2026. https://www.ijidonline.com/article/S1201-9712(24)00256-X/fulltext
4. Huang M, Romdhani H, Xie J, Song Y, Lee S, Liu D, Elbasha E, Mohanty S, Rowen D, Kelly MS. P-654. Health-related Quality of Life Associated with Pneumococcal Disease – A Global Targeted Literature Review and Meta-Analysis. Open Forum Infectious Diseases. 2025;12(Suppl 1):ofae631.851. doi:10.1093/ofid/ofae631.851. Dostęp: 18.09.2026. https://academic.oup.com/ofid/article/12/Supplement_1/ofae631.851/7987829

PP-UNP-POL-0600

Listy do *Julii*

„Mam tu Sybir” – pisały polskie chłopki, które w latach 20. i 30. XX w. wyjeżdżały do pracy na francuskich gospodarstwach. Chciały lepszego życia, a doświadczały wyzysku, przemocy seksualnej i niewyobrażalnej samotności



Z **MARYLĄ LAURENT**, WSPÓŁAUTORKĄ KSIĄŻKI „POLKI W POLU", ROZMAWIA **MAGDALENA KARST-ADAMCZYK**

Kim była krowiarka?
– Na potrzeby książki „Polki w polu" nazwałyśmy tak Polki, które w latach 30. XX w. przyjeżdżały na francuską wieś do pracy przy krowach.

Nie miałam pojęcia, że dojenie krów to tak ciężka praca. Ból dłoni i rąk nie dawał tym kobietom spać.
– W tamtym czasie nie było maszyn, każdą krowę trzeba było wydoić ręcznie w dodatku co najmniej trzy razy dziennie, to była praca od świtu do nocy. I była to naprawdę czarna robota, najtrudniejsza w gospodarstwie. Wiele krowiarek przechodziło męki. „Mam tu Sybir" – pisały w listach o swoim życiu we Francji. Choć same pochodziły ze wsi, nie były do takiej pracy przyzwyczajone, bo na polskiej wsi była zwykle jedna krowa.

Jedna z kobiet napisała w liście do inspektorki Julii Duval, że jej gospodarz ma 20 krów i siedmioro dzieci.
– Polskie pracownice i ich francuskich pracodawców wiązały kontrakty. Miały określać rodzaj pracy, np. czy to praca w polu, czy przy krowach, a jeśli była to praca przy krowach, należało podać ich liczbę – zdaje się, że nie mogło ich być więcej niż sześć. Ale bywało różnie, kontrakty często nie miały pokrycia w rzeczywistości, a prawda jest taka, że nawet sześć krów to już był ogrom pracy.

Polskie robotnice nie były świadome, na co się godzą?
– Nie. I nie chodzi tylko o brak wyobraźni. One zwyczajnie nie były w stanie tych umów przeczytać, bo czytały kiepsko albo wcale. Ale, co ciekawe, dotyczyło to obydwu stron, bo francuscy gospodarze też bywali prostymi kulturowo ludźmi, wiec treści kontraktów często nie znała żadna ze stron.

Warto zwrócić uwagę, że mówimy o Francji po pierwszej wojnie światowej, która dla tego kraju była podobną traumą jak dla Polski druga wojna. Francja w tamtym czasie była zniszczona, zdziesiątkowana. Powstałą na francuskiej wsi lukę wypełniły kobiety, wśród nich młode, polskie chłopki, pochodzące często z najbiedniejszej, zacofanej Polski południowo-wschodniej.

Na podstawie odnalezionych listów polskich robotnic do Julii Duval mogę powiedzieć, że Polki nie miały świadomości, na co się pisały. Miały jakieś wyobrażenie na temat Polaków wyjeżdżających na saksy do Niemiec i ich życia tam, ale niemieckiej i francuskiej emigracji zarobkowej tamtego okresu nie dało się porównać. Polacy w Niemczech mieszkali i pracowali blisko siebie, żyli razem. Tymczasem we Francji Polki nie miały właściwie żadnych punktów odniesienia. Wszystko było obce, włącznie z jedzeniem – kobiety żaliły się, że są głodne.

Jechały z nadzieją na lepsze życie, a na miejscu doświadczały pracy ponad siły, wyzysku i trudnej do wyobrażenia samotności.
– Zupełnie nie były przygotowane na to, że będą miały do czynienia z ludźmi, którzy mówią o nich przy nich, a do nich nie mówią wcale i co więcej, nawet nie traktują ich jak ludzi.

Na francuskich gospodarstwach do wybuchu wojny tę pracę, która teraz spadła na Polki, wykonywali członkowie rodziny, np. synowie. A ponieważ w rodzinie się nie płaciło za pracę, to gospodarze nie rozumieli, że tym kobietom należą się pieniądze, więc zalegali z opłatami albo płacili mało. I traktowali robotnice niemal jak maszyny, jak niewolnice. Te kobiety miały bardzo małą autonomię. Np. chciały chodzić do kościoła, obchodzić święta kościelne – co miały teoretycznie zagwarantowane w kontraktach, a wywalczył to polski rząd – ale i tu rzeczywistość często odbiegała od zapisów w umowach. Polskie chłopki mieszkały z francuskimi rodzinami, nie znając francuskiego i nie miały żadnych kontaktów w osobami z Polski. Żyły odcięte od świata.



Julia Duval była emancypantką, pozytywistką, Polką we Francji na miarę Marii Skłodowskiej-Curie. Uważała, że kobieta musi być niezależna. *Wyprzedzała swoje czasy*

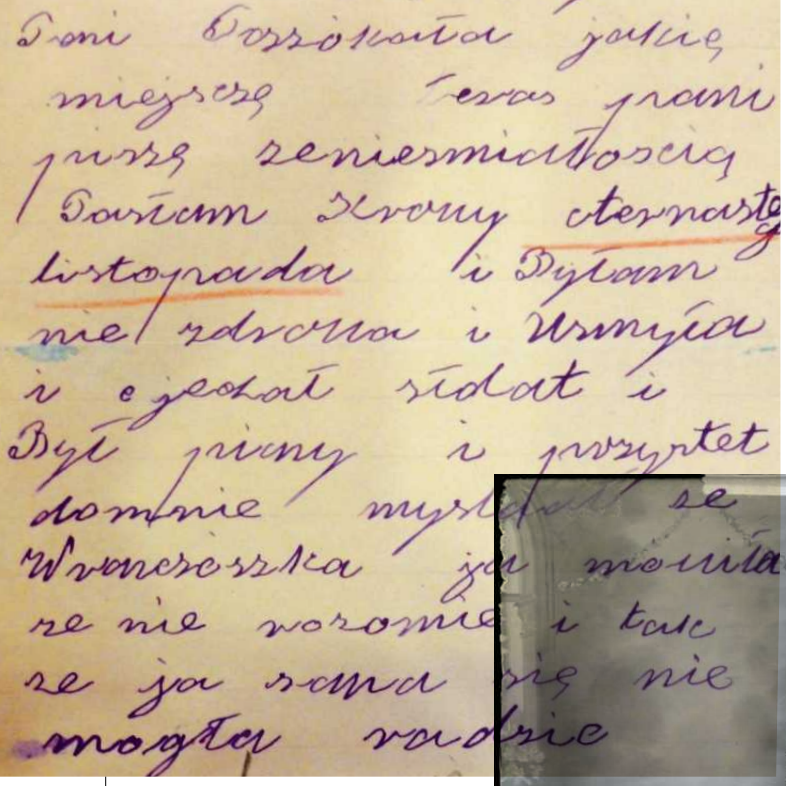
Plagą była też przemoc seksualna. Nierzadko Polki pierwszej krzywdy doświadczały jeszcze w pociągu, który wiózł je do Francji.
– W 1939 roku ukazała się książka napisana na podstawie pamiętników Polaków we Francji, do dzisiaj przetrwało na całym świecie zaledwie kilka jej egzemplarzy, i pojawia się w niej właśnie opis gwałtu na kobiecie w pociągu. A dalej wcale nie było bezpieczniej. Proszę sobie wyobrazić, że na francuską głuchą wieś przyjeżdża piękna blondynka, a na miejscu jest zaharowana czterdziestoletnia wieśniarka; wiadomo, że między tymi kobietami pojawia się konflikt od pierwszego spojrzenia i że polska chłopka we francuskiej gospodyni nigdy nie znajdzie sojuszniczki. Natomiast u mężczyzny ta piękna kobieta obudzi nierzadko najgorsze instynkty.

Jedna z polskich chłopek żali się w liście: „Do Francji przyjechałam zarobić pieniędzy na życie, nie na kurwy".

Skrzywdzone kobiety nie używają w listach do Julii Duval słowa „gwałt", czuć, że się wstydzą. A jednak mają odwagę, by w jakiś sposób o tym opowiedzieć, by o siebie zawalczyć.
– Tak, ich komunikaty są krótkie, ale rzeczowe.

A Julia te komunikaty w mig odczytuje. I tu jest chyba dobry moment, by rzucić więcej światła na postać Julii Duval.

FOT. MATERIAŁY WYDAWNICTWA (7), DANIEL BEDNARZ



List, w którym Władysława Idczak zawiadamia Duval o swojej ciąży. Inspektorka podkreśliła datę: 14 listopada





U góry: Polki z dzieckiem w la Pastourellerie. Z lewej: francuski dowód tożsamości jednej z robotnic

– Julia Duval była niesłychaną osobą, Polką we Francji na miarę Marii Skłodowskiej-Curie i nie ma w tym żadnej przesady. Zresztą Julię i Marię dzieliło zaledwie osiem lat. Myślę, że Duval zasługuje na to, by nie tylko w Polsce, ale też we Francji honorować ją tak jak noblistkę, ale w dziedzinie społecznej.

Początkiem całej historii, o której rozmawiamy, jest odnalezione archiwum Julii Duval, a w nim listy do niej od polskich robotnic pisane bardzo kiepską polszczyzną oraz pisane nienaganną francuszczyzną notatki Duval. Kim była? Dlaczego zdesperowane, samotne polskie pracownice rolne zwracały się do niej z prośbą o pomoc, często traktowały jak matkę, wybawicielkę, niekiedy ostatnią deskę ratunku?

– Duval była inspektorką Komitetu Ochrony Cudzoziemek Zatrudnionych w Rolnictwie w Departamencie Indie i Loary. Powołanie inspektorek dla różnych francuskich obszarów, w których były samotne polskie pracownice, wymusił na francuskim rządzie rząd Piłsudskiego. Powodem były złe warunki pracy, niedotrzymywanie umów. Francuska dyplomacja najpierw zapewniała, że wszystko będzie zrobione, a potem długo nic się nie działo. Jednak Francja naprawdę potrzebowała tych kobiet do pracy, w końcu więc sprawę uregulowano, ale pod jednym warunkiem: inspektorki pełniące de facto funkcje opiekunek musiały być Francuzkami.

Wspomniała pani jednak, że Duval była Polką, choć wiem, że badając jej archiwum, grupa zaangażowanych osób, w tym pani, nie od początku o tym wiedziała. Odtworzenie herstorii tej kobiety to była niemal detektywistyczna praca.

– Szukając tropu Julii Duval, znalazłyśmy ślady kilku kobiet noszących w tamtym czasie to samo imię i nazwisko. Przełomem okazało się znalezisko Moniki Salmon-Siamy, która odkryła wydane w 1929 r. po francusku „Baśnie i legendy polskie" autorstwa niejakiej Julii Laguirande-Duval. W przedmowie książki napisano, że autorka zaczerpnęła legendy z bliskiego jej polskiego folkloru i ożywiła w języku francuskim, który stał się jej własnym. To był pierwszy trop.

Nad zrekonstruowaniem losów Julii Duval pracowała bardzo skrupulatnie spora ekipa historyków i językoznawców i w końcu udało nam się ustalić, że Julia Lachowicz, bo takie było jej panieńskie nazwisko, urodziła się w 1875 roku, była Lwowianką. Przyznam, że było to dla mnie nie lada zaskoczenie. Jestem specjalistką od języka i nawet jeśli ktoś już w drugim czy trzecim pokoleniu posługuje się francuskim, to jestem w stanie usłyszeć gdzieś z tyłu ślady języka polskiego. A w notatkach Duval tego nie widziałam, co świadczy o tym, że była osobą niezwykłej kultury i miała znakomicie opanowany, wybitny francuski. Potem okazało się, że ukończyła we Lwowie bardzo elitarną szkołę średnią w kolegium Sióstr Najświętszego Serca z wykładowym francuskim. To była szkoła, która kształciła elitę kobiet dla nowego świata z bardzo silnymi ideami humanistycznymi.

Duval była jedną z pierwszych kobiet we Lwowie, która zrobiła maturę. Była prawdziwą pozytywistką – szła do kobiet z nizin społecznych i traktowała je bez cienia wyższości.

– Julia Lachowicz przyjechała do Francji, by studiować francuski na Sorbonie, tam poznała pierwszego męża Maurice'a Duvala. Potem oboje zamieszkali we Lwowie, gdzie on był lektorem francuskiego. Ich syn urodził się w Zakopanem. Julia znała rodzinę Witkiewiczów, przyjaźniła się z Witkacym, to było jej naturalne środowisko. Pierwsza wojna zastała ją we Francji, gdzie od razu zapisała się na kurs pielęgniarski i przez całą wojnę pracowała dla Czerwonego Krzyża. Po wojnie wyjechała z mężem do Maroka, gdzie Maurice był m.in. nauczycielem przyszłego króla marokańskiego Hasana II. Julia też nie marnowała czasu i na chwałę

Francji opiekowała się biednymi marokańskimi kobietami. Z czasem jej małżeństwo się rozpadło, a Julia podjęła pracę w pierwszej polskiej ambasadzie po rozbiorach we Francji. Cały czas myślała o kobietach, dbała o nie i była blisko ich spraw, więc kiedy na linii Polska – Francja pojawił się problem złego traktowania polskich pracownic rolnych, była chętna do pomocy. Nie było dla niej przeszkód nie do pokonania, bo gdy okazało się, że aby objąć funkcję inspektorki, musi ukończyć kurs i zdać egzamin w Szkole Paryskiej, zrobiła to bez wahania i nie zatrzymało jej nawet to, że była w tym gronie najstarsza – wówczas już po pięćdziesiątce.

Z listów do niej i z jej notatek dowiadujemy się, że była nie tylko oddana kobietom, ale też skuteczna.

– Zachowała się praca pewnej francuskiej socjolożki z lat 30., w której wypowiada się Julia Duval i mówi o tym, że kobieta musi być niezależna, musi pracować. Takie podejście wyróżniało ją nawet na tle ówczesnych intelektualistek. Wyprzedzała swoje czasy.

Julii bardzo zależało na tym, aby między polskimi pracownicami a francuskimi pracodawcami nawiązała się bliska relacja. To była bardzo pozytywistyczna postawa, nad którą unosiła się idea społeczeństwa jako całości. Chciała być obiektywna, widzieć racje obydwu stron, ale jednak stała murem za kobietami. To, że była tak zaangażowana, nie podobało się i w końcu wyrzucono ją z pracy.

Intelektualistkę Duval i polskie chłopki, które z trudem posługiwały się językiem pisanym, dzieliła przepaść. Ale w jej podejściu do nich w ogóle tego nie widać.

– Pozostawione przez nią notatki i listy to nie są notatki urzędniczki, tylko wnikliwie psychologiczne, prawie filozoficzne zapiski. Jeden z listów zaczyna słowami: „Dzisiaj pieśń mojej liry będzie smutna". Francuskich historyków, którzy badali te archiwa, jeszcze nie wiedząc, kim była autorka, bardzo to intrygowało.

Ona oczywiście intelektualnie przewyższała polskie robotnice, zresztą inne inspektorki też, ale uważam, że sama tego tak nie odbierała. Z jej odnalezionych listów do męża wyłania się osoba, która do relacji międzyludzkich podchodziła jak do relacji człowieka z człowiekiem, bliźniego z bliźnim, kobiety z kobietą. To było bardzo chrześcijańskie, a jej kontakt z robotnicami był niesłychanie uczuciowy i bliski. Widać to choćby na przykładzie relacji z chłopką, która chce wyjść za mąż za Francuza, który trafił do więzienia. Julia mówi jej: „uważaj". To była już sfera bardzo intymna.

Duval wcielała w życie ideę siostrzeństwa. Widać to było szczególnie w sytuacjach, kiedy chłopki zachodziły w ciążę – najczęściej w wyniku gwałtów. Ciąża w takich okolicznościach to nie była radosna nowina. Julia robiła wszystko, co w jej mocy, by pomóc.

– Ciąża była dramatem i kłopotem. Robotnice miały niekiedy w Polsce dzieci, których nie mogły wyżywić, a tu miało pojawić się kolejne dziecko. Powrót do Polski w tej sytuacji też był trudny do wyobrażenia, bo jak wrócić z nieślubnym dzieckiem? W takich sytuacjach Duval uruchamiała wszystkie znajomości. Kontaktowała się z adwokatami, rozmawiała z lekarzami, załatwiała żłobek, ochronkę czy opiekunkę, która przyjmie dziecko na wychowanie.

OGŁOSZENIE



W jej podejściu do kobiet na takim życiowym zakręcie widać było sporo matczynej czułości.

Robotnice czasem decydowały się na oddanie dziecka, zapewne robiły aborcje, jest też jeden udokumentowany przypadek dzieciobójstwa. Duval nigdy nie oceniała.
– To niezwykła jej cecha. Ona wszystko rozumie, niczemu się nie dziwi. Myślę, że to efekt jej humanistycznej edukacji zdobytej we Lwowie.

W jakich okolicznościach pojawiły się w pani życiu Julia Duval i polskie chłopki?
– Wszystko zaczęło się od profesor Janine Ponty, niestety już nieżyjącej, która całe swoje życie naukowe, od pierwszego doktoratu, poświęciła Polakom we Francji i napisała wiele cennych prac o emigracji, głównie robotniczej. Pewnego dnia pani profesor, która była moją sąsiadką, zaprosiła mnie na herbatę. Pojawiła się tam także profesor Sylvie Aprile, a profesor Ponty opowiedziała nam o tajemniczej francuskiej mieszczance, inspektorce, która w swoich raportach pisała „jakieś" elaboraty, i poprosiła, żebyśmy my dwie – ponieważ mamy ku temu kompetencje – zbadały tę sprawę. To było jakieś 15 lat temu. Kolejne pięć lat upłynęło nam – i nie tylko nam, bo w sprawę zaangażowałyśmy swoich studentów i szersze grono historyków i językoznawców – na badaniach. Znalezione archiwum Julii Duval liczy 1300 listów i urywa się w połowie alfabetu, prawdopodobnie jest to tylko część całości. Pierwszą selekcję listów zrobiła Elżbieta Łątka-Likh, która podzieliła listy tematycznie. Dodam, że te listy były pisane czasem na kawałeczku kartki, na jakimś skrawku papierka, nie miały żadnej interpunkcji, były kalekie językowo, często trudne do zrozumienia.

Żeby je odszyfrować i przetłumaczyć, często trzeba było znać kontekst. Nasza praca przypominała rozplatanie warkocza, często wymagała konsultacji z historykami.

Pani tłumaczyła listy na francuski?
– Tak. A profesor Ponty była bardzo niecierpliwa. „Tłumaczy pani takie olbrzymie książki, a to tak długo trwa" – skarżyła się. A prawda jest taka, że przetłumaczenie listów polskich chłopek na język francuski okazało się dużo trudniejsze niż tłumaczenie na francuski książek Olgi Tokarczuk.

Książka ukazała się w Polsce zaledwie kilka tygodni temu, ale francuskie wydanie jest dostępne już od ponad 10 lat. Jak przyjęli ją francuscy czytelnicy?
– To była dla Francuzów lektura trudna, ale ważna. Książka wciąż budzi zainteresowanie, wokół tej historii powstały we Francji dwa filmy dokumentalne. Pamiętam spotkanie autorskie we Flandrii, na północy Francji. Jeden z młodych ludzi wstał i powiedział, że jego dziadkowie mieli Polkę na gospodarstwie i zaczął zastanawiać się, jak ją traktowali. Książka obudziła we Francuzach refleksję nad ich przeszłością.

W ciągu stu lat, jakie upłynęły od historii przedstawionej w „Polkach w polu", Polska jest już w innym miejscu, ale wiele osób na świecie, szczególnie z krajów najbiedniejszych czy dotkniętych konfliktami, powtarza dziś drogę polskich robotnic, tzn. wyrusza w podróż, która już sama w sobie jest ryzykowna, do kraju, którego języka i kultury nie zna, tam pracuje ponad siły, doświadcza wyzysku, a jeśli jest kobietą – czego dowodzą liczne raporty – doświadcza także przemocy seksualnej. Mam wrażenie, że książka jest bardziej aktualna, niż mogłoby się wydawać.
– Myślę, że w dobie masowych migracji jest to książka bardzo współczesna. Daje jakieś wyobrażenie o tym, co czuje osoba z Azji czy Afryki, która dociera do Europy. My sobie nawet nie wyobrażamy, jaka to jest przepaść kulturowa. A mówiąc kulturowa, nie mam na myśli czytania poezji, lecz zwyczaje, czyli, co się je, jak zachowuje, co można, a czego nie. Tak samo nasze Polki zostały wrzucone do świata, który był im kulturowo obcy.

We Francji mamy przykład Calais [nielegalne obozowisko migrantów we francuskim mieście Calais, które stało się symbolem europejskiego kryzysu migracyjnego], które bywa nazywane dżunglą. Zdarza się, że całe rodziny koczują w namiotach, żyją w okropnych warunkach, w oczekiwaniu, bo chcą się przedostać do Anglii. Jedna z moich przyjaciółek zajmuje się tam dziewczynami, m.in. z Afganistanu. Migrantki – dziewczynki, kobiety – doświadczają dziś okrutnej przemocy, tak jak kiedyś Polki. Tu nic się nie zmieniło.

Historia naszych chłopek we Francji się urywa, nie wiemy, jakie były ich dalsze losy. Zastanawia się pani czasem nad tym, jak dalej mogło potoczyć się ich życie?
– Myślę, że one sobie w większości poradziły. Ale zanim wyjaśnię, dlaczego tak myślę, muszę zrobić nawias. Otóż wiemy, że kilka kobiet wróciło do Polski ciężko chorych, kilka wylądowało w szpitalu psychiatrycznym. Była grupa kobiet, którą to doświadczenie złamało. Chciałyśmy poświęcić im osobny rozdział, tak się jednak nie stało, bo nie udało nam się znaleźć polskiego psychiatry, który pomógłby nam zbadać ten temat.

Jednak w ogromnej większości nasze polskie robotnice to były wojowniczki, niesłychanie waleczne kobiety. To, że przyjeżdżały do Francji same, do zupełnie obcego świata, już samo w sobie dowodzi ich odwagi.

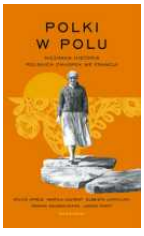
A potem to, jak walczyły o siebie i poprawę swojej sytuacji, jak cały czas próbowały iść naprzód – czego dowodem są ich listy do Julii Duval – pokazuje ich determinację, nieustępliwość. Ale zwraca uwagę coś jeszcze – ich poczucie godności. Np. gdy w liście do Duval pisały: „Proszę mi odpisać, ja zwrócę za znaczki", pokazywały, że nie chcą jałmużny. Chciałby być samodzielne i o sobie stanowić.

Julia Duval opiekowała się także kobietami z innych krajów, m.in. Jugosłowiankami, Czeszkami, i muszę powiedzieć, że Polki wyróżniały się na ich tle. Były wyjątkowo niezłomne i pracowite. Budziły podziw i dlatego Francji tak bardzo zależało na polskich robotnicach. Wierzę, że ułożyły sobie życie w tym kraju na własnych zasadach. ▲



PROF. DR HAB. MARYLA LAURENT

– ur. w Lille we Francji, językoznawczyni, tłumaczka, krytyczka literacka, odznaczona francuskim orderem Kawalera Sztuki i Literatury. Za tłumaczenie „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk wyróżniona prestiżową nagrodę Prix Laure-Bataillon



POLKI W POLU, Sylvie Aprile, Maryla Laurent, Elżbieta Łątka-Likh, Monika Salmon-Siama, Janine Ponty, wyd. Marginesy



Historia, która *nie musi się powtarzać*

„Na wschód od Edenu" Zoe Kazan nie jest serialem, dla którego zarywa się noc – podobnie jak powieść Steinbecka nie jest książką do przeczytania w jeden wieczór

TEKST **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

Wierzę, iż są na świecie potwory zrodzone z ludzkich istot. (...) Twarz i ciało mogą być doskonałe, lecz jeśli wykoślawiony gen lub zdeformowane jajeczko może wytworzyć fizycznego potwora, to czyż ten sam proces nie może wytworzyć zdeformowanej duszy? Potwory są mniejszymi lub większymi odchyleniami od przyjętej normy. Podobnie jak dziecko może urodzić się bez ręki, tak ktoś może narodzić się bez dobroci czy potencjalnego sumienia. (...) W moim przekonaniu Cathy Ames urodziła się z tymi skłonnościami czy też brakiem skłonności, które nią kierowały i powodowały przez całe życie. (...) Wykorzystując swoją inność, czyniła bolesny i niepokojący zamęt w swoim świecie*" – napisał John Steinbeck w swojej monumentalnej powieści „Na wschód od Edenu", która ukazała się w 1952 r., dekadę przed przyznaniem mu Literackiej Nagrody Nobla.

To jego najbardziej osobiste dzieło, które jest też próbą stworzenia przypowieści o ludzkiej naturze, odpowiedzi na pytanie, czy człowiek rodzi się zły i na ile jest kowalem własnego losu. W liście do swojego przyjaciela Bo Beskowa, szwedzkiego malarza, pisał wręcz, że to „TA książka" i że do „jej napisania przygotowywał się całe życie". Przeważająca część akcji rozgrywa się w dolinie rzeki Salinas w Kalifornii – miejscu, w którym w 1902 r. urodził się też Steinbeck i które dostarczyło mu krajobrazu, ludzi i problemów społecznych stanowiących szkielet jego twórczości. Nie bez powodu napisał w swoim dzienniku, że „Na wchód od Edenu" to zarówno historia Ameryki, jak i jego własna. Rodzina Hamiltonów jest wzorowana na rodzinie jego matki, a Samuel Hamilton, irlandzki imigrant, jest literackim odpowiednikiem dziadka Steinbecka, który przybył do Salinas w latach 50. XIX wieku.

FOT. NETFLIX; JOHN PHILLIPS/GETTY IMAGES FOR NETFLIX

WINA, MIŁOŚĆ I MORALNE WYBORY

„Na wschód od Edenu" to rozciągająca się na trzy pokolenia – od połowy XIX wieku aż po okres I wojny światowej – historia rodziny Trasków. Adam i Karol (Charles) to przyrodni bracia wychowywani na farmie w stanie Connecticut przez surowego ojca, weterana wojny secesyjnej, który jednak już pierwszego dnia na froncie został na tyle poważnie ranny, że po amputacji nogi został odesłany do domu. Z czasem wyolbrzymia jednak swoje wojenne dokonania i zmusza Adama, by wstąpił do wojska. Karol zostaje na rodzinnej farmie, którą z czasem nauczy się uprawiać i szanować.

Adam tuła się po kraju, a kiedy wraca do Connecticut marzy już o wyjeździe do Kalifornii, o której słyszał, że to piękne miejsce, gdzie żyje się dostatnio. Karol nie daje się jednak przekonać do opuszczenia rodzinnej farmy. Zwrot akcji następuje, kiedy bracia odkrywają na ganku tajemniczą dziewczynę, tak pobitą, że balansuje na granicy życia i śmierci. Nic o niej nie wiedzą, ale Adam z miejsca się zakochuje, żeni i zabiera żonę do Kalifornii. Nieznajomą okazuje się Cathy Ames, ta sama, którą Steinbeck przedstawia słynnym i przytoczonym na początku opisem, nazywając wprost potworem.

W żyznej dolinie Salinas Adam kupuje 900 akrów dawnego rancza Sancheza i z pomocą sąsiada – Samuela Hamiltona, postanawia założyć tam swój Eden. Kiedy Cathy rodzi bliźniaki – Arona i Kaleba, Adamowi wydaje się, że spotkało go największe szczęście w życiu, ale wszystko się zmienia, kiedy Cathy w dość dramatycznych okolicznościach od niego ucieka i zostawia z bliźniakami.

Wychowaniem chłopców zajmuje się Li (Lee), służący Adama o chińskich korzeniach, a później także Adam. Bliźniaki w powieści Steinbecka inspirowani są biblijnymi Kainem i Ablem. Sam tytuł książki zaczerpnięty jest z tej samej przypowieści, z fragmentu, który mówi o tym, że po zabiciu brata Kain odszedł od Boga i zamieszkał w kraju Nod, na wschód od Edenu. Stamtąd pochodzi też słowo „timszel", które po hebrajsku oznacza „możesz" i które staje się symbolem wolnej woli, odpowiedzialności za swoje czyny i możliwości wpływania na to, jak będzie wyglądała nasza przyszłość. Człowiek może wybrać dobro, ale może też wybrać zło, ale do niczego nie jest zmuszony.



Florence Pugh i Zoe Kazan podczas trasy promocyjnej „Na wschód od Edenu"

OD KAZANA DO KAZAN

Steinbeck połączył losy Trasków i Hamiltonów, opisał historię Cathy Ames. Obszerna rodzinna saga jest jednak fundamentem dla opowieści o winie, miłości, rodzicielstwie, braterstwie i moralnych wyborach. Nic dziwnego, że nie jest łatwa do sfilmowania. Pierwszą próbę podjął w 1955 r. Elia Kazan, amerykański reżyser, uznany przez „The New York Timesa" za jednego z najbardziej wpływowych reżyserów w historii Hollywood, który wówczas miał już na koncie m.in. Oscara i Złoty Glob. W roli Kaleba obsadził legendarnego Jamesa Deana, a z powieści Steinbecka wybrał tylko ostatnią część, kiedy bliźniacy są już nastolatkami, a historia zmierza do tragicznego końca. Pominął tym samym wiele wątków i postaci i choć rola uczyniła z Deana gwiazdę, całość wydaje się dzisiaj chaotyczna, a jego Kalebowi brakuje głębi. Steinbeck podobno też nie był zadowolony z obsadzenia Deana.

W 1981 r. powstał trzyodcinkowy, łącznie około ośmiogodzinny miniserial telewizyjny, w którym scenarzysta Richard Shapiro spróbował się zmierzyć już ze znacznie obszerniejszym materiałem, począwszy od wcześniejszych losów Trasków. Rolę Cathy Ames zagrała Jane Seymour, późniejsza doktor Quinn.

Książki Steinbecka od najmłodszych lat czytała też Zoe Kazan, wnuczka Elii, która swoje dorosłe życie także związała z branżą filmową. W rozmowie z „Vanity Fair" mówiła, że zakochała się w „Na wschód od Edenu" jeszcze jako nastolatka i była zaskoczona filmową wersją dziadka. „Oglądając ten film po raz pierwszy, zdałam sobie sprawę, że zabrakło w nim wielu rzeczy, które pokochałam w książce. Dla mnie siła tej opowieści tkwiła w tym, że na przestrzeni ponad 600 stron i pięćdziesięciu lat pokazywała, jak historia się powtarza albo nie. A do tego była jeszcze Cathy Ames, znana również jako Kate, główna bohaterka. W książce pojawia się jak grom z jasnego nieba: niezdolna do odkupienia, nieodparcie pociągająca i tak bardzo świadoma własnej sprawczości. Pamiętam, że pomyślałam wtedy z absolutną jasnością: »Kiedyś ktoś musi oddać jej sprawiedliwość«" – napisała w liście towarzyszącym nowej adaptacji.

Biorąc pod uwagę, jak bardzo ta opowieść związana jest z osobistą historią rodziny Zoe, Kazan bardzo zależało na pozyskaniu praw do adaptacji. Kiedy okazało się, że Netflix jest gotowy nakręcić nową wersję, zrobiła, co mogła, żeby dołączyć do ekipy. Jej wizja spodobała się producentom i w 2020 r. zaczęła pracować nad scenariuszem. Jego centralną postacią uczyniła Cathy, o której mówiła: „Była zupełnie inna niż ktokolwiek, o kim wcześniej czytałam. Jest w jej egoizmie coś niezwykle klarownego, co wydało mi się fascynujące". Przyznała też, że od razu wiedziała, że chce, żeby tę trudną rolę zagrała Florence Pugh, która zrobiła na niej ogromne wrażenie w filmie „Midsommar. W biały dzień". Pugh nie tylko się zgodziła, ale została też jedną z producentek wykonaw-

czych serialu. „Miałam świadomość, że [Cathy] jest motorem naszej historii, dlatego wiedziałam, że Zoe nie była zainteresowana przedstawieniem jej po prostu jako potwora. Chciała ją zrozumieć, zajrzeć głębiej w jej postać i dać jej choć jeden moment, w którym widzowie mogliby ją dostrzec w innym świetle albo poczuć wobec niej empatię. To było dla mnie niezwykle ekscytujące, bo wiedziałam, że sprawienie, żeby tak się stało, żeby ludzie jej współczuli i może choć trochę się w niej zakochali, było moim zadaniem" – tłumaczyła Pugh w rozmowie z „The Atlantic".

„Bardzo zależało mi na tym, żeby [Cathy] nie ocieplać ani nie szukać dla niej wymówek, żeby odnaleźć w niej delikatność, czułość i człowieczeństwo, nie zmieniając przy tym zasadniczej natury tej postaci" – podkreślała Zoe Kazan w „Vanity Fair".

ZACHWYCA FLORENCE PUGH

Siedmioodcinkowy serial na podstawie powieści Steinbecka zadebiutował w serwisie Netflix 1 października. Oprócz Florence Pugh w obsadzie znaleźli się też m.in. Christopher Abbott w roli Adama Traska, Mike Faist jako jego brat Karol i Hoon Lee jako Li. W serialowych bliźniaków wcielili się natomiast Joseph Zada i Joe Anders, którzy zagrali odpowiednio Kaleba (Cala) i Arona.

Wersja Zoe Kazan jest dość wierną adaptacją powieści z pewnymi oczywistymi skrótami, ale i dodatkami, które miały pozwolić lepiej zrozumieć niektóre działania bohaterów. Pomimo tych zabiegów momentami można jednak odnieść wrażenie, że materiału było zbyt dużo, by nie zgubić uwagi widza.

Bardzo ciekawym wyborem do roli Cathy okazała się Florence Pugh. Patrząc na jej łagodną, niemal dziecięcą twarz, łatwo uwierzyć, że mogłaby rozkochać w sobie niejednego mężczyznę i do woli nim manipulować. Trudniej, że mogłaby być pozbawioną wszelkich skrupułów zbrodniarką. Ten rozdźwięk zdaje się idealnie oddawać zamysł Steinbecka, który pisał, że jej wygląd nie zdradzał zła, które w sobie nosiła, przeciwnie, mogła wydawać się niewinna i delikatna i tylko ludzie, którzy się z nią zetknęli, doznawali przy niej dziwnego, nieprzyjemnego uczucia. Powieściowa Cathy była po prostu złą osobą. Steinbeck nie szuka dla niej żadnego usprawiedliwienia, ale też jej nie ocenia. Czy Pugh i Kazan nie posunęły się jednak zbyt daleko, próbując tchnąć w Cathy odrobinę człowieczeństwa, pozostaje indywidualnym osądem.

Li, który w filmie Elii Kazana nie znalazł się w ogóle, wypada świetnie w wersji serialowej. Znany m.in. z serialu „Banshee" Hoon Lee z dostojeństwem i godnością portretuje swojego bohatera – ostoję spokoju i rozsądku w burzliwych życiach Trasków. Zoe Kazan zdecydowała się zatrudnić Alexandra Chee, amerykańskiego pisarza i dziennikarza, by dopisał sceny, w których Li wyjeżdża do San Francisco spełnić swoje marzenia. Steinbeck zaledwie wspomina o tym w książce, ale w serialu ten fragment pozwala lepiej zrozumieć Li.

Warto też zwrócić uwagę na Josepha Zadę, młodego australijskiego aktora, który wcielił się w Kaleba i którego będzie można oglądać wkrótce także w nowej części filmów z cyklu „Igrzyska śmierci". Choć pewnie mogło mu to przemknąć przez głowę, Zada nie próbuje ani naśladować, ani inspirować się pamiętną kreacją Jamesa Deana, tworząc swojego Kaleba, bliższego powieściowemu pierwowzorowi.

Ciekawie wypada też Mike Faist jako Karol. Jego rola mogłaby się skończyć w początkowych odcinkach, ale Kazan postanowiła za jego pomocą pokazać rozwijającą się w Cathy chorobę i narastającą paranoję.

„Na wschód od Edenu" Zoe Kazan nie jest serialem, dla którego zarywa się noc – podobnie jak powieść Steinbecka nie jest książką do przeczytania w jeden wieczór. I to wcale nie jest wada, bo to wciąż piękna wizualnie, wciągająca amerykańska opowieść o rodzinie i wyborach, które wyznaczają ścieżki naszego życia. Warto poświęcić temu serialowi pełnię uwagi i kilka jesiennych wieczorów. ▲

„NA WSCHÓD OD EDENU", Zoe Kazan, reż. Garth Davis, Laure de Clermont-Tonnerre, siedem odcinków w Netfliksie

***Cytat w przekładzie Bronisława Zielińskiego (wyd. Prószyński i S-ka). Zieliński zastosował polską pisownię imion z pominięciem Cathy/Kate. Oryginalne wersje imion pozostawiono w serialu**

OGŁOSZENIE



Pies nie jest alternatywnym *kotem*

Dezinformacja ma swój słownik. Lubi określenia m.in.: „holistyczny”, „naturalny”, „wolnościowy”, „świadomy”, „alternatywny”

Z **KATARZYNĄ LIPKĄ**, BIOLOŻKĄ, EKSPERTKĄ NASK, ROZMAWIA **EWA PĄGOWSKA**
RYSUNEK **MACIEJ SIEŃCZYK**

Co pani myśli, słysząc słowo „holistyczny”?
– „Ja wiem, od kogo wy są”. Słowo „holistyczny” nie jest nacechowane ani pozytywnie, ani negatywnie – określa całościowe podejście do jakiegoś zagadnienia, ale w kontekście profilaktyki i leczenia zwykle jest używane do opisania metod, które nie są zgodne z medycyną opartą na faktach.

Czyli jakich?
– Chodzi o metody, których skuteczność i bezpieczeństwo są dowiedzione naukowo. Wiadomo, że w przypadku leczenia nie ma stuprocentowo bezpiecznych metod, ale dzięki badaniom klinicznym jesteśmy w stanie oszacować, czy potencjalne korzyści przewyższają ewentualne zagrożenia związane ze skutkami ubocznymi, i na tej podstawie podjąć decyzję o dalszych działaniach. Oczywiście podejście do zdrowia, które traktuje człowieka jako całość – łączy fizjologię z psychiką, uwzględnia aktywność fizyczną i zdrowe odżywianie – jest jak najbardziej słuszne. Tyle że osoby, które reklamują swoje usługi za pomocą słowa „holistyczne”, często włączają do tego także duchowość i różne pseudonaukowe metody, jak np. biorezonans czy terapię za pomocą dotyku kwantowego.

Znajomy fizyk ubolewa nad tym, że słowo „kwantowy” i wyrwane z kontekstu pojęcia z fizyki kwantowej są często wykorzystywane przez hochsztaplerów.
– Odwoływanie się do uznanych dziedzin i pojęć naukowych to w ogóle częsty sposób uwiarygadniania niesprawdzonych metod. Weźmy „totalną biologię”, według której za chorobą somatyczną stoi jakaś przyczyna wynikająca z konfliktów emocjonalnych czy traum.

Wiadomo, że psychika i ciało wpływają na siebie nawzajem, ale na stronie o totalnej biologii czytam, że anemia to „niskie poczucie wartości wobec rodziny”.
– A o chirurgii fantomowej pani słyszała?

Nie.
– Według niej wokół naszego ciała unosi się struktura energetyczna, tzw. fantom, i symulując ruchy, które wykonywałby chirurg podczas operacji, jesteśmy w stanie przywrócić prawidłowe funkcjonowanie danego organu.

Wygląda na to, że dezinformacja medyczna ma swój słownik.
– Ma. Często pojawia się też przymiotnik „naturalne” jako synonim tego, co bezpieczne, ale przecież muchomor też jest naturalny. Kolejne słowo to „alternatywne”. Słyszymy np. „alternatywna medycyna”, czyli medycyna, która ma być niezależna od tzw. Big Pharmy. Z nią dla kontrastu zestawiana jest „medycyna przymusowa” lub „bezalternatywna”. Tymczasem medycyna jest jedna i można nią nazwać tylko to, co jest oparte na nauce. Pies nie jest alternatywnym kotem.

Słowo „przymusowa” dodatkowo budzi negatywne skojarzenia.
– I takich określeń jest więcej. Przeciwnicy szczepień mówią o „zamordyzmie szczepionkowym”, a „szczepionkę” nazywają „eutanazolem” lub „śmiercionką”. Używają również takich określeń, jak „szpryca”, „szczypawka” czy „eliksir”. Zwroty te służą m.in. do wyrażania negatywnego stosunku do szczepień, a w przypadku komunikacji w mediach społecznościowych także do omijania automatycznych systemów moderacji treści. Osoby, które nie mają uprawnień do udzielania świadczeń zdrowotnych, unikają słowa „leczenie”, by ograniczyć ryzyko ewentualnych konsekwencji prawnych. Zastępują je różnymi enigmatycznymi określeniami, np. oferują „wycofanie jednostek chorobowych”.

Tajemnicze sformułowania używane są też, by uniknąć podania konkretnych informacji na temat rzeczywistego działania produktów. Możemy przeczytać np., że suplement poprawia energię czy przywraca równowagę kobiecego centrum. Wiele z tych osób ma więcej szkoleń i certyfikatów z marketingu sieciowego niż z zakresu naturalnych terapii, w których podają się za specjalistów. Kilkugodzinny kurs z naturoterapii jest im często potrzebny do tego, by sprzedawać swoje suplementy. Czasem głoszą, że jakaś substancja leczy ciężkie schorzenie, ale pod warunkiem, że jest ona „bardzo czysta”. Dziwnym trafem okazuje się, że właśnie taka substancja znajduje się w ofercie ich sklepu.

No tak, ale hochsztaplerzy zdarzają się także wśród osób z uprawnieniami do udzielania świadczeń zdrowotnych.
– Tak i oni reklamują się często jako „niezależni”, „świadomi”, „wolnościowi”. Czasem sami rezygnują z prawa wykonywania zawodu, zwłaszcza jeśli wiedzą, że za swoją działalność mogą zostać go pozbawieni. Jeden z lekarzy, który tak postąpił, ogłosił, że chce odpowiadać tylko przed swoim sumieniem i pacjentami. Hochsztaplerzy często mówią też o spiskach i „ukrytych terapiach”. Można by powiedzieć: tak głęboko je ukryto, że teraz są dostępne wyłącznie na publicznych kanałach na YouTubie.



Co ciekawe, na tych kanałach samozwańczy eksperci nierzadko prezentują wyniki badań naukowych, które mają potwierdzać ich teorie.
– I to jest problem! Nie sam fakt, że pokazują badania, tylko że często cytują je selektywnie – wybierając to, co pasuje do ich tezy. Czasem powołują się na publikacje, które zostały wycofane ze względu na różne nadużycia lub te, które jeszcze nie były recenzowane. Ocena tych materiałów jest często bardzo skomplikowana nie tylko dla laika. NASK podpisał umowę z polskimi uniwersytetami medycznymi i Głównym Inspektoratem Sanitarnym w zakresie przeciwdziałania dezinformacji m.in. po to, by w takich sytuacjach móc posiłkować się wiedzą ekspercką.

Jak w takim razie ma sobie radzić przeciętny zjadacz chleba?
– Przede wszystkim powinien mieć świadomość, że nikt nie jest odporny na dezinformację. Dobrze jest poznać metody stosowane przez osoby, które ją szerzą. Popularne jest np. zachęcanie odbiorców do zrobienia własnego researchu. Autorzy dezinformacji podpowiadają źródło, np. jakąś publikację naukową, w której możemy sprawdzić podawane przez nich informacje. Jeśli pójdziemy za ich radą i w tej publikacji znajdziemy jakieś odniesienie do tego, o czym mówili – coś, co potwierdza nawet niewielki fragment ich tezy, to możemy uznać, że cała ich teoria jest prawdziwa. Nabierzemy też przekonania, że doszliśmy do tych samych wniosków co oni, a nie że ktoś nam je podsunął. W związku z tym trudniej nas będzie przekonać, że się mylimy. A wręcz możemy to potraktować jak atak personalny, bo uznamy, że ktoś podważa naszą zdolność logicznego myślenia. Podobnie oddziałuje metoda: „Ja tylko pytam". Ktoś zadaje pytanie naprowadzające i namawia do tego, żeby samemu wyciągnąć wnioski.

Na przykład pyta: „Czy to przypadek, że kilka dni po szczepieniu u dziecka stwierdzono autyzm?"
– Tak. Proszę zwrócić uwagę – ta osoba nie broni żadnej tezy. Kolejna metoda to używanie emocjonalnego języka i wywoływanie strachu. Oglądałam ostatnio dwugodzinne nagranie, w którym widz jest bombardowany informacjami o zagrożeniach: wi-fi – szkodliwe, GMO – szkodliwe, 5G – szkodliwe, leki na glejaka w 100 procentach prowadzą do śmierci. Im dłużej się tego słuchało, tym bardziej człowiek się czuł zagrożony. A co ciekawe, osoby szerzące dezinformację twierdzą, że to lekarze i przemysł farmaceutyczny straszą ludzi, by sprzedawać swoje produkty.

KATARZYNA LIPKA

– biolożka, ekspertka z Zespołu Analizy Trendów Narracyjnych i Fact-Checkingu NASK. Koncentruje się głównie na narracjach związanych z pseudomedycyną, szczepieniami i działalnością środowisk skupionych wokół dezinformacji zdrowotnej

No tak, ale znajomość metod manipulacji chyba nie wystarczy do obrony przed dezinformacją?
– Nie. Zwłaszcza jeśli ktoś jest w trudnym momencie życia, w silnym stresie albo pod presją czasu. To wszystko sprawia, że jest bardziej podatny na manipulację. Prostych i w 100 procentach skutecznych sposobów obrony przed nią nie ma, ale na pewno warto ograniczyć czas spędzany w serwisach społecznościowych, bo tam jest dużo fałszywych treści. Dodatkowo z naszego raportu „Paradoks spiskowy"*, przygotowanego w 2026 r. na podstawie ogólnopolskiego badania, wynika, że bardziej podatni na teorie spiskowe są użytkownicy serwisów opartych na materiałach wizualnych rekomendowanych przez algorytm jak TikTok lub Snapchat, a mniej użytkownicy serwisów tekstowo-relacyjnych jak Facebook czy Linkedin. Sprawdzanie wiadomości w różnych miejscach wcale nie chroni nas przed dezinformacją. Osoby o tzw. mieszanym stylu konsumpcji, czyli sięgające do różnych źródeł, są bardziej skłonne, by uwierzyć w spisek. Może to być związane z przytłoczeniem informacjami i poszukiwaniem prostych rozwiązań. Trzeba zawsze sięgać do sprawdzonych źródeł.

Ale nawet jeśli zajrzymy do takiej bazy jak PubMed, która podlega pod Departament Zdrowia i Opieki Społecznej USA, i znajdziemy badanie, które potwierdza tezę internetowego eksperta, to jeszcze nie znaczy, że on ma rację. Badanie mogło być przeprowadzone na niereprezentatywnej próbie albo opisywany efekt jest tak niewielki, że mieści się w granicach błędu statystycznego.
– Ważny jest też kontekst. Być może wnioski płynące z badania dotyczą wąskiej grupy ludzi albo jakichś szczególnych okoliczności.

Wygląda na to, że jeśli nie mamy wiedzy na temat metodologii badań, tego, jak należy je oceniać, to równie dobrze możemy się do tego nie zabierać.
– Z „Paradoksu spiskowego" wynika też, że podatność na dezinformację zależy od naszej wiedzy faktograficznej z dziedziny zdrowia, nowych technologii oraz przyrody i klimatu. Im więcej wiemy na ten temat, tym bardziej jesteśmy odporni. Dlatego tak ważna jest między innymi edukacja zdrowotna. Ktoś, kto ją przeszedł, nie uwierzy, że nowotwory to otorbione pasożyty i nie będzie ich leczył za pomocą odrobaczania.

Natomiast to, na ile znamy zagadnienia dotyczące funkcjonowania państwa, prawa i gospodarki, nie ma większego znaczenia dla naszej podatności na spiskowe teorie, podobnie jak to, czy skończyliśmy studia, czy nie.

Może warto odświeżyć wiedzę ze szkoły? Zwłaszcza że dziś można znaleźć fantastyczne książki popularnonaukowe dla młodzieży.
– Tym bardziej że wiele informacji, które przekazywano nam w szkole, jest już nieaktualnych. Natomiast uważam, że nie należy przerzucać całej odpowiedzialności za obronę przed dezinformacją na pacjenta. Powinny być wprowadzone takie rozwiązania prawne, które ograniczą działalność pseudomedyczną i pacjenta zabezpieczą. Ważne jest to, żeby można było pociągać do odpowiedzialności osoby, które szerzą dezinformację medyczną, zanim z tego powodu stanie się komuś krzywda. Niestety, do rezygnacji z profesjonalnej opieki medycznej na rzecz pseudoterapii przyczyniają się też niedoskonałości naszego systemu opieki zdrowotnej. Osoba, która po otrzymaniu diagnozy musi czekać w kolejce do lekarza specjalisty kilka miesięcy, często zaczyna w tym czasie szukać pomocy w sieci. A tam znajduje dużo prostych odpowiedzi. Niekoniecznie prawdziwych, bezpiecznych i takich, które rozwiążą jej problem. ▲

*** Wspomniany raport oraz formularz zgłoszeniowy dostępny jest na stronie: oad.nask.pl**

Pełne zwoje *roboty*

Czytanie dla przyjemności zmienia mózg. I nie trzeba wcale sięgać po Prousta



TEKST **OLGA WOŹNIAK**

Najpierw chcemy tylko wiedzieć, co będzie dalej. Po kilkudziesięciu stronach jesteśmy już w cudzej głowie, pamiętamy szczegóły, śledzimy tropy i zapominamy o telefonie. Czytanie jest jedną z najbardziej złożonych czynności, które wykonujemy dla frajdy. I mózg najwyraźniej bardzo to lubi.

Siedzisz na kanapie i czytasz. Z punktu widzenia reszty ciała właściwie nic się nie dzieje. Nogi odpoczywają, serce nie przyspiesza, pot się nie leje. Czytanie wygląda na odpoczynek głównie dlatego, że człowiek przy nim siedzi.

Tymczasem mózg ma pełne zwoje roboty. Rozpoznaje litery, składa je w słowa, słowom przypisuje znaczenie. Pamięta, co wydarzyło się trzy rozdziały wcześniej. Próbuje odgadnąć, co będzie dalej. Śledzi intencje bohaterów, wychwytuje kłamstwa, tworzy miejsca, których nigdy nie widział, i ludzi, którzy nie istnieją.

We wrześniu 2026 r. w „Psychological Medicine" Barbara Sahakian i Christelle Langley z Uniwersytetu Cambridge oraz Vicki Perrin z The Queen's Reading Room zebrały badania pokazujące, jak regularne czytanie dla przyjemności wpływa na rozwój mózgu, pamięć, uwagę, zdrowie psychiczne i starzenie się.

Nie chodzi tu jednak o jedno nowe odkrycie, po którym należałoby natychmiast rzucić wszystko i zakopać się pod kocem z książkami. Autorzy przyglądają się wielu badaniom prowadzonym przez lata na dzieciach, dorosłych i osobach starszych. Układa się z tego całkiem ciekawa historia.

NIE TYLKO OCENY

Jedno z najciekawszych badań objęło ponad 10 tys. dzieci uczestniczących w amerykańskim projekcie ABCD, czyli Adolescent Brain Cognitive Development Study.

W 2023 r. zespół kierowany przez Yun-Jun Sun z Uniwersytetu Fudan w Szanghaju opublikował wyniki w „Psychological Medicine". Naukowcy mieli do dyspozycji coś więcej niż tylko szkolne oceny i ankiety. Znali wiek, w którym dzieci zaczęły czytać dla przyjemności, wiedzieli, ile czasu spędzały z książkami, mieli wyniki testów pamięci, uwagi i funkcji wykonawczych, dane dotyczące ich zdrowia psychicznego oraz obrazy mózgu wykonane rezonansem magnetycznym.

Dzieci miały początkowo od 9 do 11 lat. Potem badacze śledzili, jak radzą sobie dwa lata później. Te, które wcześnie zaczęły czytać dla przyjemności i robiły to regularnie, lepiej wypadały w testach pamięci, uwagi i zdolności do kontrolowania własnego zachowania. Lepiej radziły sobie też w szkole. Rzadziej pojawiały się u nich problemy z koncentracją, zachowaniem, stresem czy obniżonym nastrojem.

Tyle widać było z wierzchu – a potem naukowcy zajrzeli do ich mózgów. Co zobaczyli w rezonansie magnetycznym?

Dzieci więcej czytające miały przeciętnie większą powierzchnię lub objętość niektórych obszarów mózgu. Dotyczyło to między innymi rejonów związanych z językiem i rozumieniem znaczeń, pamięcią, koncentracją, kontrolą zachowania i przetwarzaniem emocji, czyli mniej więcej tego zestawu umiejętności, który uruchamiamy, kiedy przez dwieście stron próbujemy ustalić, czy narrator mówi prawdę, pamiętamy, kto z kim pokłócił się w rozdziale czwartym i nie dajemy się odciągnąć telefonowi leżącemu obok. To nie jest jednak historia tak prosta jak: czytasz książkę, mózg rośnie.

> Mechanizm jest fascynujący: kiedy zamykamy dobrą książkę i przez chwilę trudno nam wrócić do własnego życia, *mózg naprawdę przebywa gdzie indziej*

Dzieci, które dużo czytają, mogą przecież różnić się od innych na wiele sposobów. Mogą dorastać w domach, w których jest więcej książek, częściej rozmawia się z nimi przy stole albo rodzice mają więcej czasu. Mogą też po prostu od początku mieć większą łatwość skupiania uwagi, więc czytanie przychodzi im łatwiej. Badacze starali się uwzględnić te różnice. Zależność była na tyle wyraźna, że trudno ją zbyć wzruszeniem ramion.

DWANAŚCIE GODZIN?

W tym samym badaniu pojawiła się liczba wyjątkowo kusząca dla nagłówków: około 12 godzin czytania dla przyjemności tygodniowo wiązało się z najlepszymi wynikami poznawczymi. Łatwo byłoby z tego zrobić nowe zalecenie zdrowotne i już widzę aplikacje odliczające człowiekowi 103 minuty czytania dziennie.

Tylko że to tak nie działa. Naukowcy po prostu zobaczyli, że w badanej grupie dzieci, właśnie przy mniej więcej takim czasie czytania wyniki wyglądały najkorzystniej. Nie chodziło jednak o każde czytanie. Nie wystarczy przejrzeć instrukcję obsługi czy podręcznik do fizyki. Nie chodzi o książkę, którą rodzic kupił, bo „rozwija słownictwo". Chodziło przede wszystkim o czytanie dla przyjemności, o taką książkę, po którą dziecko samo chce sięgnąć.

NIE MUSI BYĆ AMBITNIE

Barbara Sahakian zwraca uwagę na rzecz banalną, ale bardzo ważną: jeśli czytamy dla frajdy, po prostu robimy to częściej i dłużej. To może być książka papierowa, e-book, magazyn czy komiks. Nie ma danych pokazujących, że mózg dostaje premię za Prousta, a krzywi się na kryminał – z jego perspektywy istotne jest raczej to, jaką pracę musi wykonać.

Czytając, bez przerwy coś przewidujemy. Zapamiętujemy informacje. Rozpoznajemy emocje, próbujemy zrozumieć cudze intencje. Tworzymy w głowie obrazy miejsc i ludzi, których przed nami nie ma.

I robimy jeszcze jedną rzecz, która w dzisiejszym świecie sama w sobie zaczyna wyglądać jak mały wyczyn neurologiczny: przez dłuższy czas utrzymujemy uwagę na jednym zadaniu.

Warto przy tym wspomnieć, że czytanie jest wynalazkiem bardzo młodym. Mózg człowieka nie miał milionów lat, żeby wyewoluować specjalny moduł do czytania powieści. Pismo istnieje zaledwie od kilku tysięcy lat, a masowa umiejętność czytania jest jeszcze młodsza. Musieliśmy więc nauczyć mózg wykorzystywać do czytania systemy, które wcześniej służyły innym celom – rozpoznawaniu obrazów, rozumieniu mowy, zapamiętywaniu, kierowaniu uwagą.

I właśnie dlatego czytanie jest dla neuronaukowców tak zajmujące. Pokazuje, jak bardzo plastyczny potrafi być mózg.

W INNEJ ROLI

Jest jeszcze jedna rzecz, którą robimy podczas czytania: wchodzimy komuś do głowy.

Psychologowie Geoff Kaufman z Dartmouth College i Lisa Libby z Uniwersytetu

FOT. SVEN HAGOLANI/GETTY IMAGES

Stanowego Ohio nazwali to experience-taking. Chodzi o moment, w którym przestajemy tylko obserwować bohatera i zaczynamy przeżywać historię razem z nim. Jego cele, emocje i punkt widzenia na chwilę stają się częściowo nasze.

W 2012 r. w „Journal of Personality and Social Psychology" opisali sześć eksperymentów pokazujących, że takie utożsamienie może wychodzić poza lekturę. W jednym z badań uczestnicy czytali historię bohatera, który mimo przeszkód szedł zagłosować. Ci, którzy mocniej weszli w jego doświadczenie, później sami częściej deklarowali udział w wyborach.

Jeszcze ciekawiej było wtedy, gdy bohater należał do grupy obciążonej stereotypami. Heteroseksualnym studentom trudniej było utożsamić się z bohaterem, jeśli od razu wiedzieli, że jest gejem. Jeśli dowiadywali się o tym później, kiedy zdążyli już wejść w historię, po lekturze oceniali osoby homoseksualne przychylniej i rzadziej sięgali po stereotypy. Podobny efekt badacze uzyskali, gdy biali czytali historię czarnego bohatera.

I to jest jedna z osobliwości fikcji. Przez kilkadziesiąt minut możemy być kimś starszym, młodszym, żyjącym w innym kraju, z innymi przekonaniami i doświadczeniami. Nie musimy się z bohaterem zgadzać. Mózg i tak próbuje zrozumieć, dlaczego zrobił to, co zrobił.

Czy to znaczy, że książki automatycznie robią z nas bardziej empatycznych ludzi? Niestety, byłoby zbyt łatwo.

W 2013 r. sz Wolnego Uniwersytetu w Amsterdamie i Martijn Veltkamp pokazali w dwóch eksperymentach, że samo przeczytanie fikcji nie wystarcza. Liczyło się to, czy czytelnik naprawdę dał się historii wciągnąć. U osób mocno zaangażowanych emocjonalnie po tygodniu obserwowano wzrost empatii. Jeśli tekst ich nie porwał, efektu nie było.

Czyli nie każda powieść uszlachetnia. Można ją przecież czytać z zaangażowaniem porównywalnym do regulaminu parkingu podziemnego.

Najciekawsze jest więc nie to, że czytamy fikcję, ale co robimy w głowie podczas czytania. Czy próbujemy zrozumieć bohatera? Przewidujemy jego decyzje? Wyobrażamy sobie, co czuje? Czy na chwilę patrzymy na świat jego oczami?

W 2014 r. Marcus Cheetham i jego współpracownicy z Uniwersytetu Zuryskiego przebadali rezonansem 38 osób. Ci, którzy deklarowali większą skłonność do utożsamiania się z fikcyjnymi bohaterami, różnili się budową niektórych obszarów mózgu związanych z wyobraźnią, pamięcią i rozumieniem cudzych stanów psychicznych. Grupa była mała, więc wielkiej teorii z tego nie zbudujemy. Ale mechanizm jest fascynujący: kiedy zamykamy dobrą książkę i przez chwilę trudno nam wrócić do własnego życia, mózg naprawdę przebywa gdzie indziej.

NA STAROŚĆ TEŻ DOBRZE

A co, jeśli mamy już nie dziesięć, tylko sześćdziesiąt lat? Tu zaczyna się druga część tej historii. Badacze od dawna próbują ustalić, czy aktywność umysłowa może mieć znaczenie dla tego, jak starzeje się mózg.

W 2022 r. na łamach „Neurology" ukazała się duża analiza zespołu Sizhen Su z Uniwersytetu Pekińskiego. Naukowcy zebrali wyniki 38 badań, w których uczestniczyło łącznie ponad 2,15 mln osób. Sprawdzali między innymi, jak ludzie spędzają wolny czas i czy ma to związek z późniejszym ryzykiem demencji. Osoby regularnie podejmujące aktywności wymagające wysiłku umysłowego, między innymi czytające, miały około 23 proc. niższe ryzyko demencji niż ci, którzy robili to rzadziej. W analizowanej grupie rozpoznano blisko 75 tys. przypadków demencji, więc nie mówimy o małym badaniu kilkuset szczególnie zdrowych emerytów zapisanych do klubu książki.

Czy zatem wystarczy kupić abonament w bibliotece, żeby zabezpieczyć się przed chorobą Alzheimera? Niestety, mózg rzadko zgadza się na tak wygodne rozwiązania.

Ludzie, którzy regularnie czytają, mogą się częściej ruszać, prowadzić bardziej aktywne życie towarzyskie, mieć wyższe wykształcenie albo lepszy dostęp do opieki zdrowotnej. Jest też jeszcze jedna możliwość. Zmiany prowadzące do demencji mogą zaczynać się wiele lat przed diagnozą. Człowiek może więc zacząć mniej czytać dlatego, że czytanie staje się dla niego trudniejsze. Dlatego szczególnie ciekawe są badania, w których tych samych ludzi obserwuje się naprawdę długo.

CZTERNAŚCIE LAT Z KSIĄŻKĄ

W jednym z takich badań obserwowano 1962 osoby w wieku powyżej 64 lat mieszkające na Tajwanie. Badanie trwało 14 lat.

Osoby, które czytały przynajmniej raz w tygodniu, rzadziej doświadczały później pogorszenia funkcji poznawczych. Związek pozostawał widoczny po sześciu, dziesięciu i czternastu latach obserwacji i nie znikał także wtedy, gdy badacze brali pod uwagę poziom wykształcenia.

To pasuje do koncepcji, którą neuronaukowcy nazywają rezerwą poznawczą. Nazwa brzmi tak, jakbyśmy mieli gdzieś schowany zapasowy mózg na starość. Chodzi jednak o coś innego. Mózg tworzy sposoby radzenia sobie z obciążeniami i zmianami. Im częściej używamy różnych zdolności, uczymy się, rozwiązujemy problemy, rozmawiamy, czytamy, tym bogatszy może być repertuar tych strategii. Dwie osoby mogą więc mieć podobne zmiany w mózgu, ale radzić sobie z nimi zupełnie inaczej.

MÓZG NIE LUBI EMERYTURY

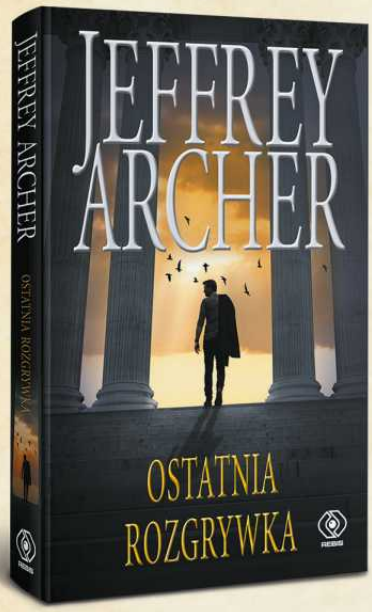
Już w 2003 roku Joe Verghese i jego zespół z Kolegium Medycznego im. Alberta Einsteina w Nowym Jorku opublikowali w „New England Journal of Medicine" badanie 469 osób powyżej 75. roku życia. Na początku żadna z nich nie miała demencji. Badacze pytali, czym zajmują się w wolnym czasie. Czy czytają? Grają w gry planszowe? Na instrumentach? Tańczą? Przez kolejne lata obserwowali, co dzieje się z ich pamięcią i sprawnością poznawczą. Czytanie, gry planszowe, gra na instrumentach i taniec należały do aktywności związanych z mniejszym ryzykiem późniejszej demencji. To badanie ma już ponad dwie dekady, ale jego wyniki nie zostały samotną ciekawostką. Późniejsze prace na większych grupach coraz częściej pokazują podobny obraz. Mózg najwyraźniej nie przepada za emeryturą.

NIE RÓBMY Z KSIĄŻKI BROKUŁU

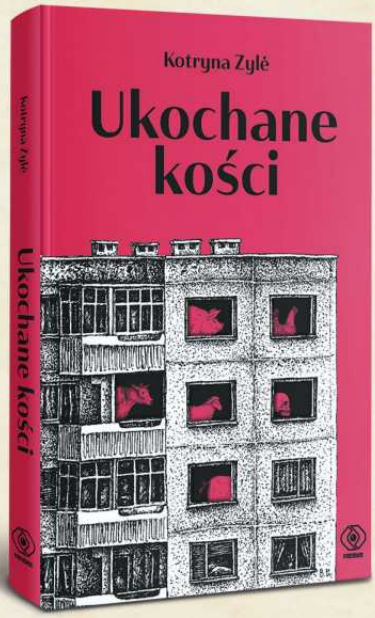
Jest jednak pewna pułapka. Kiedy naukowcy odkrywają, że coś może być korzystne dla zdrowia, natychmiast próbujemy zamienić to w zadanie do wykonania. Dziesięć tysięcy kroków. Osiem godzin snu. Trening siłowy dwa razy w tygodniu. A przecież w tej historii najważniejsze jest słowo „przyjemność". Dzieci z badania nie czytały po to, żeby poprawić pamięć roboczą. Dorośli nie muszą otwierać książki z myślą o budowaniu rezerwy poznawczej.

Czytamy, bo chcemy wiedzieć, kto zabił. Czy oni wreszcie będą razem. Co wydarzyło się naprawdę. Mózg przy okazji pamięta, przewiduje, skupia uwagę, ćwiczy cudze perspektywy i buduje całe światy z czarnych znaków na białej stronie. A my mamy poczucie, że właśnie odpoczywamy. ▲

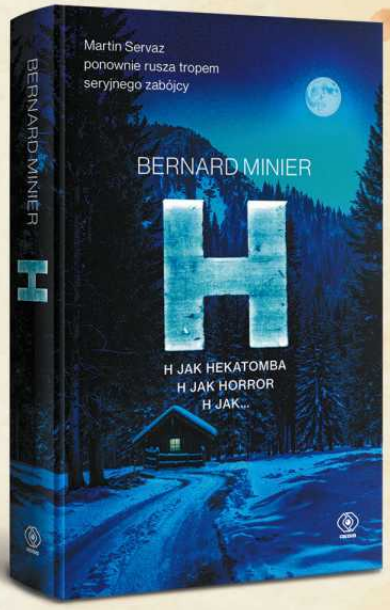
PREMIERY JESIENI



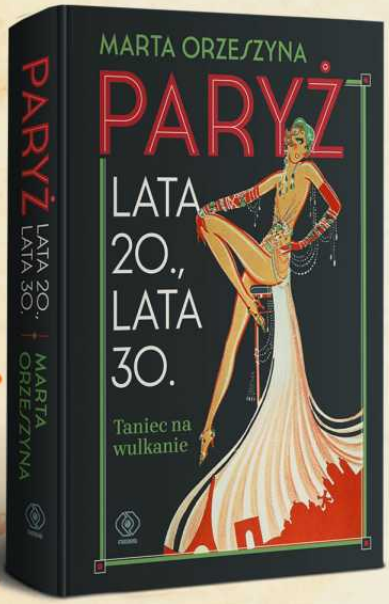
Między triumfem a katastrofą stoi jeden człowiek. Ostatni tom cyklu o Williamie Warwicku



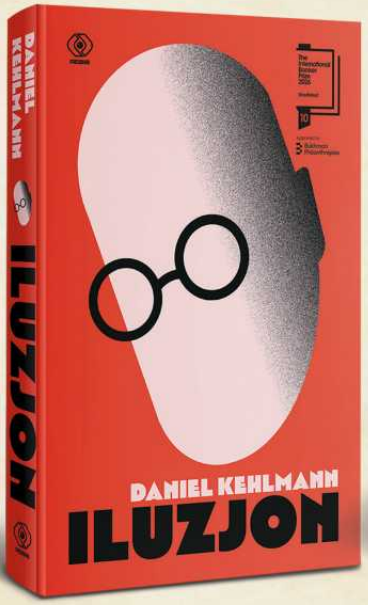
Pełna magii literatura, w której przenika się wiejski folklor i codzienność blokowisk



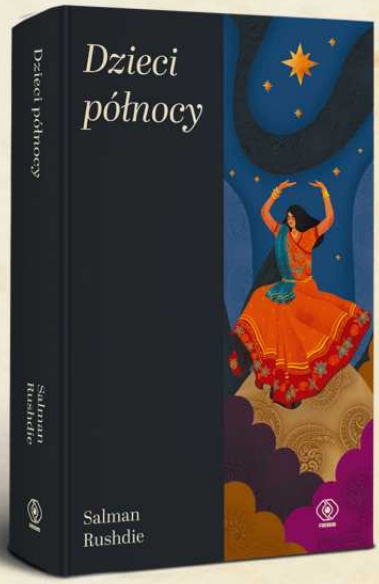
Bernard Minier powraca – zaskakujący, prowokujący i mroczny jak nigdy dotąd



Burzliwa historia miasta świateł i bilet do serca Paryża lat 20., i 30. XX wieku



Finalista Nagrody Bookera. Powieść o niebezpiecznych iluzjach srebrnego ekranu



Epicka saga, w której prawda historyczna spotyka się z baśnią

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
www.rebis.com.pl
FB/DWREBIS
@dom_wydawniczy_rebis